



Blask Corredo

CÓRKA SZKLARKI

AGNIESZKA GRZELAK

w|drodze



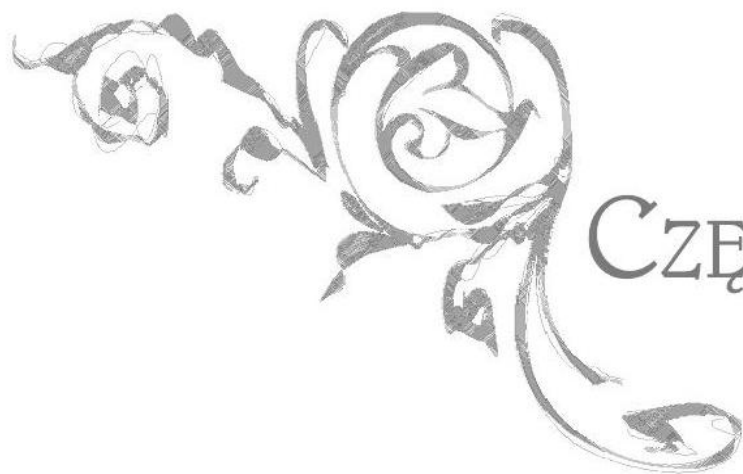
Blask Corredo



CÓRKA SZKLARKI

AGNIESZKA GRZELAK





CZĘŚĆ I

Upał. Słońce wlewa się przez szerokie okna pracowni, nadając ciepły koloryt zielonkawej tapecie w powojniki. W taki dzień trudno skoncentrować się na malowaniu. Szklarka wypłukała pędzel i odłożyła go na bibułę. Ostrożnie odstawiła wykończoną już szybę witrażowego tryptyku. Dwie pozostałe muszą poczekać. Kiedyś tak nie było... kiedyś potrafiła pracować niezależnie od pogody i stanu ducha. (Z wyjątkiem może tego okresu, ponad trzynaście lat temu, kiedy zastanawiała się, czy naprawdę chce wyjść za mąż za Scabera). Ostatnio coraz częściej zdarzało jej się opuszczać pracownię po jednej lub dwóch godzinach malowania albo w ogóle nie wchodzić do niej przez kilka dni. Znała przyczynę. Przyczyna miała dwanaście lat, ciemne włosy do pasa, granatowoniebieskie oczy i siedziała w tej chwili w cieniu kwitnącej lipy. Mori – jej córka.

– Nie wiedziałam, że macierzyństwo jest takie skomplikowane – powiedziała do siebie, dokręcając słoiczki z farbami i ustawiając je na półkach według kolorów. Miała teraz mniej pracy niż kiedyś. Odkąd wyszła za mąż i stała się hrabiną Theą Sedun, większość z dawnych klientów uznała za niestosowne składanie jej zamówień na malowaną porcelanę, szkło czy dekoracyjne panele. Nie była już przecież Szklarką z Wyspy Sierot, zarabiającą na życie jako artystka. Znalazła się teraz w ciasnym kółku arystokracji, gdzie kobiecie nie wypada trudnić się rzemiosłem i otrzymywać wynagrodzenia za swoje dzieła. Na szczęście istniała też grupa osób, pochodzących najczęściej spoza kręgu „wysoko urodzonych”, które ceniły jej wyroby i nie wzdragały się ich zamawiać.

Stała przy oknie i zapatrzyła się w siedzącą nieruchomo postać. Wiele by dała, żeby dowiedzieć się, o czym Mori teraz myśli. To dziecko jest takie tajemnicze. Nie miała pojęcia, że porozumienie się z własną córką może sprawiać tyle trudności.

„Czy zrobiłam coś złe? Może poświęcałam jej za mało czasu?” Nie, to oczywiście nieprawda. Czasu poświęcała jej masę. Zawsze... Próbowała przekazać jej swoje doświadczenie, nauczyć wszystkiego, co sama umiała... Tylko że Mori nie potrzebowała nauki. To dziwne dziecko bez wysiłku opanowywało każdą gałąź wiedzy i dysponowało zdolnościami, o jakich Szklarce nigdy się nie śniło. Przypomniało jej się, jak pokazywała córce technikę malowania witraży. Powoli, krok po kroku, omawiała każde pociągnięcie pędzla. Przedstawiała powody, dla których dobrała takie, a nie inne barwy. Mori stała z boku i słuchała z uprzejmą miną. A kiedy Szklarka spytała: „Może teraz sama spróbujesz?”, dziewczynka śmiałymi ruchami namalowała tak piękne studium kwiatu wisterii, jakby kilka lat studiowała pod okiem Deleny. A miała wtedy zaledwie pięć lat. To było niezrozumiałe i trochę straszne. Podobnie jak inne wydarzenie, o którym wolałaby nie pamiętać.

To było na drugi dzień po urodzeniu Mori. Szklarka

– przejęta i poruszona – mimo zmęczenia porodem, nie mogła zasnąć. Przez całą

noc trwała z otwartymi oczami, szczęśliwa i oszołomiona, wsłuchiwała się w spokojny oddech córeczki. Dziecko leżało w ozdobionej koronkami kołysce, która od co najmniej czterech wieków służyła kolejnym potomkom Sedunów. Właśnie wschodziło słońce. Scaber otworzył oczy i bardzo przejęty spytał szeptem:

– Czy ona jeszcze śpi?

Szklarka uniosła się na łokciu, żeby zajrzeć między antyczne falbanki, a wtedy z głębi kołyski odezwał się nieco sepleniący głosik:

– Jus nie.

Spojrzeni po sobie zaskoczeni. Szklarka poderwała się, żeby sprawdzić, czy ktoś nie podmienił im dziecka. To był absurdalny pomysł, ale tuż po porodzie absurdalne pomysły rosną w głowach matek jak grzyby po deszczu. Dziewczynka w kołysce była tym samym noworodkiem, który zaledwie kilkanaście godzin wcześniej opuścił jej ciało. Ciemnogrnatowe oczka patrzyły rozumnie, a różowe usteczka rozchyłały się, ukazując bezzębne dziąsółka.

– Ależ noworodki nie mówią... – wykrztusił Scaber.

– Dobrze tatusiu.

Szklarka opadła bezsilnie na poduszki. W sypialni zapadło milczenie. Niezwykłość tego, co się przed chwilą stało, bardziej ich przeraziła, niż ucieszyła. Scaber najcichszym z szeptów spytał ją, co o tym myśli.

– Nie wiem, co o tym sądzić – odpowiedziała równie cicho. – Chciałabym, żeby była zwyczajnym dzieckiem dodała, bardziej do siebie. Nie wiedziała, czy ją usłyszał. Czowała, jak ogarnia ją nagle ogromne znużenie. Wyczerpana emocjami i porodem, zapadła w końcu w sen.

Potem jeszcze kilka razy wracali w rozmowach do tamtego poranka. Zawsze z niepokojem. Szklarka bała się, że wpływ instruktorek, jakiemu była poddana przez lata spędzone na Wyspie Sierot, może oddziaływać również na jej dziecko. To była mało prawdopodobna teoria, zwłaszcza że instruktorki zginęły jeszcze przed urodzeniem Mori. Jednak trudno było znaleźć inną przyczynę tego incydentu. Widziała, że Scaber też się niepokoi, ale usiłuje stłumić to uczucie, żeby nie powiększać jej lęków. Jakby wyczuwając nastroje rodziców, przez następną rok Mori nie wypowiedziała ani słowa.



Szklarka otworzyła srebrną szkatułkę, w której przechowywała listy od matki. Dotknęła dłonią pożółkłych kartek. „Tak naprawdę, to nie mam pojęcia, jak powinno być między matką a córką” – pomyślała.

Sposób, w jaki wychowywały ją instruktorki, daleki był od serdeczności. Dyscyplina i wymagania. Świat własnych uczuć należało poznać, a następnie ujarzmić. Z takim bagażem trudno wkraczać w macierzyństwo. Trudno czuć się kompetentnym rodzicem. Dlatego wysłała zaproszenie do Chamomilli, prosząc, żeby przyjechała sama, bez wychowanek.

Widywały się kilka razy w roku, ale Chamomilla zawsze otoczona była wianuszkami dziewczynek. Zajmowała się nimi od dnia, w którym Wyspa Sierot została wysadzona w powietrze. Jej niespożyta energia nie przestawała zdumiewać Szklarki. Nie dość, że matkowała około trzydziestce dzieci, to jeszcze (żeby nie korzystać wiecznie z pomocy przyjaciół – jak wyjaśniła) stworzyła małą wytwórnię bardzo ekskluzywnych serów. Dzięki ich sprzedaży mogła utrzymywać w dostatku całą swoją olbrzymią rodzinę. Wszystkie jej dziewczęta, jak to zresztą było do przewidzenia, wykazywały nieprzeciętne uzdolnienia artystyczne, tak więc trzeba było zatroszczyć się o ich edukację. Kazała zbudować na terenie sąsiadującym z wytwórnią serów obszerny pawilon z szeregiem pracowni plastycznych. Nauczycielkami zostały uciekinierki z wyspy Nut.

Myśl Szklarki powędrowała do tych niezwykłych kobiet, z którymi ponad dwanaście lat temu zeszała z pokładu „Roxilony”. Wydawało jej się wtedy, że trudno im będzie odnaleźć się na nowo w zwyczajnym świecie, bez niewidzialnego nadzoru i opieki Corredo. Zaproponowała nawet, po wcześniejszym omówieniu tej sprawy ze Scaberem, żeby na początek zamieszkały w Versathis

– posiadłości Sedunów. I rzeczywiście, przez kilka pierwszych miesięcy korzystały z ich gościny. Posprzedawały swoją biżuterię, a za uzyskane w ten sposób pieniądze nabywały to, co potrzebne im było do tworzenia: farby, pędzle, płótna, nici do haftu, narzędzia jubilerskie, glinki ceramiczne i tak dalej. Jedna po drugiej opuszczały Versathis i wynajmowały sobie mieszkania w Como, Brittle albo innych ośrodkach, gdzie można znaleźć bogatych klientów. No i dawały lekcje podopiecznym Chamomilli. Może należałoby posłać do tej szkoły także i Mori... Tyle że ona chyba już wszystko umie.

Wzrok Szklarki znowu powędrował w kierunku szczupłej postaci, która w tym właśnie momencie podniosła się z ziemi. Wspięła się na palce i zrobiła nad oczami daszek z dłoni, jakby czegoś wypatrując. Potem powoli zaczęła iść w kierunku bramy wjazdowej, ale nagle zmieniła decyzję. Okręciła się na pięcie i pobiegła w przeciwną stronę.

Mori całe dni spędzała samotnie. Albo spacerowała po ogrodzie, albo siedziała w jednym miejscu, zatopiona w rozmyślaniach, albo zaszywała się w swoim pokoju, do którego nie wpuszczała żadnych służących, a rodzicom pozwalała zaglądać tylko z rzadka. Szklarka bardzo chciałaby wiedzieć, co ona tam robi, co ją interesuje, do czego mają służyć te dziwne rzeczy ze szkła, metalu i drewna, walające się po całym pokoju. Nie chciała jednak być wścibska ani natrętna. Wydawało jej się, że gdyby Mori miała do niej zaufanie, sama dzieliłaby się tym, co jest dla niej ważne. Tak wyobrażała sobie relację między matką i córką. Jako bliską zażyłość. A tymczasem czuła, że w obecności dziewczynki staje się spięta i tak bardzo skoncentrowana na tym, żeby nie popełnić jakiegoś nietaktu, który jeszcze bardziej oddaliłby je od siebie, że jakakolwiek spontaniczna reakcja wydawała się niemożliwa.

Powietrze wypełniło przenikliwe dzwonięcie. Nieomylny znak przybycia Chamomilli. Była to jej jedyna, nieszkodliwa ekstrawagancja – dzwoneczki przy powozie i przy końskiej uprzęży. Na pytania, dlaczego i skąd ten pomysł, odpowiadała uśmiechem i wzruszeniem ramion. Szklarka nie zamierzała dociekać.



– Theo! – Ciepły uśmiech rozjaśnił twarz wkraczającej do hallu Chamomilli. Jej obfita postać, spowita we wzorzyste jedwabie zdawała się rozświetlać całe pomieszczenie. Naszyjniki i bransolety rzucały na ściany błyski. Znikomą część tej biżuterii stanowiły prawdziwe klejnoty. Większość migocących kamyków była precyzyjnie oszlifowanymi szkiełkami. Chamomilla z pogardą odnosiła się do arystokratycznego uwielbienia dla drogich kamieni i bulwersowała „wysoko urodzonych” stwierdzeniami typu:

„I jedno, i drugie ładnie się świeci”.

Szklarka objęła przyjaciółkę. Gdyby były same, gdyby wokół nie krążyły ciche zastępy służby, pewnie rozplakałaby się z ulgi. A tak mogła sobie jedynie pozwolić na długie westchnienie. Chamomilla poklepała ją delikatnie po plecach.

– Mam coś dla ciebie – powiedziała. – Kalikście, podaj mi kosz.

Chamomilla zawsze zjawiała się z jakimiś niezwykłymi prezentami. To stało się już tradycją. Woźnica, pełniący w razie potrzeby również funkcję służącego–do–wszystkiego, wręczył jej ceremonialnie żadaną sztukę bagażu. Kobieta wydobyła z niej małą podłużną paczuszkę, owiniętą złoconą bibułą i przewiązaną atlasową wstążeczką.

– Co to jest?

– Otwórz, a zobaczysz.

Wewnątrz zawiniątka znajdował się smukły kryształowy flakonik, napełniony bladozłotym płynem. Szklarka wyciągnęła zwieńczony kryształową kulą korek i wszyscy obecni w hallu mimowolnie wciągnęli głębiej powietrze przesycone nagle egzotycznym, kwiatowym zapachem.

– Perfumy! – ucieszyła się Szklarka.

– To dzieło mojej Maiorany. Po raz pierwszy chyba któraś z wychowanek Wyspy Sierot zamiast sztuki, zajmuje się produkcją pachnidła.

– Trudno Maioranę nazwać wychowanką Wyspy Sierot. Przebywała tam zaledwie siedem lat. A poza tym jest jeszcze Irinda, która zamiast rzeźbą, zajmuje się ogrodnictwem.

– To prawda. Niemniej jednak to wyjątki.

Chamomilla znowu zanurzyła rękę w koszu. Tym razem pakunek był znacznie większy, mniej kształtny i zawinięty w lnianą serwetę z wzorem w rumianki. Zarówno zapach, jak i charakterystyczne opakowanie nie pozostawiały wątpliwości, iż jest to jeden ze słynnych i piekielnie drogich wyrobów

Chamomilli.

– Cóż to jest tym razem? – dopytywała się Szklarka. – Śmietankowy ser z oliwkami czy też mój ulubiony, orzechowy?

– Zupełnie nowy wynalazek, przekonasz się przy kolacji. – Chamomilla podała ser najbliższej stojącej pokojówce. – Zanieś to do kuchni i powiedz, że mają go rozpakować tuż przed podaniem. Nie wcześniej, pamiętaj!

Dziewczyna z nabożną czcią przejęła pakunek i odeszła, stąpając tak dostojnie, jakby niosła klejnoty koronne.



Pół godziny minęło, zanim mogły zostać zupełnie same. Szklarce wydawało się, że służące nigdy nie przestaną krążyć, wnosząc herbatę, ciasteczka i specjalny dar od kucharki – miniaturowe torciki bezowe z bitą śmietaną i malinami. (Główna kuchmistrzynie Versathis traktowała Chamomillę z szacunkiem i czcią należną co najmniej jakiemuś bóstwu. Zawsze starała się przygotować na jej przyjazd coś wyjątkowego).

– No a teraz powiedz, jakie masz kłopoty z Mori – odezwała się bez wstępów Chamomilla, kiedy tylko drzwi zostały zamknięte, odgradzając je od reszty domu.

– Oczywiście, zanim cokolwiek powiedziałam, ty już wszystko wiesz. – Szklarka pokręciła głową, rozbawiona i jednocześnie trochę zirytowana.

– Inaczej nie należałabyś, żebym przyjechała sama. Potrzebujesz mojej niepodzielnej uwagi. A więc słucham.

– Powiedz mi, co zrobiłam źle? Dlaczego nie rozumiem własnej córki? Dlaczego nie potrafię z nią rozmawiać? Nie wiem o czym. A ona... jest grzeczna, poprawna i zarazem taka odległa.

– Może za bardzo się starasz? – Chamomilla posłała jej rozbawione spojrzenie.

– Ty próbujesz być idealną matką, a ona w odpowiedzi chce być idealną córką. I nie macie szansy się spotkać. Zawsze byłaś ostrożna w okazywaniu uczuć, Theo. To spuścizna po instruktorkach. Może jest teraz dobry moment na to, żeby zacząć otwarcie wyrażać zarówno radość, jak i złość.

– Złość? Ale ja nie jestem zła na Mori. Ja tylko się boję... że ją tracę, że nigdy nie będzie wiedziała, jak bardzo ją kocham. I jeszcze... – zawahała się – Mori jest inna od twoich dziewczynek. Nigdy nie bawiła się tak jak zwyczajne dzieci. Ciągłe nad czymś rozmyśla. Na dodatek wszystko umie... I to mnie przeraża. Nigdy ci o tym nie mówiłam, bo... – zająknęła się – jakoś nie było okazji i...

– Co to znaczy: wszystko umie? – przerwała Chamomilla.

– Kiedy próbuję ją uczyć malowania, okazuje się, że każda jej praca wygląda jak dzieło profesjonalnej artystki. Gdy zatrudniłszy nauczyciela, wystarczyły dwa tygodnie, a wchłonęła wszystkie wiadomości. Okazało się też, że jej wiedza z przedmiotów ścisłych i nauk przyrodniczych przekracza poziom uniwersytecki. JAK TO JEST MOŻLIWE?!!

Chamomilla w milczeniu rozważała słowa Szklarki. Zamyślona sięgnęła po leżące na tacy ciasteczko i włożyła je do ust. Zamieszała łyżeczką cukier w herbacie i upiła łyk.

– Powiedz mi Theo, ile tygodni po waszym powrocie z wyspy urodziła się Mori?

– Dokładnie trzy miesiące.

– Czy jest prawdopodobne, że poczęła się na wyspie Nut?

Szklarka zaczerwieniła się.

– To była t...tylko jedna noc – zająknęła się – ale tak... to jest możliwe.

Chamomilla pokiwała głową, jakby ta informacja była potwierdzeniem jej przypuszczeń.

– Istnienie twojej Mori zaczęło się więc na terytorium Corredo. To nie mogło pozostać bez wpływu. Pamiętasz niezwykle umiejętności instruktorek? Myślę, że żadna z nas nie wie, jaką wiedzę dysponowały i do czego były zdolne. W dobrym i złym sensie.

– Chyba nie chcesz powiedzieć, że moja córka będzie kimś w rodzaju instruktorki! – obruszyła się Szklarka.

– Och, nie! Instruktorki były przecież wyrzutkami. Prawdziwi mieszkańcy Corredo... Przypomnij sobie, co mi opowiadałaś o swoich przeżyciach na wyspie Nut. Przypomnij sobie uczucie szczęścia i zachwytu. Nie było ci tam źle.

– To prawda.

Nawet teraz pamiętała tę cudowną moc, jaka ją wtedy przenikała.

– No ale co z Mori? – wróciła do głównego tematu. – Znalazłyśmy możliwe wytłumaczenie jej umiejętności. To nie zmienia faktu, że nie umiem się z nią porozumieć.

– A jak sobie wyobrażasz to porozumienie?

Szklarka wzruszyła ramionami.

– No choćby tak, że rozmawiamy o ważnych dla nas sprawach, dzielimy się przeżyciami...

– Mówisz jej o tym?

– O czym?

– Że brakuje ci takiej otwartości.

– No coś ty!

– Czyli nie dzielisz się ważną dla ciebie sprawą – uśmiechnęła się psotnie Chamomilla.

– Och! – prychnęła niecierpliwie Szklarka. – I tak nic by to nie dało. Mogłabym usłyszeć uprzejme „Przykro mi mamusiu”. Nic więcej.

– A co na to wszystko Scaber?

– Mówi, żebym dała jej spokój i pozwoliła żyć własnym życiem.

– Dość rozsądna rada.

– Mam jej pozwalać, żeby całymi dniami siedziała nieruchomo pod drzewem albo na długie godziny zaszywała się w dusznym pokoju?

Chamomilla nie odpowiedziała. Popołudniowe słońce wpadające przez szyby

zapalało błyski w jej klejnotach i odbijało się od jedwabiu sukni. Szklarka miała wrażenie, że cała postać przyjaciółki skąpana jest w płynnym złocie.

– Czy jest ktoś, z kim Mori lubi przebywać albo rozmawiać?

Szklarka zastanowiła się. Scaber? Uczył ją jeździć konno, grał z nią w różne gry i to jej się podobało. Ale wiele ze sobą nie rozmawiali. Przebiegła w myślach osoby, które ich odwiedzały, ludzi, z którymi się przyjaźnili... Rówieśników Mori...

– Jedno jest pewne – odezwała się na głos. – Bez wątplenia nie znajduje wspólnego języka z dziećmi w swoim wieku.

– Nic dziwnego, jest od nich znacznie inteligentniejsza i dojrzała. Nie wiadomo, jaką wiedzę dysponuje. Może tylko na zewnątrz jest dwunastoletnią dziewczynką, a tak naprawdę...

– Ross!

– Co Ross?

– Z Rossem lubi rozmawiać. Cała aż promienieje, kiedy on przyjeżdża. Od razu się ożywia, zadaje masę pytań.

– Na jaki temat? – zareagowała błyskawicznie Chamomilla.

Szklarka oparła brodę na ręce.

– Podróże, obce kraje, szczegóły budowy okrętów, nawigacja, przyrządy optyczne, zwyczaje innych ludów, architektura starożytnych świątyń, rodzaje stopów metali...

– I on to wszystko wie? – przerwała wyliczankę Chamomilla, z niedowierzaniem unosząc brwi.

– Większość. Nawet jeśli dokładnie nie zna jakiegoś zagadnienia, to i tak potrafi o nim dyskutować albo zastanawia się, z jakich źródeł skorzystać, żeby dowiedzieć się czegoś więcej.

– I tego właśnie potrzebuje Mori. Dostępu do wiedzy.

– Mam prosić Rossa i Sorbitę, żeby Mori u nich zamieszkała? – Szklarka wstała zirytowana.

Inaczej wyobrażała sobie tę rozmowę. Oczekiwała większego zrozumienia, a Chamomilla zajęła się odgadywaniem potrzeb Mori. A przecież tu chodzi o wzajemną relację, o kontakt, o to, żeby mogły być sobie bliskie jak matka z córką.

– Ty nie rozumiesz... – zaczęła.

Chamomilla popatrzyła na nią znad trzymanej w dłoniach filiżanki.

– Sugeruję, żebyście na jakiś czas zamieszkali w Como. Mogłabyś poprosić Robiego, żeby wyrobił twojej córce stałą przepustkę do Królewskiej Biblioteki. Byłaby uszczęśliwiona.

Znowu mieszkać w Como? Szklarka odzwyczaiła się już od życia w mieście. Dobrze jej było w Versathis. Lubiła rozciągający się z okien widok na zielone wzgórza. I po prostu nie wyobrażała sobie rozstania z ogrodem, w którym własnoręcznie pielęgnowała setki odmian kwiatów.

– Czy myślisz, że wtedy Mori zacznie ze mną rozmawiać? – mruknęła z

powątpiewaniem.

– Nie wiem. Na pewno przestanie siedzieć całymi dniami pod drzewem.

– Czy próbujesz być złośliwa? – spytała wojowniczo.

– Och, Theo... – Chamomilla wstała zza stołu i podeszła do Szklarki. – Czy naprawdę sądzisz, że cię nie rozumiem? Niektóre z moich dziewczynek w ogóle się do mnie nie odzywają. Są skryte, samotne i z trudem znoszą czyjeś towarzystwo. Inne natomiast, gadatliwe ponad miarę, sprawiają że czasem mam ochotę wyskoczyć przez okno, żeby uniknąć ciągłego trajkotania. Problem w tym, że masz tylko jedno dziecko i ono zaprzęta wszystkie twoje myśli. W dodatku niezwykle i naprawdę nie wiadomo, jak z kimś takim postępować.

– No właśnie... – szepnęła Szklarka i wierzchem dłoni otarła łzę, która nieproszona popłynęła po policzku.

Za tą pierwszą pojawiły się następne. Chamomilla podała jej chusteczkę.

– Dlaczego ja zawsze muszę przy tobie płakać?

– Bo noszę przy sobie zapas chustek, więc nie musisz się martwić, czym wytrzeć nos.

Szklarka parsknęła śmiechem.

– Porozmawiam ze Scaberem o wynajęciu apartamentu w Como – zdecydowała.

– Moje dawne mieszkanie dałam Verce w prezencie ślubnym. Należało jej się za te wszystkie lata służby.

– A właściwie gdzie jest Scaber?

– Pojechał odwiedzić rodziców. Poza tym chciał, żebyśmy mogły pobyć same, bez, jak to określił, „krępującej męskiej obecności”. A jak tam twój zalotnicy?

Chamomilla roześmiała się gromko.

– W miarę jak dziewcząt z domu ubywa, a ceny sera rosną, są coraz liczniejsi.

– I żaden nie przypadł ci do gustu?

– Sami łowcy majątków – westchnęła. – Patrz, idzie Mori.

Szczupła figurka dziewczynki przesuwiała się wolno w stronę domu.

– Robi się coraz podobniejsza do ciebie.

2.

„Gdyby udało się stworzyć metal lżejszy od powietrza, można by konstruować maszyny latające. Wystarczy rozgęścić jego strukturę. Ross nie wierzy, że metale złożone są z maleńkich drgających drobinek. A przecież to widać! Ross mówił, że nie widzi. Dlaczego? Może tylko ja mogę dostrzegać różne rzeczy. Albo wyczuwać. Na przykład to, że mama się martwi. Zawsze kiedy mnie widzi, zaczyna się martwić. Powstaje wtedy wokół niej niebieska otoczka. Właściwie niebieskosina – to nie jest ładny kolor. Za to ciocia Chamomilla jest złocista jak miód. Dobrze, że przyjechała, bo mama jest weselsza, różowa. Ciekawe, dlaczego nie widzę swoich kolorów. Nawet w lustrze. A Ross, jak się nad czymś bardzo zastanawia, robi się purpurowy i przebiegają przez niego żółte pasma myśli. Stwierdził, że mam malarską wyobraźnię. A przecież

potrafię odróżnić to, co widzę, od tego, co sobie wyobrażam. Ciekawe, jak zareagowałyby mama, gdybym jej powiedziała o tych kolorach. Ona by uwierzyła, ale zaraz by się przestraszyła. Ona w ogóle okropnie się o mnie boi. Szkoda, że nie może urodzić więcej dzieci. To instruktorki tak zrobiły, że mogła mieć tylko jedno. Nie mam pojęcia, skąd o tym wiem, ale tak właśnie jest. Coś jej zrobiły tam w środku. I cioci Sorbicie też. I tym, które przyplłynęły z wyspy Nut też. A dziewczyny cioci Chamomilli tego nie mają. Ciekawe, jakiego koloru były instruktorki? Mama nie lubi o nich rozmawiać. Nic dziwnego, zabiły przecież babcię Leę. Dlaczego to zrobiły? Gdybym bardzo się postarała, to może udałoby mi się stworzyć maszynę latającą. Musiałabym tylko...” Sen dopadł Mori jak zwykle znienacka. I nie mogła dokończyć myśli.

3.

Kolacja dobiegała końca. Służąca wniosła tacę z czekoladowym ciastem i pucharki z malinami zwieńczone zgrabnymi kopczykami bitej śmietany.

„Jaka piękna martwa natura” – pomyślała Szklarka, patrząc na deser ustawiony na białym obrusie, oświetlony ciepłym blaskiem świec. „Właściwie mogłabym ją namalować. Prace na szkle stały się trochę nużące. Ciągłe to samo i to samo. Jakbym stała w miejscu. Chciałabym robić coś innego. Może utkałabym wielki gobelin w takich kolorach, jakie były na wyspie Nut?”

„Mama myśli o czymś miłym. Ma wokół siebie tyle różowego światła. Szkoda, że tak rzadko. A tata jest cały w świetlnych zygzakach, jakby rozwiązywał w głowie jakiś problem. On na szczęście nie martwi się o mnie. Jakby wierzył, że ze wszystkim sobie poradzę. Pyszne są te maliny. Jutro pójde do kucharki Padronny i poproszę, żeby mnie nauczyła robić bitą śmietanę. I w ogóle, dobrze byłoby nauczyć się gotować, nie wiadomo kiedy może się to przydać. Zresztą, może już umiem, tylko o tym nie wiem. Tak jak z malowaniem. Od pierwszego razu wiedziałam, jak to robić. Ciekawe, dlaczego? Może mam to po mamie, chociaż ją uczyły instruktorki”.

– Mori?

– Tak, tato?

– Zastanawialiśmy się z mamą, czy nie chciałabyś mieć dostępu do Królewskiej Biblioteki? – rzucił lekko Scaber.

– To możliwe? – Mori zerknęła na Szklarkę i z przykrością zauważyła, że miły różowy kolor znikł, ustępując miejsca szaroniebieskiemu.

– Możemy poprosić Robiego Cayushu, żeby wyrobił ci stałą przepustkę.

– Biblioteka jest w Como. Nocowałabym u Verki i Robiego?

– Nie. – Szklarka odchrząknęła, jakby coś utkwilo jej w gardle. – Wynajmiemy tam mieszkanie.

Mori milczała przez dłuższą chwilę. Zanim zdążyła zapytać, dlaczego to robią, знаła już odpowiedź. Dla niej, oczywiście. Żeby się nie nudziła, żeby miała co robić. Czy nie wiedzą, że ona nigdy się nie nudzi? Jest tyle ciekawych rzeczy, o

których można myśleć.

– Mamo, przecież ty kochasz Versathis, a zwłaszcza ogród!

– Moglibyśmy mieszkać tam tylko zimą, chociaż... – Szklarka uśmiechnęła się blado – jak pamiętam, pomieszczenia biblioteki nie są zbyt dobrze ogrzewane. Musiałabyś się ciepło ubierać.

– W bibliotece może być ciekawie – zaczęła z ociąganiem Mori – ale przecież tutaj jest również wiele interesujących rzeczy.

„Jakich?” – chciała zapytać Szklarka. „Co cię tak naprawdę interesuje? Przecież nic nie robisz godzina– mi? Z nikim się nie spotykasz, nie malujesz, wszystkie książki już przeczytałaś. Myślałam, że będziesz skakać z radości, słysząc naszą propozycję, a ty po prostu zadajesz rzeczowe pytania, nie przejawiając większego entuzjazmu”.

„Mama jest rozczarowana. Myślała, że sprawi mi radość. Gdyby była inna, to zaczęłaby na mnie krzyżeć, albo czynić wymówki, albo powiedziała by, że jest na mnie zła. Ale ona mówi tylko do środka. Szkoda, że nie umiem słyszeć czyichś myśli, jak ciocia Chamomilla albo babcia Lea. Chociaż podobno nie można tego robić ot tak sobie. Że to jak kradzież. Ale wtedy wiedziałabym, o czym myśli mama”.

„Thea za bardzo się przejmuję. Może Mori rzeczywiście niepotrzebna jest biblioteka. Może siedząc pod drzewem., wymyśla powieści? To bardzo prawdopodobne przy jej wyobraźni. Nie znoszę takiego milczenia. Thea tak się boi urazić uczucia małej, że tłumi w sobie najmniejszy objaw niezadowolenia. To nierozsądne. Jeśli się nie odezwę, do końca kolacji będziemy przeżuwać w ciszy”.

– Wiesz, Mori – Scaber nadał swojemu głosowi niefrasobliwy ton – myśleliśmy, że się ucieszysz. I trochę jesteśmy oboje zbici z tropu. Czujemy się za ciebie odpowiedzialni, a tak naprawdę nie wiemy, jakie są twoje potrzeby.

Pomyślał, że za tak zwięzłą przemowę, świetnie charakteryzującą problem, należą mu się brawa. Zamiast nich otrzymał spojrzenie żony, w którym wdzięczność mieszała się z przerażeniem.

– Moje potrzeby? – zastanowiła się głośno Mori.

Była wdzięczna ojcu za przerwanie rodzącego się napięcia. Chciała odpowiedzieć na jego pytanie, ale nie wiedziała jak. Czy te wszystkie sprawy, o których rozmyśla, można nazwać potrzebami? Chyba nie.

– Potrzeby, marzenia, pragnienia... – podpowiadał Scaber.

– Ach, pragnienia. – Mori uśmiechnęła lekko i spuściła oczy.

„Powiedzieć im, czy nie? Jak powiem, to mama na pewno się przestraszy albo zasmuci. Ale może lepiej powiedzieć. I tak nie mogą się spełnić”.

– Mam dwa takie marzenia, ale one są zupełnie nierealne – zaczęła.

Szklarka podniosła głowę zdumiona. Mori będzie mówić! Ten Scaber to cudotwórca. Jej nie przyszłoby do głowy, żeby pytać tak wprost.

– Pierwsze jest zupełnie niemożliwe: zobaczyć wyspę Nut.

Mori patrzyła na Scabera, ale kątem oka dostrzegła pomieszanie Szklarki.

Pomieszanie kolorów. Smugi błękitu przeplatane purpurowymi wstęgami, z których tryskały złotawe iskry.

– A drugie? – zaciekawiał się ojciec.

– Prawie niemożliwe: wejść do krainy Avenidów.

– No tak – zaśmiał się Scaber – takie pragnienia przekraczają nasze skromne rodzicielskie możliwości.

– Wiesz, że poczęłaś się na wyspie Nut? – odezwała się niespodziewanie Szklarka. – To być może dlatego...

– Pragnę ją odwiedzić? – dokończyła Mori pytająco.

– No właśnie – potwierdziła pospiesznie Szklarka, choć wcale nie o to jej chodziło. Chciała powiedzieć: „To być może dlatego jesteś taka inna”, ale to mogłoby źle zabrzmieć.

– Naprawdę poczęłam się na wyspie Nut? To niesamowite. Szkoda, że już nie istnieje. Ale... jak myślisz mammo, może są inne takie wyspy, przez które da się zobaczyć Corredo?

Szklarkę przeszedł zimny dreszcz. Nie, nie, nie. Żadnych wysp, żadnego Corredo, żadnych nieszczęśliwych uciekinierek, a przede wszystkim, żadnych instruktorek zabierających dzieci. Nie.

– Nie słyszałam o żadnej – odezwała się sucho.

– Nie chciałybyś, żeby była – wyrwało się Mori i od razu miała okazję obserwować niezwykłą bitwę kolorów wokół postaci matki.

– Pewnie, że nie – wtrącił się żywo Scaber. – Taka wyspa byłaby dowodem na to, że wciąż jeszcze żyją w naszym świecie instruktorki.

– To wcale nie jest takie oczywiste – zaprotestowała Mori.

Szklarka patrzyła na ożywioną twarz córki. „Ona lubi dyskutować, lubi się spierać. Jest zupełnie inna niż ja. I to na pewno moja wina, że zazwyczaj jest taka milcząca i schowana w sobie”.

„Mama znowu się martwi. Dlaczego? Ciekawe, czy mi odpowie, gdy spytam”.

– Mamo, czy ty się boisz, że porwą mnie jakieś instruktorki?

„Szczerze. Powinnaś odpowiedzieć jej szczerze. I zobaczyć, co się stanie”.

– Nie myślałam teraz o instruktorkach... Myślałam o nas. Że po raz pierwszy tak rozmawiamy – zastanowiła się nad doborem odpowiednich słów. – Wydawało mi się, że nie bardzo lubisz się dzielić swoimi myślami... tym, co dla ciebie ważne. Jest tak, jakbyś odgradzała się od nas jakimiś drzwiami. Możliwe, że to ja nie miałam do nich odpowiedniego klucza.

– Mamo! – Mori zerwała się z krzesła, potrącając jednocześnie napełnioną do połowy filiżankę.

Normalną kolejną rzeczą płyn powinien się wylać, właściwie już zaczął się przelewać, ale dziewczynka uczyniła mimowolny gest dłonią i wyciekająca herbata zawróciła z drogi, lokując się z powrotem w filiżance. Naczynie zaś wróciło do poprzedniej pozycji. W jadalni zaległa cisza.

Słowo daję, nie wiedziałam, że to potrafię – wyszeptwała Mori z oczami okrągłymi ze zdumienia.



Scaber leżał na łóżku z rękami pod głową i z rozmarzeniem wpatrywał się w sufit.

– Ross będzie zachwycony, kiedy się dowie, że Mori przesuwają przedmioty bez dotykania i zawraca z drogi wylewający się płyn. Aż trudno uwierzyć, że to nasza córka – powiedział.

– Ty się cieszysz, a mnie to niepokoi. Co będzie, jak ona zechce odejść... tam, do Corredo? Już na zawsze?

Szklarka odrzuciła kołdrę i usiadła na posłaniu. – Nie ma wyspy Nut, ale Mori jest jakąś jej częścią. I po tę część mogą zgłosić się oni. Obcy. Powiedzieć, że jest ich własnością.

– Kiedyś nie byłaś do nich tak wrogo nastawiona. Bałem się wtedy, że mi ciebie zabiorą. – Poglaskał ją po policzku. – Nie ma już instruktorek, więc przestań się obawiać. A dzieci zawsze odchodzą. Prędzej czy później.

– Wolalabym, żeby to było później – burknęła.

Scaber roześmiał się krótko.

– A najlepiej nigdy. W tym jedynym punkcie jesteś dokładnie taka jak moja matka.

Przypomniał sobie niedawne odwiedziny u rodziców. Matka, mimo iż szybciej i z mniejszymi niż ojciec oporami zaakceptowała jego małżeństwo, nie potrafiła pogodzić się z faktem, że Szklarka jest teraz najważniejszą kobietą w życiu Scabera. Wizyty w rodzinnym domu stawały się przez to coraz bardziej uciążliwe. Hrabina Sedun ze łzami w oczach prosiła, żeby „pomieszkał u nich choć z miesiąc”, wyrzucała mu, że za rzadko pisuje i przyjeżdża. Mówiła: „Jesteś światłem moich oczu” albo „Twoje wizyty są jedynym jasnym promieniem w moim życiu”. W takich chwilach przepełniało go poczucie winy pomieszane z zażenowaniem i irytacją. Matka oczywiście nie miała pojęcia, że jej zachowanie wzbudza w nim niechęć. Nie potrafił jej tego powiedzieć. Z rezygnacją przyjął, że tej relacji nie da się już zmienić. Miał natomiast wpływ na to, co dzieje się w jego domu. Nie zamierzał dopuścić, żeby Mori czuła się skrępowana i zniewolona ich rodzicielską miłością. Chciał, żeby była wolna.

4.

Sękate dłonie Martina metodycznie i bezlitośnie wyrywały wszystkie chwasty, jakie ośmieliły się zagnieździć na różanym klombie. Spora góra zielska piętrzyła się już na stojącej nieopodal taczce.

– Czy mogę trochę pomóc? – spytała Mori, która od dłuższego czasu przypatrywała się pracy ogrodnika. Podobał jej się widok oczyszczonej ze zbędnych roślin ciemnobrunatnej ziemi, na której tle wyraziście odcinały się połyskujące liście i ciężkie, ciemnożółte kwiaty róż. Odchwaszczanie

przypominało jej oczyszczanie rysunku ze zbędnych detali.

– Pobrzdzi sobie panienska ręce. – Martin spojrział na nią znad wyładowanej taczki.

– No to później umyję.

– Jak tam sobie panienska chce – wzruszył ramionami.

Mori ukucnęła i zabrała się za wyrywanie chwastów. Zajęcie okazało się zadziwiająco przyjemne, nawet gdy miało się do czynienia z długimi, podziemnymi pędami perzu, które próbowały podstępnie opanować kwiatowe rabaty.

– Nieźle to panience idzie – przyznał Martin.

Dziewczynka uśmiechnęła się zadowolona i odgarnęła opadający na twarz kosmyk włosów, zostawiając na policzku ciemną smugę ziemi. Skupiła się na wyciąganiu głęboko ukorzonego mlecza, a jej myśli zaczęły krążyć wokół wydarzeń wczorajszego wieczoru. Naprawdę nie wiedziała, że może zmusić wylewającą się herbatę, żeby wróciła do filiżanki. „Mama oczywiście się przestraszyła. Tak jest zawsze, kiedy widzi, że robię coś, czego nie potrafią inni. Ona chce, żebym była normalnym, zwyczajnym dzieckiem. Nic na to nie poradzę, że nie jestem. Powiedziała, że poczęłam się na wyspie Nut. Mama ma zawsze taki błysk w oku, gdy o niej mówi. To musiało być piękne miejsce”. Podniosła głowę i rozejrzała się wokół. Tu też było ładnie. Ze wszystkich stron otaczały ją różane krzewy. Kiedy tak tkwiła skulona, wyrywając chwasty, nie widziała innych kwiatów. Wystarczyło jednak wstać, a miało się jak na dłoni resztę ogrodu. Przed patrzącym rozpościerał się widok na szmaragdowozielone trawniki, na schodzące w kierunku strumienia barwne rabaty, na stare drzewa posadzone przez jakiegoś prapradziadka i na rosnące pod nimi niebieskawe kępy herbaty szczęścia. Czasami wzrok zatrzymywał się na przerywanej linii cisowych żywopłotów, otaczających niewielkie skrawki terenu nazwane przez mamę zamkniętymi ogrodami. Mori uwielbiała tam chodzić. Były to zaciszne miejsca, odgródzone od reszty posiadłości. Można się w nich zaszyć na cały dzień z książką, rozkoszując się ciszą i samotnością.

Podobno kiedy rodzice sprowadzili się do Versathis, zastali ogród całkowicie zapuszczony. Stare drzewa otoczone były zbitą gęstwą krzewów, zarastającą prawie cały teren, z wyjątkiem pasa trawy okalającego pałac. Na środku tego trawnika widniał okrągły klomb, na którym wiosną kwitły tulipany. Latem na ich miejsce sadzono begonie. Mori знаła to tylko z opowiadań. Rodzice prawie wszystko pozmieniali. Jeździli razem do różnych miejsc po sadzonki. Dzięki znajomościom wuja Cecila Sarotiana, słynnego botanika, udało im się zdobyć kilka rzadkich okazów z Królewskiego Ogrodu Botanicznego. Często zabierali ze sobą Mori. Jak przez mgłę pamiętała te wyprawy, długie jazdy powozem, a potem spacerów pośród kwiatów, duszną atmosferę oranżerii i mamę pochylającą się nad rabatami.

– Już chyba jest dla panienki czas na obiad. – Wyrwał ją z zamyślenia głos ogrodnika. – Słyszałem gong z pałacu.

Mori wstała i otrzepała ręce.

– Do zobaczenia – powiedziała, uśmiechając się promiennie. – Podobała mi się ta praca. Chyba będę to robić częściej...

– Ano... – Martin poskrobał się w głowę. – Niech panienka przychodzi, jak ma ochotę.

Mori odbiegła w podskokach. Ogrodnik pochylił się mul stosem chwastów leżących na ścieżce.

– Jeszcze żem nie widział, żeby komuś tak łatwo rośliny podchodziły pod ręce – mruknął, ładując zielsko na taczkę. – Kto to słyszał, żeby perze wyłaziły z ziemi jak dżdżownice po deszczu. Ta mała ma dryg do takiej roboty, to pewne.



Obiad upłynął w pogodnej atmosferze. Mori opowiedziała o swojej pracy w ogrodzie, co skierowało rozmowę na temat roślin.

– Chciałabym sprowadzić coś nowego do naszej oranżerii – powiedziała z rozmarzeniem Szklarka, opierając brodę na dłoni. – Najlepiej coś, co ma intensywnie błękitne kwiaty.

– Cecil wrócił niedawno z ekspedycji w dżunglę Arbeo. Może przywiózł jakieś sadzonki. Wyślij mu list z pytaniem, czy nie ma czegoś interesującego dla nas.

– Nawet mi nie mów o listach – spochmurniała Szklarka. – Był dzisiaj pocztylion i zostawił mnie z plikiem tych idiotycznych bilecików. Czy naprawdę musimy podtrzymywać tę bezsensowną tradycję?

– Kochanie. – Scaber ujął ją za rękę. – Zgadzam się z tobą że tradycja jest bezsensowna. Wolałbym jednak, żebyś nie była osobą która z nią zerwie.

Nie powiedział nic więcej, ale Szklarka i tak wiedziała, o co mu chodzi. Fakt, że zarabiała malowaniem, był wystarczająco bulwersujący. Scaber nie chciał, żeby krążące o niej w towarzyskich kręgach niekorzystne opinie jeszcze się pogorszyły.

Mori pomyślała, że dobrze byłoby naprowadzić rozmowę z powrotem na tematy ogrodowe.

– Czy oprócz herbaty szczęścia mamy jakieś rośliny z wyspy Nut? – spytała.

– Nie było wtedy czasu na zbieranie sadzonek – odpowiedział Scaber. – Kiedy wracaliśmy z pierwszej wyprawy, Cecil zasuszył jakieś okazy, ale nie miał przy sobie odpowiedniego wyposażenia, żeby wywieźć z wyspy żywe rośliny i potem je rozmnożyć.

– Szkoda – westchnęła Mori.

Szklarka widziała wyraz zawodu malujący się na twarzy dziewczynki. Przypomniała sobie o pliku kartek, które od ponad dwunastu lat leżały na dnie jednej z szuflad. To chyba dobry moment, żeby pokazać je Mori. Chamomilla mówiła, żeby dzielić się z córką ważnymi dla siebie sprawami. Niech tak będzie.

Odłożyła łyżeczkę na talerzyk po deserze i wstała od stołu.

- Jak skończysz, Mori – powiedziała lekkim tonem – to zajdź do mojej pracowni. Mam tam coś dla ciebie.
- A co? – Dziewczynka pośpiesznie wpackowała do ust wielki kawał ciasta i już podnosiła się z krzesła.
- Zobaczysz – uśmiechnęła się tajemniczo.
- A ja? – spytał Scaber zaintrygowany.
- Ty już to widziałeś... Dawno temu.



Weszły do pracowni. W kącie stała pękata komoda z szufladami, w której Szklarka przechowywała swoje niezliczone szkice i studia malarskie. Przez lata zebrało się tego tak dużo, że zastanawiała się nad wyniesieniem części na strych albo spakowaniem do jakiegoś kufra. Przyklęknęła na podłodze i wysunęła najniższą szufladę. Mori kucnęła obok.

– Jakie to ładne! – zawołała na widok ołówkowego szkicu, przedstawiającego okryty śniegiem myśliwski pałacyk marszałka Thunberenga.

Szklarka sięgnęła na sam spód. Wyczuła tekturową okładkę szkicownika.

– Obejrzyj sobie – powiedziała do Mori. – Kiedy wracaliśmy z wyspy Nut, próbowałam naszkicować tamtejsze krajobrazy tak, jak je zapamiętałam. Są twoje.

– Och, mamó! – zawołała Mori.

Tym razem żadna filiżanka z herbatą nie przeszkodziła jej w rzuceniu się Szklarce na szyję.

5.

Stos porannej poczty czekał na małym stoliku. Szklarka nie przypuszczała nigdy, że czytanie korespondencji będzie tak nudnym obowiązkiem, prowadzącym do powinności jeszcze gorszej – odpisywania na te wszystkie formalne, grzecznościowe liściki. Dyskutowała nieraz na ten temat ze Scaberem. Proponowała zerwać z tym uciążliwym obyczajem, nawet kosztem poobrażenia części „towarzystwa”. Scaber, choć zgadzał się, że wymienianie bilecików z pozdrowieniami i wyrazami pamięci jest stratą czasu, nie wyobrażał sobie, żeby ona, pani Sedun z zamku w Versathis, mogła dopuścić się takiego nietaktu, jakim byłoby przerwanie łańcucha korespondencji.

Z ciężkim westchnieniem zgarnęła na kolana stos kopert. Żeby chociaż trafił się jakiś normalny list. Od Verki albo od Chamomilli. Na Sorbitę nie ma co liczyć. Jest bez reszty pochłonięta zbliżającym się ślubem Ottiny. Własnoręcznie szyje dla niej suknię z jasnokremowego jedwabiu malowanego w białe motywy roślinne. Dopóki nie będzie po weselu, mowy nie ma o żadnych listach.

„Serdeczne wyrazy pamięci – Henrietta Ortano”. Kto to jest u licha? Chyba jakaś daleka krewna Sedunów. Przypomniała sobie otyłą damę z siwymi lokami,

widzianą jeden jedyny raz podczas obiadu u teściów.

„Hrabia i hrabina de Carriole powierzą się wdzięcznej pamięci i przypominają że ich dom pozostaje zawsze otwarty”.

Czuła, że zaczyna ją boleć głowa, jak zwykle gdy usiłowała tłumić złość lub robić coś zupełnie sprzecznego ze swoim wewnętrznym przekonaniem. Rodziła się w niej od razu lawina pretensji do Scabera. Przybierała postać wewnętrznego monologu, jaki Szklarka toczyła w głowie, choć nigdy w całości nie wypowiedziała go na głos: „Mam już dość tych idiotycznych bilecików. Jak ci tak na nich zależy, Scaber, to sobie je sam wypisuj! Ja nie mam zamiaru! Koniec! Ty robisz sobie, co chcesz, a dla mnie zostają takie nudne i bezsensowne obowiązki! Nienawidzę tego! Wyjadę do mojego domku nad morze i nie wrócę, dopóki nie wyrzucisz tych kartek na śmietnik. Nie będę niewolnicą konwenansów zdegenerowanej arystokracji!”.

Mogła tak długo. Ból głowy się nasilał. Czasami żałowała, że nie jest kobietą, która urządza spektakularne awantury i nie ma w związku z tym najmniejszych wyrzutów sumienia. Rzuciła wzrokiem na kolejny bilecik.

„Z ciepłymi wspomnieniami Lutta i Franc Lavai”.

Co za bzdury! Z ciepłymi wspomnieniami! Przecież nie ma czego wspominać. Poznali się rok temu na jakimś przyjęciu i rozmawiali ze sobą nie więcej niż pięć minut. Jeżeli Scaber uważa, że to takie ważne, niech sam im odpisuje! O, jakieś nieznanne pismo! Gruba kremowa koperta ze złotymi brzegami. Zaproszenie! Rzuciła wzrokiem na ozdobny arkusik. Zatrzymała się na podpisie. Jeszcze raz uważnie przeczytała tekst.

– Scaber! – zawołała do wchodzącego właśnie męża. – Zobacz! Pepperia przysłała nam zaproszenie!

Była tak poruszona, że na ten moment zapomniała o pretensjach kipiących w niej jeszcze przed pięcioma minutami.

– Pepperia? Nam? Zaproszenie? – Scaber sam prawie zamienił się w znak zapytania.

Szklarka podała mu kartonik.

– Na obchody siedemdziesiątych piątych urodzin marszałka? Ale przecież ona nigdy nie urządzała waszemu ojcu przyjęć!

Wpatrywali się oboje w elegancko wydrukowane zaproszenie, a ich myśli nurtowało jedno pytanie: Co się za tym kryje? Ani przez moment nie wierzyli w dobre intencje Pepperii Shadd z domu Thunbereng. Scaber znał ją lepiej niż ktokolwiek i nie spodziewał się niczego dobrego. Nie przebaczyła mu nigdy, że zerwał z nią zaręczyny. A Szklarce, że była tego przyczyną.

Przez ostatnie dwanaście lat Pepperia i Sedunowie starali się schodzić sobie wzajemnie z drogi. Nawet jeśli przypadkiem znaleźli się na tym samym przyjęciu, omijali się z daleka. Mimo to Szklarka widziała nie raz, jak Pepperia, patrząc na nią, sący jakieś komentarze do ucha najbliższego towarzysza lub towarzyszki. Nie miała wątpliwości, że są to odpowiednio zjadliwe uwagi na jej temat. Sedunowie nie byli też zaproszeni na ślub Pepperii z księciem Shadd, a

przecież Szklarka jest jej przyrodnią siostrą i poza ojcem, marszałkiem Thunberengiem, najbliższą osobą z rodziny.

– A co na to marszałek? – zastanawiał się na głos Scaber.

– Jeśli rodzona córka urządza mu jubileusz, to zapewne poczuje się w obowiązku przybyć.

– Nie o to mi chodziło. Wiem, że przyjdzie, ale co na ten temat myśli?

– Zapewne wkrótce się dowiemy. Najgorsze jest to, że nie możemy nie przyjąć zaproszenia. – Obracała w dłoniach kremowy kartonik. – Bo przypuścimy, że Peppera z okazji urodzin ojca chce doprowadzić do spektakularnego pojednania? Jest to oczywiście niemożliwe, ale z góry takiego motywu nie wolno nam wykluczyć.

– Och, Theo – parsknął Scaber. – Peppera i pojednanie? Kiedy to jest?

– Za dwa tygodnie.

– A więc za dwa tygodnie dowiemy się, jaką to gorzką pigułkę przyjdzie nam przełknąć.

6.

„Ciotka Peppera nas zaprosiła. Trudno uwierzyć, że to siostra mamy. Dobrze, że tata się z nią nie ożenił. Miałabym matkę jak ostrze noża. Rodzice nie są zadowoleni z tego przyjęcia. Obawiają się jakiejś przykrości. Ale przecież przyjedzie tam dziadek. Będzie to wszystko trzymał w garści. On jest niesamowity. Znowu odkrył u kogoś portrety malowane przez babcię Leę. Ciotka Peppera wścieka się, że dziadek trwoni rodzinny majątek. A przecież sama jest niewyobrażalnie bogata. Skoro tak zależy jej na pieniądzach, to powinna się cieszyć, że tata z nią zerwał, bo teraz ma męża sto razy bogatszego. Ciekawe, kto jeszcze będzie? Krewni księcia Shadda? A może jakieś dalekie ciotki? Starzy przyjaciele dziadka? Powinno być ciekawie. Chyba rzeczywiście stęskniłam się za jakimiś wydarzeniami. Mama ma rację z tym chodzeniem do biblioteki i zamieszkaniem w Como. Widywałamby tylu ludzi. No i ... Ach! Przecież to w tej bibliotece żył ten stary Avenida. Jak on się nazywał? Jos Elt. Robi mówił, że po wyratowaniu ciotki Chamomilli i dziewczynek z Wyspy Sierot, Jos Elt znikł i trzeba było zatrudnić nowego pracownika archiwum. Jest jednak możliwe, że ktoś z Avenidów przebywa w jakichś mniej uczęszczanych salach biblioteki. Gdybym go poznała, mógłby mnie wprowadzić do książki. Do każdej książki”.

Mori zatonąła w marzeniach, wyobrażając sobie przygody w krainie Avenidów, wędrowki po książkach opisujących podróże, zagłębienie do starożytnych historii. Siedziała na szerokim parapecie, z kolanami pod brodą (jej ulubione miejsce i ulubiona pozycja). Okno było szeroko otwarte. Wieczorny powiew wnosił świeżość do nagrzanego w ciągu dnia pokoju. To przytulne pomieszczenie, pomyślane pierwotnie jako miły damski pokój, wcale na taki nie wyglądało. Na pierwszy rzut oka wydawało się potwornie zagracone

(służące miały absolutny zakaz wstępu i dotykania czegokolwiek), ale wnikliwy obserwator dostrzegłby tu swego rodzaju porządek – porządek, jaki panować może w gabinecie szalonego marzyciela–wynałazcy. Oprócz sięgających sufitu regałów z książkami, była tu masa półek i szafek z kolekcjami minerałów, muszli, pudełek z kawałkami metalu i częściami starych mechanizmów. Najwyżej stały rzędem szklane słoje z kolorowymi cieczami (porządnie pozakręcane, bo niektóre z nich mocno cuchnęły). „Moje eksperymenty” – mówiła o nich Mori. Z sufitu zwisały konstrukcje pracowicie pozlepiane z kolorowych szkiełek. Dzięki nim w słoneczne dni pokój zdawał się świątynią tańczących światła.

Na biurku porozkładane leżały akwarelowe szkice przedstawiające wyspę Nut. Wszystkie utrzymane były w jasnych barwach i ukazywały krainę skąpaną w słońcu. „Szkoda, że tego wszystkiego już nie ma. Mama musiała być tam bardzo szczęśliwa. Zapamiętała tyle szczegółów. I rośliny. I te śmieszne, kolorowe domki. I jakąś cienistą kotlinę pomiędzy skałami. Ta stara kobieta to pewnie Nella. Rodzice mówili, że nie chciała z nimi uciekać. Ciekawe, dlaczego wujek Ross jej nie lubił? Zawsze robi taką dziwną minę, kiedy ktoś wspomina jej imię. Te róże są bardzo piękne. Zupełnie inne niż w naszym ogrodzie. Podczas pierwszego pobytu na wyspie tato stoczył z nimi jakąś walkę. Ciekawe, jak to możliwe? Czy kwiaty na wyspie Nut były rozumnymi istotami? Tyle jest rzeczy, które chciałabym wiedzieć”.

W pokoju robiło się coraz ciemniej. Kolory akwareli poszarzały. Mori nie zapalała jeszcze lampy. Przyglądała się z uwagą wschodzącemu właśnie księżycowi. Z wielką uwagą. Z uwagą teleskopową. Widziała pokryte pyłem kratery i kamieniste równiny. Martwe pola pod czarnym niebem. A potem popatrzyła dalej, na pulsujące zmiennymi światłami gwiazdy. I na przepływające pomiędzy nimi smugi fal. Ross mówił, że wymyśliła interesującą wersję budowy wszechświata. Ale to wcale nie jest wymysł. To po prostu WIDAĆ.

7.

- Co ja mam zrobić z włosami? – jęknęła stojąca przed lustrem Arta.
- Gdybyś ich nie obcięła, nie miałabyś teraz problemu. – Laszti z zadowoleniem obserwowała swoje odbicie. Jej śniadą twarz okalały długie rozpuszczone włosy, układające się w miękkie fale.
- Na co dzień to ty masz problem ze swoimi – odcięła się Arta. – Rano marnujesz pół godziny na ich rozczesywanie.
- Za to teraz wyglądam pięknie. – Laszti okręciła się na pięcie.
- Masz głupią minę, jak tak się sobą zachwycasz w lustrze – burknęła Arta.
- Może już przestaniecie się kłócić? – zaproponowała uprzejmie szesnastoletnia Joven, najstarsza z mieszkających w domu Chamomilli dziewcząt. – Zaraz przyjdzie Mitrail. Ma świetną rękę do włosów. Coś wymyśli na te twoje

kosmyki.

– Tylko nie kosmyki! – Arta wydeła wargi. Wzięła z toaletki białą, jedwabną różę i spróbowała przypiąć ją nad uchem. Efekt był żalospny. Wyszarpnęła kwiat, zanim którakolwiek z przybranych sióstr zdążyła zauważyć.

Przylegająca do łazienek duża sala z lustrami, nazywana gotowalnią, pełna była dziewcząt. Szykowały się na przyjęcie u Pepperii Shadd. Od chwili, gdy pocztynion dostarczył zaproszenie, trwały w stanie radosnego podniecenia, narastającego w miarę jak zbliżała się data uroczystości.

Chamomilla nie podzielała euforii swoich przybranych córek i odnosiła się do całej sprawy z dużą nieufnością. Pepperię znała nie tylko z opowiadań Thei Sedun. Informacje o paskudnym charakterze księżnej docierały do niej z różnych źródeł. Trudno więc było dopatrywać się pozytywnych motywów zaproszenia. Chamomilla przypuszczała, że uroczystość może się zakończyć jakimś niemiłym incydentem. Nie jest wykluczone, że Pepperia ma ochotę zabawić się ich kosztem. Dlaczego? Ot, choćby po to, żeby dokuczyć Thei. Z drugiej strony, dziewczęta tak się cieszą, tak są podniecone, że Chamomilla nie miałyby serca odmówić udziału w przyjęciu. Trzeba je tylko odpowiednio przygotować. Niech wiedzą, czego można się spodziewać po księżnej Shadd i w związku z tym niech trzymają się od niej z daleka. Stojąc w drzwiach gotowalni, przyglądała się z aprobatą i rozbawieniem swoim pięknym wychowankom czyniącym wysiłki, żeby wyglądać jeszcze ładniej.

– O, Mitrail! Jesteś nareszcie! – zawołała Joven na widok poważnej, szarookiej dziewczyny, niosącej przewieszoną przez ramię bladobłękitną suknię. – Musisz poratować Artę. Ma kłopoty z fryzurą.

Mitrail bez słowa odłożyła strój na poręcz krzesła i podeszła do bliskiej łez trzynastolatki, grzebiącej bez przekonania w stosie wstążek i kwiatów z usztywnianego jedwabiu.

– Tylko mi nie mów, że nie powinnam była obcinać włosów – burknęła Arta.

Mitrail zmrużyła oczy i zmierzyła ją uważnym spojrzeniem.

– Mam pomysł – powiedziała po chwili zastanowienia. – Jakiego koloru jest twoja suknia?

– Jasnozielona z białymi koronkami przy kołnierzu i mankietach.

– Aha. Potrzebuję więc dużo zielonych i złotych koralików. I mocną nić albo cienki drucik.

– Znajdziesz je w garderobie – odezwała się ze swego miejsca Chamomilla. – Komoda w kwiaty róż, szuflada trzecia od góry. – Po raz kolejny zaskoczyła samą siebie niesamowitą wręcz zdolnością pamiętania, gdzie co leży. Dotyczyło to nawet rzeczy nieużywanych od lat.

– Dzięki – skinęła głową Mitrail. – Wracam za moment. A ty już się ubierz – rzuciła w kierunku Arty, która ciągle jeszcze była w bieliźnie. – Będzie mi łatwiej skomponować cały wizerunek.

– Możesz i mnie uczesać? – zawołała od swojego lustra drobna, rudowłosa Fry o twarzy usianej piegami.

Szarpała grzebieniem niesforne loki, a jej głowa przypominała w tej chwili złocistopomarańczowy puchaty dmuchawiec.

– Dobrze. Zobaczą, co da się zrobić – odpowiedziała Mitrail i znikła za drzwiami.

– Chamomillo, czy tam będą tańce? – Helia splatająca z uwagą swój długi, jasny warkocz spojrzała pytająco na opiekunkę.

– Nie wiem, w zaproszeniu nie ma mowy o tańcach.

– Chciałabym, żeby były – westchnęła z rozmarzeniem Helia.

– A ja jestem ciekawa, jak wygląda Peppera – odezwała się Laszti, zajęta wpinaniem w ciemne włosy kremowych pączków róż. – Czy jest ładniejsza od cioci Szklarki?

Chamomilla nieczęsto widywała księżną Shadd. Zastanawiała się przez chwilę nad pytaniem Laszti.

– Ja ją kiedyś widziałam – powiedziała milcząca dotychczas Craigne.

– I co, jak wygląda? – zaciekawiała się Fry, błyskając szarymi oczyma spod burzy włosów.

– Jest niewątpliwie ładna... Ma jasne włosy i błękitne oczy... – Craigne mówiła jak zwykle powoli, jakby zastanawiając się nad każdym słowem.

– Ale czy ładniejsza od cioci Szklarki? – niecierpliwiła się Laszti.

– Albo od cioci Sorbity? – dorzuciła zielonooka Wija, poprawiając sobie koronkowy szal na ramionach.

– No nie wiem... – Craigne w zamyśleniu nawijała na palec kosmyk czarnych włosów. – Ona ma taki wyraz twarzy, że często... chociaż wydaje się ładna... to równocześnie ma się poczucie... że jest w niej coś...

– Brzydkiego? Odpychającego? – próbowała podpowiedzieć Wija.

– Można to tak ująć – zgodziła się Craigne. – W każdym razie, patrzenie na nią nie daje radości.

– Bardzo trafnie powiedziane – pokiwała głową Chamomilla. – A skoro już rozmawiamy o księżnej Shadd, l, o chciałabym, żebyście trzymały się od niej na dystans. Mogłaby wam powiedzieć coś przykrego i popsuć całą zabawę.

– Dlaczego miałyby nam mówić coś przykrego? – zdziwiła się Laszti. – Przecież nas zaprosiła.

Chamomilla westchnęła.

– No właśnie. Zaprosiła nas. Jest to do niej tak dalece niepodobne, że budzi podejrzenia.

W tym momencie wbiegła zdyszana Mitrail z naręczem kolorowych, jedwabnych saszetek zawierających koraliki i cekiny. Rzuciła to wszystko na toaletkę, przy której siedziała Arta.

– No – wysapała – usiądź prosto i się nie ruszaj.

Arta zamarła. Reszta dziewcząt też przerwała zabiegi upiększające i z uwagą obserwowała poczynania Mitrail, która w skupieniu rozwinęła cieniutki drut i zaczęła na niego nawlekać zielone i złote koraliki.

Chamomilla z przyjemnością patrzyła na szybkie i precyzyjne ruchy jej

smukłych palców. Sama była ciekawa, co też Mitrail wymyśli. Przebiegła spojrzeniem po pozostałych dziewczynkach. W tych eleganckich sukniach nie wyglądają już jak dzieci, tylko jak młode kobiety. Nawet Arta, najmłodsza z nich, wydaje się doroślejsza w strojnej sukni z koronkami. I wszystkie robią wrażenie szczęśliwych. Oczywiście różnią się temperamentami. Mitrail i Cragne są najbardziej skryte,

Artę i Fry rozsadza energia, zresztą Wija też nie ustępuje im w żywości i gadatliwości. Za to Joven ostatnio spoważniała i przyjęła na siebie opiekuńczą rolę wobec młodszych dziewczynek. Jakie to szczęście, że ich dzieciństwo pozbawione jest piętna instruktorek.

– Ja też chcę takie coś! – wykrzyknęła zazdrośnie Fry na widok złotozielonej siatki z koralików zdobiącej głowę Arty.

Mitrad pokręciła przecząco głową.

– Dla ciebie muszę wymyślić coś innego.

Arta z zadowoleniem wpatrywała się w lustro. Wyglądała jak księżniczka. Objęła Mitrad za szyję.

– Strasznie ci dziękuję – wyszeptała jej prosto do ucha.

Mitrad uśmiechnęła się i cmoknęła ją w policzek.

– No to co będzie ze mną? – zajęczała Fry.

– A ja bym chciała, żeby ktoś mi pomógł upiąć włosy w kok – oznajmiła w tym samym momencie Wija.

– Ja to mogę zrobić. – Joven wygładziła fałdy bladoliliowej sukni i dostojnie wstała z krzeselka.

– A ty, Chamomillo, nie szykujesz się? – spytała Helia, okręcając warkocz czarną, aksamitną taśmą z naszytymi gęsto perełkami.

– Och, ja – machnęła ręką Chamomilla. – Wystarczy mi piętnaście minut i będę gotowa.

– A ile właściwie mamy czasu? – zainteresowała się Laszti.

– Jakies półtorej godziny... – rzuciła niedbale Chamomilla.

– Co?! Tylko półtorej godziny? – wykrzyknęła z rozpaczą Fry. – To niemożliwe! Moje włosy...

– Siedź spokojnie. – Mitrad poklepała ją po głowie. – Poradzę sobie z twoimi włosami.

8.

Zamek Shadd górował nad całą okolicą. Wzniesiony przed wiekami przez przodków księcia, zachował jeszcze charakter twierdzy. Usytuowany na wzgórzu, które z jednej strony opadało w dół stromymi skałami, bronił się przed nieproszonymi gośćmi podwójnym rzędem murów. Z daleka widać było jego cztery kamienne wieże, na których tego dnia powiewały barwne proporce. Powóz Sedunów przejechał przez wyciosaną z żółtawego piaskowca bramę. Widniał nad nią herb Shaddów i dodany całkiem niedawno – co można było

poznać po braku szlachetnej patyny porostów – herb rodziny Thunberengów.

– Prawdziwe zamczysko – cieszyła się Mori, wystawiając głowę przez okienko powozu. – Po tych murach powinni się jeszcze przechadzać jacyś strażnicy, żeby było prawdziwiej.

– Zamiast strażników przechadzają się, jak sędzę, architekci. – Scaber wyglądał przez drugie okno. – Słyszałem, że ciągle wprowadzane są jakieś ulepszenia, żeby zwiększyć komfort mieszkania w tak starej budowli. Księżciu Shadd wystarczały warunki, w jakich żyli jego ojciec i dziadek. Pierwsze, czego zażądała Pepperia jeszcze przed wprowadzeniem się tutaj, to kotłów grzejących wodę i rur rozprowadzających ją do wszystkich łazienek.

– Bardzo słusznie – mruknęła Szklarka. – Gdyby Versathis nie miało takich urządzeń, miałabym wątpliwości co do opuszczenia mojego mieszkania w Como.

– Widać też, że część okien została wymieniona – zauważyła Mori, przyglądając się fasadzie budynku. – Musieli wybijać większe otwory. W lewym skrzydle pozostały jeszcze stare, mniejsze okienka, sądząc po ich kształcie pochodzą z czasów panowania króla Apanasa Starego, można to poznać po zwieńczeniach.

Scaber ze Szklarką spojrzeli po sobie porozumiewawczo. Od tamtej pamiętnej rozmowy przy kolacji zachowanie Mori trochę się zmieniło. Zaczęła więcej mówić i dość często raczyła ich okruchami swojej wszechstronnej wiedzy. Szklarka zdawała sobie sprawę, że dziewczynka robi to głównie dla niej. Widziała ukradkowe spojrzenia, jakie Mori posyła w jej kierunku, jakby chciała sprawdzić efekt swoich wypowiedzi.

– Ach! Zobaczcie! – wykrzyknęła dziewczynka.

Cały dziedziniec, na którym zatrzymał się powóz, udekorowany był kwiatami. Girlandy róż oplatały kolumny zewnętrznych galerii. Wazony białych lilii stały u stóp schodów. Lokaje w purpurowych liberiach podbiegli pomóc paniom w wysiadaniu.

– Księżna Shadd wita gości w ogrodzie, bo tam odbędzie się pierwsza część dzisiejszej uroczystości – wyrecytował sztywno jeden z nich. – Wielmożni państwo pozwolą za mną.

Mori czuła się trochę dziwnie w sztywnym, eleganckim stroju. Długa szafirowa suknia haftowana w srebrne, wierzbowe listki, koronkowe mankiety rozszerzających się wachlarzowato rękawów, kunsztowna fryzura z zaczesanych do góry i poprzipinanych masą spinek włosów, zwieńczona srebrnym diademem – wszystko to odbierało jej swobodę i pewność siebie. Mama wyglądała bardzo pięknie w ciemnozielonej sukni przyozdobionej szmaragdami, ale też wydawała się spięta. Chyba jednak nie z powodu stroju. Nie lubiły się z ciotką Pepperią. Mama jej nie ufała. Widać to było po spowijających ją niebieskich i ciemnofioletowych falach. Tata też był czujny, ale innym odcieniem – stalowoniebieskim.

Służący poprowadził ich pod obrośniętym dzikim winem kamiennym łukiem i znaleźli się w pałacowym ogrodzie. Przed nimi, jak szmaragdowy dywan,

rozciągał się rozległy strzyżony trawnik. Pod rozstawionymi na nim różnokolorowymi namiotami stały stoły obciążone jedzeniem i napojami. Goście, którzy przybyli wcześniej, przechadzali się z kieliszkami w dłoniach i częstowali się przekąskami roznoszonymi przez kelnerów. Cała ta sielankowa scena ujęta była we wzorzyste ramy kwiatowych rabat. Poprzez pergole róż można było przejść do dalszych części ogrodu. Tam także spacerowało jakieś towarzystwo.

– Witajcie, moi drodzy. Naprawdę cieszę się, że przybyliście.

Pepperia. Nadal przepiękna nieskazitelną, lodowatą urodą. Srebrzysta suknia aż skrzyła się od drobnych diamentów. Brylantowy diadem zdobił jej włosy. Na ramionach miała lekki, perłowo mieniący się szal. Mori przyjrzała mu się dokładniej i aż zamarła ze zgrozy. Szal wykonano z piórek małego ptaszka ritti. A przecież ten ginący gatunek, na mocy rozporządzenia wydanego przez Królewskie Towarzystwo Ornitologiczne, od dawna objęty był całkowitą ochroną. Już samo to wystarczyło, żeby poczuć niechęć do ciotki Pepperii.

Mori po raz pierwszy miała okazję spotkać się twarzą w twarz z przyrodnią siostrą matki. Nie zrobiły na niej wrażenia posągowo piękne rysy. To, co zobaczyła, sprawiło, że miała ochotę obrócić się na pięcie i wybiec z wyłoczonego słońcem ogrodu.

„Jak ona nas nienawidzi! To niemal dotykalne. Po raz pierwszy widzę, żeby ktoś emanował takim kolorem – jadowicie zielonym. Jak trucizna. Ale, z drugiej strony, naprawdę się cieszy, prawie triumfuje. Dowodzą tego wybuchy rubinowych iskier. Przygotowała więc dla nas jakąś przykrą niespodziankę. Bardzo przykrą, sądząc po rozmiarach jej entuzjazmu”.

„Nic się nie zmieniła” – stwierdził w duchu Scaber. „Ma w oczach ten sam błysk chłodnego wyrachowania i tę samą ładną buzię, będącą kamuflażem dla zepsutego wnętrza. Żadne wielkie pojednanie tu się nie szykuje. Widać, że zmusza się do uprzejmości. Najchętniej naplułaby na mnie. Dzięki ci, Theo, że mnie przed nią uchroniłaś”. Mimowolnie chwycił za rękę Szklarkę i mocno uściskał.

Na moment oczy Mori rozszerzyły się z przerażenia, kiedy dostrzegła jadowicie zielony płomień strzelający ku jej rodzicom. Ale oni niczego nie zauważyli.

Szklarka poczuła, że przechodzi ją dreszcz. To nie jest zwyczajne przyjęcie. Od momentu, gdy zobaczyła Pepperię, stało się to dla niej oczywiste. Ta kobieta coś knuje. Trzeba być czujnym. I uważać na Mori.

– Theo! Co za niezwykle miejsce! Nigdy nie byłam w takiej rezydencji, a tym bardziej żadna z dziewczynek.

Szklarka gwałtownie obróciła się na pięcie. Chamomilla tutaj? Jej przyjaciółka, spowita w złociste jedwabie i otoczona gromadką wychowanek, uśmiechała się pogodnie.

– Chciałam, żebyś miała godne siebie towarzystwo – rzuciła lekko Pepperia i pospieszyła ku wprowadzanej właśnie przez ponurego lokaja damie obwieszanej rubinami.

- Chamomillo, co ty tu robisz?
- Dostałam zaproszenie od Pepperii, więc przyjechałam.
- Zaprosiła cię z dziećmi?
- Tak. Napisała, że dziewczynki, które jeszcze ze mną mieszkają, będą mile widziane. Widzę, że nie jesteś zadowolona.
- Zadowolona?! Chamomillo, ja jestem przerażona! Nie leży w zwyczaju mojej przyrodniej siostry wpuszczanie w swoje progi kogoś, wybaczone określenie, spoza towarzystwa. Skoro więc zaprosiła cię, musi się za tym coś kryć. Ty też czujesz, że coś jest nie w porządku, prawda? Och, mam ochotę zabronić wam jeść cokolwiek, w obawie, że będzie zatrute.
- Inni jedzą. Nie myślisz chyba, że chce wytruć połowę miejscowej arystokracji?
- No tak. – Szklarka zaśmiała się nerwowo. – Ale proszę, uważaj na siebie i na dziewczynki. Właściwie nie rozumiem, dlaczego przyjęłaś to zaproszenie. Przecież wiesz, jaka jest Pepperia. Moje dziewczyny dostały gęziej skórki z podniecenia na wieść o przyjęciu w zamku Shadd. Nie miałam serca im odmówić.
- Szklarka spojrzała w kierunku stojących nieopodal w zbitej grupce i trochę onieśmiałych córek Chamomilli.
- Wyglądają pięknie – powiedziała z uznaniem.
- O tak! Ciężko pracowały nad swoim wyglądem od samego rana – zaśmiała się Chamomilla. – A gdzie marszałek?
- Nie widziałam go jeszcze, ale zaraz spróbuję go odnaleźć. Scaber – zwróciła się do męża. – Pójdę poszukać ojca. Błagam, nie spuszczać z oka Mori.



- Tato, kim jest ten siwiejący pan? – Mori pociągnęła Scabera za rękaw, pokazując mu samotnego, ubranego w wieczorowy strój mężczyznę stojącego pod drzewem.
- To książę Shadd! – zawołał z pewnym zdziwieniem Scaber. – Chodźmy się z nim przywitać.
- „Jaki zmęczony. Wcale nie chciał tego przyjęcia. Może jest chory? Chyba nie, bo choroba ma barwę zgniłej zieleni, a nie bladego fioletu. Zmęczony i smutny”. Na ich widok książę ożywił się nieco. Wyciągnął rękę do Scabera.
- Witam, hrabio Sedun, bardzo się cieszę z naszego spotkania. Z powodu tych dawnych animozji między panem a moją żoną nie widywaliśmy się zbyt często. A to córeczka, nieprawdaż?
- Mori dygnęła. „Dlaczego taki miły człowiek ożenił się z taką okropną kobietą? Przecież każdy widzi, że ciotka Pepperia ma paskudny charakter. A że piękna? Dużo jest pięknych”.
- Mnie również jest miło. Pamiętam pańską słynną kolekcję zegarów. Czy powiększyła się o jakieś interesujące eksponaty?

- O tak! – rozjaśnił się książę. – Szczęśliwym trafem udało mi się ostatnio zdobyć kolekcję starożytnych klepsydr marutańskich z czasów panowania cesarza Irturysana. Chciałby pan je obejrzyć? Oczywiście z córką, gdyby miała ochotę.
- Lubię oglądać interesujące rzeczy. – Mori tak energicznie pokiwała głową że aż zamocowany na jej włosach diadem zatrzęsł się niebezpiecznie.
- Wobec tego zapraszam. Jak tylko wypijemy toast na cześć mojego teścia, będziemy mogli się wymknąć do galerii.



Marszałka Thunberenga znalazła Szklarka w pobliżu ogrodu ziołowego. Siedział na ławce i przez łuk pergoli obserwował snujące się pomiędzy namiotami towarzystwo. Odruchowo zlustrowała rosnące w pobliżu rośliny, sprawdzając, czy nie ma między nimi okazów trujących. Odetchnęła z ulgą, widząc mięętę, tymianek, rozmaryn, melisę i inne nieszkodliwe byliny.

- Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, tato.
 - Thea! Jednak dałaś się zwabić.
 - Mówisz tak, jakby to przyjęcie było pułapką.
 - Bo mam wrażenie, że nią jest.
 - Mimo to przyszedłeś.
 - Pilnować, żeby nie stała ci się krzywda.
 - To śmieszne, wszyscy spodziewamy się czegoś złego, każde z nas wolałoby tu nie przychodzić, ale grzecznie zjawiamy się na wezwanie Pepperii.
 - Chciałbym, żebyśmy mylili się co do niej, żeby okazało się, że naprawdę pragnie rodzinnego pojednania westchnął marszałek. – Przecież to moja córka. Ale nie będę się łudzić. Powitała mnie uprzejmie, lecz w jej oczach był chłód. No cóż, nigdy nie byliśmy sobie specjalnie bliscy.
- Zamilkł na chwilę. Szklarka przyglądała się jego pooranej zmarszczkami i ogorzałej twarzy. Mimo upływu lat wyglądał znacznie lepiej niż tego dnia, gdy po raz pierwszy zjawił się w jej pracowni, jako klient poszukujący herbaty szczęścia. Wydawał się wtedy bardzo zagubiony, pełen niepokoju i ukrytego smutku. Odzyskane wspomnienia o pierwszej żonie i odnalezienie córki przywróciły mu pogodę ducha.
- A jak tam Mori? – spytał.
 - Och, Mori! – Szklarka rozłożyła ręce. – Ciągłe nas zadziwia. Ostatnio zatrzymała strumyk wylewającej się herbaty i zmusiła go, żeby wrócił do filiżanki. Słyszałeś kiedyś o czymś podobnym? A może... – nagła myśl wpadła jej do głowy – Lea potrafiła robić podobne rzeczy?
 - Lea? – W jego oczach pojawił się ciepły blask – Nie, poza czytaniem w myślach, niezwykle wspaniałomyślnością i ogromną zdolnością do kochania, nie przejawiała żadnych szczególnych właściwości.
- Szklarka roześmiała się, ale w środku poczuła ukłucie niepokoju. „A jak jest z

moją zdolnością do kochania?”

– Ojczy! Ojczy! Gdzie jesteś!

– Marszałku Thunbereng, zapraszamy na toast!

Głosy niosły się daleko w czystym powietrzu. Szklarka ujęła ojca pod rękę.

– Czas wypełnić obowiązek jubilata – powiedziała. – A kiedy to wszystko się skończy, przyjedź do Versathis i pomieszkać choć z tydzień.

– Dobrze, ale trochę później. Na razie jestem na tropie pewnego obrazu, który Lea namalowała na zlecenie księżnej Traig. To portret jej córeczki, podobno niezwykle piękny.

– Och, tato! Kto by pomyślał, że zostaniesz łowcą dzieł sztuki!



Goście stłoczyli się wokół największego namiotu ozdobionego girlandami róż. Kelnerzy roznosili kieliszki z szampanem. Pepperia przywołała marszałka gestem dłoni. Osobiście wręczyła mu kielich z rżniętego kryształu.

– Za zdrowie mojego ojca! – ogłosiła, kładąc nacisk na słowie „mojego”.

Markiza Rostend spojrzała z ciekawością na Theę Sedun, jakby chcąc sprawdzić jej reakcję na ten afront. Inni goście także dyskretnie popatrywali na drugą córkę marszałka. W powietrzu unosiła się atmosfera skandalu, co dla wielu z nich stanowiło dodatkową atrakcję wieczoru.

Szklarka stała nieporuszona. Impertynencja Pepperii nie zrobiła na niej wrażenia. Z napięciem śledziła marszałka sączącego szampana. Ich spojrzenia się skrzyżowały. Jonan Thunbereng uśmiechnął się do niej krzepiąco. Oczywiście to, żeby Pepperia publicznie truła własnego ojca na złość przyrodniej siostrze, było absurdalnym przypuszczeniem, ale stałe napięcie, w jakim Szklarka trwała od początku przyjęcia, powodowało, że jej wyobraźnia produkowała najdziwaczniejsze scenariusze.

– Wszystkiego najlepszego, dziadku! – krzyknęła w tym momencie Mori, przepychając się do przodu i całując marszałka w oba policzki.

Przez tłumek gości przeleciał lekki śmieszek. Pepperia przeszyła dziewczynkę spojrzeniem, które mogłoby zabić. Zaraz się jednak opanowała, a na jej ustach pojawił się złośliwy grymas, na widok którego Szklarka zadrżała. „Ma dla nas w zanadrzu gorsze rzeczy niż publiczne upokorzenia” – pomyślała.



– Niezwykłe przedstawienie, nieprawdaż – mruknęła markiza Rostend do księcia Abrito.

– Zajmujące – potwierdził, zapalając fajkę.

– Ciekawe, że nasza Pepperia wciąż nie może darować tej Szklarce, że jej sprzątnęła sprzed nosa młodego Seduna – włączyła się do rozmowy obwieszona diamentami księżna Morgenrose.

- Ty też byś tego nie darowała, moja droga. – Markiza zmrużyła oczy. – Zwłaszcza że ta Szklarka, jak to ujęłaś, okazała się w dodatku córką Thunberenga.
- Nigdy nie mogłem dotrzeć do sedna owej zagmatwanej historii – pokręcił głową książę Abrito. – Do tej pory nie wiem, jaki miała związek obecna hrabina Sedun z wysadzeniem w powietrze Wyspy Sierot.
- To dość tajemnicza sprawa i osoby, które brały w niej udział, nie są chętne do zwierzeń – wzruszyła ramionami markiza. – Na przykład taki Claith. Ciekawe, że go dziś tutaj nie ma. – Rozejrzała się po oświetlonym lampionami ogrodzie.
- A co z Claithem? – zainteresował się książę.
- Popłynął z młodym Sedunem na jakąś wyprawę i przywiózł z niej sobie żonę. Też pochodzącą z Wyspy Sierot. Niektórzy twierdzą że jej pierwszym mężem był nieszczęsny Id Heffield. I ta dziewczyna, Ottina, jest właśnie jego córką.
- Ta, która ma wyjść za mąż za Kastora Casteynela? Księżna Morgenrose uniosła brwi.
- Właśnie ta – skinęła głową markiza.
- Nie ulega wątpliwości, że artystki z Wyspy Sierot nieźle potrafią o siebie zadbać – pokręciła głową księżna.
- Za to mają kłopoty, żeby się potem dostosować skrzywiła się markiza. – Wyobraźcie sobie, że Szklarka nadal maluje na zamówienie. Starego hrabiego Seduna zółć zalewa ze złości, ale Scaber jest zaślepiony i nic go nie obchodzi, że działalność jego żony–artystki degraduje stary ród.
- Nie przesadzasz, moja droga? – Książę wyjął z ust fajkę. – Niech sobie dziewczyna maluje, jak ma ochotę.
- Nie chodzi o to, że maluje, tylko że na tym zarabia. To żenujące – skrzywiła się markiza.
- Księżna Morgenrose zaśmiała się chrapliwie.
- Nawet nie macie pojęcia, jakie miny mają niektórzy goście, gdy im mówię, że różane witraże w moim pałacu są dziełem obecnej hrabiny Sedun. Są pod wrażeniem!
- Zastanawiam się, po co Pepperia zaprosiła tę producentkę serów? – Książę wskazał cybuchem fajki Chamomillę przechadzającą się w towarzystwie kilku swoich dziewczynek.
- Może miał to być przyjazny gest w kierunku Sedunów, z którymi ta kobieta jest, zdaje się, bardzo zaprzyjaźniona? – wysunęła przypuszczenie księżna.
- Ależ skąd! – prychnęła markiza. – To zupełnie nie w stylu naszej Pepperii. Myślę, że przyświecał jej zupełnie inny cel. A jaki, tego być może dowiemy się przed końcem przyjęcia.



Córki Chamomilli krążyły wśród namiotów i chłonęły niezwykłą dla nich atmosferę. Ze szczególną ciekawością popatrywały na przechadzające się damy

obwieszane klejnotami.

– Spójrz na tę kobietę w bordowej sukni. – Arta szturchnęła towarzyszącą jej Joven. – Ma kolczyki z tak wielkimi rubinami, że jej uszy niedługo rozciągną się aż do ramion – zachichotała.

Joven rozbawiona spojrzała na wskazaną damę. Klejnoty rzeczywiście były monstrualne. Nagle dotarła do niej jakaś niemiła woń.

– Dziwne – powiedziała półgłosem. – Wydaje mi się, że czuję tu smród padliny. A ty?

Arta pociągnęła nosem.

– Rzeczywiście – przyznała. – Może to jakaś egzotyczna, arystokratyczna potrawa. Jedna z tych, co ohydnie śmierdzą, fatalnie smakują i są tak drogie, że wszyscy zmuszeni są je wychwalać – roześmiała się znowu.

W tym momencie uderzyło w nią złe, niebieskie spojrzenie gospodyni przyjęcia.

– Uch, co za straszna baba – wymamrotała Arta. – Zupełnie niepodobna do cioci Thei.

– Ale za to bardzo elegancka – włączyła się do rozmowy Laszti.

– My też jesteśmy eleganckie. – Arta musnęła dłonią misternie splecioną siateczkę zdobiącą jej głowę.

– Mitrail ma złote ręce – przyznała Joven. – Nigdy bym nie przypuszczała, że nasza poczciwa Fry może wyglądać tak dystyngowanie.

– Wydaje się starsza, niż jest – dodała Laszti z nutką zazdrości w głosie. – Niektórzy mężczyźni się za nią oglądają.

– Którzy? – zaciekawiała się Arta.

– O, na przykład ten wysoki z wąsami i tamten przystojny, w mundurze.

Drobna, rudowłosa Fry rzeczywiście ściągала na siebie spojrzenia. Mitrad ujarzmiła jej ogniste, niesforne loki, upinając je na czubku głowy i ozdabiając perłami. Taka fryzura wymuszała proste trzymanie głowy i narzucała pełne dostojeństwa ruchy. Fry kroczyła jak księżniczka u boku Chamomiili. Widać było, że uważnie studiują zawartość stołów.

– Aż trudno mi uwierzyć, że tu jesteśmy – westchnęła rozmarzona Laszti. – Te wszystkie księżne i hrabiny. Prawdziwy zamek...

– Ciocia Thea też mieszka w prawdziwym zamku zwróciła jej uwagę Joven.

– To zupełnie co innego.

– One coś jedzą. – Arta przełknęła ślinę. – Chodźmy! Kry ma talent do wynajdywania najlepszych smakołyków.

– I wyjadania ich, zanim ktokolwiek zorientuje się, że były na stole – uzupełniła Laszti. – Możecie zobaczyć, co tam znalazła. Ja nie będę nic jeść.

– Laszti – jęknęła Joven. – Chyba nie włożyłaś na siebie tego okropnego gorsetu?! Przecież w tym nie da się oddychać.

Laszti zaczerwieniła się.

– Ta suknia wymaga gorsetu – powiedziała obronnie.

– Idę jeść – oznajmiła zniecierpliwiona Arta. – Trzeba mieć nie po kolei w głowie, żeby sobie ścisnąć żołądek sznurówkami, kiedy ma się jedyną okazję

spróbować potraw z książęcego stołu.

Joven popatrzyła współczująco na Laszti.

– Jak chcesz, to możemy pójść w jakieś ustronne miejsce i poluzuję ci ten gorset – szepnęła.

Laszti bez słowa skinęła głową. Joven wzięła ją za rękę. Wyminęły grupę diskutujących gości, przeszły obok ławki, którą zajmowały dwie starsze damy w aksamitnych sukniach, i przez obrośniętą kapryfolium pergolę przedostały się do bardziej wyludnionej części ogrodu. Joven skierowała się ku grupie świerków.

– Tam nikt nas nie zobaczy – powiedziała.

Weszły pomiędzy drzewa. Joven sprawnie rozpięła złocistą suknię Laszti i poluzowała gorset.

– Ciekawa jestem, kogo udało ci się namówić, żeby tak cię zasznuował – mruknęła.

Laszti odetchnęła głęboko.

– Uff... To Lisa pomagała mi się ubrać. Chyba rzeczywiście za mocno mnie ścisnęła.

– Mogłam się domyślić – pokiwała głową Joven.

Lisa była nową pokojówką i z niezrozumiałych powodów darzyła Laszti ślepym uwielbieniem. Żadna inna służąca nie zgodziłaby się pomóc w zawiązywaniu gorsetu, wiedząc, jak zajadła nienawiść żywi Chamomilla do tej części damskiej garderoby.

Joven pomogła Laszti zapiąć suknię i wyszły ze świerkowego zagajnika. Powoli zapadał zmierzch.

– Chodźmy szybciej. – Joven zmarszczyła nos. – Znowu czuć padlinę. W dodatku zaczynają gryźć komary. Jeden uciał mnie w szyję.

– A mnie w kark. – Laszti potarła lekko swędzące miejsce.

Przeszły pod łukiem z kapryfolium i wmieszały się w tłum gości.



Mimo niepokojów Szklarki impreza toczyła się gładko. Toasty, życzenia, kolejne potrawy, lody, sorbety, ciasta, kandyzowane owoce, a wreszcie ogromny, trzypiętrowy tort, udekorowany czekoladowymi różyczkami. Mimo coraz późniejszej godziny, w rzeźnię oświetlonym ogrodzie było jasno. Porozwieszane wszędzie lampiony dawały łagodne światło tworzące miłą atmosferę. Kiedy Pepperii nie było w pobliżu, wszystko wydawało się najzupełniej normalne. Ot, wystawne przyjęcie na cześć starego arystokraty. Sedunowie trochę odetchnęli. Przestali obsesyjnie śledzić córkę, pozwalając jej na swobodne krążenie wśród namiotów i kwietników. Mori, po obejrzeniu kolekcji zegarów księcia Shadd, zabawiła się obserwowaniem gry kolorów emanujących z gości. Przyglądała się odległym grupom elegancko ubranych kobiet i mężczyzn. Nie słyszała, o czym rozmawiają. Widziała tylko tańczące

mglawice purpury, złota, błękitu, zieleni i oranżu. Dziesiątki odcieni, odpowiadających niuansom uczuć. Co jakiś czas odnosiła wrażenie, że ktoś jej się przypatruje. I to nie w sposób, w jaki taksowały ją spojrzeniami podstarzałe arystokratki. Nie z tą niezdrową, skłoną do wyszukiwania skandalicznych szczegółów ciekawością. Jakaś osoba obserwowała ją z uwagą myśliwego czatującego na ofiarę. Mori czuła to przez skórę i w miarę jak trwało przyjęcie, wrażenie się nasilało. Próbowwała wysledzić, kim jest tajemniczy obserwator, ale on bardzo się starał, żeby pozostać nie-widocznym. Momentami, gdzieś na krawędzi pola widzenia, dostrzegała ciemną postać albo tylko poruszenie w gałęziach żywopłotu. Zaintrygowało ją to. Podeszła do jednego ze stołów i zabrała stamtąd wypolerowaną srebrną tackę. Niewielką, niezbyt rzucającą się w oczy. Usiadła na ławeczce ocienionej strzyżonymi na kształt kopuły cisami, a tackę umieściła w fałdach sukni w taki sposób, żeby niczym lusterko odbijała to, co dzieje się za jej plecami.

Zobaczyła go. Niepozorny mężczyzna w ziemistozielonkawym okryciu. Przybliżał się od tyłu, korzystając z osłony krzewów. Było w nim coś dziwnego, coś, co odróżniało go od innych ludzi. „On prawie nie ma koloru. Jakies ledwie widoczne mlecznomętne strzępy. Bardziej jak u zwierzęcia. I ten smród. Obrzydliwy. Coś jakby padlina”.

Zbliżał się. Mori widziała odbicie jego pozbawionej wyrazu twarzy i dziwne oczy o bladych tęczęwkach. Nie bała się.

– Widzę pana – powiedziała głośno i wyraźnie, nie odwracając głowy.

– To nic nie szkodzi – usłyszała jego skrzypiący głos.

Mężczyzna był tak blisko, że smrodliwa woń, jaką z siebie wydzielał, przyprawiała ją o mdłości. Poderwała się z ławki i zaczęła odchodzić szybkim krokiem. Zdziwiła się, że nie zaczął jej gonić. Doszła do szerszej alejki i wtedy poczuła lekkie ukłucie na odsłoniętym karku. Obejrzała się. Dziwny człowiek zniknął. Sięgnęła ręką do tyłu i wymacała jakiś twardy kształt wbity w skórę. Łatwo dał się wyciągnąć z ciała. Chwyciła go w dwa palce i przybliżyła do oczu. Zobaczyła dziwnego rodzaju cierń – wrzecionowaty, zabarwiony na purpurowo. Była pewna, że nie pochodził z żadnej znanej jej rośliny. Czy wbił go jej ten cuchnący mężczyzna? Mógł to zrobić. Wystarczy, że użył specjalnej dmuchawki, jaką posługują się myśliwi w dzikich plemionach. Czytała o tym w książkach wujka Rossa. Wsunęła kolec do sekretnej kieszonki sprytnie wszytej między fałdy sukni.

„Cierń może być zatruty – rozumowała chłodno, przyspieszając jednocześnie kroku – więc trzeba o tym jak najszybciej powiedzieć rodzicom, a potem zawieźć kolec cioci Irindzie. Ona na pewno będzie wiedziała, co to jest. W tej chwili nic mnie nie boli. Nie czuję się słabo. Ale istnieje wiele substancji, które działają z opóźnieniem”.

Wymijała gości, szukając wzrokiem rodziców. Są.

– Mamo, słuchaj, widziałam bardzo pięknego ptaka.

„Zaraz, co ja mówię? Przecież nie to chciałam powiedzieć. Coś innego.

Ważnego”.

– Mori? Co się dzieje? – Szklarka z niepokojem popatrzyła na zmieszaną twarz córki.

– Nnic... chyba muszę napić się wody, za dużo zjadłam tych wszystkich słodczy.

„Jakich słodczy? Co ja wygaduję?” – czuła, że narasta w niej strach. Bała się otworzyć usta, żeby znów nie powiedzieć czegoś zupełnie sprzecznego z tym, co chciała wyrazić. I męczyło ją przeświadczenie, że zapomniała o czymś bardzo istotnym.

Szklarka podała jej karafkę z wodą. Dziewczynka wypila parę łyków.

– Już lepiej? – spytała z troską mama.

– Tak, znacznie lepiej. – Mori poczuła, że jej wargi i mięśnie twarzy, zupełnie wbrew woli, produkują coś na kształt uśmiechu.

Zrobiło jej się sucho w ustach ze strachu.

9.

Było już grubo po północy, kiedy dojeżdżali do Versathis.

– No i widzisz, nic strasznego się nie wydarzyło – powiedział Scaber.

– Rzeczywiście, teraz wszystkie złe przeczucia wydają się śmieszne – zgodziła się Szklarka. – Ale nadal nie rozumiem sensu całej tej fety. Po toastach na cześć taty Pepperia zupełnie o nim zapomniała i zajmowała się tylko swoim towarzystwem. Nam nie powiedziała nawet do widzenia, kiedy odjeżdżaliśmy. Miałam wrażenie, że odegraliśmy rolę, jaką nam wyznaczyła, i potem już nie byliśmy jej do niczego potrzebni.

– To wszystko jest rzeczywiście dziwne, ale najważniejsze, że nic złego nam się nie stało.

„Ależ stało się! Nie mogę mówić tego, co chcę!” – krzyknęła w myślach Mori. Chciała to powiedzieć na głos, ale gdy tylko otworzyła usta, usłyszała swój głos zabarwiony sennaścią:

– Czy już dojeżdżamy?

– Tak, kochanie, chyba zdrzemnęłaś się podczas drogi.

Poczuła ciepłą dłoń mamy na policzku i ogarnęła ją rozpacz.

Wysiedli na dziedzińcu.

– Przyślę Paulę, żeby pomogła ci się rozebrać z tego stroju. Sama nie dasz rady porozpinać wszystkich haftek.

– Dobrze, mamó.

„Na razie nie będę nic mówić. Może kiedy znajdę się u siebie, coś się zmieni. Może uda mi się porozumieć z Paulą”.

Podjęła próbę, kiedy tylko znalazły się w sypialni.

– Wiesz, Paulo, jestem okropnie senna, pośpiesz się z tymi guziczkami.

– Dobrze, panienko – odpowiedziała pokojówka zaskoczona dziwnym brzmieniem głosu dziewczynki.

„Pewnie mała najadła się jakichś wymyślnych frykasów i teraz boli ją brzuch” – pomyślała. – „Coś ją w dodatku ugryzło w kark, jakiś giez albo co. Aż bąbel się zrobił”.

Wprawnym ruchem powyciwała spinki utrzymujące fryzurę i ciemne włosy dziewczynki opadły swobodnie, zakrywając ślad ukłucia.

Kiedy tylko służąca wyszła, Mori wysunęła szufladę sekretarzyka i wyciągnęła stamtąd kartkę i ołówek.

„Kochani rodzice. Na przyjęciu było bardzo miło. Chciałabym częściej odwiedzać ciotkę Pepperię...”

„Aaaa! Nie udało się! Ale przecież myślę jasno. Wiem, co czuję, wiem, co chcę powiedzieć. Ktoś mnie zaczarował albo, co bardziej prawdopodobne, zahipnotyzował. To coś stało się na przyjęciu. Nie pamiętam co. Dziwne, bo przecież nigdy niczego nie zapominam. Muszę znaleźć sposób powiedzenia o wszystkim mamie i tacie”.

Siadła na krawędzi łóżka i ścisnęła głowę dłońmi. Po paru minutach wyjęła z regału *Podróże za morza najdalsze* Rossa Claita i otworzyła na pierwszej stronie.

10.

Noc była ciemna. Chmury zasłoniły księżyc i gwiazdy. Płótno porozstawianych po ogrodzie namiotów bielalo w ciemnościach. Dopiero jutro służba zacznie je składać. Tylko stoły uprzątnięto zaraz po odjeździe ostatnich gości. Kosztowne elementy zastawy mogłyby skusić niejednego obdartusa zwabionego pod mury zamkowe pogłoskami o przyjęciu. Wydawało się czasami, że ci bezdomni, krążący po wsiach i miasteczkach włóczędzy dysponują niezwykle sprawną siecią informatorów roznoszących wieści, kiedy i u kogo odbywa się przyjęcie albo bal, będący okazją do pożywienia się resztkami z pańskich stołów. Pepperia brzydziła się okropnie tej brudnej, zarobaczonych hałastry i już kilka lat temu zarządziła, żeby wszelkie pozostałości po ucztach wywozić do Fardet – zrujnowanej i opuszczonej przez ludzi śródleśnej wioski. Było to miejsce ponure, wielu mówiło, że nawiedzone. Tam więc niech uczują przybłędy. Z dala od zamku Shadd.

Pepperia szła szybko przez mokry od rosy trawnik zadowolona, że nie natknie się na żadnego żebraka. Rozpierała ją radość. Udało się! Scaber zostanie ukarany i ta jego Szklarka. A ją oprócz słodkiego smaku zemsty czeka jeszcze jedna nagroda. Podeszła do na wpół zrujnowanej wieży strażniczej porośniętej bluszczem. Mężczyzna, który tam stał, był prawie niewidoczny. Stała w pewnej odległości, ale i tak jej wrażliwy nos wyczuwał obrzydliwy smród padliny.

– Dotrzymałam swojej części umowy – powiedziała sucho. – Teraz pańska kolej.

Bez słowa wyciągnął w jej kierunku białe, okrągłe naczynko. Chwyciła je

chciwie. Poczwała pod palcami chłód alabastru.

– Powiedziały, żeby używać nie częściej niż raz dziennie. Wystarczy mała ilość.

– Głos mężczyzny przypominał skrzywienie zardzewiałego studziennego kołowrotu. – I oczekuję na dalsze informacje.

– To potrwa kilka lat. Ottina dopiero wychodzi za mąż. Ale dam znać, jeśli pojawi się dziecko.

– One są cierpliwe. Mają dużo czasu – zaśmiał się charkotliwie, a Peppera miała wrażenie, że za chwilę zemdleje od paskudnego odoru.

– Dobranoc więc – powiedziała pospiesznie i okręciwszy się na pięcie, zaczęła oddalać się od wieży szybkim krokiem.

Już w swoim pokoju, zdyszana i triumfująca, stanęła przed lustrem i otworzyła słoiczek z alabastru. Nabrała na palec odrobinę znajdującej się w nim różowawo opalizującej maści i zaczęła delikatnie wcierać ją w skórę twarzy.

– Nigdy nie będziesz stara – powiedziała swojemu odbiciu.

11.

Mori obudziła się nagle. Na dworze dopiero szarzało. Ptaki rozpoczynały swój poranny koncert. Poczwała, że musi natychmiast wyjść na zewnątrz. Ubrała się i po cichutku opuściła pokój. Na palcach przebiegła przez korytarz i boczną klatką schodową zeszła na dół. Odsuwając zasuwę, zamarła nagle.

„Po co mam iść do ogrodu? Skąd ten pomysł?” Chciała zawrócić w kierunku schodów, ale jakiś potężny przymus pchał ją w przeciwną stronę. Przypomniała sobie wydarzenia wczorajszej nocy i pocwała, że ogarnia ją dławiący lęk. Jeszcze nikt nigdy nie zmusił jej, żeby zrobiła coś wbrew sobie. Oparła się plecami o drzwi, ale wytrzymała w tej pozycji tylko przez chwilę. Siła mocniejsza od jej woli kazała jej się odwrócić, nacisnąć klamkę i wyjść w zasnuty poranną mgiełką ogród. Szła prosto przed siebie ku kępie świerków. Łzy bezsilnej złości płynęły jej po policzkach. Nie mogła się zatrzymać. W świeże zapachy letniego poranka coraz natarczywiej wdzierał się odór padliny. I w tym momencie przypomniała sobie tamtego mężczyznę. Za późno.

12.

Śniadanie jedli dopiero około południa. Nie zdziwiła ich nieobecność Mori przy stole.

– Pewnie śpi – powiedziała Szklarka, odstawiając filiżankę z kawą. – Prawdę mówiąc, ja też wciąż jeszcze jestem senna i zmęczona. Wczorajsze przyjęcie nie należało do miłych. Cały czas byłam spięta.

– Ja też czekałem, że coś się wydarzy. Bałem się, że nagle goście, jeden po drugim, zaczną padać otruci jak za czasów królowej Carrary, która w ten sposób pozbywała się przeciwników lub niewygodnych krewnych.

- Nie rozumiem, po co jej było to wszystko. Mam na myśli Pepperię. A już całkowicie zaskoczyła mnie zaproszeniem Chamomilli.
- Tak, to zupełnie do niej niepodobne, ale mam nadzieję, że twoja przyjaciółka bawiła się dobrze.
- Myślę, że Chamomilla wiedziała, jak wykorzystać ten czas. Odjeżdżała ze swoją gromadką całkiem zadowolona. Jej dziewczęta wydawały się zachwycone przyjęciem.
- Muszę przyznać, że wyglądały całkiem ładnie.
- Widziałam, że rozmawiałeś z księciem Shadd. Nie zdradził ci prawdziwych przyczyn, dla których Pepperia wydała przyjęcie?
Scaber pokręcił przecząco głową. Ugryzł kawałek rogalika z dżemem truskawkowym i popił go kawą. Przypomniał sobie wczorajsze spotkanie z mężem Pepperii.
- Shadd wyglądał na zmęczonego – stwierdził po namyśle. – Pokazywał mi swoją kolekcję zegarów. Ma tam naprawdę rzadkie okazy. Odniosłem jednak wrażenie, że te zbiory mało go cieszą.
- Pepperia wyssała z niego całą radość życia – mruknęła Szklarka.
- Być może obcowanie z nią na co dzień przerosło jego siły. – Scaber popatrzył na siedzącą po przeciwnej stronie stołu żonę i uśmiechnął się. – Będę ci wdzięczny do końca życia, że mnie przed nią uratowałaś.
- Czy twoja wdzięczność mogłaby się wyrazić poprzez zastąpienie mnie w odpisywaniu na grzecznościowe bilety? – spytała podstępnie. – Po wczorajszym przyjęciu pojawi się ich zapewne cała góra.
Scaber potarł brodę zakłopotany.
- Tego akurat wolałbym nie robić – powiedział ostrożnie. – Mogę ci natomiast przywieźć sadzonkę błękitnej magnolii. Cecil pisał mi ostatnio, że przyjęło się sześć z dziesięciu egzemplarzy przywiezionych z archipelagu Antiur. Może nam odstąpić jeden.
- Błękitna magnolia! – Oczy jej błysnęły, ale zaraz zmarszczyła brwi. – Nie wykręcaj się kwiatami. Ja też wolałabym jechać do Cecila, zamiast tracić pół dnia na bezsensowną pisaninę.
- I cebule nowej odmiany lilii cesarskiej.
- Kosztują majątek!
- Ale może wynagrodzą ci gorycz korespondencji.
Szklarka zmrużyła oczy.
- Na ten jeden raz być może tak, ale chciałabym, żebyś wymyślił jakieś konkretne rozwiązanie na przyszłość. – Wstała od stołu. – Pójdę do ogrodu poczytać. Pewnie nie zdołam zbyt długo utrzymać otwartych oczu.
Mijając Paulę, poleciła jej, żeby przed obiadem obudziła panienkę Mori.



Dzień był upalny. Pachniały róże, wiciokrzewy i goździki. Rozejrzała się

oczarowana. Jej ogród! Zachwycał ją nieodmiennie i każdego dnia, widząc rozkwitające kwiaty, miała odczucie, że stoi w obliczu cudu. Oboje ze Scaberem oddawali się botanicznej pasji, dzięki której z roku na rok przybywało im rzadkich okazów. Większość z nich trzeba było przechowywać zimą w oranżerii, ale teraz stały w wielkich donicach i rozwijały w słońcu kwiaty o niezwykle kształtach i kolorach.

Szklarka przeszła obok ogródka ziołowego, gdzie dominował zapach tymianku i macierzanki i skierowała się do sadu. Rozłożyła pod jabłonią zszytą z kawałków wzorzystych materiałów narzutę i ułożyła się na niej wygodnie. Przed sobą położyła książkę: *Labiryntowe ogrody Pertów*. Plamki światła tańczyły na okładce. Na czerwonych literach tytułu przysiadł motyl. To mógłby być piękny motyw na serię filizanek – pomyślała.



– Theo! Obudź się!

Otworzyła oczy. Zobaczyła nad sobą twarz Scabera na tle liści jabłoni. Wyraz jego twarzy i ton paniki w głosie świadczyły o tym, że stało się coś złego.

– Mori zniknęła! Nie było jej w pokoju, kiedy pokojówka poszła ją obudzić. Nikt nie widział, żeby wychodziła. Kazałem służbie przeszukać ogród. Zawiadomiłem też ludzi z sąsiednich wiosek, żeby szukali w lasach i... – przełknął ślinę – w jeziorze.

Szklarka usiadła gwałtownie. Zrobiło jej się słabo i miała ochotę wymiotować ze zdenerwowania i lęku. Jeżeli Mori naprawdę zaginęła... Nie, nie mogła zaginać. Po prostu zawieruszyła się gdzieś na zamkowym strychu albo w nieużywanych korytarzach lewego skrzydła...

– Scaber, po pierwsze Mori nie poszłaby nigdzie sama, nie zawiadamiając nas o tym. Po drugie, ma tak doskonałą orientację, że nie zgubi się w najciemniejszym lesie. Sam mi o tym mówiłeś. Co do jeziora, to doskonale wiesz, że nasza córka pływa jak ryba – pospiesznie wyrzucała z siebie słowa.

Cała dygotała. Odrzucała od siebie myśl, że coś złego mogło przytrafić się ich córce. Nie chciała w to uwierzyć. Jej ciało jednak już wiedziało. Ten okropny ból w środku i fala mdłości wywołanych strachem mówiły, że Mori jest w niebezpieczeństwie. Scaber pomógł jej wstać.

– Zrobiłem pierwsze, co przyszło mi do głowy. – Popatrzył jej w oczy. – Nie wierzę, żeby Mori wybrała się gdzieś w tajemnicy. Zostawiłaby wiadomość.

– A może zostawiła? – Szklarka uczepiła się tej myśli. – Chodźmy do jej pokoju!

– Theo. – Ujął ją za łokcie. – Przeszukałem pokój. Nic tam nie było. – Głos mu zadrzał. Zrozumiała, że Scaber się boi i, tak samo jak ona, nie wypowiada na głos swoich najgorszych obaw.

Maszerowali w milczeniu. Szklarka starała się powstrzymać natłok obrazów, jaki produkowała jej wyobraźnia: Mori związana w lochu pełnym szczurów,

Mori torturowana przez Pepperię, Mori sprzedana na targu niewolników we wschodnim Hanub, Mori martwa. Potrząsnęła głową. „Opanuj się” – nakazała sobie w myślach. „Teraz trzeba działać uważnie, w skupieniu”.

– Ja też chcę obejrzeć jej sypialnię – powiedziała zduszonym głosem. – Malowanie kwiatów nauczyło mnie uważnej obserwacji. Może zauważę coś, co inni przeoczyli.

Otworzyła drzwi do pokoju Mori. Rzadko tu zaglądała. Czuła, że dziewczynka nie chce, aby ktokolwiek przebywał w miejscu jej pracy i odosobnienia. Ze ściśniętym sercem patrzyła na stłoczone na półkach książki, na dziwne płyny w słoikach, na girlandy kolorowych szkiełek zwisające z sufitu.

„Nie wolno mi się teraz załamać. Muszę szukać wskazówek, jak wtedy, gdy chciałam odnaleźć autoportret

Lei. Mori wyszła z domu ubrana, bo nocna koszula leży na łóżku. Kołdra odrzucona, na poduszce płytkie wgłębienie. Spała tu, a potem z jakiegoś powodu wyszła. Jeszcze w nocy? Czy już rankiem? Dlaczego?”

Rozejrzała się uważnie. Przerzuciła pościel w łóżku, żeby sprawdzić, czy pod poduszką albo pod materacem nie kryje się jakiś list. Klęknęła na podłodze i wzrok jej padł na zmięty kawałek papieru leżący pod biurkiem. Podniosła go i rozprostowała.

– Scaber! Zobacz! – Podała mężowi pogniecioną kartkę.

„Kochani rodzice. Na przyjęciu było bardzo miło. Chciałabym częściej odwiedzać ciotkę Pepperię...” – przeczytał półgłosem.

Popatrzyli na siebie w osłupieniu.

– Co to ma znaczyć? Dlaczego zaczęła pisać list, przecież mogła nam to powiedzieć? – Scaber czuł łomotanie tętna gdzieś w gardle.

Nie zdawał sobie sprawy z tego, że stoi z pięściami zaciśniętymi tak mocno, iż paznokcie wbijają mu się w dłonie, znacząc na nich czerwone półksiężyce.

– A może ktoś kazał jej do nas napisać, ale ona się zbuntowała i nie chciała dokończyć – zaczęła drżącym głosem Szklarka.

– Pokój nie wygląda tak, jakby się do niego włamano

– powiedział z powątpiewaniem Scaber.

– Czy porywacz mógł przekupić kogoś ze służby? – Szklarka potarła dłonią czoło. Po raz pierwszy wypowiedziała na głos słowo „porywacz”.

– Nie wydaje mi się to możliwe, Theo. – Pokręcił głową. – Większość z tych ludzi znam od dziecka. Nie zrobiliby czegoś takiego.

Szklarka ciężko siadła na krześle.

– Nie wiem, co robić – wyznała z rozpaczą.

Cała się trzęsła. Coraz mocniej docierało do niej, że Mori naprawdę znikła. A przedtem napisała ten dziwny list. Dopiero teraz przypomniała sobie, że już wczoraj, pod koniec przyjęcia dziewczynka wydawała się jakaś nieswoja. Żeby opanować drżenie rąk, zaczęła nieuważnie kartkować leżącą na biurku książkę. Był to zbiór relacji z zamorskich podróży napisany przez Rossa. Pewnie Mori czytała przed snem. A może zaraz po obudzeniu, jeszcze zanim z niewiadomych

powodów opuściła pokój.

– Theo, poczekaj! Tam coś było! – Scaber wyjął jej książkę z ręki i zaczął przerzucać kartki.

– Jest! Patrz!

Na zadrukowanej do połowy stronie kończącej jeden z rozdziałów, widniał nakreślony ołówkiem portret dziewczynki. Właściwie autoportret, bo tą dziewczynką była Mori.

– To rysunek Mori!

– Tak. Zobacz, narysowała siebie z zakneblowanymi ustami.

– Więc jednak ktoś tu się wdarł! – jęknęła.

– To nie takie proste – wymruczał Scaber. – Dlaczego pozwolił jej to narysować?

– Obok jest strzałka. Jakby coś jeszcze miało być dalej. – Scaber przekreślił stronę.

Ale tam był już tylko tekst Rossa.

– Nie pozwolili jej dokończyć!

– Poczekaj, niektóre wyrazy i litery są podkreślone.

Szklarka chwyciła ołówek.

– Czytaj podkreślenia, a ja będę zapisywać. Może coś wtedy zrozumiemy.

Powoli słowo za słowem wylaniał się tekst przesłania Mori:

COŚ SIĘ STAŁO NA PRZYJĘCIU. NIE PAMIĘTAM CO, ALE OD TAMTEJ PORY NIE MOGĘ ANI MÓWIĆ, ANI PISAĆ TEGO, CO CHCĘ, TYLKO JAKIEŚ RZECZY BEZ SENSU. BOJĘ SIĘ, ŻE TO TYLKO POCZĄTEK CZEGOŚ GORSZEGO. NIEPOKOI MNIE, ŻE NIE MOGĘ SOBIE PRZYPOMNIEĆ TEGO ZDARZENIA Z PRZYJĘCIA, A JA PRZECIEŻ NICZEGO NIE ZAPOMINAM. MOŻE TO HIPNOZA ALBO CZARY. NIE PRZESTRASZCIE SIĘ, GDYBYM JUTRO MÓWIŁA JAKIEŚ DZIWNE RZECZY. MUSZĘ ZNALEŹĆ ROZWIĄZANIE. NA SZCZĘŚCIE TEN POMYSŁ Z KSIĄŻKĄ POZWOLI NAM SIĘ KOMUNIKOWAĆ. JESTEM PRZEKONANA, ŻE TO SPRAWKA CIOTKI PEPPERII. ZAPROSIŁA NAS, ŻEBY NAROBILI KŁOPOTU. TYLKO JAK TO ZROBIŁA? NA SZCZĘŚCIE ROZUMUJĘ ZUPEŁNIE JASNO, WIĘC SIĘ NIE MARTWCIE. MORI.

Szklarka opadła na krzeselko. Scaber objął ją i tak trwali przytuleni do siebie.

– „Nie przestraszcie się, gdybym jutro mówiła dziwne rzeczy” – przeczytała raz jeszcze. – A więc Mori nie miała pojęcia, że rano już jej tu nie będzie.

„Co mogło wydarzyć się na przyjęciu”? – zastanawiał się w myślach Scaber.

„Ktoś jej podał jakiś trujący napój? Hipnoza? Swoją drogą, skąd Mori wie o hipnozie? Trzeba się kogoś poradzić. Zawiadomić królewską policję. Skoro cała sprawa zaczęła się wczoraj wieczorem, to wszystkie podejrzenia kierują się ku Pepperii. Czy zaprosiła ich, żeby umożliwić porwanie Mori?” Czuł potrzebę zapisania tych wszystkich myśli, ułożenia jakiegoś planu działania. Ogarnęła go

fala gorącej nienawiści do dawnej narzeczonej.

– Odzyskamy Mori. Nie pozwolimy jej wygrać – powiedział na głos.

– Komu? – nie zrozumiała Szklarka.

– Pepperii! Skoro już na przyjęciu zaczęło się dziać coś złego...

– Wiedziała, co sprawi nam największy ból. Jak można tak długo nosić w sercu nienawiść? Jak można się mścić na niewinnym dziecku? – Szklarka ukryła twarz w dłoniach.

– Musimy zawiadomić policję królewską, niech roześlą po całym kraju informacje o porwaniu dziewczynki. Pokażemy im list Mori i powiemy o naszych podejrzeniach. – Scaber wstał. – Chodź, Theo. Będziemy działać.

Potrząsnęła głową przecząco.

– Ty działaj. Ja tu jeszcze zostanę.

Dopiero kiedy Scaber wyszedł, pozwoliła sobie na łzy. Siedziała i szlochała, patrząc tępo w podłogę. Jeżeli Mori została porwana na rozkaz Pepperii, istnieje mała nadzieja na to, że żandarmi będą gorliwi w poszukiwaniach. Księżę Shadd spokrewniony jest przecież z rodziną królewską. Łzy zamazywały kontury pokoju, niezaścielone łóżko, nigdy niesprzątaną podłogę zastawioną dziwnymi urządzeniami i zasypaną drobiazgami niewiadomego przeznaczenia. Dostrzegła jakiś okruch z kolekcji minerałów leżący na parkiecie. Odruchowo podniosła go z podłogi i chciała odłożyć na półkę, ale zorientowała się, że to nie kamień. Otarła rękawem łzy i przyjrzała się uważniej. Był to podłużny fioletowy cierń. Dziwne. Nie przypominała sobie rośliny z takimi kolcami, a przecież знаła się na botanice. Skąd wziął się w pokoju Mori? Gdzie mogła go znaleźć? Może ma związek z porwaniem? Należałoby skontaktować się z Cecilem Sarotianem i spytać, co to jest. Mała szansa, że ten cierń ma jakieś znaczenie, ale trzeba sprawdzać każdą dziwną poszlakę. Porywacz nie zostawił przecież żadnych śladów. „I muszę zawiadomić Chamomille”.

Nie musiała. Chamomilla przyjechała do nich wieczorem. Miała zaczerwienione od płaczu oczy, pełne cierpienia i desperacji. Tego poranka zniknęły wszystkie jej dzieci.

13.

Stanął przed białymi drzwiami malowanymi w złoto-błękitne ornamenty. Uniósł rękę, zawahał się. „Do licha, przecież jest moją żoną” – pomyślał i głośno zapukał.

– O co chodzi? – dobiegł z wnętrza poirytowany głos.

Nacisnął klamkę i wszedł do środka.

Siedziała przed lustrem, plecami do niego. Nawet się nie odwróciła. Widział jej odbicie. Nieskazitelnie piękna twarz i błękitne oczy. Błękitne, jak dwie grudki lodu. Tak bardzo chciał ją kiedyś mieć. Pragnął, żeby ta piękna kobieta należała tylko do niego, żeby dodała blasku jego życiu. Był zaślepiony? Głupi? A może ona udawała przed nim inną niż jest? Nie, nie udawała. To on brał wszystko za

dobrą monetę. Bawiły go jej drobne złośliwości, celne, ironiczne uwagi na temat ludzi. Widział w tym błyskotliwość i inteligencję, a przymykał oczy na kryjące się za nimi okrucieństwo. A teraz jest za późno.

– Czemu tak na mnie patrzysz?

– Pepperio...

– Oho! Za chwilę rozpocznie się lawina wyrzutów.

– Kobieta przy lustrze uśmiechnęła się krzywo. – No śmiało, czym tym razem zawiniłam?

W jej głosie brzmiała ironia pomieszana z pogardą.

– Zaginęła córka Sedunów.

– Powinni jej lepiej pilnować.

– I podopieczne Chamomilli.

– A czemuż ma mnie to obchodzić? – Pepperia wzruszyła ramionami. – To nie są osoby, których los szczególnie by mnie interesował.

Mierzyli się spojrzeciami za pośrednictwem lustra.

– Skoro tak, to dlaczego zaprosiłaś je na przyjęcie?

– Wycedził przez zaciśnięte zęby.

Wzruszyła ramionami.

– To był błąd. Kobięcy kaprys. – Uśmiechnęła się znowu. – A ty powinieneś być zadowolony. Zawsze mówisz, że odgradzam się od ludzi stojących niżej, więc proszę bardzo! Dałam tym prowincjuszkom możliwość poodychania przez chwilę lepszym powietrzem. Widzę jednak, że znów ci się coś nie podoba. Wykręcił sobie palce rąk, tak że aż trzasnęły kości. Pepperia wzdrygnęła się.

– Tyle razy ci mówiłam, żebyś tego nie robił! To obrzydliwe, to...

– Pepperio! – przerwał jej. – Chcę wiedzieć, co masz wspólnego z zaginięciem dziewczynek?

– Ja? – Dopiero teraz odwróciła się od lustra i popatrzyła mu prosto w oczy. – Czy ty mnie o coś podejrzewasz? – spytała, akcentując każde słowo. – Jak śmiesz?!

– Zaprosiłaś Sedunów i Chamomillę, co nigdy ci się nie zdarza, i zaraz następnego dnia ich dzieci giną. Trudno nie dopatrywać się w tym związku.

– I co, uważasz, że schowałam je do piwnicy? – szydziła. – To każ przeszukać zamek. I obowiązkowo przesłuchaj służbę, panie sędzio śledczy!

Zacisnął zęby. Miał ochotę ją uderzyć, ale nie był mężczyzną, który bije kobiety.

– Jeżeli przybędzie tu królewska policja i jeżeli wykryją że byłaś w tę sprawę zamieszana, wiedz, że nie będę cię chronił. Ani tłumaczył. Ani używał swoich wpływów.

– Och, och! Strasznie się boję! – Zaśmiała się i znów siadła twarzą do lustra. – Jeśli to już wszystko, co miałeś mi do powiedzenia, to zechciej opuścić mój pokój.

Otworzył usta, żeby jej odpowiedzieć, ale rozmyślił się. Obrócił się na pięcie i wyszedł, trzaskając drzwiami.

Pepperia uśmiechnęła się do swojego odbicia i sięgnęła po alabastrowy słoiczek. Po raz trzeci tego dnia.

14.

Minęły zaledwie dwa dni od porwania, a w obszernym salonie Versathis zgromadzili się wszyscy przyjaciele Sedunów, członkowie wyprawy na wyspę Nut i dawne jej mieszkanki. Siedzieli na sofach, krzesłach i fotelach, popijając napoje roznoszone przez służące o zmartwionych twarzach. Pomieszczenie, przeznaczone do dużych towarzyskich spotkań, nawet do tańców przy akompaniamencie pianina (lśniący politurą instrument stał w rogu sali), gościło teraz ludzi zjednoczonych we wspólnym smutku. Przybyli na wieść o nieszczęściu, niewzywani, bez umawiania się. Stawili się wiedzeni tym samym impulsem. Szklarka ze łzami w oczach i z niedowierzaniem patrzyła, jak pod pałac zajeżdżają kolejne powozy. Pierwsi byli Claithowie. Ross dosłownie wbiegł po schodach, chwycił jej rękę i potrząsnął nimi mocno.

– Odzyskamy Mori – powiedział, patrząc jej w oczy. – Przysięgam ci to!

Po raz pierwszy od dwóch dni zatliła się w niej nadzieja.

Sorbita i Ottina przytuliły ją bez słowa.

– Ottino, przecież twój ślub jest już za dwa tygodnie – przypomniała sobie.

– To nic. Jeżeli będzie trzeba, to przesunę termin. Nie mogłabym w takiej chwili opuścić ciebie i Chamomilli.

Chamomilla. Ona też ocknęła się z pierwszego szoku i odrętwienia. Siedziała teraz otoczona swoimi byłymi wychowankami, tymi, które w ciągu ostatnich lat już się usamodzielniały. Uśmiechała się blado, słuchając ich kojących szeptów i poddając się dotykowi ich rąk. Dziewczęta bez przerwy ją głaskały i przytulały. Momentami wydawało się nawet, iż toczy się między nimi cicha rywalizacja o to, która bardziej troszczy się o dawną wychowawczynię.

Najbardziej zdumiał Sedunów widok kobiet, z którymi przed laty uciekli ze wstrząsanej kataklizmami wyspy

Nut. Stawiły się ciche, skupione i poważne. Jedna z nich – Szklarka nawet nie pamiętała jej imienia – oznajmiła, że chcą się zorientować, czy nie mogłyby w czymś pomóc. Usiadły wszystkie razem w jednym kącie i przypatrywały się uważnie temu, co działo się dokoła.

Rozmowy w salonie toczyły się w kilku miejscach, tworząc pełen niepokoju szum. Scaber nie wiedział, jak zapanować nad tym żywiołowym zlotem. Lepiej by się czuł sam na sam z Rossem. We dwóch mogliby zastanowić się nad sytuacją i ułożyć jakiś sensowny plan. W takim tłumie wymyślenie czegoś konstruktywnego wydawało mu się niemożliwe. A przecież cenna jest każda chwila. Być może z każdą godziną dzieci uwożone są coraz dalej. Spojrzał na Theę. Ona także wydawała się oszołomiona i zagubiona. Przerażona także, zwłaszcza po tym, co powiedział im Cecil na temat tajemniczego ciernia znalezionej w pokoju Mori. Przyszło mu do głowy, że powinien teraz

podziękować wszystkim za przybycie i wygłosić jakąś mowę. To byłoby w stylu jego ojca, ale jemu, zwłaszcza w tej sytuacji, wydawało się nie na miejscu. Szczęśliwie Ross wybawił go z kłopotu.

– Słuchajcie! – krzyknął i wszyscy od razu zwrócili głowy w jego kierunku, jakby tylko czekali, że ktoś przejmie inicjatywę. – Przyjechaliśmy tu nie po to, żeby biernie współczuć Thei, Scaberowi i Chamomilli. Mamy wymyślić sposób na odnalezienie dziewczynek. A jeszcze przedtem musimy dowiedzieć się, kto je porwał. Królewska żandarmeria została powiadomiona. Według tego, co mówiła Thea, osobą odpowiedzialną za porwanie może być księżna Shadd.

– Nie tylko ona. – Szklarka wstała, odetchnęła głęboko i starając się zapanować nad drżeniem głosu oraz cisnącymi się do oczu łzami, streściła krótko wydarzenia tamtego tragicznego dnia. Przeczytała wiadomość od Mori, a na koniec pokazała fioletowy kolec.

– Znalazłam to na podłodze pokoju Mori. Cecil, który, jak wiecie, jest botanikiem, a także Ren z Irindą potwierdzili, że jest to cień pochodzący z pewnego krzewu rosnącego na wyspie Nut. W naszym świecie roślina ta nie występuje, co oznacza... – Głos jej się załamał i nie mogła dokończyć. Wyspa Nut należała do Corredo. „Jeśli istoty stamtąd porwały Mori do swojego świata, to nigdy nie zdołamy jej odzyskać” – pomyślała.

– To scavonia – wtrąciła Irinda. – Jej pędy zawierają specyficzną substancję, a działanie jest dość skomplikowane. Chodzi o to, że jeśli ktoś posiada gałązkę tego krzewu, to przez pewien czas może wpływać na zachowania osoby ukłutej cierniem z niej pochodzącym.

– Przez jaki czas? – chciał wiedzieć Ross.

– Około trzech dni, ale nie sprawdzaliśmy tego dokładnie.

– Ale potem można użyć następnego ciernia i znów ma się niewolnika – powiedziała ze smutkiem Chamo–milla.

– Nie, na szczęście, nie – zaprzeczył żywo Cecil Sarotian. – Osoba raz ukłuta po ustąpieniu działania tego hm... specyficznego jadu, jest nań całkowicie uodporniona. Do końca życia. A! Chciałbym jeszcze dodać, że gałązki scavonii wydzielają specyficzny zapach, podobny do padliny.

– Och! – Chamomilla przyłożyła dłonie do policzków. – Podczas przyjęcia u Pepperii moje dziewczynki dziwiły się, że w tak pięknym ogrodzie wszędzie czuć smród padliny.

– A to znaczy, że księżna Shadd jednak miała swój udział w porwaniu – powiedział z odcieniem satysfakcji w głosie Ross.

Od czasów, kiedy Pepperia próbowała snuć intrygę przeciwko Scaberowi i Szklarce, Claith szczerze jej nie znosił. Kiedy natykali się na siebie podczas jakichś przyjęć, nawet nie starał się być uprzejmy. Oddalał się bez słowa, całkowicie ignorując jej obecność, co Pepperię doprowadzało do furii.

– Może ten ktoś, kto uprowadził dzieci, wszedł na przyjęcie bez wiedzy gospodarzy? – spytał Ren.

– Za udziałem Pepperii w całej sprawie przemawia fakt, że zaprosiła

Chamomillę z dziewczynkami – odpowiedział Scaber. – To nie w jej stylu.
– Mówiliście o swoich podejrzeniach żandarmom? – chciał wiedzieć Ross.
– Tak. Powiedziałem im. – Scaber machnął ręką. – Obiecali, że wezmą to pod uwagę, ale dodali, że pochopne oskarżanie tak znamienitej rodziny może nie pomóc śledztwu.
– Rodzina Sedunów też jest znamienita, czyż nie? – wyrwała się zaczepnie siedząca dotychczas cicho i onieśmielona zgromadzonymi gośćmi Verka Cayushu, dawna służąca Szklar ki.
– Nie aż tak blisko skoligacona z rodziną królewską. – Scaber wzruszył ramionami. – Prawdę mówiąc, nie podejrzewam, żeby książe Shadd miał coś wspólnego z całą sprawą. To człowiek honoru. Rozmawiałem z nim przez chwilę podczas przyjęcia i jestem pewien, że ostrzegłby mnie, gdyby wiedział o knowaniach swojej żony. Albo sam by jej przeszkodził.
– Chociaż wszyscy jesteśmy przekonani o winie Pepperii, to i tak na razie nie możemy jej niczego udowodnić – odezwał się znowu Ross. – Nawet gdyby przyszli do niej żandarmi, przekonany jestem, że księżna Shadd wyprze się wszystkiego. Zostawmy więc ten wątek. Pomyślmy raczej, czy jest jeszcze inne, poza nieistniejącą już wyspą Nut, miejsce, gdzie mogłaby rosnąć ta... scavonia.
– Corredo – powiedziała cicho Szklarka.
– Nie sądzę, żeby istoty z Corredo zajmowały się porwaniem dzieci – odezwała się LaOra, odgadując jej obawy.
Była najstarszą spośród dawnych mieszkanek wyspy Nut. Miała pociągłą kościstą twarz i siwe włosy zebrane w kok na czubku głowy. Mimo podeszłego wieku trzymała się prosto. Dawniej, zanim jeszcze została zmuszona schronić się na wyspie, była słynną na cały świat pejzażystką, na której wzorowały się pokolenia artystek. Teraz zupełnie zarzuciła malowanie i zajmowała się wyłącznie haftem. Wysztywane przez nią draperie zdobiły niejedną salę pałacową, z apartamentami królowej Keweny włącznie. Bajecznie kolorowa suknia, którą w tej chwili miała na sobie, była znakomitym przykładem jej sztuki. LaOra zrobiła kilka kroków w kierunku Szklarki.
– Podejrzewałabym o to raczej instruktorki – powiedziała, wodząc wzrokiem po zgromadzonych.
– To niemożliwe, przecież mamy herbatę szczęścia! – Niespokojne głosy podniosły się z miejsc zajmowanych przez uciekinierki z wyspy Nut. – A poza tym, instruktorki zginęły podczas wysadzania w powietrze Wyspy Sierot.
– Istniało co najmniej kilkanaście ośrodków edukujących artystki – odparła sucho LaOra. – Któryś mógł przetrwać. Jego mieszkanki również.
– Przez ostatnie dwanaście lat na wszystkich statkach wyruszających z Como rozwożono sadzonki i nasiona herbaty szczęścia. Podejrzewam, że nie ma już miejsca, gdzie instruktorki mogłyby się schronić – potrząsnął głową Ross.
– Należałoby to sprawdzić – rzucił Cecil Sarotian.
– Chwileczkę! – Rudowłosy Robi Cayushu, główny rysownik Królewskiej Pracowni Atlasów i mąż Verki wstał gwałtownie i podszedł do artystek

zgrupowanych wokół LaOry. – Czy wszystkie panie pochodziły z jednej Wyspy Sierot?

– Nie, oczywiście, że nie – padła zbiorowa odpowiedź.

– Proszę więc podać nazwy miejsc, w których panie się wychowywały, a ktoś niech zapisuje.

Ross jak zwykle miał przy sobie gruby notes.

– Jestem gotów – powiedział.

– Targisz.

– Sersana.

– Como.

– Arta–Lei.

– Gari.

– Como.

– Leuel.

– Arinio.

– Sersana.

– Arta–Lei.

– Targisz.

Artystki, jedna po drugiej, wymieniały dźwięcznie brzmiące nazwy. Widać było po ich twarzach, że nie знаły miejsc, z których pochodziły pozostałe. Przez tyle lat wspólnego zamieszkiwania na wyspie Nut ani razu o tym nie rozmawiały. Dopiero teraz zaczęły się zdziwione szepty.

– A więc byłaś na Arta–Lei? Pamiętasz Górę Pustynną?

– Sersana. Tam było okropnie zimno, czy wy też podkrađałyście koce z magazynu?

– Proszę panie o ciszę! – Ross podniósł rękę. – Z tego co usłyszałem, wcale nie mamy kilkunastu Wysp Sierot, a załedwie kilka. Może kiedyś było ich więcej. Czytam jeszcze raz te, które zostały wymienione.

– Como, Arinio, Targisz, Sersana, Arta–Lei, Leuel i Gari. Wyspa Sierot w pobliżu Como już nie istnieje, bo instruktorki wysadziły ją w powietrze. Trzeba się dowiedzieć, co stało się z pozostałymi sześcioma.

– Chwileczkę! – LaOra znowu zabrała głos. – Może najpierw sprawdzmy, czy którakolwiek z nas pamięta, żeby na jej wyspie rosła roślina, o której mówił pan Sarotian.

Oczy zebranych zwróciły się ku wychowankom instruktorek. Siedziały jak gromadka egzotycznych ptaków w kącie salonu. Ich twarze wyrażały skupienie. Niektóre przymknęły oczy, jakby chciały wyświetlić pod powiekami obrazy z krainy, w której upłynęło im dzieciństwo.

– Czy mógłby pan opisać, jak wygląda ta... scavonia? – spytała drobna brunetka o śniadej twarzy, ubrana w żółtą suknię z wysokim kołnierzem.

– Pokażę paniom.

Cecil wyszedł na chwilę z sali i wrócił po chwili, niosąc rulon papieru.

– Przed państwa przyjazdem postarałem się narysować tę roślinę, tak, jak ją

zapamiętałem.

Rozwinął arkusz i odwrócił go w stronę zgromadzonych.

– Ależ... to rośło na Como! – zawołała Chamomilla.

– Niemożliwe! – potrząsnęła głową Szklarka. – Szkicowałam wszystkie rośliny, jakie tam były. Na każde zajęcia z rysunku musiałam przynosić dziesięć nowych studiów botanicznych. Poza tym na pewno zapamiętałabym takiego dziwoląga o czerwonych liściach i czarnych kwiatach.

– Nie mogłaś jej widzieć. Cydonia hodowała ją w specjalnym miejscu, gdzie nikomu nie wolno było wchodzić. Pamiętasz drzwiczki z niebieskiego szkła na końcu szklarni? To właśnie tam.

– Pozwoliła ci zajrzeć?

– Nie, ale kiedyś o świcie potrzebowałam ziół, bo któraś z dziewczynek źle się czuła. To było zimą więc mogłam ich naścinać tylko w szklarni. Weszłam i akurat wtedy niebieskie drzwi były uchylone. Pamiętam tę roślinę z czarnymi kwiatami. Wydała mi się wtedy szczególnie odrażająca.

– A więc Como – podsumował Ross. – Ale to miejsce już nie istnieje.

– Czy na innych wyspach ktoś widział scavonię?

Artystki pokręciły przecząco głowami.

– Z tego, co mówi Chamomilla, możemy przypuszczać, że roślina mogła być hodowana w ukryciu również na innych wyspach – zauważył Scaber. – Nie pozostaje nam więc nic innego, jak tylko dowiedzieć się, które siedliska instruktorek jeszcze istnieją.

– A jeśli to fałszywy trop, jeśli naszą córkę porwały istoty z Corredo? – Szklarka wróciła do dręczącej ją myśli.

– Po co mieliby to robić? – spytał Ross.

– Bo Mori...

– Zginęły także moje dzieci, Theo – powiedziała rzeczowo Chamomilla. – One nie miały nic wspólnego z Corredo i wyspą Nut. Za to bardzo wiele z instruktorkami, które traktowały je jak swoją własność. Sama wiesz.

Szklarka odetchnęła. Instruktorki były konkretnym, namacalnym wrogiem i choć nie bardzo wyobrażała sobie, w jaki sposób uda jej się odzyskać Mori, to przynajmniej wiedziała, że może podjąć walkę. Jak Lea. „Pomóż mi, mamó” – zawołała w myślach.



CZĘŚĆ II

Sufit malowany był w kwiaty i egzotyczne pnącza. Pomiędzy szmaragdowymi liśćmi, w rozwidleniach gałązek siedziały barwne ptaki o długich ogonach, które splatały się ze sobą tworząc zawiły ornament.

„Nie ma takich ptaków, ktoś to sobie wymyślił. Malowidło wygląda na bardzo stare. Czy to możliwe, żeby miało tysiąc lat? Stop. O czym ja myślę?! Coś się nie zgadza. Aha. Padlinożerca. Porwanie. Musiał mnie uśpić, bo nie pamiętam nic od momentu, kiedy zwabił mnie do ogrodu. Trzeba sprawdzić, co to za miejsce”.

Mori usiadła i rozejrzała się dokoła. Znajdowała się w dużym pomieszczeniu zastawionym łózkami, w których spały jakieś osoby. Wysokie okna zasłonięte były półprzezroczystymi kremowymi zasłonami. Mimo to w pokoju było jasno. Spuściła nogi na podłogę i poczuła pod stopami chłodne kamienne płyty. Dopiero teraz zauważyła, że ma na sobie białą koszulę nocną z długimi rękawami wiązаныmi w nadgarstkach czerwonymi tasiemkami. Nigdzie nie widziała swojego ubrania. Na palcach podeszła do okna i odchyliła zasłonę. Blask słońca był tak silny, że aż zmrużyła oczy. Przez szparki powiek obserwowała egzotyczny krajobraz. Wysokie palmy kokosowe, bananowce o dużych, jasnozielonych liściach poszarpanych przez wiatr, purpurowe kwiaty bugenwilli, gąszcz kwitnących oleandrów, granatowce i drzewka pomarańczowe. Wciągnęła nosem zapachy. Okno pozbawione było szyb, więc bez przeszkód napawała się słodką wonią nagranych w słońcu kwiatów. Chmura szafirowych motyli przeleciała pomiędzy krzewami. Mori odsunęła na bok myśli o porwaniu. Było tu tak pięknie, że miała ochotę mruzczyć z rozkoszy jak kot.

– Chamomillo!

Obróciła się gwałtownie. Kto w takim miejscu wzywa Chamomillę?

Na łóżku siedziała Arta. Krótkie, jasne włosy sterczały jej na wszystkie strony. Półprzytomnie rozglądała się po sypialni. W końcu jej wzrok spoczął na stojącej przy oknie dziewczynce.

– Mori! – wykrzyknęła zaskoczona. – Co ty tu robisz? Co to za miejsce? Gdzie właściwie jesteśmy? – Oszołomiona wyrzucała z siebie pytania jedno po drugim.

– Gdzieś w tropikach – odpowiedziała flegmatycznie Mori, odsuwając szerzej zasłonę.

– Nie rozumiem, skąd się tu wzięliśmy – potrząsnęła głową Arta. – I gdzie jest Chamomilla?

– Podejrzewam, że zostaliśmy porwane. – Mori nadała swojemu głosowi jak najbardziej obojętne brzmienie. Naśladowała w tym momencie Rossa Claitha, który zawsze imponował jej swoją zimną krwią i niezmaconym spokojem w każdej sytuacji.

– Porwane! Przez kogo!? Dlaczego!?

Okrzyki Arty sprawiły, że osoby śpiące w pozostałych łóżkach też zaczęły się budzić i wkrótce Mori miała przed sobą cały komplet przybranych córek Chamomilli. Była młodsza od nich. Urodziła się po tych wszystkich wydarzeniach, o których tak często słyszała od rodziców. Zazdrościła dziewczynkom niezwykłego przeżycia, jakim musiała być ucieczka z Wyspy Sierot przy pomocy Avenidów. Dziwiła się, jak niewiele z niej pamiętają. Nawet te najstarsze. Jej obecne towarzyski były wtedy kilkuletnimi dziećmi albo niemowlętami, tak jak Arta. Ale te starsze powinny zachować coś w pamięci. Maiorana mówiła o jakimś białym tunelu, Karrita o mglistych postaciach, które im się przyglądały... „Ech, gdybym ja tam była...” – wzdychała sobie czasem Mori, a jej serce przepełniało się tęsknotą za wielką przygodą. No i ma przygodę.

Osiem dziewczynek siedziało na łóżkach i powoli dochodziła do nich świadomość, że znajdują się w miejscu, które z pewnością nie jest ich domem. Arta wyskoczyła z pościeli.

– Mori mówi, że zostałyśmy porwane!

– To niemożliwe!

– Dlaczego?

– Przez kogo?

Mori patrzyła z uwagą na córki Chamomilli. Otaczające je smugi barw świadczyły o tym, że dziewczęta są zaskoczone, ale nie wystraszone. Tylko Joven, najstarsza, zaczynała sobie chyba zdawać sprawę z powagi sytuacji. Coraz więcej było wokół niej ciemnognatowych pasm.

– Czy pamiętacie, co się z wami działo po przyjęciu u Pepperii Shadd? – spytała Mori.

– Pojechałyśmy do domu, położyłyśmy się spać, Chamomilla powiedziała nam dobranoc... – wyliczała na palcach rudowłosa Fry.

– Nie było nic niezwykłego – dorzuciła Wija. Wstała i podeszła do okna. – Dziewczyny! Zobaczcie, jak tu pięknie! Palmy! – Wskoczyła na parapet i wystawiła nogi na zewnątrz.

Za chwilę wszystkie tłoczyły się przy oknach.

– Patrz! Bananowce!

– Drzewka pomarańczowe!

– Tu jest piękniej niż w kurorcie Ragut Ebu – westchnęła Laszti, odgarniając do tyłu czarnognatowe włosy.

– Skąd wiesz? – spytała kłótliwie Arta. – Przecież nigdy tam nie byłaś.

– Clarissa mi opowiedziała. Wynajęła apartament w pensjonacie i przez miesiąc malowała pejzaże.

– Ja też je widziałam – wtrąciła Helia, opierając łokcie na kamiennym parapecie. Słońce zapalało błyski w jej jasnych włosach. – Były bardzo piękne. Błękitne niebo, morze, białe domy i masy kwiatów. Chciałabym tam kiedyś pojechać – dodała z rozmarzeniem.

– Tu też są masy kwiatów. – Wija zatoczyła łuk ręką.

Zapomniały na chwilę o niezwykłej sytuacji, w jakiej się znalazły, i kontemplowały bujną tropikalną roślinność. Joven jako jedyna nie poddała się urokowi otaczającej przyrody.

– Daleko nas wywieźli – stwierdziła grobowym głosem.

Dziewczęta spoważniały.

– Mori, ty coś wiesz – powiedziała czarnooka Laszti, rzucając jej spojrzenie spod długich, wywiniętych rzęs.

Mori przysiadła na krawędzi łóżka. Opowiedziała o spotkaniu z cuchnącym mężczyzną i wydarzeniach, które potem nastąpiły.

– My też czułyśmy smród padliny – powiedziała Fry. – Właściwie przez całe przyjęcie zastanawialiśmy się, czy gdzieś za żywopłotem nie leży zdechłe zwierzę.

– Ale potem nic, normalnie zasnęłyśmy – rozłożyła ręce Arta.

– Nie... ja pamiętam, że szłam boso po trawie w stronę pawilonu – powiedziała cicho szarooka Mitrail. – Ale nie zastanawiałam się, po co to robię. Po prostu szłam.

– Ha! – klasnęła w ręce Mori. – Jedna dobra wiadomość. Działanie tej dziwnej substancji, która kazała mi się bzdurnie zachowywać, ustało. Mogę mówić to, co chcę!

– Możesz mówić to, co chcesz, bo tutaj nikt cię nie usłyszy. Poza nami, oczywiście – powiedziała ponuro Joven.

– Jestem głodna – westchnęła Arta.

– No to chodźcie, nazrywamy sobie bananów! – Fry już wskoczyła na kamienny parapet okna i zamarła.

„Zupełnie sinoniebieska, jakby coś śmiertelnie ją przeraziło” – pomyślała Mori.

Fry ze ściągniętą twarzą zsunęła się z parapetu i usiadła w kucki na podłodze. Cała się trzęsła. Joven podbiegła do niej i objęła ją ramionami.

– Fry, maleńka, co się stało?

Dziewczynka wyszeptała coś niewyraźnie, ale Joven usłyszała. Jej twarz pokryła się śmiertelną bladością.

– Fry mówi, że widziała instruktorkę.

Mori patrzyła, jak barwy otaczające wszystkie dziewczęta przybierają ten sam siny odcień. Córki Chamomilli zeszywniały z przerażenia.

– Ależ Fry! Przecież ty nie możesz pamiętać instruktorek, byłaś niemowlakiem, kiedy Chamomilla wyniosła cię z wyspy! A poza tym tamte kobiety kierujące Wyspą Sierot dawno nie żyją!

– Ja wiem, że to instruktorka – wymamrotała skulona na podłodze Fry.

Mori ostrożnie wychyliła się przez okno i rozejrzała z uwagą dookoła. Jest. Kobieta stała przy kępie różowo kwitnących oleandrów. Patrzyła prosto na Mori. Chłodne, penetrujące spojrzenie. Dziewczynka odruchowo zacisnęła oczy i cofnęła się do sypialni.

„To w ogóle nie jest człowiek. Jakaś istota, ale nie człowiek. Nie ma koloru. Jest... wszystko w niej wygląda inaczej. Nawet te drobiny, z których zbudowany

jest cały świat, u niej drgają w innym rytmie. Nie mogę pozwolić, żeby tak na mnie patrzyła. Ona mnie zjada swoim patrzeniem”.

Otworzyła oczy. Wychowanki Chamomilli zbiły się w trwożną gromadkę.

– Czyli już wiemy – odezwała się głośno. – Porwały nas instruktorki.

– Zabiją nas. Zemszczą się – wyszeptwała Wija, wbijając palce w swoje ciemnokasztanowe loki. Z jej zielonych oczu o dziwnym kształcie wyzierał lęk.

– Nie – powiedziała stanowczo Mori. – Nie będą się mścić. One... nie mają takich uczuć jak ludzie. Wydaje mi się... że raczej chcą nas wykorzystać. – Przy tych słowach zadrżała lekko. „Raczej chcą nas zjeść albo coś w tym rodzaju” – pomyślała. – „Chyba jestem jedyną, w której instruktorki nie budzą tak panicznego lęku. Raczej odrazę. Nigdy nie miały nade mną władzy, ale dziewczyny Chamomilli już kiedyś były w ich rękach. Pewnie dlatego tak się boją. Może zachowała się w nich pamięć czasu spędzonego na Wyspie Sierot”.

Drzwi otworzyły się bezgłośnie. Instruktorka stanęła w drzwiach. Miała czarne włosy upięte do góry w wysoki, stożkowaty kok i bardzo ciemne oczy, jak dwie głębokie studnie. Ubrana była w prostą, białą suknię.

Jedyną jej ozdobę stanowił naszyjnik z dużych, blad różowych pereł. Dziewczęta zamarły. Stały zbite w ciasną gromadkę i jak zahipnotyzowane wpatrywały się w przybyłą. Instruktorka przez dłuższą chwilę mierzyła je spojrzeniem, po czym zażądała:

– Podajcie mi swoje imiona.

Wychowanki Chamomilli usłuchały natychmiast.

– Jestem Joven.

– Arta.

– Fry.

– Laszti.

– Wija.

– Helia.

– Mitrail.

– Craigne.

– A ty? – Czarne oczy spoczęły na milczącej Mori.

– Alienor – powiedziała wyzywająco dziewczynka.

– To nie jest twoje prawdziwe imię – stwierdziła instruktorka.

– Nie – potwierdziła spokojnie Mori.

– I tak mogę się w każdej chwili dowiedzieć – uśmiechnęła się drwiąco kobieta.

– Wiem, ale nie ode mnie. – Dziewczynka hardo uniosła brodę.

– Zabawne. – Instruktorka wcale nie wyglądała na rozbawioną. – No cóż, dziewczynko–która–nazwałaś–się– –Alienor, ubierz się. Wy pozostałe też. Ubrania są w tej skrzyni obok drzwi. Za pięć minut wyjdziecie na śniadanie.

Wyszła. Głęboki oddech ulgi. Fry padła na łóżko, Joven zakryła twarz rękami, po policzkach Mitrail płynęły łzy.

– Dlaczego nie powiedziałaś jej, jak się nazywasz? – spytała Laszti, wyłamując sobie palce ze zdenerwowania.

- Nie wiem – wzruszyła ramionami Mori. – Tak po prostu poczułam.
 - Nie boisz się jej? – wyszeptwała Fry.
 - Chyba nie. – Mori zastanowiła się. – Na pewno nie budzi we mnie takiego przerażenia, jak w was. Od tej chwili mówcie do mnie Alienor.
 - Ale ona nas i tak zmusi, żebyśmy cię wydały – powiedziała ze łzami w oczach Arta.
 - Nie sędzę – potrząsnęła głową Mori. – Jej zależy, żebym to ja sama powiedziała.
 - Skąd wiesz? – zdziwiła się Wija. – Przecież nie znasz instruktorek.
 - Ubierzmy się już – odezwała się nerwowo Joven.
- Z drewnianego, bogato rzeźbionego kufra zaczęły wyciągać ubrania. Były to całkiem ładne letnie, powiewne sukienki w pastelowych kolorach.
- Nie przypominają na szczęście więziennych uniformów – zażartowała Mori, wybierając zieloną.
- Dla każdej z nich była też para solidnych bucików na grubych podszewkach. Pasowały idealnie. Gdyby dziewczęta nie były tak poruszone i zdenerwowane, ten fakt na pewno by je zastanowił. W obecnej sytuacji jednak tylko Mori zadała sobie pytanie, skąd instruktorki знаły rozmiar ich obuwia. I gdzie się podziały ubrania, które miały na sobie w dniu porwania? I ile właściwie czasu upłynęło od owego dnia?
- Wyszły przed budynek, spodziewając się czekającej instruktorki. Zamiast niej w cieniu bananowców stała dziewczyna mniej więcej w wieku Joven. Miała błękitne oczy o łagodnym spojrzeniu i długie, prawie białe włosy aż do pasa.
- Jestem Tilia. Han Tori powiedziała, żebym zaprowadziła was do pawilonu jadalnego.
 - Han Tori to ta instruktorka o czarnych włosach? – chciała wiedzieć Mori.
 - Tak. Jest przełożoną wyspy.
 - A jak ta wyspa się nazywa?
 - Nie wiecie? – Błękitne oczy spojrzały ze zdziwieniem. – To Targisz. A jak się nazywała wasza wyspa?
 - Nasza wyspa? – powtórzyła z zaskoczeniem Mori.
 - Como – odpowiedziała krótko Joven.
- „Rzeczywiście. Ich wyspa nazywała się Como. Gdzie leży Targisz? Wiem. Morze Krabów, terytorium zależne Królestwa Druszów. Dziewięćset pięćdziesiąt dwie mile morskie od najbliższego lądu. To dlatego przetrwały. Herbata szczęścia tu nie dotarła. Ciekawe, co wie o nas ta dziewczyna. Czy zdaje sobie sprawę, że zostałyśmy porwane? Raczej nie. Wygląda jakoś mizernie. Jej kolory pozbawione są normalnej intensywności”.
- Szły ścieżką w szpalerze pomarańczowych drzewek. Słońce paliło mocno, więc kryły się w cieniu gałęzi. Tylko Tilia szła środkiem drogi. Widząc, jak chowają się przed gorącymi promieniami, powiedziała wciąż z tym samym pogodnym uśmiechem:
- Widzę, że nie jesteście przyzwyczajone do takiego intensywnego

nasłonecznienia. Słyszałam, że wyspa Como leżała w chłodniejszym klimacie. Nie martwcie się, z czasem przywykniecie do tutejszych warunków.

„Nie mam zamiaru do niczego się przyzwyczajać” – pomyślała buntowniczo Mori. Rozglądała się na boki, zapamiętując położenie najważniejszych punktów orientacyjnych. Grupa wysokich palm, dach jakiejś wieżyczki wystający zza gąszczu kolczastych krzewów, odchodzące w bok ścieżki – wszystko to rejestrowała na pamięciowej mapie wyspy. „Takie informacje prędzej czy później się przydadzą. Uważna obserwacja otoczenia nie raz uratowała życie wujkowi Rossowi. Ciekawe, co on by zrobił na moim miejscu?”

Pawilon jadalny był konstrukcją składającą się z szerokiego dachu wspartego na ośmiu kamiennych słupach. Rosnące wokół olbrzymie paprocie drzewiaste rzucały głęboki cień na rozstawione pod dachem stoły i siedzących tam ludzi. Idące pod przewodnictwem Tili dziewczęta zatrzymały się przed wejściem do pawilonu. Mori szybkim spojrzeniem obrzuciła posilające się osoby. „Osiem instruktorek i około czterdziestu wychowanek. Niektóre zupełnie dorosłe. Dlaczego? Powinny dawno opuścić wyspę. Te najstarsze nie wyglądają dobrze. Jakby były chore? Mają mało koloru. Nawet mniej niż Tilia. Nie podoba mi się sposób, w jaki przyglądają nam się instruktorki. Tak... zachłannie. Na przykład ta chuda ze spiczastym nosem w liliowej sukni... patrzy... och! Co ona robi!? Zabiera kolor Laszti!”

– Natychmiast przestań! – wrzasnęła Mori i doskoczyła do stołu instruktorek z zaciśniętymi pięściami.

2.

To był bardzo romantyczny wieczór i Ottinie ciężko było zacząć rozmowę, do której przygotowywała się przez dwa ostatnie dni. Siedzieli z Kastorem na brzegu strumienia, nad nimi rozgwieżdżone niebo i słodki zapach róż wokół. Westchnęła ciężko.

– Denerwujesz się przygotowaniem? – Musnął wargami jej włosy. – Jeszcze tylko trochę ponad tydzień i...

– Kastorze – przerwała mu gwałtownie. – Nie możemy teraz brać ślubu! Nie w chwili, kiedy wszyscy zajęci są poszukiwaniami dziewczynek...

– Dlaczego? Tak bardzo zależy ci na dużej liczbie druhen?

Jego żartobliwy ton oburzył Ottinę.

– To wychowanki Chamomilli. Gdyby nie ona, dawno już bym nie żyła. A gdyby nie Szklarka, nigdy nie poznałabym swojej mamy. Nie potrafiłabym cieszyć się i tańczyć na weselu, podczas gdy one dwie przeżywają tragedię.

– Och, moja piękna Ottino – westchnął – przecież poszukiwania dzieci mogą ciągnąć się w nieskończoność. A przynajmniej trwać przez cały następny rok. Ciężko mi będzie czekać.

– No to... – Odgarnęła opadające jej na twarz czarne pasmo włosów. – Weźmy cichy ślub, a potem skromne przyjęcie. Bez żadnych tańców, fajerwerków i

całego tego zamętu.

Kastor zasępił się. Pomyślał o babce – hrabinie Casteynel, która takie podejście do zaślubin jedyne go wnuka poczytałaby sobie za wielkie uchybienie. Żadna cicha uroczystość nie wchodziła w grę. Przekładanie terminu także nie. Połowa jego arystokratycznej rodziny obraziłaby się śmiertelnie.

– Stawiasz mnie w bardzo trudnej sytuacji.

– A ty w ogóle nie chcesz mnie zrozumieć! Do końca życia bym sobie nie wybaczyła, gdybym balowała, podczas gdy najbliższe mi osoby toną w smutku! Albo cichy ślub, albo przekładamy termin! – Wstała gwałtownie i podparła się pod boki. – A może nie chcesz się już ze mną żenić?

– Co ci w ogóle przychodzi do głowy? – spytał spokojnie, podnosząc się z trawy i stając naprzeciwko Ottiny. – Od chwili gdy po raz pierwszy cię ujrzałem, wiedziałem, że jesteś kobietą, z którą chcę spędzić resztę życia. I nadal tak uważam. Nie zdawałem sobie sprawy, że tak bardzo związana jesteś z tamtymi zaginionymi dziewczętami. Właściwie nigdy nie opowiadałaś mi o swoim dzieciństwie. Jakieś pojedyncze wzmianki o Chamomilli i o odzyskaniu matki. Może właśnie nadszedł czas, żebym dowiedział się czegoś więcej. – Ujął ją za rękę.

– Żeby cię lepiej zrozumieć, moja piękna Ottino.

– Dobrze – skinęła głową i ujęła go pod ramię. – Wolę jednak opowiadać, chodząc. Robię się niespokojna, wspominając tamte czasy.

Szli brzegiem strumienia, aż do sosnowego zagajnika, za którym skręcili w kierunku ogrodów otaczających zamek Casteynel. Kastor z uwagą wsłuchiwał się w opowieść narzeczonej, zastanawiając się jednocześnie, w jaki sposób wybrnąć z niezręcznej sytuacji. Wciąż stawała mu przed oczami ubrana w fioletowe aksamity surowa postać babki. Coraz bardziej zaczęła go też wciągać cała ta historia o strasznych instruktorkach, o wyprawie na wyspę Nut, o ucieczce z Wyspy Sierot...

– Nie, nie! – wykrzyknął nagle. – W to nie mogę uwierzyć. Weszłyście do książki? Przecież to niemożliwe! Byłaś wtedy małą przerażoną dziewczynką, może coś ci się poplątało. Może w bibliotece znajdował się jakiś tajny tunel, którym wyprowadziła was ta panna Grim razem z Chamomillą.

– Nic mi się nie poplątało. Możesz spytać Chamomillę albo Robiego Cayushu, który przyprowadził nas do domu Szklarki.

– To naprawdę niewiarygodne – zaśmiał się Kastor, rozkładając ręce.

– A u Szklarki była akurat moja mama i Ross, którzy myśleli, że zginęłam, kiedy instruktorki wysadziły wyspę. Ross powiedział, że jak mnie zobaczył, to od razu wiedział, że jestem córką Sorbity. A dla mnie była to najdziwniejsza chwila w życiu, bo nigdy nie myślałam o swoich rodzicach. W ogóle. I tu nagle okazuje się, że mam mamę. Na początku nie potrafiłam się nawet cieszyć i to mnie bardzo niepokoiło. Mama zaczęła mnie przytulać, a ja w ogóle nie wiedziałam, jak się zachować. Potem Szklarka wyjaśniła, że instruktorki robiły

nam w głowach coś takiego, żeby wszystko, co dotyczy rodziców było dla nas... no nie wiem, jak to określić – zakazane albo nieprzyjemne. I potrzebowałam trochę czasu, żeby naprawdę poczuć się dzieckiem swojej mamy.

– Co to znaczy, że instruktorki robiły wam coś w głowach? – Umysł Kastora z trudem nadążał za coraz bardziej niewiarygodnymi faktami.

– Nie umiem ci tego wytłumaczyć. Najlepiej rozumie to Chamomilla, ale nie sądzę, żeby była teraz w nastroju do wyjaśnień. Bardzo martwi się o dziewczynki. Wszyscy są prawie pewni, że zostały porwane przez instruktorki.

– Przecież mówiłaś, że instruktorki zginęły podczas wysadzania wyspy.

– Nasze instruktorki tak. Ale były jeszcze inne Wyspy Sierot. Niektóre mogły przetrwać.

Doszli do zamku. Na Ottinę czekał już powóz, który miał ją odwieźć do domu.

– Pojadę z tobą – zdecydował Kastor, błyskając w uśmiechu zębami. – Muszę porozmawiać z Rossem.

– A jaką decyzję podjąłeś w sprawie naszego ślubu?

– Właśnie o tym chcę porozmawiać z twoim ojczymem.

Jego błękitne oczy zaślniły figlarnie. „No babciu, tyle razy mówiłaś, żebym zachowywał się godnie, jak przystało na potomka walecznego barona Roderyka Casteynela. Teraz mam okazję wypełnić twoje przykazanie. I przedstawię ci argumenty, którym nie wypada się sprzeciwić”. Wsiadł do powozu razem z Ottiną.

– Do Como! Jak najszybciej! – przykazał woźnicy.

3.

Odizolowały ją od reszty. Mogła to przewidzieć. Nie powinna wybuchać w tak niekontrolowany sposób. Ale patrzeć, jak ta straszna kobieta wysysa kolor z Laszti?! Patrzeć i nic nie zrobić? Oczywiście Laszti niczego nie czuła, ani inne dziewczęta. One nawet nie wiedzą o swoich kolorach. A instruktorki od razu zrozumiały, że Mori je widzi. Nawet nie mrugnęły okiem, tylko ta najważniejsza, Han Tori, powiedziała, że po śniadaniu Mori zostanie odprowadzona do osobnego domu, bo zakłóca równowagę. Tak powiedziała: „zakłóca równowagę”. Mori prychnęła na to wspomnienie. Mogły równie dobrze od razu ją wyprowadzić. Jedzenie było po prostu paskudne. Najgorsze te pasty serowo-warzywne o dziwnym smaku. Wypluła pierwszy kęs i już więcej nie brała niczego do ust. Na pewno dodają jakichś otepiających ziół. Tutejsze wychowanki są takie potulne i nienormalnie spokojne. I wszystkie miło się uśmiechają. Jeśli dziewczyny Chamomilli będą się żywić tymi papkami, to najprawdopodobniej wkrótce staną się takie same.

Myślenie o jedzeniu sprawiło, że poczuła się głodna. Miniaturowy kamienny domek, w którym kazały jej mieszkać, nie był zamykany na klucz. Wyszła na zewnątrz. W pobliżu rosły bananowce. Owoce były dojrzałe i szybko zaspokajały głód. „Czas teraz na spacer po wyspie” – pomyślała. – „Najpierw

jednak muszę znaleźć jakieś nakrycie na głowę, inaczej słońce wypali mi mózg. Właściwie liść bananowca świetnie się do tego celu nadaje”. Już miała go zerwać, gdy wyczuła za sobą czyjąś obecność. Obejrzała się.

Han Tori stała oparta o pień akacji i nieruchomym wzrokiem przyglądała się Mori.

– Nie widzę, żebyś szczególnie opłakiwała oddzielenie od twoich towarzyszek. Dziewczynka tylko wzruszyła ramionami.

– Wszystkie wychowanki wyspy uczestniczą co dzień w zajęciach, ucząc się rysunku, malarstwa i rzemiosł artystycznych – ton instruktorki był suchy i rzeczowy. – Ty także masz się każdego ranka stawiać w pracowni. Tylko spać będziesz osobno. Nie życzę sobie więcej żadnych wybuchów. Od każdej z wychowanek oczekuje się panowania nad uczuciami.

„Bardzo dobrze. Będę panowała. A ty, Han Tori, przypominasz mi zmię z pustyni Herad. Wujek Ross ma jedną. Wypchaną. Bardzo chcesz, żebym się ciebie bała. Żebym była przerażona. Chyba nie wiesz, że jestem córką Thei Felicitatis, która pokonała instruktorki. Chyba ten padlinowy człowiek nie poinformował cię o tym... Aaaach!”

Mori poczuła się nagle tak, jakby długie zimne palce wciskały jej się do głowy. Jakby ktoś chciał się jej wedrzeć w myśli. Nie zastanawiając się nad tym, co robi, zacisnęła powieki i zaczęła liczyć. Wyobrażała sobie ciągi cyfr, potem mnożyła przez siebie trzycyfrowe liczby i wykonała kilka skomplikowanych działań na ułamkach. Szperające palce wycofały się. Odetchnęła, otworzyła oczy i wierzchem dłoni otarła kropelki potu, które zebrały jej się nad górną wargą. Wyzywająco popatrzyła na instruktorkę. Wzrok przełożonej był nadal obojętny i nieruchomy, ale Mori zauważyła jakąś trudną do określenia zmianę w jej kamiennych rysach. Wyczuła, że Han Tori jest zaskoczona.

– Chodźmy do pracowni – odezwała się instruktorka, nie komentując ani słowem tego, co przed chwilą zaszło.

„One mogą czytać w myślach. To niesprawiedliwe, że ja nie mogę. Ten dar, który miała moja babka, bardzo by się teraz przydał. Na szczęście wyczułam, że ona chce mi zajrzeć do głowy, ale muszę się pilnować. Ciekawe, skąd wiedziałam, że powinnam liczyć. Nie spodobało jej się to. Z drugiej strony, upewniła się, że nie jestem taka, jak inne wychowanki. Pewnie weźmie mnie pod ściślejszy nadzór. A może nie. Powinnam pamiętać, że to nie jest człowiek i nie rozumuje po naszymu. A ja? Kim jestem, skoro widzę kolory, których nikt nie widzi, i drgające drobiny, z których składa się wszechświat? I umiem myślał przesuwając przedmioty. Rodzice twierdzą, że to dlatego, że poczęłam się... UWAGA!!! $28, 35, 1224, 585 + 453 = 1038$ Uff... Przestała. Ależ jest uparta! O czym to ja myślałam? Aha, czy jestem człowiekiem”.

Mori była tak zatopiona w myślach, że dopiero gdy idąca przed nią instruktorka przystanąła, dziewczynka zauważyła podłużny budynek zaopatrzony w duże okna i szereg osobnych wejść.

– Tu mieszczą się pracownie. Zaczynasz od nauki podstaw rysunku.

Mori wzruszyła ramionami. Może zacząć od czegokolwiek.

Han Tori otworzyła drugie od lewej strony misternie rzeźbione, ażurowe drzwi i wprowadziła ją do pustej sali.

– Będę sama?

– Nasze wychowanki już dawno opanowały sztukę rysunku, a twoje towarzyszkę zostały porozmieszczane po innych pracowniach.

– Kto mnie będzie uczył?

– Ja. – Na wargach instruktorki zaigrał lekki uśmiezek.

„O nie. Czy nie będę miała ani chwili wytchnienia? Ta harpia będzie wykorzystywała każdą okazję, żeby dowiedzieć się, o czym myślę. Harpia? Ciekawe, skąd przyszła mi do głowy taka nazwa. Harpia. Co to może być?”

– Tu masz arkusze papieru i ołówki grafitowe różnej twardości. Na początek zajmiesz się rysowaniem martwej natury.

Han Tori rzuciła na stół kiść bananów i nóż z ozdobnie rzeźbioną rękojeścią. Z tyłu postawiła kamienny dzban. Mori zabrała się za rysowanie. Co jakiś czas wykonywała w myślach obliczenia matematyczne. Tak na wszelki wypadek. Odtwarzając ornamenty na powierzchni dzbaną, zdała sobie sprawę, że jest on bardzo stary. Bardzo, bardzo stary. I że nie zrobił go żaden człowiek. I że to, co widnieje na jego chropowatej powierzchni, to wcale nie ornamenty, tylko pismo. Gdyby mocno się skupiła... gdyby nie musiała co chwila liczyć w myślach i mieć się na baczności przed Han Tori, to prawdopodobnie zdołałaby je odczytać. Postanowiła, że to zrobi, jak tylko zostanie sama w pracowni.

– Już skończyłam.

Instruktorka przez długą chwilę studiowała pracę dziewczynki.

– Kto cię uczył rysunku? – spytała.

– Nikt. – Mori pomyślała, że po raz kolejny dzisiejszego dnia zaskoczyła Han Tori.

– Aha. – Czarne oczy instruktorki studiowały uważnie twarz dziewczynki. – Czy malujesz równie dobrze?

– Przypuszczam, że tak.

– Zobaczymy, co powie Eilix.

Eilix, śniada piękność o skośnych oczach, uczesana w długi do kolan warkocz, urzędowała dwie pracownie dalej. Pachniało tam terpentyną i olejami. Kilka dziewcząt ubranych w fartuchy stało przy sztalugach, malując stojący na stole bukiet kwiatów. Nie było wśród nich, jak zauważyła Mori, żadnej z wychowanek Chamomilli.

Han Tori podeszła do nauczycielki malarstwa i szepnęła jej coś do ucha. Tamta kiwnęła głową, podeszła do stojącego pod ścianą regału i ustawiła na wolnych sztalugach naciągnięte już na ramę i zagruntowane płótno.

– Jak masz na imię? – spytała, wręczając jej gliniany wazonik z pędzlami różnych rozmiarów.

– Alienor – powiedziała Mori.

Ucieszyło ją że nie dała się złapać w tę subtelny pułapkę.

Han Tori zacisnęła wargi, odwróciła się i wyszła.

– A więc... Alienor, spróbuj namalować te kwiaty – poleciła Ellix.

Malując, Mori przyglądała się wychowankom. Pracowały w skupieniu, nie rozmawiając ze sobą. Czasami zerkwały na nią ale gdy tylko je na tym przyłapywała, odwracały wzrok. Co jakiś czas Ellix pochylała się nad którąś z dziewcząt i robiła to samo, co tamta instruktorka przy śniadaniu – kradła kolor. Po prostu wdychała go nosem, jak wdycha się zapach kwiatu albo ulubionych perfum. Mori poczuła wściekłość i bezsilność zarazem. Wiedziała, że nic nie może zrobić, żeby powstrzymać ten okropny proceder. Czowała, że dziewczęta okradane z koloru stają się słabsze i podatniejsze na rozkazy instruktorek. Była tego pewna, choć jak zwykle, nie bardzo wiedziała, skąd ta pewność pochodzi. Machała pędzlem, bez wysiłku malując bukiet tropikalnych kwiatów, a jej umysł zmagał się z niemożliwymi do rozwiązania problemami. Jak powstrzymać instruktorki, jak uwolnić wychowanki, jak uciec z wyspy i wreszcie... jak zawiadomić rodziców. Tym razem szperające w mózgu palce były delikatniejsze. Nie zorientowała się od razu. Dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że ktoś sięga jej myśli i zaczęła liczyć, podnosząc jednocześnie wzrok na Ellix.

– Nie zgadzam się, żeby pani grzebała w mojej głowie – powiedziała głośno. – Nikt pani nie nauczył, że to kradzież?

„Być może przeholowałam” – pomyślała, widząc wyraz twarzy Ellix i autentyczne przerażenie w oczach dziewczynek. – „Ale nie mam wyjścia, muszę je wyrwać z tego sennego bezwładu i posłuszeństwa”.

– Na wyspie Targisz wszyscy mówimy sobie po imieniu – zwróciła jej uwagę instruktorka lodowatym tonem. Ani słowem nie odniosła się do zarzutów Mori.

– Ja nie jestem z wyspy Targisz, mam inne zwyczaje – padła harda odpowiedź.

Ellix zrobiła krok w jej stronę. W skośnych oczach pojawił się niebezpieczny błysk.

– Słuchaj, moja mała, Alienor, czy jak się tam nazywasz. Nie igraj z nami, bo nie wiesz, jak bardzo niebezpieczne potrafimy być. To, że jesteś trochę inna od pozostałych, nie znaczy... – Urwała w pół słowa i wpatrzyła się w obraz Mori. Namalowane przez dziewczynkę kwiaty zdawały się żyć, oddychać, a nawet prężyć się w jakimś utajonym gniewie. Liście sprawiały wrażenie, jakby poruszał nimi niewidzialny wiatr. Mori sama była zdziwiona tym, co wyszło spod jej pędzla. Podczas nakładania warstw farby na płótno nie zastanawiała się nad tym, co robi. Skupiała się raczej na Ellix i dziewczynkach. Wygląda na to, że jej oburzenie odzwierciedliło się w obrazie.

– Malujesz bardzo dobrze – odezwała się w końcu instruktorka. – Myślę, że nie ma potrzeby, żebyś miała ze mną lekcje. Możesz wyjść.

„Wytrąciłam ją z równowagi” – pomyślała Mori, wychodząc na zalany słońcem placyk przed pawilonem.

– „Muszę zobaczyć, co się dzieje z córkami Chamomilli”. Zaczęła zaglądać do okien poszczególnych pracowni. Arta i Fry zajęte były malowaniem

porcelanowych dzbanów. Joven i Helle znalazła w warsztacie tkackim – pochylały się nad barwnym gobelinem. Pozostałe cztery uczestniczyły w wykładzie o zasadach perspektywy, prowadzonym przez jasnowłosą instruktorkę o bladej cerze, dziwnej w tak słonecznym klimacie.

Po okrążeniu budynku mieszczącego pracownie skręciła w najbliższą ścieżkę, która jasną smugą przecinała skłębiony gąszcz bujnej roślinności. Powietrze napełniały ptasie śpiewy. Nad głową Mori zwisały grona storczyków o nakrapianych płatkach.

„Czas na oględziny wyspy. Miejmy nadzieję, że teraz żadna instruktorka mi nie przeszkodzi. Najpierw trzeba dotrzeć do morza, a potem poruszać się wzdłuż linii brzegowej. Tak na pewno zrobiłby wujek Ross. To dziwne, że nikt mnie nie pilnuje i pozwalają mi robić to, co chcę. Bardzo prawdopodobne, że któraś z tych kobiet jednak mnie obserwuje, więc co jakiś czas będę liczyć. Ależ tu gorąco. I tak parno, że nie ma czym oddychać. Chyba kiepski czas wybrałam sobie na wędrowkę. Zawrócę, prześpię się trochę i gdy osłabnie upał, spróbuję się znowu wymknąć”.

Ale nie mogła już wrócić. Ścieżka, którą szła, nagle znikła. Za jej plecami wyrastał zbity gąszcz tropikalnej dżungli. Straciła poczucie kierunku. Ona, która miała zawsze doskonałą orientację w terenie. Usiadła w cieniu rozłożystego figowca i podparła głowę rękami. Zdziwiło ją, że nie czuje strachu.

„W ten sposób się mnie pozbyły” – zauważyła rzeczowo. „Może to i lepiej. Przynajmniej będę miała spokój. Nikt nie będzie mi grzebał w myślach”.

4.

Otworzyła oczy. Kolejny poranek, kiedy budzi się z sercem ciężkim jak kamień. Stanięcie twarzą w twarz z nadchodzącym dniem wydaje się ciężarem ponad siły. Wolałaby spać i nie myśleć, co dzieje się z jej córką. Minał już tydzień od zniknięcia Mori. Tydzień bezsilności, oczekiwania, rozpacz. Gdyby tylko mogła coś zrobić! Ross obiecał, że dzisiaj będzie wiedział, które siedliska instruktorek jeszcze istnieją. Wtedy wyruszą w drogę. Ona też. Nie będzie czekała w Versathis z założonymi rękami. To by ją zabiło, zwłaszcza że do strachu o Mori dołączyłby się strach o Scabera. Chociaż taka wyprawa może się okazać beznadziejnym przedsięwzięciem. Posiadłości instruktorek są dobrze strzeżone. Już kiedyś Ross próbował wdrzeć się na Wyspę Sierot. Chciał wydostać stamtąd Ottinę i omal nie przyplacił tego życiem. Może jednak wystarczyłoby podpłynąć dostatecznie blisko z herbatą szczęścia, żeby jej wpływ unieszkodliwił te straszne kobiety.

Ubrała się i wyszła do ogrodu. Widok kwiatów i drzew zawsze ją uspakajał, ale tym razem mieniące się kolorami rabaty podziały na nią przygnębiająco. Że też świat może być nadal tak samo piękny, mimo że Mori zniknęła! Myślała, że zużyła już cały zapas łez, ale właśnie nowe napłynęły jej do oczu, rozmazując krajobraz tak, że widziała tylko barwne smugi.

– Theo! – Rozpoznała głos Chamomilli, która od chwili zniknięcia dziewczynek gościła w Versathis.

Szklarka bardzo nalegała, żeby przyjaciółka mieszkała z nimi, dopóki nie uda się odzyskać dzieci.

– Theo! – zabrzmiało bardziej nagłaco.

– Już idę! – odkrzyknęła, ocierając łzy.

Chamomilla stała u szczytu schodów, z rękami założonymi na piersiach i miną wyrażającą ponurą determinację. Powieki miała zaczerwienione i spuchnięte, a pod oczami sine koła. Z jej twarzy znikł ten pogodny wyraz, który tak dobrze znały wszystkie wychowanki.

– Zjedz śniadanie i jedziemy rozmówić się z Pepperią – powiedziała szorstko, gdy tylko zobaczyła wynurzającą się spomiędzy różanych krzewów Szklarkę.

– Ona nie zechce z nami rozmawiać.

– Wystarczy, że się z nią zobaczymy. Idź do jadalni, opowiem ci wszystko, kiedy będziemy w powozie.

– Muszę zostawić wiadomość Scaberowi...

– Już go uprzedziłam.

– Jesteś niezwykle osobą, Chamomillo – pokręciła głową Szklarka.

Wypiła poranną kawę i zmusiła się do zjedzenia jednego rogalika z masłem. Nie czuła jego smaku. Myślami była przy czekającej ją rozmowie z księżną Shadd. „Pepperia wyprze się wszystkiego. Może nawet udawać, że nam współczuje, ale w duchu będzie skakać z radości. Nie wiem, jak zniosę to spotkanie. Dlaczego Chamomilli tak na nim zależy?” Spojrzała na stojącą przy drzwiach przyjaciółkę. Nawet nie usiadła. Niecierpliwie przestępowała z nogi na nogę i marszczyła brwi.

Szklarka przełknęła ostatni kęs śniadania i już była na nogach.

– No mów! – ponagliła Chamomillę, gdy tylko wsiadły do jasnokremowego landa, opatrzonego herbem Sedunów. W tak gorący dzień jazda zamkniętym pojazdem byłaby torturą.

Konie ruszyły, koła zaturkotały na brukowanym podjeździe, a potem już ciszej toczyły się żwirową aleją. Chamomilla nachyliła się nad uchem Szklarki. Nie chciała, żeby woźnica ją usłyszał. Nawet tak zaufany sługa jak Dacjusz.

– Postanowiłam wykorzystać swój dar – szepnęła.

– Chamomillo! – Szklarka zdawała sobie sprawę, że taka decyzja musiała wiele kosztować przyjaciółkę, która wzdragała się nadużywać daru czytania w myślach i wykorzystywała go jedynie w wyjątkowych sytuacjach.

– Przemyślałam to. To, czego się dowiem, nie zostanie wykorzystane przeciwko Pepperii. Tak będzie wyglądało moje zadośćuczynienie za bezprawne wejście w jej umysł. Zależy mi tylko na informacji, gdzie są dziewczynki.

– Będąc na twoim miejscu, Pepperia nie miałaby takich skrupułów.

– Wiem, Theo, ale nie ma to dla mnie znaczenia. Gdybym nie przestrzegąла swojego prywatnego kodeksu zasad, nie wiem, kim bym się stała po tylu latach spędzonych wśród instruktorek.



Tym razem bramy zamku Shadd nie były otwarte na oścież. Wąsaty strażnik pełniący służbę przy zewnętrznych murach zlustrował przybyłe kobiety nieprzyjaznym wzrokiem. Nie zrobił na nim wrażenia ani herb Sedunów, ani dostojny wygląd siedzących w powozie osób.

– Nie wiem, czy księżna dziś panie przyjmie, skoro nie były panie umówione.

– Pani Sedun jest siostrą księżnej Shadd. Traktowanie jej bez należnego szacunku może cię drogo kosztować. – Chamomilla wychyliła się z powozu i pogroziła palcem odźwiernemu.

– Siostra nie siostra, muszą panie poczekać – burknął odźwierny i dmuchnął w wiszący na szyi gwizdek.

Na jego dźwięk od strony bramy wewnętrznej nadbiegł długonogi, kościsty chłopak ubrany w połataną koszulę.

– Biegnij zawiadomić ochmistrza, że dwie damy pragną widzieć się z wielmożną panią. Jedna z nich jest podobno siostrą wielmożnej pani, a druga nazywa się...

– Chamomilla.

– Chamomilla i jak dalej? – dociekał wąsacz.

– Po prostu Chamomilla.

Strażnik skrzywił się, jak po łyknięciu octu.

– Słyszałeś? – Trącił chłopaka w ramię. – Po prostu Chamomilla. Tak powiedz ochmistrzowi.

– Po prostu Chamomilla. – Wzruszył ramionami i kręcąc głową wycofał się w cień kamiennej wieżyczki strzegącej wjazdu.

– To upokarzające, że musimy tu czekać jak żebracy proszący o jałmużnę. – Szklarka zagryzła wargi. Gdyby nie Mori, natychmiast kazałaby woźnicy odjechać.

– Zapewniam cię, że żebracy omijają z dala to miejsce. Nie mieliby tu czego szukać. – Chamomilla założyła ręce na piersi. – Może Pepperia po prostu boi się żandarmów, stąd te środki ostrożności. Chce się przygotować przed ewentualnym śledztwem.

– Nie wyglądamy na żandarmerię. Ciekawe, czy kazałaby tak czekać samej królowej Kewenie?

W tym momencie usłyszały za sobą tętent końskich kopyt.

– Niedługo będzie tu cała kolejka interesantów – mruknęła, nie oglądając się, Szklarka. – Odźwierny już się zaczął.

Na widok jeźdźca strażnik najpierw wyprężył się na baczność, a potem zgiął się w głębokim ukłonie.

– No proszę, istnieją jednak tacy, którzy mają przywileje – zauważyła uszczypliwie Chamomilla.

Szklarka ciekawie zerknęła na przybysza.

– Ależ to... księżę Shadd – wyszeptała.

Mężczyzna podjechał ku nim. On także je rozpoznał.

Ciemnoczerwony rumieniec wypłynął na jego zapadłe policzki.

– Pani hrabina Sedun i pani Chamomilla! – Zsiadł z konia i podszedł do powozu. – Witam serdecznie. Jestem bardzo poruszony zniknięciem dzieci. To... musi być okropne przeżycie... Jeśli mogę coś zrobić... A w ogóle, dlaczego nie wjeżdżają panie dalej?

– Pański strażnik kazał nam czekać na pozwolenie księżnej – odpowiedziała Chamomilla, obrzucając księcia współczującym spojrzeniem.

Gourdren Shadd wyglądał jeszcze gorzej niż na przyjęciu. Zacięte w ponurym grymasie usta, zapadnięte oczy, wyostrome rysy. Robił wrażenie człowieka chorego albo trawionego tajemnym zmartwieniem.

– To niedopuszczalne – powiedział, patrząc surowo na odźwiernego. – Osoby z rodu Sedunów są zawsze mile widziane w zamku Shadd.

Znow wskoczył na siodło.

– Jedź za mną – zwrócił się do woźnicy siedzącego na koźle z niewzruszoną miną.

Ruszyli w stronę wewnętrznej bramy. Po drodze minął ich pędzący od strony zamku wysoki chłopak. Widząc jadący powóz, zatrzymał się jak wryty. Pośpiesznie uklonił się księciu i stał z otwartymi ustami, dopóki pojazd i jeźdźcie nie dotarli na dziedziniec. Dopiero potem wystartował do biegu i zdyszany stanął przed wieżyczką, w której rezydował odźwierny.

– Wiel... Wiel... można Pani powiedziała, że dziś nie ma czasu.

– No i co z tego – powiedział kwaśno strażnik bramy. – Księżę ma widać inne zdanie i nic dobrego z tego nie wyniknie. Dla nas oczywiście.

Chłopak westchnął.

– Księżna będzie się złościć. – Strapiony podrapał się w głowę.

– Ciesz się, że nie jesteś jej pokojówką.



Po wystraszonych spojrzeniach służby zorientowały się, że nie będą mile widziane przez Pepperię. Księżę zdawał się nie zauważać ani umykających w pośpiechu pokojówek, ani ponurej miny ochmistrza.

– Panie pozwólą do salonu. – Skłaniając lekko głowę, przepuścił je przed sobą.

Przechodząc obok służących, rzucił kilka krótkich poleceń:

– Konstancjo – herbata. Arsenino – ciasta i owoce. Tylko szybko. Sutrey – zwrócił się teraz do ochmistrza – pójdziesz do pani i powiesz, że goście czekają już w salonie. I ja z nimi.

– Ale... – Twarz majordomusa poszarzała.

– Nawet jeśli pani jest bardzo zajęta, to przekonany jestem, że znajdzie chwilę czasu dla własnej siostry, którą dotknęło nieszczęście.

Ochmistrz takiego przekonania nie miał, ale nie pozostawało mu nic innego jak

spełnić rozkaz pana i narazić się na gniew księżnej, wyrażający się między innymi w rzucaniu ciężkimi przedmiotami i niszczeniu wszystkiego dookoła.

Na zaproszenie księcia Szklarka i Chamomilla zasiadły w obitych bladoniebieskim aksamitem fotelach. Cały salon utrzymany był w odcieniach jasnego błękitu, być może po to, żeby podkreślać kolor oczu Pepperii. Eleganckie i kosztowne meble porozstawiane w różnych konfiguracjach w tym obszernym pomieszczeniu świadczyły o dobrym smaku i bogactwie właścicieli. Szklarka rozpoznawała wyroby, które wyszły spod dłuta najsłynniejszych rzemieślników obecnego wieku, ale były też rzeczy starsze. W kącie stał wysoki na półtora metra antyczny wazon pochodzący, po ornamentach sądząc, z pracowni mistrza Xiu, żyjącego w państwie Lian za czasów panowania cesarza Hat-Tai.

Służące nakryły białym obrusem niewielki stolik na giętych nóżkach. Ustawily na nim talerzyk z piramidą maleńkich ciasteczek i filiżanki z delikatnej porcelany malowane w bukietki fiołków. Szklarka była prawie pewna, że ten serwis jest dziełem Zadii, artystki z Wyspy Sierot, tworzącej przed trzema wiekami. Musiał kosztować majątek.

– Panie wybaczą tak niemiły początek wizyty. – W głosie księcia brzmiała szczerza skrucha. – Nasi służący nie odróżniają czasem, których gości należy przyjmować bez względu na okoliczności. Rad jestem, że mimo wszystko raczyły panie wejść w nasze progi.

Gourdren Shadd, syn starożytnego arystokratycznego rodu, od dziecka nasiąknął regułami prowadzenia rozmów, w których niewygodne prawdy należało przemilczać lub zastępować znacznie wygodniejszymi półprawdami. Szklarka nienawidziła tego. W obecnej sytuacji, kiedy jej serce przepelniał lęk o Mori, było to jeszcze trudniejsze do zniesienia. Mimo odruchowej sympatii do księcia, nie miała ochoty wdawać się w pełną eufemizmów konwersację.

– Nie sędzę, aby wina leżała po stronie służby – powiedziała wprost. – Doskonale zdaję sobie sprawę z tego, że Pepperia nie darzy mnie sympatią. Siła jej negatywnych uczuć przeważa nad dobrym wychowaniem.

– Miałem nadzieję, że z czasem zadawnione animozje zaczną wygasać. – Księżę ze smutkiem pochylił głowę. – Widzę jednak, że i pani...

Głośny tupot w korytarzu nie pozwolił mu dokończyć. Nadbiegł ochmistrz, zasapany, czerwony, z oczami wybałuszonymi, jakby zobaczył widmo.

– Wielmożna Pani! Chyba źle się poczuła! Leży na podłodze w swoim pokoju!

Księżę poderwał się z miejsca.

– Proszę, niech panie poczekają. Może to tylko chwilowe omdlenie albo jakaś niedyspozycja.

Jego ton świadczył bardziej o tłumionym gniewie niż o zmartwieniu. Szklarce przyszło do głowy, że Gourdren Shadd nie wierzy w zasłabnięcie Pepperii i podejrzewa, że żona udaje chorą po to, by nie być zmuszoną wychodzić do gości.

– Chyba jednak powinniśmy pójść – szepnęła Szklarka do Chamomilli, kiedy

tylko książkę wyszedł z salonu. – To robi się okropnie żenujące.

– Musimy tu zostać ze względu na dzieci. – Chamo– milla patrzyła na przeciwległą ścianę, na której wisiał oprawiony w złote ramy portret jakiejś damy. – Gdyby nie one, nie siedziałabym tu ani chwili dłużej.

– Peppera może nie wiedzieć, gdzie są dziewczynki. Cały czas się zastanawiam, jak jej się udało skontaktować z instruktorkami? I skąd wiedziała, że będą chciały porwać dzieci? To wszystko jest takie zagmatwane.

– Może instruktorki same ją odszukały? Muszą mieć jakichś pośredników. Przecież zginęłyby w tym kraju, gdzie herbata szczęścia rośnie w każdym rowie. Szklarka ścisnęła dłońmi głowę.

– Coraz więcej pytań i żadnej odpowiedzi – powiedziała, przymykając oczy. Powieki piekły ją od wylanych w ciągu ostatnich dni łez.

W tym momencie wrócił Gourden Shadd. Popatrzył na nie z dziwnym wyrazem twarzy. Wyglądał jak człowiek, który przed chwilą przeżył silny szok.

– Coś się stało? – spytała Chamomilla.

– Peppera chyba nie żyje – powiedział nieswoim głosem. – Leży na podłodze... nie oddycha. Nie mogłem wyczuć serca. Muszę natychmiast wezwać lekarza i królewską policję. Ona... nie chorowała na nic... Wygląda... Myślę, że mogła zostać otruta.

Obrócił się na pięcie i wyszedł, po raz pierwszy w życiu zapominając o obowiązkach gospodarza.

Siedzące w salonie kobiety popatrzyły na siebie bez słowa. Wiadomość była piorunująca. Peppera nie żyje? Peppera otruta? Kto mógł to zrobić i dlaczego? Jednocześnie wstały z foteli.

– Chodźmy stąd. Powinnam współczuć księciu, ale nie czuję smutku – odezwała się półgłosem Szklarka.

– Żal mi tylko, że nie udało nam się niczego dowiedzieć. Jedyne osoba, która mogła mieć związek z porwaniem dziewczynek, nie może już udzielić żadnej informacji.

Ruszyła w kierunku wyjścia.

– Poczekaj! – Chamomilla chwyciła ją za rękaw. – Chcę zobaczyć Pepperię.

– Po co?

– Ten, kto ją otruł, może współpracować z instruktorkami. Może bał się, że Peppera go wyda? Mamy szansę trafić na jakąś wskazówkę. Adres zapisany na świstku papieru albo coś w tym rodzaju.

– Nie wierzę, że oglądanie martwego ciała na coś się przyda – wzdrygnęła się Szklarka. – Chcę natychmiast opuścić ten dom!

Chamomilla objęła ją.

– Theo, tak mało wiemy. Rozumiem, co czujesz, ale czasami dobrze jest posłuchać intuicji.

– Twojej intuicji – mruknęła pod nosem Szklarka i z ociąganiem poszła za Chamomillą.

Znalazły się w korytarzu obwieszonym portretami kolejnych pokoleń rodu

Shadd. Zagłądały do leżących po obu stronach pomieszczeń, ale były to tylko kolejne elegancko umeblowane pokoje, które wyglądały na niezamieszkałe. Może przeznaczano je tylko dla nocujących w zamku gości? Wszędzie panowała martwa cisza, jakby wszyscy gdzieś się pochowali na wieść o śmierci księżnej. Dotarły do klatki schodowej. Chamomilla bez wahania zaczęła wspinać się po szerokich kamiennych stopniach. Szklarkę dręczyło poczucie, że robią coś wysoce niewłaściwego.

Kiedy znalazły się na piętrze, okazało się, że cały korytarz pełen jest służby, a największa liczba szepczących trwożliwie pokojówek tłoczy się przy szeroko otwartych białych drzwiach, zdobnych w błękitno–złote ornamenty. Chamomilla śmiało wkroczyła w poruszony tłumek. Służące odruchowo rozstąpiły się przed jej majestatyczną postacią.

Pepperia leżała na ziemi tuż obok toaletki zastawionej kosmetykami. Na jej twarzy malował się wyraz łagodnego zdziwienia. Nawet po śmierci jej niezwykła uroda robiła wrażenie. Szklarka pomyślała nawet, że Pepperia nigdy nie wyglądała tak młodo i pięknie, jak w tej chwili.

– Aż trudno uwierzyć, że nie żyje – odezwał się ktoś za nią.

– A jeszcze pół godziny temu kazała przygotować sobie kawę ze śmietanką i kąpiel.

– Kąpiel? W środku dnia?

– Dziwne, ale spróbuj choć trochę się zawahać, a zaraz jakiś wazon wyląduje na twojej głowie.

– Już nie wyląduje.

– Ano nie.

Chamomilla delikatnie wycofała się ze zbiegowiska i skinęła na Szklarkę. Zeszły na dół, aż na sam dziedziniec.

– Nie pożegnamy księcia? – Szklarka rozejrzała się, czy nie zobaczą gdzieś wychudłej sylwetki gospodarza.

– Myślę, że lepiej nie dokładać mu obowiązków. Ci arystokraci mają tak dziwaczne zwyczaje, że Shadd mógłby nalegać, abyśmy pozostały na obiedzie, żeby zrekompensować nam niemiły finał wizyty. Prześlesz mu potem okolicznościowe kondolencje – doradziła trzeźwo Chamomilla. – Już chyba nabrałaś wprawy w wysyłaniu bilecików na każdą okazję – dodała uszczypliwie. Szklarka tylko się skrzywiła.

Dopiero kiedy wyjechały poza bramy zamku, dotarło do niej, że śmierć Pepperii zasmuci marszałka Thunberenga.

– Biedny ojciec – westchnęła. – Znów stracił kogoś bliskiego.

– Czy nie wydało ci się dziwne, że Pepperia wygląda tak... olśniewająco? – spytała Chamomilla, której myśli biegły zupełnie innym torem.

– Zawsze była ładna.

– Ale teraz robiła wrażenie siedemnastoletniej dziewczyny. Jakby w ciągu ostatniego tygodnia odmłodziła o kilkanaście lat.

– Och, co to ma za znaczenie? Widziałaś te piramidy kosmetyków.

– Co to ma za znaczenie? – powtórzyła Chamomilla. – Otóż ma. Tylko instruktorki znały sekret wiecznej młodości. Nie zmieniały się nigdy. Wyglądały tak samo zarówno wtedy, gdy byłyśmy małymi dziewczynkami, jak i dwadzieścia lat później.

– Sądziś, że dały Pepperii coś na odmłodzenie? Że za jakiś specyfik kupiły nasze dzieci?

– Na to wygląda.

Szklarka nie miała ochoty kontynuować rozmowy. Mimo że Pepperia była jej wrogiem, nie czuła satysfakcji. Ostatecznie to siostra. Jedyna, jaką miała.

5.

Pożółkły liść figowca ledwie trzymał się gałęzi. Wystarczyło lekkie dmuchnięcie zachodniego wiatru, a pozbawiony soków ogonek oderwał się i skórzasty liść opadł w dół, lądując na policzku śpiącej pod drzewem dziewczynki. Mori otworzyła oczy. Aha. Wyspa Targisz. Instruktorci. Usiadła. Było późne popołudnie. Z tego, co wiedziała o krajach tropikalnych, wynikało, że słońce niebawem zajdzie. Bardzo szybko. Bez żadnych przedłużonych zmierzchów. Nie bała się. To było dziwne. Właściwie powinna odczuwać strach. Sama w dżungli, zdana tylko na siebie, bez rodziców, na terytorium instruktorek... Normalne dwunastoletnie dziecko byłoby przerażone. „Ale ja nie jestem normalnym dwunastoletnim dzieckiem i czas nareszcie przyznać to przed sobą”. Wstała. Otrzeпаła ubranie i rozejrzała się po najbliższej okolicy. Czuła głód i tę potrzebę należało zaspokoić najpierw. Banany rosły nieopodal, a obok nich nieznanne jej drzewo z pomarańczowymi owocami. Wyglądały smakowicie, ale powinna uważnie je obejrzeć, zanim weźmie któryś do ust. No właśnie, drobiny owocu drgały radośnie, ale niektóre z nich – Mori była o tym przekonana

– tworzyły konstelacje toksyn. Szkoda. A gdyby tak... Wyciągnęła rękę i dotknęła lekko pokrytej meszkiem skórki owocu. Skupiła całą uwagę na maleńkich drobinach i... udało się. Wszystkie trujące substancje porozpadały się lub zmieniły w nieszkodliwe związki.

– Dzięki, maleństwa – szepnęła Mori, wgrzając się w soczysty owoc.

Zerknęła ku przesuwającemu się po niebie słońcu. Jeszcze około pół godziny do zmroku. Przełknęła ostatni kęs, podwinęła do góry fałdy sukienki i wspięła się na figowiec, którego gałęzie tworzyły całkiem wygodną drabinę. Udało jej się dotrzeć na tyle wysoko, że jej wzrok sięgał ponad wierzchołkami innych drzew. Wyspa musiała być bardzo duża, bo nigdzie nie było widać morza. Za to dżungla kończyła się całkiem niedaleko. Mori widziała, jak gęsty kobierzec różnych odcieni zieloności przechodzi w szarooliwkową barwę jakichś niskich krzewów. Dalej rozciągała się pustynia. Dopiero za tym jałowym, pozbawionym życia obszarem, ale to już wymagało takiego patrzenia, jak wtedy, gdy chciała dostrzec odległe gwiazdy, zobaczyła morze. Zmieniła pozycję. Teraz widziała

grupę kamiennych budowli – siedlisko instruktorek. Dalej znowu dżungla, pustynia i bardzo, bardzo daleko szafirowa tafla wody. I żadnych dróg, żadnych szlaków przez piaszczyste pustkowia. „Wobec tego, którędy przybyliśmy?” – zadała sobie pytanie, zsuwając się z drzewa. „Muszą mieć jakieś tajemne przejście, jak ten tunel na wyspie Nut, o którym opowiadał tata. Rodzice! Na pewno okropnie się martwią. Szkoda, że nie mogę im przesłać wiadomości, że żyję i jestem zdrowa. A może mogę?” Nastawiła wzrok tak, żeby widzieć drgające cząsteczki powietrza, i powierzyła im swoją myśl. Poczuli, że ją przejęły i obciążone tym ładunkiem odpłynęły, przekazując pozdrowienie Mori coraz to innym i innym drobinom.

6.

Jonan Thunbereng siedział na tarasie i patrzył na żardiniery pełne kwitnących pelargonii. Kiedy Pepperia mieszkała w domu, często w złości tłukła donice. Cała podłoga zasłana była wtedy ziemią, glinianymi skorupami i biednymi, połamanymi kwiatami. Teraz niczego nie stłucze. Już nigdy.

Czuł się winny. Jego córka nie żyje, a on tak naprawdę nie zdołał jej pokochać. Rozpieszczał ją, kupował prezenty, ale brakowało tego uczucia, które odnalazł w sobie dopiero, gdy poznał Theę, swoje pierwsze dziecko. Widocznie nawet jego okaleczona przez instruktorki pamięć przechowywała przez lata obraz utraconej córki i nie pozwalała mu otworzyć się na tę następną. Zresztą Pepperia była kopią swojej matki, Patrycji von Sultzenrein, tak samo wyniosłą i egoistyczną. Nie próbował nawet wykorzenić z niej tych cech. Czuł, że nie ma prawa. Skoro nie mógł jej kochać, to przynajmniej starał się akceptować. To był chyba błąd. Może gdyby bardziej angażował się w jej wychowanie... Teraz już za późno. Pepperia nie żyje. Powody jej śmierci nie zostały ustalone. Królewski patolog nie wykrył żadnej trucizny. Może zabiła ją jej własna nienawiść. Została mu teraz tylko Thea. I Mori. Maleńka ukochana Mori, gdzie ona teraz jest?

7.

Herminia Casteynel siedziała w przepastnym i mocno już wytartym fotelu z okrytym koronką zagłówkiem. Mebel przysunięty był do okna wychodzącego na dziedziniec i bramę wjazdową. Dzięki temu mogła widzieć każdego, kto przekraczał progi jej rodowej siedziby. A że kładła się spać bardzo późno, wiedziała, że Kastor wrócił wczoraj do domu grubo po północy. No cóż, zakochani mają swoje prawa, mógłby się jednak pilniej zająć przygotowaniami do ślubu. Ten ślub! Dlaczego jej jedyny wnuk nie mógł sobie wybrać jakiejś panny z dobrej, starty rodziny? Ta Ottina, rzeczywiście ładna, ale artystka. No i jej matka – podobno wychowanka z Wyspy Sierot. Kiedyś było absolutnie nie

do pomyślenia, żeby ktoś żeni się z tymi kobietami. A teraz proszę. I młody Sedun, i Claith... po prostu nic sobie nie robią z tradycji i burzą z dawna ustalony ład. Chociaż przynajmniej żona Seduna okazała się córką Thunberenga. To jednak coś znaczy. Ale ta Sorbita? W ogóle nic o niej nie wiadomo.

– Babciu, czy mogę na chwilę?

– Oczywiście, Kastorze. Dzień dobry – dodała z naciskiem.

– Dzień dobry.

Podbiegł do niej i zamaszycie pocałował w rękę, a potem w policzek. Miała do niego słabość i on o tym wiedział. Przekonana była, że za chwilę usłyszy coś, co będzie zupełnie nie po jej myśli. Widziała już nieraz ten bojowy, a zarazem przekorny błysk w oczach wnuka. A poza tym, Kastor nigdy nie składał jej wizyt z samego rana.

– Babciu, słyszałaś zapewne o tych dziewczynkach, które zaginęły. – Podsunął sobie niski stołeczek i usiadł u stóp babki jak wtedy, gdy był małym chłopcem.

„Wszystko, żeby mnie zawczasu rozmiękczyć” – pomyślała.

– Słyszałam – odpowiedziała sucho.

– Jest wśród nich Mori Sedun, wnuczka marszałka Thunberenga.

– Doprawdy?

– Sedunowie są przyjaciółmi moich przysłych teściów. Dzięki pani Sedun Ottina odzyskała matkę – przerwał, żeby zaczerpnąć powietrza.

– I? – Hrabina Casteynel uniosła brwi pytająco.

– I Ross Claith organizuje wyprawę, w celu odnalezienia dzieci. Zgłosiłem się. A on się zgodził.

– A ślub?

– Musimy przełożyć.

– Kastorze, czy zdajesz sobie sprawę, że połowa naszych znakomitych gości uzna to za lekceważenie i może się poczuć głęboko urażona? Tak się po prostu nie robi. Nie w naszej rodzinie.

Kastor zaczerpnął powietrza, szykując się do wygłoszenia przygotowanych zawczasu argumentów.

– W naszej rodzinie – zaczął – istnieje tradycja, że spieszy się na pomoc tym, którzy są w potrzebie. To ty babciu opowiadałaś mi o Eryku Siwobrodym i o rycerzu Nartanie z Cilo, który z garstką towarzyszy odbił uprowadzoną przez Kashirów księżniczkę Tag. I o Tarcjuszu Śmiałym. To wszystko moi przodkowie. Często mówiłaś, że chcesz, abym wyrósł na mężczyznę godnego nosić miano hrabiego Casteynel. I że przynależność do takiego rodu zobowiązuje. I że bym kontynuował nasze rycerskie tradycje. Otóż właśnie nadarza się okazja. A ty powinnaś być ze mnie dumna.

Babka odchyliła głowę na oparcie fotela.

– No cóż – odezwała się po chwili. Jej głos brzmiał obojętnie i rzeczowo. – Widzę, że decyzję już podjąłeś. Kiedy jedziesz?

Kastor odetchnął z ulgą.

– Jutro jest narada w Versathis. Wtedy zostanie ustalona data wypłynięcia.
– Zdaje się, że oczekujesz, żebym wzięła na siebie odwoływanie uroczystości.
– Och, babciu! – rozpromienił się. – Naprawdę mogłabyś?
– Nie! – Hrabina pochyliła się do przodu i zatopiła w nim przenikliwe spojrzenie jasnych oczu. – Ty sam to zrobisz. Siądź za biurkiem i pisz listy z przeprosinami. Sekretarz da ci całą listę gości. A nie pomiń nikogo!
Jęknął. „To dla ciebie, Ottino” – pomyślał, wlokąc się w kierunku biblioteki.
Na ustach hrabiny zaigrał złośliwy uśmieszek. Pokonał ją, ale i tak ona miała ostatnie słowo. Należała jej się taka satysfakcja.

8.

Była noc. Szklarka gwałtownie otworzyła oczy.

– Scaber, słyszysz?

Scaber usiadł na łóżku.

– Nie – powiedział po chwili. – Nic nie słyszę, chyba że masz na myśli szczekanie psów.

– Nie, nie szczekanie... Przez moment wydawało mi się, że słyszę Mori. Mówiła... Nie, to nie były konkretne słowa, ale wiadomość. Że żyje i daje sobie radę. I żebyśmy się nie martwili.

– Ach, Theo! – westchnął Scaber, obejmując ją ramieniem.

Dobrze, że w tych trudnych dniach miała taki podnoszący na duchu sen.

– I nie myśl sobie, że to mi się przyśniło – odezwała się, jakby zgadując jego myśli, Szklarka.

To było bardzo intensywne odczucie obecności, jakby Mori była tuż przy niej, jakby szeptała jej do ucha.



„Dzielna dziewczynka” – pomyślała w tym samym momencie Chamomilla, która także odebrała przesłaną myśl. Dzięki swojemu darowi potrafiła odczytać więcej niż Szklarka. Więcej nawet niż świadomie przesłała sama Mori. Chamomilla zobaczyła tropikalną roślinność, pas pustyni, grupkę swoich wychowanek i kobietę z czarnymi włosami upiętymi w stożkowaty kok.

A więc to Targisz. Według informatorów Rossa dwie wyspy pozostały nienaruszone – Sersana i Targisz. Ser– sana leżała daleko na północy, miała surowy klimat i na pewno nie rosły tam drzewa, jakich obraz przekazała Mori. To im oszczędzi wysiłku. Będą mogli skupić się na jednym miejscu. Odetchnęła. Wszystkie żyją, to najważniejsze. Szkoda, że nie może zrobić tego, co córka Thei – przesłać pozdrowień swoim dziewczynkom.

9.

Odbywała się kolejna narada. W salonie Versathis panowało poruszenie wywołane relacjami Szklarki i Chamomilli. Ross, w przeciwieństwie do Scabera, nie miał trudności z uznaniem, iż kontakt z Mori rzeczywiście miał miejsce. Co innego budziło jego obiekcje.

– Chamomillo, to, co mówisz, jest bardzo piękne, ale nie trzyma się realiów. Żeby dopłynąć do wyspy Targisz, potrzeba ponad dwa tygodnie. Od porwania dzieci nie minęło nawet dziesięć dni. Jakim sposobem dziewczynki mogłyby się tam znaleźć w tak krótkim czasie? – Ross stał na środku salonu i pochylał się nad rozłożoną mapą.

– Ja byłam na Targisz. – Urta, jedna z dawnych mieszkanki wyspy Nut podeszła do Claitha. Miała złocistobrązową skórę i oczy w kształcie migdałów.

– Byłam na Targisz – powtórzyła – i to, co mówi Chamomilla, odpowiada dokładnie krajobrazowi wyspy. Domy w dżungli i pas pustyń dookoła. W dodatku ta czarnowłosa kobieta z kokiem. Jestem przekonana, że to Han Tori, przełożona instruktorek.

Wymawiając imię Han Tori, Urta lekko się wzdrygnęła.

– Ja też jestem z Targisz – odezwała się Antara, szczupła blondynka we wzorzystej sukni naszywanej paciorkami – i w pełni potwierdzam to, co powiedziała Urta.

Ross rozłożył ręce.

– Kto mi wobec tego wyjaśni, jak dzieci mogły się tam dostać w czasie krótszym niż nasze najszybsze statki?

– Sztuczki instruktorek – mruknęła Chamomilla.

– Mnie zastanawia co innego – odezwał się z kąta milczący Robi Cayushu. – Jak dwunastoletnia dziewczynka mogła tak szybko poznać topografię wyspy? Załóżmy, że miała dostęp do map. Ale to, co mówi Chamomilla, że odebrała obraz dżungli, a potem pustyni, a za tym jeszcze oceanu, wygląda tak, jakby Mori była unoszącym się nad wyspą ptakiem. Znamy mniej więcej wielkość wyspy. Z najwyższego drzewa nie miałyby takiego widoku, jaki tu został opisany.

– To akurat mnie nie dziwi – odpowiedział mu Claith. – Mori często opowiadała mi, że widzi kratery na księżycu. Opisywała je bardzo dokładnie. Przypuszczałem więc, że czytuje regularnie periodyki Królewskiego Towarzystwa Astronomicznego. Ona jednak twierdziła, że rozróżnia różne skalne formacje, o których prawdę mówiąc nikt nie słyszał. Żartowałem, że ma bujną wyobraźnię. Kilka dni temu po raz pierwszy użyto teleskopu Heinla. Ma on moc dużo większą niż dotychczasowe modele. I cóż się okazało? – Wszystkie łańcuchy górskie i małe nerkowate kratery, o których mówiła Mori, naprawdę istnieją. Ta dziewczynka ma zadziwiająco zdolność widzenia bardzo odległych rzeczy. Tak brzmi odpowiedź na pańskie wątpliwości, panie Cayushu.

– Nie miałam pojęcia o tym wszystkim – wyszeptła przygnębiona Szklarka do siedzącej obok Chamomilli. – Dlaczego Mori nie powiedziała nam, że potrafi widzieć w tak niezwykły sposób, dalej niż jakikolwiek człowiek? Bardziej ufała

Rossowi niż mnie albo Scaberowi?

– Może przypuszczała, że cię to zaniepokoi. – Przyjaciółka popatrzyła współczująco. – Kiedy odzyskamy dziewczęta, będziesz mogła z nią o tym wszystkim spokojnie porozmawiać.

– Czy panie mogą mi dokładnie opisać wyspę Targisz? Jakie tam są drogi, linia brzegowa, od której strony znajduje się port? – Ross zwrócił się do Urty i Antary.

– Port? – Artystki popatrzyły na siebie. – Tam nie ma żadnego portu.

– Chwileczkę – zabrzmiał niski, lekko schrypnięty głos LaOry. – To w jaki sposób opuszczaliście wyspę, żeby zamieszkać w świecie?

Urta zmarszczyła brwi.

– Był taki rytuał...

– Rytuał przejścia – wtrąciła żywo Antara. – Trzeba było wypić zioła, a potem szło się w towarzystwie Peccaty na skraj pustyni, ale co dalej, to nie pamiętam. Po prostu potem byłam już w mieście z bagażami i pieniędzmi wystarczającymi na wynajęcie mieszkania i przeżycie kilku pierwszych tygodni.

– Jakie to było miasto? – chciał wiedzieć Claith.

– El Azrak.

– A moje Al Itar – dodała, kiwając głową, Urta. – Ja też zupełnie nie pamiętam, jak się tam dostałam.

– No to mamy zagadkę – znów ze swojego kąta odezwał się Robi, który jako królewski rysownik atlasów znał się na geografii lepiej nawet od Rossa. – El Azrak i Al Itar położone są w głębi lądu. Od najbliższego portu dzieli je kilkaset mil.

– I są to, dodajmy, mile pustyni. – Claith w zamyśleniu tarł brodę. – Instruktorci z Targisz muszą posługiwać się jakimś tajemniczym i – niezwykle szybkim środkiem transportu.

– Pochodzą z Corredo – dodał Scaber – a pamiętasz corrediańskie maszyny, których nie pozwoliła ci skopiować Nella. Mogły przemycić do naszego świata jakiś wynalazek i używać go tutaj do swoich sekretnych celów.

Kastor siedział na małym stołku pod oknem i oczy płonęły mu radosnym podnieceniem. Targisz, El Azrak, Al Itar, pustynia! Wszystkie te słowa niosły ze sobą smak przygody. I on weźmie w niej udział.

10.

W dżungli nie było ścieżek. Nawet takich wydeptanych przez większe zwierzęta. Zdaje się, że wyspa Targisz była ich pozbawiona. Ptaki – owszem, polatywały w koronach drzew, napełniając powietrze melodyjnymi gwizdami. Owady – jak najbardziej. I jak się przekonała Mori, również gady. Ale żadnych tygrysów, małp, słoni i innych egzotycznych okazów nie zauważyła. To dobrze. Dzięki temu noclegi w dżungli wydawały się bezpieczne. Przynajmniej dopóki nie zobaczyła ogromnego węża oplatającego grubą gałąź figowca. Jego duża,

zbliżona kształtem do trójkąta głowa kołysała się lekko na boki, a żółtawe oczy wpatrywały się w dziewczynkę. Czytała, że węże potrafią hipnotyzować swoje ofiary, ale na szczęście nie czuła się sparaliżowana spojrzeniem gada. Nie potrafiła rozpoznać, jaki to gatunek. Nie przypominał ani anakondy, ani pytona, ani boa dusiciela. Wiedziała jednak, że może być niebezpieczny. Nie w tej chwili rzecz jasna. Nie teraz, kiedy jej oczy nieprzerwanie wpatrują się w pionowe źrenice zwierzęcia. Ale co będzie nocą, gdy zmorzy ją sen? „Nie wolno ci! Nie wolno ci mnie tknąć” – próbowała wtłoczyć tę myśl czy też przesłanie do mózgu gada. „Nie wolno ci, nie wolno!” – powtarzała w kółko i w kółko, wprawiając w drgania cząsteczki powietrza wokół głowy węża. Zwierzę cofnęło pysk i przymrużyło oczy.

Chyba zrozumiał, ale ile tu ich jeszcze jest? Mori była zmęczona. Już trzeci dzień przedzierała się przez zwartą gęstwinę lasu. Chciała dotrzeć na skraj pustyni, ale dżungla wydawała się nie mieć końca. Na szczęście nie była to taka prawdziwa, zupełnie dzika dżungla, o jakiej czytała w książkach wujka Rossa – mroczna, z gigantycznymi drzewami niemal sięgającymi chmur, niemożliwa do przebycia bez maczety. Ta wydawała się w jakiś sposób „oswojona”. Rosły w niej rośliny z owocami nadającymi się do zjedzenia. Co jakiś czas zdarzały się nieduże prześwit, gdzie docierało więcej słońca i gdzie dość często można było znaleźć źródło z bardzo dobrą wodą. Figowce były rozłożyste i wspinanie się na nie nie stanowiło większego problemu. A wspinać się musiała, żeby sprawdzić, czy kierunek, który obrała, jest dobry. Z grubsza był. Gdyby tylko nie musiała tak ciągle kluczyć, przeciskać się pomiędzy lianami – nie które najeżone były drobnymi zagiętymi kolcami (po bliskim kontakcie z nimi jej sukienka wyglądała jak pocięta przez szaloną krawcową) – albo nadkładać drogi, żeby znaleźć jakikolwiek przesmyk w zbitym gąszczu. Pokonując metr za metrem, nie przestawała myśleć, co dalej. Co ma zrobić, kiedy dotrze na pustynię? Nie przejdzie jej bez wody, to oczywiste. Może powinna iść skrajem dżungli, aż znajdzie jakąś drogę albo wejście do tajnego tunelu. Albo spotka magicznego ptaka, który przeniesie ją na swoich skrzydłach. Albo... jest tyle różnych możliwości.

11.

Ellix siedziała przed ekranem detektora istot ludzkich.

– No i jak? – spytała wchodząca Han Tori. – Żyje jeszcze?

– Jak najbardziej. Przetrwiała nawet spotkanie ze starym Hoo. Wygląda na to, że się jej przestraszył.

– Hoo dusiciel przestraszył się dziecka?

– To nie jest zwykłe dziecko.

– Ale na twoim detektorze widać ją doskonale. Należy więc do rasy ludzkiej.

– Tak, Han Tori. Ale oprócz tego, jak dobrze wiesz, przynależy jeszcze gdzie indziej i dlatego nie możemy jej tknąć.

- Czy może nam zagrozić?
- Jeżeli jest dzieckiem z Przepowiedni...
- Han Tori położyła jej dłoń na ustach.
- Nie kończ. Pewnych rzeczy lepiej głośno nie mówić. Nawet tutaj.
- Milczały przez chwilę, patrząc w ekran, na którym widniała zarysowana na różowo sylwetka Mori przedzierająca się przez niebieskawe warstwy roślinności.
- Wiesz, Ellix – odezwała się z zadumą w głosie przełożona – dobrze by było, żeby ta Mori zginęła w dżungli. Na wszelki wypadek.
- Ale przecież nie wolno nam...
- Mam na myśli różne tutejsze siły. Z wężem Hoo się nie udało, ale są przecież inne stworzenia. Potrafisz je obudzić, prawda?
- Popatrzyły sobie w oczy i Ellix z leniwym uśmiechem skinęła głową.

12.

Najcenniejszym bagażem były krzewy herbaty szczęścia. Nad ich załadunkiem czuwał Cecil Sarotian wspomagany przez Rena i Irindę. Większość doniczek ustawiono w najlepiej oświetlonej kabinie. Pozostałe porozmieszczano po całym statku. Tak, żeby w razie jakiejś katastrofy każdy mógł chwycić przynajmniej jedną.

Urta i Antara wszywały liście herbaty szczęścia w fałdy swoich sukien. Mimo niebezpieczeństwa, jakie groziło im ze strony instruktorek, zdecydowały się wziąć udział w wyprawie. Jako jedyne znały przecież wyspę Targisz.

– A poza tym, mogą tam być nasze dzieci – powiedziała Urta.

Antara przerwała szycie i zapatrzyła się w przestrzeń.

– Mojej córki już tam nie ma. W tym roku mija dwadzieścia lat, odkąd mi ją odebrały, więc pewnie prowadzi samodzielne życie w jednym z miast Królestwa Druszów. Mam nadzieję...

Urwała. Nie chciała mówić tego głośno, ale Urta wiedziała, o co chodzi. Żeby żadna z ich córek nie wyszła za mąż i nie urodziła dziecka, bo wtedy zjawi się Ellix w purpurowym płaszczu i zabierze noworodka, a matkę uśmierci. Nie istnieje już wyspa Nut, miejsce, gdzie one same znalazły ocalenie.

– Tym bardziej musimy jechać i zawieźć herbatę szczęścia do pustynnych królestw. Instruktorzy nie będą wtedy mogli opuścić wyspy. – Urta doszła kolejny niebieskawy liść.

– A może uodporniły się na herbatę szczęścia? – Antara zastygła z igłą w powietrzu. – Przecież udało im się uprowadzić dziewczynki.

– Gdyby tak było, nie żyłybyśmy już.

– Nie boisz się?

– Czego?

– Spotkania z Han Tori i Ellix.

Urta zastanowiła się. Przed oczami przesuwaly się jej obrazy z czasów, gdy

mieszkała na Targisz. Lata spędzane na nauce. Przypomniało jej się uczucie obezwładniającej słabości i zagubienia, jakie spadało na nią w obecności instruktorek. W końcu to ostatnie, najgorsze wspomnienie – Ellix unosząca ze sobą jej małą córeczkę.

– Nie, nie boję się – pokręciła głową – ale bardzo chcę się zemścić.



Następnego dnia byli gotowi do drogi. Ross, Cecil, Scaber ze Szklarką Chamomilla, Urta i Antara, i oczywiście Kastor. Mieli sentyment do „Roxilony” i jej załogi, więc znów, jak ponad trzynaście lat temu, wynajęli ten właśnie statek. Ku ich zadowoleniu okazało się, że Birn Holman, chociaż posunięty w latach, nadal jest kapitanem.

– Uważaj na siebie. – Marszałek Thunbereng przytulił Szklarkę i długo nie wypuszczał jej z objęć. – Odkąd Pepperia... – przerwał. Patrzyli sobie w oczy. – Tylko ty mi zostałaś. Ty i Mori.

– Wróć. Z wyspy Nut też wróciłam, choć myśleliśmy, że to rozstanie na całe życie, pamiętasz?

– Pamiętam, Theo, pamiętam.

Jeszcze raz ją uściskał.

– Może po naszym powrocie będziesz miał nowe dzieła Lei.

Potrząsnął głową przecząco.

– Zebrałem już chyba wszystko. I tak dużo namalowała w swoim krótkim życiu. – W jego głosie zabrzmiał taki żal, że Szklarce ścisnęło się serce.

Kilka metrów dalej Sorbita i Ross obejmowali się w milczeniu. Twarz kobiety była pełna niepokoju. Najchętniej błagałaby męża, żeby został. Ale nie mogła tego zrobić. Przyszedł czas, kiedy miała okazję odwdzińczyć się Szklarce za wszystko, co dla nich zrobiła. I Chamomilli również. To przecież ona wyprowadziła dzieci z zagrożonej wyspy. Do końca życia nie zapomni tej chwili, gdy w mieszkaniu Szklarki w Como zobaczyła swoją córkę – ciemnowłosą dziewczynkę o mądrych oczach. Jej wzrok powędrował ku Ottinie, która czule żegnała się ze swoim Kastorem. Obie skazane będą teraz na czekanie.

Obsługa portu zaczęła odwiązywać cumy. Szklarka wbiegła na pokład i przechylona przez burtę, pomachała ojcu.

– Kiedy wrócimy z Mori, musisz koniecznie przyjechać do nas na dłużej! Do Versathis! – zawołała. Nie dodała, że teraz, kiedy Pepperii nie ma, nikt mu nie będzie czynił z tego powodu wyrzutów.

Dżungla, w pierwszych dniach stosunkowo łagodna i przyjazna, teraz zdawała się wręcz dyszeć wrogością. Spod korzeni wypęzły jadowite węże, a pod

każdym niemal zbutwiałym liściem czaiły się wielkie jak dłoń robaki z gruczołami nabrzmiętymi śmiertcionośnym jadem. Były to stworzenia, jakich Mori nigdy przedtem nie widziała. Ani w naturze, ani na ilustracjach w atlasach. Wyglądały raczej jak stwory ze złych snów, niż rzeczywiste okazy fauny. Na przykład ten pełznący ku niej, najeżony kolcami wijopodobny owad z olbrzymimi szczękoczułkami i metalicznie połyskującym pancerzem. Skąd się to tutaj wzięło? Wysłała mu informację „Nie wolno” i zawrócił. Ta ciągła czujność była okropnie męcząca. Na noc dziewczynka otaczała się czymś w rodzaju ochronnego kokonu złożonego z wirujących drobin powietrza. Skutecznie odstraszał potencjalnych wrogów. Na dłuższą metę jednak zmiana molekularnej struktury cząsteczek bardzo wyczerpywała. „Zaraz zaraz. Zmiana molekularnej struktury cząsteczek? Skąd mi się wzięło takie wyrażenie? Tak się nazywa to, co robię z drobinami powietrza? Ale dlaczego nagle pojawiła mi się w głowie taka nazwa? Co to jest molekularna struktura?” Przymknęła oczy, bo czuła, że gdzieś na dnie myśli przebiegają inne oderwane sformułowania. Obce i w jakiś sposób niezwykle pociągające. „Atomy... kwant... refrakcja, promieniowanie jonizujące... pole magnetyczne”. Próbowała przytrzymać te słowa, odgadnąć ich znaczenie, ale pozostawały jak milczące, zakłete ziarna tajemnicy. Po powrocie spyta Rossa, czy słyszał o czymś takim. Po powrocie. Ha! Jakby ten powrót wydawał się oczywisty. A tymczasem tyle już czasu wędruje po tym zielonym piekle i nie jest w stanie wydostać się nawet na skraj dżungli. Kiedy po raz pierwszy z wierzchołka drzewa zobaczyła pustynię, ta wydawała się całkiem niedaleko. Dlaczego więc krąży... ile już dni? Dziesięć? Czternaście? Tropikalny las stał się labiryntem wodzącym ją krętymi ścieżkami, przymuszającym do ciągłego błądzenia. Dość tego. To nie był dobry system. Muszę wymyślić inny sposób na wydostanie się stąd. Może gdybym poruszała się jak wiewiórka, skacząc z drzewa na drzewo... Skacząc nie... ale jeśli gałęzie będą wystarczająco blisko siebie... A CO TO JEST?!!!

Przedzierając się przez sieć pnączy i łamiąc zagradzające mu drogę gałęzie, szło ku niej coś wielkiego. Jakieś olbrzymie zwierzę. Nie widziała go dokładnie przez zaslonę liści. Słyszała tylko ciężkie sapanie i trzask miażdżonej roślinności. Rozejrzała się w poszukiwaniu grubego i dobrze rozgałęzionego drzewa, na które mogłaby uciec. Zorientowała się, że odpowiedni figowiec znajduje się kilkadziesiąt metrów za nią. Przesłała w myślach zwierzakowi zakaz zbliżania się i nie czekając na efekt, zaczęła biec w kierunku zbawczego pnia. Drogę przegradzała jej płatanina krzewów, przez którą rozpaczliwie usiłowała się przebić. Obejrzała się za siebie. Jej przekaz chyba nie zadziałał. Stworzenie parło naprzód. Widziała pokryte łuską łapy wyrwijące z ziemi całkiem spore drzewka. „Stój!” – krzyknęła w myślach. W prześwicie między gałęziami pojawił się gadzi pysk. Małe zielonkawe oczka otoczone szkarłatną obwódką wpatrywały się w nią złośliwie. Wrzasnęła ze strachu i runęła między krzaki, nie zwracając uwagi na raniące ją ciernie i piekący ból wywołany przez zetknięcie z jakąś parzącą rośliną. Dopadła do figowca i czepiając się lian,

zaczęła się wspinać po grubym szarym pniu. Kilka razy obsunęła jej się noga, ale szczęśliwie udało jej się dotrzeć do pierwszych gałęzi. Teraz wspinaczka była już łatwiejsza. Rozgarnęła liście i spojrzała w dół. Zwierzę stało pod drzewem. Był to stwór podobny do tych, których kości odnajdywano w piaskach pustyni Harum. Całe ciało miał pokryte zielonkawobru- natną łuską i co najmniej czterokrotnie przewyższał ją wzrostem. Z grzbietu sterczał mu szkarłatnoczerwony kostny grzebień. Jaszczur podszedł do figowca i zaczął drzeć pazurami korę, obłamując niższe gałęzie – te, po których przed chwilą się wspinała. Dziewczynka weszła jeszcze wyżej. Miała nadzieję, że zwierzak nie potrafi łązić po drzewach. Gad nie próbował wdrapywać się za nią, zaczął za to masywnym cielskiem uderzać w pień. „Chce mnie zrzucić” – pomyślała Mori, przywierając kurczowo do gałęzi. Jaszczur nie reagował na jej myślowe przekazy i dalej grzmocił w drzewo.

– Wynoś się stąd! A sio! – wrzeszczała, tracąc panowanie nad sobą.

Jednocześnie jakiś chłodny głos w jej głowie strofował ją łagodnie: „Nie bądź głupia. Nie mówi się: A sio! do prehistorycznych jaszczurów. Musisz wymyślić coś innego”. Rozejrzała się, sprawdzając, czy udałoby jej się przejść po gałęziach na sąsiednie drzewo. Próbowała przesunąć się w kierunku zewnętrznej części korony figowca, ale potężny wstrząs omal nie zrzucił jej na ziemię. Popatrzyła w dół. Gadzie oczka wpatrywały się w nią pożądliwie. Gadzie oczka... gadzie oczka... zmiana molekularnej struktury cząsteczek... Wpiła wzrok w pionowe źrenice i skupiła się na ich drgających drobinach. Zmąciła ich rytm, sprawiła, że w ich uporządkowany taniec wdarł się chaos. Jaszczur przestał atakować drzewo. Tarł łapami oślepienie oczy, potrząsał głową, a z jego krtani wydobył się wściekły syk. Pochylił się, zaczął trzeć olbrzymim łbem o warstwę przegniłych liści, a potem chwiejnym krokiem, zataczając się, oddalił się w kierunku tajemniczych ostępów dżungli.

Mori, wciąż przytulona do swojej gałęzi, płakała.

14.

Podróż przebiegała ciężko. To nie był dobry czas na morską wyprawę. O tej porze roku na Oceanie Turkusowym, nazwanym tak dla niezwyklej barwy jego wód, szalały sztormy wywołane przez wiejące z południa pustynne wiatry. Większość pasażerów cierpiała na chorobę morską, co wpływało fatalnie na ogólny nastrój. Szklarka czuła się względnie dobrze. Względnie – to znaczy, że była w stanie utrzymać w żołądku większość posiłków. Męczyła ją natomiast obecność współpasażerów. Nawet Scabera i Chamomilli. Nigdy nie czuła się dobrze w skupiskach ludzkich. Świadomość, że tyle osób przebywa razem na niedużym statku, przygnębiała ją. Chroniła się w kajucie albo w odosobnionych miejscach pokładu. Tam, gdzie nikt do niej nie mówił i nie szukano jej towarzystwa. Pożerał ją niepokój o Mori. Nocami budziła się przekonana, że dziewczynka znajduje się w niebezpieczeństwie. Nie mogła o tym z nikim

rozmawiać. Nie chciała słuchać jałowych zapewnień, że wszystko będzie dobrze, a tym bardziej nie chciała dopuścić, by jej lęk udzielił się Chamomilli albo Scaberowi. Próbowwała zastanawiać się na chłodno, jakie też zagrożenia mogą czyhać na Mori. Przecież jest na wyspie zarządzanej przez instruktorki, więc warunki ma z grubsza podobne do tych, w jakich wychowywała się Szklarka. Posiłki, wykłady, nauka rysunku i malarstwa. Ach! Przecież Mori wszystko to umie, ten fakt może być niepokojący dla instruktorek. Ale czy aż do tego stopnia, żeby miały zrobić jej krzywdę?

Wyszła na smagany wiatrem pokład. Jeden z marynarzy bez słowa podał jej uprząż, którą wszyscy zobowiązani byli przypinać się do masztu. Silne podmuchy pojawiały się tak niespodziewanie i z tak różnych kierunków, że gdyby nie środki ostrożności już dawno połowa uczestników wyprawy skończyłaby jako żer dla rekinów. Na horyzoncie formował się kolejny siny pas chmur podkreślony jaskrawopomarańczową obwódką.

– To jeden z tych najgorszych – jęknął ktoś za nią. – Już nauczyłem się je rozpoznawać.

Kastor był zielony na twarzy, a jego oczom, zawsze błyszczącym iskrami dowcipu, brakowało radosnego wyrazu. Nie miała ochoty go pocieszać. Opuściła kabinę, licząc na samotność. Powstrzymała jednak odruch irytacji. Chłopak był najmłodszy z całego grona i właściwie nowy w ich towarzystwie. Nie łączyły go z nimi wspólne przeżycia na wyspie Nut, w żaden sposób nie był związany z poszukiwaniami herbaty szczęścia... Właściwie jego udział w wyprawie był dla Szklarki zagadką. Chciał zaimponować Ottinie?

– Z każdym dniem przybliżamy się do Targisz – powiedziała pocieszająco. – Ross mówił, że tamtejsze rejony są spokojne i raczej grozić nam będzie cisza morska niż sztorm.

– Oby – stęknął Kastor, mieniając się na twarzy, bo akurat w tym momencie statkiem mocno bujnęło.

– Dlaczego pan właściwie chciał z nami płynąć? – Szklarka wbrew sobie kontynuowała rozmowę, ale pomyślała, że to może odciągnąć uwagę chłopaka od rozkołysanego morza i równie rozkołysanych własnych wnętrzności.

– To wszystko przez Ottinę. Powiedziała, że nie chce hucznego wesela, kiedy pani i Chamomilla macie takie zmartwienie. I postawiła mnie przed wyborem: albo cichy ślub albo wszystko odkładamy. Oghh. – Przycisnął rękę do ust, próbując pohamować mdłości. – Mnie tam cichy ślub nie przeszkadza – ciągnął po chwili – ale babka i te wszystkie ciotki hrabiny... No więc wybranie losu bohatera wydawało się najlepszym wyjściem. Babka nie mogła się sprzeciwić.

Och, ta arystokracja z jej regułami i konwenansami! Pomyślała o swoich teściach. Zwłaszcza o ojcu Scabera. Tak długo nie chciał się do niej odzywać. I nie pomagało nawet to, iż była córką marszałka Thunberenga. Sam fakt, że wprowadziła zamęt w zaplanowane od dawna życie Scabera, ustawiał ją w gronie oskarżonych. A wąta i krucha, drżąca przed mężem pani Sedun bała się okazywać jej sympatię.

Teraz ma przed sobą kolejną ofiarę znakomitego rodu. Ze współczuciem popatrzyła na przechylonego przez burtę Kastora.

– Gdyby miał pan jeszcze raz wybierać, to pewnie wolałby się pan narazić na gniew rodziny.

– A nie! – Wyprostował się, a w jego oczach na chwilę zamigotał dawny zawadiacki błysk. – M... myślę, że to jest całkiem pożyteczne doświadczenie. Szklarka mimo woli parsknęła śmiechem.

– Gratuluję! – powiedziała.

– Teraz chyba jednak położę się na koi – jęknął Kastor przy następnym przechyle. – Ale najpierw przypnę się pasami. Ostatniej nocy zapomniałem o tym i wyrzuciło mnie na podłogę.

Została sama. Niespodziewanie napłynęła do niej myśl o Corredo. Czy istoty stamtąd zjawiają się jeszcze w tym świecie? Czy pomogłyby jej córce, gdyby znalazła się w niebezpieczeństwie? Przypomniała sobie moment, gdy Mori zatrzymała strużkę herbaty wypływającą z filiżanki. A potem pomyślała o tym jedynym dniu na wyspie Nut, kiedy czuła, że przepelnia ją nieznana moc. Bardzo możliwe, że wtedy także i ona umiałaby cofnąć krople w locie.

15.

Sypialnię spowijał mrok. Powietrze było duszne i wilgotne. Czasami tylko jakiś zbląkany powiew poruszał zasłonkami. W nocnej ciszy rozległo się cichutkie chlupanie. Joven natychmiast usiadła na łóżku i wsłuchiwała się w ten ledwie słyszalny odgłos. Odrzuciła prześcieradło i opuściła stopy na podłogę. Na palcach podeszła do stojącego pod ścianą łóżka. Przysiadła na brzegu i pogłaskała zwinięty pod prześcieradłem kłębek.

– Fry – szepnęła – to ja, Joven.

Piegowata buzia ukazała się w skłębionej pościeli.

– Tęsknisz za Chamomillą?

Fry zarzuciła ręce na szyję Joven.

– Boję się, że zostaniemy tu już na zawsze! Że Chamomilla nigdy nas nie znajdzie. I... że Mori nie żyje.

Joven mocniej przytuliła rudzielca.

– Co ty wygadujesz? Jak Mori mogłaby nie żyć?

– Nie ma jej na posiłkach ani na zajęciach. Sama dobrze wiesz, że nie widziałyśmy jej od dwóch tygodni. A jeśli instruktorki ją zabiły, mogą to samo zrobić z nami.

– Ależ Fry, po co zadawałyby sobie trud, żeby nas porywać, gdyby potem miały nas uśmiercać!

– Nie wiem, jak rozumują instruktorki. Nie pamiętam przecież tamtych... no wiesz, z naszej wyspy.

– Ja też niewiele sobie przypominam z tamtych czasów. Czasem tylko w snach widuję ich twarze i zawsze się wtedy budzę przerażona.

– Dlaczego tak jest? Przecież nic nam nie robią. Uczymy się podobnych rzeczy jak w domu, dostajemy jeść... A jednak cały czas czuję, jakbym chodziła ze ściśniętym sercem.

„One jednak robią nam coś złego i Mori to widziała. Dlatego wtedy, przy śniadaniu wrzasnęła na Peccatę... To jest pewnie powód, dla którego instruktorki nie pozwalają jej się z nami kontaktować”. Joven nie podzieliła się tymi myślami z żadną z dziewcząt. Po co dodatkowo je straszyć.

– Poza tym – ciągnęła Fry – wszyscy zachowują się tak, jakby nic się nie stało, jakby to było zupełnie normalne, że nagle zjawiamy się na Targisz. Mam na myśli tutejsze dziewczyny. Powiedziałam jednej, że instruktorki nas porwały, a ona tylko uśmiechnęła się mdło i powiedziała... wiesz, co powiedziała? Że mówię tak, bo jestem w szoku, i niedługo wszystkie się przyzwyczaimy. Gdyby Chamomilla była tak bezwolna, nigdy nie udałoby się nam uciec z tamtej wyspy!

Joven uśmiechnęła się w ciemnościach. Tak wiele razy słyszały tę opowieść, że teraz Fry mówi o tamtych czasach, jakby wszystko pamiętała, a przecież była wtedy zaledwie kilkumiesięcznym niemowlakiem niesionym przez którąś ze starszych wychowanek. Musiała jednak przyznać jej rację. Dziewczęta z Targisz cechował dziwny bezwład.

– Czy my też takie będziemy? – zapytała drżącym głosem Fry.

Joven nie wiedziała, co odpowiedzieć. Może powoli, dzień za dniem, zaczną zapadać w letargiczne półśnięcie, aż staną się posłusznymi narzędziami instruktorek. Przypomniła sobie najstarsze, rezydujące tu wychowanki. Dorosłe małowówne kobiety o apatycznych twarzach. Dlaczego zostały zatrzymane na wyspie? Dlaczego nie wysłano ich na ląd, gdzie mogłyby sprzedawać swoje prace i przynosić zyski instruktorkom?

– Joven, czy my też takie będziemy? – powtórzyła pytanie Fry.

W tym momencie ciszę tropikalnej nocy rozdarł mrozący krew w żyłach krzyk. Joven i Fry podbiegły do okna.

– Co się stało?

– Co się dzieje?!

Śpiące dotychczas dziewczęta siadały na łóżkach i wystraszone wsłuchiwały się w przerażające hałasy. Przeciągły krzyk nie ustawał, za to dołączył się do niego głuchy rytmiczny odgłos, jakby coś dużego obijało się o kamienną ścianę. Wychowanki Chamomilli zbiły się w ciasną gromadkę i stojąc przy oknie, próbowały przebić wzrokiem aksamitną czerń nocy.

– Słuchajcie! To krzyczy jedna z dziewczynek. Instruktorki chyba nie słyszą. Myślę, że powinnyśmy zobaczyć, o co chodzi – szepnęła Craigne.

– Dobrze – zgodziła się Joven, choć głos jej trochę drżał. – Zakładajcie buty i idziemy.

– Tam może być coś strasznego. – Helia chwyciła ją za rękaw nocnej koszuli.

– Tak, masz rację – przyznała Joven. – Nie musimy iść wszystkie. Możesz tu zostać z młodszymi.

– Mowy nie ma! – powiedziała z oburzeniem Arta, która była najmłodsza.
– Ja idę – prawie równocześnie odezwała się Fry, starsza od Arty zaledwie o pięć miesięcy.

Mitrail, Craigne, Wija i Laszti w milczeniu zakładały buty.

– Nie zostanę tu sama. – Głos Helli brzmiał płaczliwie.

– Chodź z nami, zaopiekujemy się tobą – powiedziała krzepiąco Arta.

Słyszając te słowa, Joven uśmiechnęła się w ciemnościach. Ale jej uśmiech zaraz znikł, gdy nocną ciszę ponownie rozdarł rozpaczliwy krzyk. Otworzyła drzwi i wyszła w duszny, wilgotny mrok.

Wiedziały, gdzie znajdują się dormitoria dziewcząt z Targisz. Trzymając się za rękę, ruszyły w tamtą stronę. Biała ścieżka majaczyła słabo w świetle gwiazd. Po obu jej stronach rosły drzewka pomarańczowe i wydzielające słodką woń figowce. Jakieś owady cykały w zaroślach. Po krótkim marszu w parnym powietrzu tropikalnej nocy cienkie koszule dziewcząt były zupełnie mokre od potu. W miarę jak się przybliżały, głuchy łoskot narastał. Ludzki krzyk też. Krzyk zbiorowy, bo wyraźnie było słychać kilka głosów.

Joven zatrzymała się tuż przed miejscem, gdzie ścieżka wychodziła na rozległą polanę. Swoim towarzyszkom nakazała gestem, że mają się skryć w okalającym teren dormitoriów bananowym zagajniku. Sama ostrożnie wysunęła głowę zza wielkich liści. To, co ujrzała, sprawiło, że omal nie zemdląła z przerażenia. Jakieś olbrzymie stworzenie waliło masywnym cielskiem w ścianę jednego z kamiennych domków. Nigdy nie widziała takiego zwierzęcia. Jego ciemny kształt odcinał się wyraźnie od jasnego piaskowca. Poczula na szyi oddech i usłyszała cichutki, przerażony głosik:

– Co to jest? Czy to smok?

Joven obejrzała się i jej wzrok napotkał wytrzeszczone ze strachu oczy Arty. Za nią stały pozostałe dziewczęta. Przyłożyła palec do ust. Lepiej, żeby potwór ich nie usłyszał. Znowu popatrzyła na zwierzę. Było przerażające. Miało obłe cielsko pokryte łuskami i grzbiet ze sterczącymi kostnymi płytami. Nie udało mu się chyba zaatakować żadnej z mieszkańek domku. Zdaje się, że krzyczą tylko ze strachu. Co jednak będzie, jeśli stwór rozwali ścianę?

W tym momencie na polanę wbiegły cztery smukłe postacie w powiewnych strojach. Stały kilka metrów za zwierzęciem.

– Hakh! – zawołała jedna z nich.

Stwór znieruchomiał i powoli obrócił łeb w kierunku przybyłych. Jedna z postaci uniosła w górę trzymany w ręce niewielki trójkątny przedmiot emanujący purpurowy blask. W ułamku sekundy rzecz ta rozjarzyła się do białości i wysłała kulę światła w kierunku zwierzęcia. Rozległ się przeraźliwy, bolesny, krótki skowyt, po którym na polance zabrzmiała dzwoniąca w uszach cisza. Pod ścianą domku leżała kupka zwęglonych szczątków. Teraz do przodu wystąpiła inna postać, trzymająca w rękach zielonkawo fosforyzującą obręcz. Zatoczyła nią w powietrzu kilka kół, aż na wszystkie strony posypały się iskry szmaragdowego światła. Iskry te uformowały się w lśniące smugi, które, jakby

kierowane tajemnym poleceniem, wpłynęły przez okienne otwory do wnętrza domków stojących na polanie. Dobiegające ze środka krzyki natychmiast umilkły. Cztery postacie stały chwilę nieruchomo, po czym opuściły polanę. Dziewczęta wycofały się ostrożnie z zagajnika bananowców i bez słowa zawróciły w kierunku swojego domu.

– To były instruktorki, prawda? – spytała najcichszym z szeptów Laszti.

– Tak. Rozpoznałam Ellix – odpowiedziała drżącym głosem Wija. – To ona trzymała trójkąt.

– A Han Tori miała obręcz – dodała Fry.

– Nie wiedziałam, że tu na wyspie żyją takie stwory, będę się teraz bała sama wychodzić – popłakiwała Arta. – Nikt nas przed nimi nie ostrzegł.

– Musimy spytać jutro którąś z dziewczyn, czy często się to zdarza – wydyszała Fry, która prawie biegła, gnana pragnieniem jak najszybszego znalezienia się w łóżku.

– Nie jestem pewna, czy dobrze zrobimy, opowiadając o tym, co widziałyśmy – powiedziała poważnie Joven, kiedy już siedziały bezpieczne w sypialni. – Instruktorci na pewno nie byłyby zadowolone, gdyby wiedziały, że oglądałyśmy – przełknęła ślinę – że oglądałyśmy je w akcji. Lepiej poczekajmy, co na temat dzisiejszej nocy będą mówić dziewczyny z tamtych domów.

– A jeśli nie wspomną o tym ani słowem? – spytała Craigne.

– To znak dla nas, że lepiej milczeć. – Głos Joven brzmiał posępnie. – I odtąd starajmy się chodzić wszędzie w grupie. Tak na wszelki wypadek.



Szczękanie sztućców. Uprzejme prośby o podanie chleba, pasty ziołowej albo dżemu. Rozmowy na temat zaplanowanych na ten dzień zajęć z malarstwa w plenerze i ani słowa o tym, co działo się zeszłej nocy. Joven popatrzyła porozumiewawczo w kierunku swoich przybranych sióstr. Craigne wzruszyła lekko ramionami. Fry uśmiechnęła się kątem ust. Helia wzniosła oczy ku niebu, a raczej ku drewnianemu belkowaniu podpierającemu dach pawilonu.

W gorącym powietrzu unosił się lekki zapach spalenizny. Mieszkanicy wyspy Targisz zdawały się go nie zauważać. Przeżuwały uważnie każdy kęs i piły sok z mango. Joven zauważyła, że Han Tori przypatruje się jej z uwagą. Spuściła oczy. Czy instruktorki mogą czytać w myślach? Coś jej mówiło, że tak. A więc za chwilę wszystko się wyda. Ale nie stało się nic. Po zjedzeniu śniadania wszyscy rozeszli się do swoich zajęć. Wychowanki Chamomilli jak zwykle zostały poprzydzielane po dwie do każdej grupy. Joven i Mitrail miały dziś zajęcia w plenerze. Ćwiczenia prowadziła Scargot, instruktorka, z którą dotychczas niewiele miały do czynienia. Drobną, czarnooką, z ciemnymi, krótko przyciętymi włosami, które nadawały jej chłopięcy wygląd. Ubrana była w prostą, oliwkowozieloną tunikę kończącą się tuż nad kolanami i długie jedwabne spodnie, zwężające się w kierunku kostek. Za szerokim pasem

zatknięty był krótki nóż z bogato rzeźbioną rękojeścią. Scargot wyglądała bardziej jak myśliwy udający się na łowy niż jak nauczycielka malarstwa.

Poprowadziła je na skraj dżungli, gdzie z próchniejącego pnia wyrastały kiście storczyków.

– Rozstawcie sztalugi. Zajmijcie miejsca, tak, żeby słońce nie padało na płótno.

– Głos Scargot był szorstki. Formułowała krótkie zdania, brzmiące jak rozkazy.

– Możecie malować albo kwiaty w zbliżeniu, albo panoramę lasu. Pamiętajcie o kontrastach. Najpierw zaznaczcie cienie.

Instruktorzka zwracała się do nich, ale jej czujny wzrok skierowany był cały czas w stronę dżungli. Mitrad stuknęła Joven w łokieć.

– Czyżby się spodziewała, że nagle coś stamtąd wyskoczy? – szepnęła.

– Prawdopodobnie na Targisz jest więcej takich stworów – mruknęła Joven.

– A może na wyspie wylądowała już Chamomilla albo wysłani przez nią ludzie... – Szare oczy Mitrad zapłonęły nadzieją.

Joven pokręciła przecząco głową.

– Raczej nie spodziewałabym się ich tak szybko.

– Szybko? Jesteśmy tu już strasznie długo!

– Tak, to prawda. Długo i daleko od domu. Wyspa Targisz leży w tropikach, tysiące mil od Como. Skąd Chamomilla miałaby wiedzieć, że ma nas szukać właśnie tu? Myślę, że upłynie wiele czasu, zanim nas znajdą.

Mitrad posmutniała. Wróciła do swoich sztalug i zaczęła sporządzać wstępny szkic. Joven miała wyrzuty sumienia, że swoim logicznym wywodem rozwiała jej złudzenia. Z drugiej strony jednak, lepiej, żeby dziewczęta były przygotowane na dłuższy pobyt na wyspie. Zrobiła kilka kresek na płótnie, zaznaczając położenie najważniejszych elementów obrazu. Tak naprawdę nie miała ochoty malować roślin. Kusiło ją zrobienie portretu Scargot. Chwyciła pałeczkę sprasowanego węgla i naszkicowała szczupłą twarz o nerwowych rysach, czujne spojrzenie, szlachetny kształt czaszki widoczny doskonale dzięki króciutkim włosom. Rysowała jak w natchnieniu. Wiedziała, że za chwilę będzie musiała zamalować cały szkic. Coś jej mówiło, że instruktorka byłaby bardzo niezadowolona, wiedząc, że stanowi obiekt studium portretowego.

– Scargot! Tu są jakieś dziwne, wielkie ślady! Co to za zwierzę? – zawołała czarnowłosa dziewczynka uczesana w gruby warkocz.

Instruktorzka z kocią zręcznością dobiegła do niej. Inne wychowanki także opuściły swoje sztalugi i pochyliły się nad błotnistym zagłębieniem, w którym widniał odcisk wielkiej trójpalczastej łapy.

– To *Stachyrosaurus reptalus* – powiedziała obojętnie Scargot. – Widocznie zabłąkał się tu przypadkowo. Zamieszkuje bagniste centrum wyspy. To jeden z ostatnich egzemplarzy tego gatunku. Proszę wracać do malowania.

Nie uszło uwagi Joven, że kiedy dziewczęta odchodziły do swoich sztalug, instruktorka pochyliła się nad ziemią i przez dłuższy czas przypatrywała się śladom.

Z zalem zamalowała portret Scargot, pokrywając go równą warstwą ciemnej

zieleni. Potem zaczęła nakładać jaśniejsze smugi, oddające charakter splątanej roślinności i zakończyła jaskrawymi plamami storczyków. Spodnia warstwa była zbyt wilgotna nawet po dodaniu płynu, który miał przyspieszać schnięcie. Tak więc barwa kwiatów wyszła trochę przybrudzona. No nic, najwyżej narazi się na druzgocącą krytykę instruktorki.

Zbliżała się najgorętsza pora dnia i czas było kończyć pracę. Scargot przechadzała się pomiędzy dziewczętami i rzucała krótkie uwagi. Ta, której praca została skomentowana, mogła już zwijać swój warsztat i odnieść wszystkie przybory do budynku pracowni. Ostatnia była Joven. Instruktorka podeszła do jej sztalug i nagle się zachwiała. Jej drobną twarz wykrzywił grymas bólu. Odwróciła głowę.

– Zzzzzabierz to – wysyczała, celując palcem w obraz.

– Jest aż tak zły? – zdziwiła się Joven.

– Odejdź natychmiast.

Spakowała pospiesznie wszystkie rzeczy do dużej płóciennej torby, złożyła sztalugi i ruszyła w kierunku pracowni. „Wyglądało, jakbym sprawiła jej ból. Czy instruktorki są aż tak wrażliwe na piękno, że nieco gorszy obraz przyprawia je o cierpienie? Ale wobec tego niezmiernie łatwo byłoby je pokonać... A może ona jest po prostu chora? Nie, instruktorki nigdy nie chorują”.

Weszła do atelier, gdzie odstawiano gotowe prace i postawiła swój obraz obok płócien innych dziewczynek. W porównaniu z nimi jej storczyki nie były takie złe. O co więc chodzi?



Podczas obiadu popatrywała ukradkiem na Scargot. Instruktorka jadła niewiele. Była blada. Wokół jej oczu rysowała się delikatna pajęczyna zmarszczek, których rano, kiedy Joven szkicowała portret, na pewno jeszcze nie było. Portret! Może on był tego przyczyną?

Po posiłku, zamiast pójść do sypialni na sjęstę, zaszła jeszcze raz do atelier popatrzeć na swoją pracę. Obrazu nie było. W powietrzu, oprócz zapachu farb i terpentyny, unosiła się leciutka woń spalenizny.



El Karum, największe miasto portowe Królestwa Druszów, rozpościerało się wzdłuż brzegów zatoki Mihdol. Jego wzniesione na nadmorskich wzgórzach pałace zbudowane z białego kamienia wyglądały jak sznur drogocennych pereł rzucony na brzeg oceanu. Rezydencje otoczone były przepyszными ogrodami dającymi schronienie przed tropikalnym żarem i gorącym tchnieniem niedalekiej pustyni Ab Huran. Pióropusze palm powiewały łagodnie nad złocistoróżowymi, kopulastymi dachami. Poniżej siedzib miejscowych bogaczy rozciągało się tak zwane Dolne Miasto – siedziba rzemieślników, drobnych handlarzy i rozmaitej biedoty. Dzielnica ta składała się z plątaniny wąskich uliczek zabudowanych gęsto przylegającymi do siebie domami. Domki były zazwyczaj piętrowe. Górę zajmowały mieszkania, na dole mieściły się warsztaty albo sklepiki. Co kilkaset metrów u zbiegu ulic znajdowały się niewielkie placzki. Ich centralnym punktem była pompa z kamienną cysterną, do której spływała woda. A przy każdej pompie obowiązkowo stała ławka zajmowana najczęściej przez stare kobiety wyplatające kolorowe maty z sześciobarwnej trzciny pustynnej zwanej hutan.

Szklarka zatrzymała się na chwilę, żeby popatrzeć na zręczne ruchy pomarszczonych dłoni. Sama też usiadłaby na ławce, ale rozłożyste biodra tutejszych kobiet nie zostawiały nawet skrawka wolnego miejsca. Zmęczył ją gwar tego południowego miasta. Wydawało się, że nikt tu nie mówi normalnym głosem, tylko wszyscy krzyczą – handlarze zachwalający towary, wędrowni przekupnie, wychylające się z okien domów śniadolice dziewczęta ze srebrnymi krążkami powplatanymi w kruczoczarne włosy i biegające uliczkami obszarpane, bosonogie dzieciaki. Większość pozostałych uczestników wyprawy też miała chyba dość oglądania miasta.

El Karum było ostatnim portem, w jakim mogli uzupełnić zapasy. Stąd od celu wyprawy dzieliły ich już tylko wody oceanu. Towarzyszący im marynarze zostali odprawieni na statek z workami zakupionych na gwarnym bazarze suszonych i świeżych owoców oraz solonych platów mięsa. Kucharz okrętowy wybrał się na poszukiwanie mąki i odpowiednich przypraw. Właściwie mogliby już wracać na „Roxilonę”, ale Cecil wpadł na pomysł, że należy ofiarować jedną sadzonkę herbaty szczęścia pandachowi miasta. (Mianem pandacha, jak wyjaśniła Urta, tytułowano osobę, która pełniła władzę w mieście i była wybierana raz na trzy lata spośród miejscowych wielmożów). Niósł ją teraz zawiniętą w tubę sztywnego, białego papieru, żeby ochronić pędy rośliny przed kolorowym wrzeszczącym tłumem.

Tylko Urta i Antara czuły się swobodnie w tym ludzkim kłębowisku. Czyż nie w takich miastach spędziły swoje młode lata? Wdychały zapachy kardamonu i kminku. Zajadały się gorącymi cynamonowymi placuszkami, kupionymi od ulicznych sprzedawców, i częstowały nimi Kastora, bardzo wygłodniałego po kilkunastu dniach choroby morskiej. Wybuchaly śmiechem, słysząc niosące się

ponad ulicą przekomarzania ciemnookich dziewcząt. Jako jedyne z całej wyprawy doskonale rozumiały język Druszów. Ross potrafił dogadywać się z miejscowymi w podstawowych sprawach, ale nie był w stanie wyłapać wszystkich subtelności tej naszpikowanej ozdobnikami mowy. Pamiętał też uroczyste formuły powitalne, wypowiedane zamiast zwykłego „dzień dobry” i znając trochę obyczaje ludów południa, obawiał się, że wizyta u pandacha zajmie im cały dzień. Z drugiej strony, Cecil ma rację. Dobrze, żeby w którymś z tych pięknych ogrodów na wzgórzach rosła sobie herbata szczęścia. To wystarczy, żeby instruktorki nie odważyły się opuszczać wyspy.

– Proszę zapytać kogoś o drogę do pałacu pandacha – zwrócił się do Urty. – Tracimy dużo czasu, błądząc w tych uliczkach.

– Dobrze.

Urta podeszła do kobiet splatających maty. Coś do nich mówiła, one odpowiadały, wymieniały uśmiechy, przykładają dłonie do policzków. Potem następował kolejny potok słów, uśmiechy i ukłony.

– Długo to będzie trwało? – Scaber znużony oparł się o krawędź kamiennej cysterny.

– Za chwilę powinny dojść do sedna – odpowiedział przysłuchujący się kobietom Ross.

– Do sedna?! To o czym one przez ten cały czas mówiły? – jęknęła Szklarka.

– Wymieniały zwyczajowe uprzejmości, Urta pytała je o zdrowie, o rodzinę i czy mają dobry apetyt – wyjaśniła Antara.

– Ale przecież ona widzi te staruszki pierwszy raz na oczy! Po co jej informacje o krewnych tych kobiet? – irytował się Cecil.

– W kulturze Druszów zaczynanie rozmowy bez wstępnych pytań i pozdrowień uznawane jest za objaw lekceważenia rozmówcy albo dowód zupełnego nieokrzesania.

– Powinni mieć wyrozumiałość dla cudzoziemców – jęknął botanik, patrząc na kolejną serię ukłonów i przykładania dłoni do policzków.

Ross swoim zwyczajem wyciągnął notes i zapisywał w nim coś pośpiesznie.

– Notuję najprzydatniejsze zwroty – wyjaśnił w odpowiedzi na pytające spojrzenie Szklarki.

– Na przykład?

– Na przykład jedną z formuł pożegnalnych, która w dosłownym tłumaczeniu na nasz język brzmiałaby: „Niech twój żołądek będzie tak pełny, żebyś przez dwa dni nie musiała nic jeść, i niech twoja synowa będzie łagodna i piękna jak światło księżyca”.

– A skąd Urta wie, że te kobiety mają żonatyh synów?

– Z wcześniejszych, rozbudowanych powitań.

– To chyba już wolę odpisywanie na beznadziejne bileciki – westchnęła Szklarka.

– Przypomnę ci to, gdy wrócimy do Versathis. – Scaber uśmiechnął się kątem ust.

Urta wreszcie zakończyła konwersację i podeszła do oczekującej niecierpliwie grupki.

– Mamy skręcić w tę uliczkę w lewo, potem jeszcze raz w lewo, a dalej prosto pod górę kamiennymi schodami, aż znajdziemy się na poziomie pałaców. Siedzibę pandacha rozpoznamy po turkusowej fladze ze złotym słońcem – oznajmiła.

– Oby pani teściowa miała pełny żołądek do końca tygodnia – skłonił się przed nią Kastor.

Reszta wybuchnęła śmiechem. Szklarka pomyślała, że zachowują się tak, jakby zapomnieli o celu podróży i o uprowadzonych dzieciach. Może należy im się chwila wytchnienia przed następnym etapem wyprawy.

Schody wiodące ku dzielnicy pałaców mocno ich wymęczyły. Stopni było ponad dwieście i pokonywanie ich w ciężkim upale z każdym krokiem stawało się coraz większym wyzwaniem. Słońce odbijające się od jasnych kamieni raziło ich w oczy. W dodatku w pewnej chwili Urta zatrzymała się i z bolesnym wyrazem twarzy oznajmiła, że na widzenie z pandachem będą musieli poczekać co najmniej trzy godziny.

– Ale dlaczego? – spytał Kastor, ścierając z czoła grube krople potu.

– Proszę się rozejrzeć. – Dramatycznym ruchem zatoczyła łuk ręką.

Rozchodzące się w bok od schodów uliczki gwałtownie pustoszały. Sprzedawcy zamykali sklepiki, znikali uliczni handlarze, milkły dźwięki dochodzące z warsztatów.

– Co się dzieje? – chciał wiedzieć Scaber.

– Nadszedł święty czas Simir–Kan – wyjaśniła zmartwiona Antara, wsuwając pod spinkę pasmo jasnych włosów. – Zupełnie o tym zapomnialiśmy.

– Co to jest święty czas cośtam? – chciał wiedzieć Kastor.

– We wszystkich krajach południa życie o tej porze zamiera – wyjaśnił Ross, przysiadając na schodku. – Ludzie chowają się w swoich domach i po prostu przesypiają najgorętsze chwile dnia. Nawet złodzieje w tym czasie nie grasują.

– Mamy tu czekać kilka godzin? – Cecil zrobił nieszczęśliwą minę.

– Tutaj na pewno nie, bo słońce wypali nam mózgi – odpowiedział Claith. – Obawiam się, że musimy do końca pokonać te schody i poszukać cienia gdzieś w pobliżu pałaców.

– Nie podoba mi się to! – wybuchnęła zdenerwowana Szklarka. – Stracimy tu cały dzień, podczas gdy Mori...

Scaber otoczył żonę ramieniem.

– Rzeczywiście, w naszej sytuacji czekanie na przyjęcie przez pandacha wydaje się stratą czasu – stwierdził.

– Ale może mimo to wejdźmy na górę. – Kastor popatrzył tęsknie w kierunku ciemnozielonych pióropuszy palm. – Zostało już tylko kilkanaście schodków. W cieniu łatwiej nam będzie myśleć.

Szklarka skinęła głową i ruszyła pod górę. Słoneczny żar stawał się coraz gorszy. Przygniatał, mącił myśli i wywoływał rozdrażnienie. Trzeba korzystać z

mądrości ludów, które zamieszkiwały te tereny od tysięcy lat, i choć na pół godziny sięść w cieniu, zaprzestając fizycznej aktywności.

2.

Na górze wiał lekki wiaterek. Powietrze robiło wrażenie znacznie świeższego od zapachowej mieszanki uwięzionej w labiryncie ulic Dolnego Miasta. Oślepiające bielą rezydencje bogaczy otoczone były wysokimi murami zwieńczonymi czapami kwitnących pnączy, wśród których przeważały purpurowe bugenwille. Ogrodzenia zdobiły barwne mozaiki przedstawiające rośliny, zwierzęta albo motywy geometryczne. Bram pałacowych pilnowali strażnicy noszący na głowach czarne lub szafirowe turbany.

Szklarka rozglądała się zachwycona. Gdyby to był inny czas i okoliczności, spędzałaby tu całe dni na malowaniu. Gra światła i cieni, dramatyczne kontrasty kolorystyczne tworzone przez plamy purpury odcinające się od bieli murów, złociste kopuły dachów na tle szafirowego nieba – wszystko to domagało się utrwalenia. Podobnie chyba czuły Urta i Antara. Stały nieruchomo i szeroko otwartymi oczami chłonęły każdy szczegół krajobrazu.

– Mam tu niezłe miejsce w cieniu! – zawołał Kastor.

Poszli za jego głosem i znaleźli się na niewielkim trójkątnym placu pomiędzy murami trzech rezydencji. Na środku szumiała wyrzeźbiona w białym marmurze fontanna, przedstawiająca jakieś mitologiczne morskie stworzenia. Koło niej rosła kępa palm daktylowych i dwa drzewka granatu. Pod drzewami stała kamienna, omszała ławka i ku radości podróżników nie siedziały na niej żadne miejscowe matrony. W dodatku owoce granatowca były dojrzałe i wspaniale gasiły pragnienie. Szklarka podeszła do fontanny i obmyła w niej twarz. Woda cudownie chłodziła spocone ciało. Zanurzyła w niej ręce aż po łokcie, mocząc koronkowe mankiety sukni. Podniosła głowę i poprzez wodny pył dostrzegła sylwetkę mężczyzny w ciemnoniebieskim turbanie. Stał w bramie po przeciwnej stronie placu i przyglądał się im z ciekawością. „To chyba strażnik posiadłości, która znajduje się za murem” – pomyślała. „Ma taką minę, jakby po raz pierwszy widział cudzoziemców”. Wróciła na kamienną ławkę. Zauważyła, że Kastor leży w cieniu granatowców i pochrapuje lekko. Jej także powieki zaczęły ciężać. Strażnik po drugiej stronie fontanny stracił zainteresowanie przybyszami. Oparł się plecami o mur, jego zwieńczona turbanem głowa opadła na piersi.

Scaber czuł, że zaczyna go ogarniać senne odrętwienie. Najchętniej położyłby się obok Kastora i zasnął. Ale nie przyjechali tu na wypoczynek. Thea miała rację, mówiąc, że na audiencji u pandacha mogą stracić cały dzień.

– A może tutaj zasadzimy herbatę szczęścia? – zaproponował głośno. – Mniej z tym będzie zachodu niż ze składaniem wizyty pandachowi. Przecież jest dość odporna na suszę i nie wymaga szczególnej pielęgnacji.

Cecil ocknął się z drzemki i popatrzył z żalem na roślinę, którą tak ofiarnie tu

wnosił. Miał nadzieję zaprezentować ją egzotycznemu władcy, usłyszeć wyrazy podziękowania, może zostać zaproszonym na jakiś skromny pałacowy posiłek. Kucharz z „Roxilony” przyrządzał dania raczej mało wyszukane, za to bardzo sycące, tak sycące, że długo zalegały kamieniem w żołądku. Cecil zdecydowanie preferował kuchnię bardziej wyrafinowaną. Będzie musiał zrezygnować z poczęstunku. Ostatecznie celem wyprawy było uwolnienie porwanych dziewczynek, a nie zaskarbienie sobie względów miejscowych możnowładców.

– No dobrze – westchnął. – Możemy ją tu posadzić.

Na szczęście zawsze nosił przy sobie małą łopatkę służącą do wykopywania botanicznych okazów. (Zabieranie jej ze sobą było tak silnym przyzwyczajeniem, że czasami znajdował ją w kieszeni albo przypiętą do pasa nawet podczas przyjęć u królowej Keweny). Zasadził herbatę szczęścia tuż obok drzew granatu. Zdawało się, że jej niebieskie liście odbijają błękit nieba.

– Przydałoby się jakieś naczynie, żeby ją podlać – stwierdził.

Ross otworzył swoją sfatygowaną torbę i wyciągnął z niej metalowy kubek. Scaber przypomniał sobie, jak kiedyś, na wyspie Nut, miał możliwość obejrzeć zawartość tej torby. Był wtedy zdumiony ilością rzeczy, jakie Claith, na skutek doświadczenia nabytego podczas licznych podróży, nosi przy sobie. Większość z nich prędzej czy później okazywała się niezbędna, jak choćby ten metalowy kubek, którym Cecil troskliwie podlewa teraz herbatę szczęścia.

Szklarka zauważyła, że strażnik w szafirowym turbanie ocknął się z drzemki i znów im się przygląda. Coś go musiało szczególnie zaciekawić, bo opuścił swoje stanowisko w bramie i zrobił kilka kroków do przodu. Wydawało jej się, że jego wzrok biegnie ku świeżo posadzonej roślinie. Czy to herbata szczęścia wzbudziła takie zainteresowanie? Coś ją zaniepokoiło w wyrazie twarzy tego mężczyzny. Obrzucił ich uważnym spojrzeniem i szybko wycofał się za bramę. Wkrótce zaczęły stamtąd dobiegać wydawane ochryplym głosem okrzyki, które brzmiały jak rozkazy. Niosły się daleko w sennej ciszy popołudnia. Szklarka trąciła Urtę.

– Rozumiesz te wrzaski?

Urta wsłuchiwała się w dobiegające zza muru dźwięki.

– Krzyczy coś o przeklętej roślinie, o cudzoziemcach... – Nie dokończyła. Poderwała się z ławki. – Natychmiast musimy stąd uciekać! Jesteśmy w niebezpieczeństwie!

Ruszyła biegiem. Pozostali poszli w jej ślady. Scaber potrząsnął drzemiącym Kastorem.

– Wstawaj! Uciekamy!

Za murem dał się słyszeć tupot kilku par nóg. Scaber z Kastorem dołączyli do reszty przy schodach wiodących do Dolnego Miasta. Zaczęli po nich zbiegać.

– Skręćcie w pierwszą uliczkę, inaczej zaraz nas dopadną! – krzyknął Ross.

Na szczęście wciąż trwała święta godzina, więc mogli poruszać się bez przeszkód. Żaden gniewny tłum nie zastąpił im drogi. Claith biegł na przedzie,

klucząc wąskimi uliczkami i zaułkami. Ledwo mogli za nim nadążyć. Sytuację pogarszało jeszcze gęste, upalne powietrze kiszące się między ścianami domów. Czasami z sąsiednich ulic dobiegały ich ochryple okrzyki pogoni. Wymieniali wtedy przerażone spojrzenia. Potem ruszali dalej tam, gdzie prowadził ich Ross.

– Stójcie! – zawołała nagle Antara, zatrzymując się przed jakimś okazałym domem, o ścianach wykładanych ceramicznymi płytkami. Nad wejściem namalowane było jedno słowo: LAHILA.

Szklarka oparła się o pokrytą kafelkami fasadę, z trudem łapiąc powietrze. Przed oczami wirowały jej czerwone płatki. Miała wrażenie, że zaraz zemdleje z gorąca.

– Lahila była ze mną na Targisz! To artystka z wyspy! Powinna nas przyjąć. – Mówiąc to, Antara stuknęła gwałtownie do drzwi.

Pomarszczona staruszka o wściekłym wyrazie twarzy ukazała się w okienku na piętrze. Zagadała coś gniewnym głosem. Antara odpowiedziała.

– No, jeśli teraz zaczną rozmawiać o żołądkach i synowych, to przepadliśmy – wydyszał Kastor, zerkając niespokojnie przez ramię.

Na szczęście rozmowa nie trwała długo, bo oto w sąsiednim oknie pojawiła się znacznie młodsza kobieta o ciemnej karnacji i czarnych, przeplatanych pojedynczymi siwymi nitkami włosach, ozdobionych na miejscową modłę srebrnymi krążkami. Ciekawym spojrzeniem obrzuciła przybyszów, po czym jej wzrok zatrzymał się na wychowance instruktorek.

– Antara! – zawołała zdumiona i rozradowana.

– Lahilo! Grozi nam niebezpieczeństwo! Czy możemy wejść?

– Ależ oczywiście! Drzwi są otwarte.

Nie czekając chwili, weszli do środka, gdzie panował miły chłód. Szklarka odetchnęła z ulgą i poszukała wzrokiem Scabera. Uśmiechnął się lekko, ale na jego twarzy malowało się napięcie. Ross przepuścił wszystkich przed sobą. Kiedy już znalazł się w ciemnym wnętrzu i zamykał drzwi, usłyszał wbiegającą w uliczkę pogoń. Dla pewności zasunął mosiężny rygiel. Dopiero wtedy poczuł się bezpieczny.

3.

Nigdy świadomie nie skrzywdziła żadnego zwierzęcia i dlatego osłepienie prehistorycznego jaszczura ciążyło jej na sercu. Dziesiątki razy powracała w pamięci do tych przerażających chwil, kiedy zwierzę ją atakowało, i zastanawiała się, w jaki inny sposób mogła się obronić.

Wszystkie noce spędzała teraz w gałęziach rozłożystych figowców, przywiązując się do nich lianami. Spała czujnie, budząc się na głośniejszy szmer, a rano wstawała zmęczona i pozbawiona energii. Poparzenia i zadrapania goiły się wolno i piekły przy każdym dotknięciu. Coraz silniej narastało w niej pragnienie wydostania się na pustynię. Gdy udawało jej się wspiąć dostatecznie wysoko, ponad falującym, zielonym morzem liści widziała płowe, piaszczyste

wzgórza. Potem zsuwała się na niższe, grubsze konary i tak długo, jak się dało, przechodziła po nich niczym wiewiórka z drzewa na drzewo. Ten sposób wydawał się lepszy niż błędzenie po zwodniczych ścieżkach. Wydawało się jej, że pustynia jest coraz bliżej. Czasami dopadała ją myśl: „Wyjdę na pustynię, i co dalej? Nie zdołam dojść do morza. I skąd wezmę wodę?”. Odsuwała te wątpliwości, bo odbierały jej siły do przeżycia kolejnego dnia. Straciła rachubę czasu i nie była już w stanie określić, jak długo przebywa w dżungli.

Ten dzień zaczęła jak zwykle od wspinaczki na wierzchołek najwyższego drzewa i sprawdzenia, jak daleko jest upragniony cel. O nie! Wydawał się trzy razy bardziej odległy niż wczoraj. „To niemożliwe, żebym aż tak zabłądziła. Kierunku pilnowałam przecież bardzo dokładnie. To niemożliwe, niemożliwe” – powtarzała jak zaklęcie. Poczula taki zawód, że aż łzy zakręciły jej się w oczach, rozmazując widok. I wtedy zobaczyła pustynię. Była bardzo blisko. Mori mogła tam dotrzeć w godzinę. Wystarczyło iść bardziej na zachód niż dotychczas. Jak to możliwe, że przedtem jej nie widziała? Otarła oczy wierzchem dłoni i... Wokół niej znów szumiał ocean tro-pikalnej roślinności. A co to ma u licha znaczyć?! Zacisnęła powieki, żeby wycisnąć jeszcze jakieś ostatnie łzy, przez które mogłaby popatrzeć na świat. Jest pustynia! „Instruktorki robią jakieś sztuczki, żeby mnie zmylić”. Dokładnie zapamiętała, gdzie leży piaszczysta równina i zdecydowanie ruszyła w tamtą stronę. Z gałęzi na gałąź. Prawa ręka, lewa, potem prawa noga, lewa. Rozejrzeć się, czy na którymś z konarów nie czai się wąż i czy ta kiść liści nie kryje gniazda szczególnie złośliwych os carite (opisywali je różni podróżnicy; jedno uząddlenie powoduje, że człowiek przez trzy dni leży w gorączce). Następny krok. Chwycić rękami gałąź sąsiedniego drzewa, sprawdzić, czy jest wystarczająco mocna, przerzucić ciężar ciała na prawą nogę, odbić się. Jest! Zbadać, czy to nowe miejsce jest bezpieczne, poszukać odpowiedniego konara i ruszać dalej.

W pewnym momencie poczuła, że powietrze jakby zgęstniało. Każdy ruch wymagał większego wysiłku. Miała wrażenie, że porusza się w lepkiej cieczy. W uszach zaczęło jej szumieć, a szum powoli przeradzał się w jednostajny gwizd. Przystanęła. Skupiła wzrok na otaczających ją drobinach powietrza. Aha. Tak to wygląda. Cząsteczki zostały ściśnięte, a ich część zmuszona do odgrywania roli wielkiego lustra, odbijającego obraz dżungli.

– Bardzo sprytne. Zaraz was uwolnię maleństwa – zamruczała Mori, wyęzając siły, żeby zniszczyć powietrzne zwierciadło instruktorek.

Nie było to łatwe, bo cząsteczki związane były jakąś dużą energią. Zlikwidowanie całego lustra wymagałoby ogromnego wysiłku, ale jej wystarczyło zrobienie małego wylomu, przez który przedostała się na drugą stronę.

4.

– I co teraz? – spytała Han Tori.

Ellix oderwała wzrok od monitora i wzruszyła ramionami.

– Pustynia też jest wyzwaniem. My nie możemy tam działać, ale mieszkańcy piasków nie należą do istot, z którymi miałyby się ochotę spotkać.

– Ta dziewczyna uszkodziła barierę – powiedziała z naciskiem Han Tori. – A poza tym, są jeszcze oni.

– Wiem – westchnęła ze znużeniem Ellix. – W tej chwili bardziej martwi mnie to, co dzieje się tutaj. Scargot...

– Zniszczyliśmy tamten obraz. Nie powinien już na nią oddziaływać.

– Ale co jakiś czas dopadają nas ataki osłabienia. Tego nie było przedtem... zanim sprowadziłyśmy te dziewczyny z Como. A swoją drogą dlaczego Joven rysowała portret Scargot? Czy na Como nie było to zabronione? – Ellix oparła głowę na łokciu i zerknęła pytająco na przełożoną. Teraz, gdy nie widziała jej żadna z wychowanek, jej oczy nareszcie mogły odpocząć i przybrać naturalną barwę intensywnego oranżu, obejmującego zarówno tęczę, jak i białka.

– Przecież wiesz, że spędziły na wyspie tylko kilka pierwszych lat życia. Nikt nie wpoił im Reguł. A dziewczyna ma zmysł portrecistki, więc pokusiła się o szkic.

– Myślisz, że nie działała celowo?

– Przeskanowałam ją – powiedziała spokojnie Han Tori. – Dopiero po fakcie zorientowała się, że zasłabnięcie Scargot może mieć związek z jej szkicem.

– Grozi nam to, że zechce ponawiać próby.

– Co sugerujesz?

– Masz swoje sposoby Han Tori. – Po raz pierwszy tego popołudnia Ellix uśmiechnęła się. – Nikt nie jest w tym tak dobry jak ty, Mącieliu Pamięci.

5.

Salon Lahili urządzone z przepychem charakterystycznym dla estetycznych norm właściwych krajom dalekiego południa. Podłoga wysłana była wzorzystymi dywanami, na których leżały różnej wielkości haftowane poduszki. Ściany zdobiła mozaika z maleńkich, ceramicznych kostek i płytek malachitu. Ciężkie, haftowane złotą nicią zasłony wiszące w wąskich, łukowatych oknach chroniły pomieszczenie przed słońcem. W rogach pokoju stały antyczne wazy ze świeżymi kwiatami, a obok nich złożone czteroramienne świeczniki. Na środku ustawiono niski stolik z drzewa gan, surowca niezwykle rzadkiego i niewyobrażalnie drogiego. Stół ten aż się ugiął pod ciężarem potraw i napojów. Lahila, spowita w powiewną szatę wyszywaną w srebrne, zawile ornamenty, odprawiła służącą i sama zajęła się obsługą niespodziewanych gości. Z wysokiego kryształowego dzbana nalewała cytrynowy musujący napój i podawała go w szklankach z barwionego szkła. Przed każdym stawiała też miseczkę prażonych w cukrze migdałów i mały srebrny koszyczek z owocami. Dopiero kiedy dopełniła tych czynności, usiadła na podłużnej poduszce z ałtasu i zwróciła twarz ku Antarze.

– Chciałabym teraz usłyszeć waszą historię. Od początku – powiedziała melodyjnym głosem, starannie i niespiesznie wymawiając każdy wyraz. Antara zdecydowała się najpierw w krótkich słowach przedstawić swoje bolesne dzieje – małżeństwo trwające zaledwie rok, narodziny i utratę dziecka, życie na wyspie Nut, ucieczkę stamtąd i wreszcie wydarzenia ostatnich tygodni. W jej opowieści nie zabrakło również miejsca dla herbaty szczęścia i jej znaczenia dla przetrwania dawnych wychowanek z Wysp Sierot.

– A tu nagle okazało się, że w El Karum herbata szczęścia jest z niewiadomych powodów rośliną przeklętą – dodała na zakończenie. – Gdyby nie twoja pomoc, Lahilo, prawdopodobnie zostalibyśmy złapani i wtrąceni do więzienia.

– Ależ nie – odpowiedziała spokojnie Lahila. – Nie wtrącono by was do więzienia. Zostalibyście od razu zabici. Tak każe dekret.

– Co to za dekret? – chciał wiedzieć Cecil.

– „Ktokolwiek sprowadzi do naszego kraju roślinę o niebieskich liściach i purpurowych kwiatach, ten na mocy królewskiego rozkazu ma być natychmiast stracony, roślina spalona razem z korzeniami, a popioły po niej zagrzebane na metr w głębi ziemi” – wyrecytowała kobieta.

– Ale dlaczego? – nie mógł zrozumieć Kastor.

– Czuję w tym rękę instruktorek. Musiały jakoś wpłynąć na króla Druszów – powiedziała pośpiesznie Szklarka.

Lahila pokiwała głową.

– To rozsądne wytłumaczenie. O ile pamiętam, dekret ogłoszony został jakieś dwanaście lat temu i od tej pory jest odczytywany co roku podczas Święta Praw. Wydawało mi się to dziwne, bo o ile inne zarządzenia odnoszą się bezpośrednio do utrzymania porządku i bezpieczeństwa w państwie, to to jedno nie dawało się skojarzyć z żadną dziedziną życia, zwłaszcza że nikt tak naprawdę nie widział herbaty szczęścia.

– Cecilu! – zatrwożyła się Szklarka. – Czy wszystkie doniczki są w kajutach?

– Tak – uspokoił jąbotanik. – Kiedy skończyły się sztormy, miałem zamiar wystawić je na słońce, ale doszedłem do wniosku, że byłyby tam ciągle potrącane i przestawiane przy załadunku prowiantów. Więc zrezygnowałem. Szklarka odetchnęła z ulgą. Chamomilla i wszyscy inni, którzy zostali na statku, są bezpieczni. Na razie.

– Powinniśmy jak najszybciej wracać na „Roxilonę” – odezwał się Ross. – Pandach i miejskie straże prędzej czy później wykryją, że to na niej przyплыliśmy i mogą wydać rozkaz zniszczenia statku. Czy może nam pani jakoś pomóc?

– Właśnie się nad tym zastanawiam. – Kobieta popatrzyła na nich oczami koloru gorzkiej czekolady. – Stąd do portu idzie się dość długo, a całe miasto jest już pewnie zaalarmowane. Niestety, wasz cudzoziemski wygląd stanowi dodatkowy problem. – Spojrzała wymownie na jasnowłosą Antarę.

– Przecież nie możemy tu zostać! – wykrzyknął Kastor.

Lahila w zamyśleniu piła łyk lemoniady.

– Skoro wszyscy porządni, przestrzegający prawa obywatele są dla was niebezpieczni, będziecie musie- li skorzystać z pomocy tych, którzy są po stronie bezprawia.

Szklarka zauważyła, że na te słowa Rossowi oczy błysnęły podnieceniem. Zapewne jego awanturnicza dusza podskakiwała z radości na myśl o nowych przygodach, a pisarski umysł szykował się do notowania nowych wrażeń. Ona sama obawiała się skorzystać z pomocy przestępców i gdyby to było możliwe, natychmiast odrzuciłaby taką ewentualność. Ale chyba nie pozostało im nic innego, jak skorzystać z propozycji Lahili.

– Czy mogłaby pani skontaktować nas z tymi ludźmi? – spytał Claith.

– Mogłabym – skinęła głową Lahila, przymykając powieki.

Szklarka pomyślała, że przez lata mieszkania wśród Druszów ich gospodyni zatraciła sztywną rzeczowość właściwą wychowankom instruktorek i nabrała manier kobiet z południa. Leniwe ruchy, powolny głos i całe zachowanie sugerujące, że czas właściwie nie ma znaczenia. A dla nich miał. Bo tam gdzieś na Targisz czekała Mori i córki Chamomilli.

– Prawdopodobnie będą jakieś koszty – zauważył rzeczowo Ross. – Nie sądzę, żeby te osoby, o których pani wspomniała, chciały nam pomóc bezinteresownie.

– Człowiek, o którym myślę, ma wobec mnie dług wdzięczności. – Lahila uśmiechnęła się tajemniczo. – Myślę, że będzie zadowolony, mogąc go w końcu uregulować.

6.

Wciąż próbowała kreślić na piasku szkice portretów instruktorek. Nie wiedziała, dlaczego to robi. Nie rozumiała. To doprowadzało ją do rozpacz. Pewnego ranka obudziła się z uczuciem, że coś istotnego uciekło jej z pamięci. Jakieś wydarzenia i związane z nimi postanowienia. Przeraziła ją ta pustka. Czuli, że już nie jest w pełni sobą.

Dziewczęta też coś zauważyły.

– Joven, czy ty źle się czujesz? – spytała Fry, zaglądając jej w oczy.

A wtedy Joven, ta najstarsza, najbardziej opiekuńcza i najsilniejsza z nich wszystkich, po prostu wybuchnęła płaczem.

– Powiedz nam, co się stało. – Helia objęła ją ramieniem.

Był akurat czas sjeisty i wszystkie wychowanki Chamomilli przebywały w sypialni. Otoczyły teraz wianuszkami Joven i patrzyły na nią z mieszaniną współczucia i przerażenia.

– Nie wiem. – Joven próbowała powstrzymać łzy, ale zupełnie jej się to nie udawało. – Po prostu obudziłam się dziś ze świadomością, że zapomniałam o czymś bardzo ważnym. O czymś takim, co mogłoby nas ocalić.

– Nie mówiłaś nam o tym wcześniej.

– Wiem! – rozszłochała się na nowo. – Może to po prostu byłoby dla was zbyt niebezpieczne. Ale teraz nie pamiętam nic! Nie mogę sobie nic przypomnieć!

Żadnego skojarzenia!

– To, co wymyśliłaś, musiało bardzo zaniepokoić instruktorki, skoro wymazały część twojej pamięci – odezwała się poważnie Laszti.

Dziewczyny jak jeden mąż zwróciły na nią spojrzenia.

– Sądzisz, że to instruktorki... – zaczęła Craigne.

– A któżby inny? – Laszti gniewnie zmarszczyła brwi. – Nie pamiętacie opowieści Chamomilli o tym, jak Anid Verda wymazywała dzieciom wszelkie wspomnienia o rodzicach? Te tutaj też mogą robić takie rzeczy.

– Och, Joven! Dlaczego nic nam nie powiedziałaś? – zawołała Arta.

– To by nic nie dało. – Czarnooka Laszti zacisnęła dłonie w pięści. – Przecież one na pewno sprawdziły nasze myśli. Gdyby Joven wtajemniczyła którąkolwiek z nas...

Nie musiała kończyć.

Od tamtego dnia Joven straciła dawną pewność siebie. Potulnie wykonywała polecenia instruktorek, malowała obrazy, kładła się spać o wyznaczonej godzinie. Świadomość, że ktoś wdarł się do jej umysłu i pozbawił części wspomnień, zupełnie ją załamała. I tylko czasem ogarniało ją jakieś niewytłumaczalne pragnienie rysowania. Stawała w odosobnionym miejscu i patykami na piasku rysowała twarze instruktorek. A potem dokładnie je zamazywała. I przez chwilę czuła dziwną satysfakcję.

7.

Mężczyzna, którego przedstawiła im Lahila, miał na imię Kert. (Ross miał pewne wątpliwości, czy imię jest prawdziwe, ale nie powiedział tego głośno). Był niewysoki, krępy, a jego dużą głowę pokrywała masa kruczoczarnych loków. W lewym uchu miał cztery kolczyki, a na prawym wytatuowaną gwiazdkę. Od stóp do głów odziany był w czerń. Szklarka pomyślała, że wygląda jak postać z bajki o gnomach strzegących skarbów pod ziemią. Bardzo była ciekawa, jaki to dług wdzięczności zaciągnął wobec Lahili.

Kert rozsiadł się na poduszkach i uprzejmie zgodził się na poczęstunek. Jego małe, głęboko osadzone oczka były w nieustannym ruchu. Raczył się kandyzowanymi migdałami, lustrując zebranych w salonie ludzi. Świdrującym spojrzeniem przeszywał każdego po kolei. Najdłużej przypatrywał się Rossowi, który nie wydawał się speszony i spokojnie wytrzymał wzrok przybysza.

Lahila siedziała w pewnym oddaleniu i z lekkim rozbawieniem obserwowała tę milczącą scenę.

Kert skończył chrupać migdały i zwrócił się do uśmiechniętej gospodyni.

– Rozumiem, że pragniesz, droga Lahilo, abym pomógł tym cudzoziemcom.

Zaskoczeni byli, że tak płynnie posługuje się ich mową.

– Chciałabym, abyś przeprowadził ich do portu i dopilnował, żeby jak najprędzej weszli na statek „Roxilona”. Niezauważeni.

– Słyszałem, że strażę szukają grupy ludzi, którzy pod samym pałacem

pandacha posadzili zakazaną roślinę. Czy to właśnie twoi goście, zacna Lahilo, dopuścili się tego przestępstwa?

– Nic nie wiedzieliśmy o tutejszym idiotycznym dekrete! – wykrzyknął oburzony Kastor.

– Ależ ja nie mam do was najmniejszych pretensji, młodzieńcze. – Kert podniósł obronnym gestem rękę, prezentując przy tym imponującą kolekcję złotych pierścieni. – Natomiast radzę ci, byś w towarzystwie rodowitych Drusów nie nazywał dekretów ich władcy idiotycznymi. Mogłoby cię to kosztować język.

– Więc pan nie jest Druszem? – spytał zaciekawiony Ross.

– A czy ja wyglądam na któregoś z nich? Czy mówię jak któryś z nich? – zaperzył się mężczyzna, ale już po chwili rozpoznał się, a jego oczka błysnęły chytrze. – Nie, ja wyglądam na tego, kim jestem... – Rozejrzał się po wpatrzonych w niego słuchaczach. – To znaczy na Kerta.

Wybuchnął gromkim śmiechem, widząc rozczarowane miny cudzoziemców.

Lahila westchnęła przeciągle i na tyle głośno, żeby usłyszał to Kert. Natychmiast się uspokoił.

– No już dobrze, dobrze, prześwietna Lahilo. Oczywiście, że postąpię wedle twego życzenia, ale nie da się tego zrobić przed zapadnięciem zmroku.

Pasażerowie „Roxilony” wydali jęk zawodu.

– Przykro mi – wzruszył ramionami mężczyzna.

– Czy nie mógłby pan dostarczyć wiadomości na nasz statek? – spytała Szklarka. – Jeśli nie wrócimy do zmroku, członkowie załogi zaczną nas szukać. A kiedy ktoś zacznie ich pytać o herbatę szczęścia, nieświadomi niczego mogą przyznać, że mamy na pokładzie taką roślinę, a wtedy...

Kert popatrzył pytająco na Lahilę. Ta skinęła głową.

– Zaraz przyniosę papier i pióro – powiedziała. – Kert dostarczy list samemu kapitanowi, nieprawdaż?

– Albo Chamomilli – dodała Szklarka. – To moja przyjaciółka. Jej dzieci też zostały porwane.

– Co za dziwaczne imię, Chamomilla – mruknął Kert. – Chyba lepiej bym się czuł, rozmawiając z kapitanem.

Szklarka napisała pospiesznie kilka zdań, poczekała, aż tusz wyschnie, i złożyła kartkę na pół. Wręczyła ją kędzierzawemu mężczyźnie.

– Bardzo jesteśmy panu wdzięczni – powiedziała.

– Nie ma za co. Ja tylko spłacam stare długi. – Zerknął przeciągle w kierunku Lahili, skłonił się wszystkim i wyszedł.

– Cóżes ty mu za przysługę wyświadczyła? – spytała zdumiona Antara.

– O tym wolałabym głośno nie mówić – uśmiechnęła się tajemniczo Lahila. – A przynajmniej nie w tym mieście.

– A czym ten Kert się zajmu... – zaczął Kastor.

– Tego tym bardziej nie chciałabym zdradzać – przerwała, odgadując sens pytania, zanim zostało do końca wypowiedziane.

Zapadło milczenie. Za oknami za to narastał uliczny gwar. Skończył się święty

czas Simir–Kan i mieszkańcy miasta wracali do swoich zajęć. Ich podniecone głosy słycać było wyraźnie w salonie Lahili.

– Rozmawiają o nas – powiedziała szeptem Urta.

– Czy twoja służąca nic nie powie? – zaniepokoiła się Antara.

– Ralit jest u mnie od dwudziestu lat. Wzięłam ją na służbę prosto z ulicy. Zebrała pod moim domem. Wszystko, co powiem, jest dla niej święte, a moje słowa mają większą wagę niż królewskie dekrety.

– Czy od razu po opuszczeniu Targisz znalazłaś się w El Karum? – zaciekała się Antara. – Mnie i Urtę instruktorki wysłały do miast w głębi pustyni.

– Na początku mieszkałam w Lud – odpowiedziała Lahila. – W tamtych czasach było to dość duże miasto u podnóża gór Fahuorew. Po dwóch latach od mojego przybycia cały ten rejon nawiedziły trzęsienia ziemi i wszystkie najpiękniejsze budowle zamieniły się w kupy gruzu. Ci, którzy nie mieli dokąd się wyprowadzić, zajęli się odbudową domów. Bogatsi mieszkańcy zrezygnowali z renowacji pałaców i przenieśli się w bezpieczniejsze rejony. A że większość z nich była moimi klientami, ja także musiałam sobie poszukać innego miejsca. No i osiadłam w El Karum.

– A czym się zajmujesz, ceramiką? – spytała Szklarka.

– Nie! – zaśmiała się Lahila.

– Na Targisz trudniłaś się haftem, prawda? – przypomniała sobie Antara.

– Tak, nadal trochę haftuję, ale moim głównym zajęciem jest projektowanie i szycie kosztownych i unikalnych strojów. Chodźcie, pokażę wam.

Skinęła na nich, odchylając brokatową tkaninę zasłaniającą wejście do sąsiedniego pomieszczenia. Podniosły się tylko kobiety i Ross. Cecil, Kastor i Scaber nie byli ciekawi ubiorów.

Pracownia była zawałona belami tkanin. Na podłodze walały się tysiące maleńkich ścinków. Motki kolorowych nici wisiały na kołkach wbitych w ściany. W dużej oszklonej gablocie leżały rozmaite klejnoty, diademy, ale też kawałki jelenich rogów, maleńkie rzeźby z kości słoniowej, jakieś kolorowe nasiona, powyginate korzenie i skorupy orzechów. Najbardziej rzucał się jednak w oczy stojący w centrum pokoju wiklinowy model, na którym rozpięta była suknia.

Kobiety podeszły bliżej, żeby napatrzeć się na to cudo uszyte z wąskich pasków połyskliwego jedwabiu we wszystkich odcieniach błękitu i zieleni. Na materiał ponaszywane były niezliczone ilości drobnych perełek, kryształów i muszli. Delikatny haft wykonany szmaragdową nicią przedstawiał dziwne podwodne rośliny, sprawiające wrażenie, jakby poruszały się zgodnie z rytmem niewidzialnych fal. Na głowie modelu osadzony był diadem z pereł i muszli, które, powplatane w oczka srebrnej siatki, opadały z tyłu aż do połowy pleców.

– To suknia dla Anneigijn, żony pandacha – wyjaśniła Lahila zadowolona z wrażenia, jakie wywołało jej dzieło. – Szyłam ją dwa miesiące.

– Jest piękna – westchnęła Szklarka. – Mam nadzieję, że jej właścicielka też.

– O tak! Anneigijn jest kobietą rzadkiej urody. Ma poza tym ogromne ambicje i

lubi przyćmiewać wyglądem inne damy. Ten strój przeznaczony jest na uroczystości z okazji dziesiątej rocznicy panowania króla Maduka IV. Będzie w nim występować podczas uroczystej procesji ulicami miasta. Oczywiście Górnego Miasta. Pandach i jego żona są wtedy niesieni w specjalnej otwartej lektyce i każdy może ich oglądać. Z tego też względu suknia musiała być szczególnie efektowna.

– A do czego służą te zbiory zamknięte w gablocie? – spytał Ross, który zaciekawiony przyglądał się eksponatom umieszczonym za szkłem.

– Do dekoracji sukien, oczywiście.

– Nawet jelenie rogi? – zdziwiła się Urta.

– Tak, kawałeczki jelenich rogów z osadzonymi w nich małymi agatami są świetną ozdobą przy grubszych tkaninach w kolorach pustyni.

– Czy ciągle płacisz podatki instruktorkom? – zainteresowała się Szklarka.

– Oczywiście. Jestem do tego przecież zobowiązana.

– I wpłacasz te pieniądze do banku?

– Tak, dlaczego pytasz?

– Bo ciekawa jestem, w jaki sposób je odbierają.

– Tego nie wiem – rozłożyła ręce Lahila.

– Nie chciałaś nigdy wyjść za mąż? – zagadnęła ją Antara, jak na gust Szklarki trochę zbyt obcesowo.

– Chciałam. – Lahila błysnęła oczami i odęła wargi. – Ale nie wyszłam. Sądząc po tym, co spotkało ciebie, to chyba dobrze. Nie przeżyłabym straty dziecka.

– Żadna z nas by nie przeżyła, gdyby nie możliwość przebywania na wyspie Nut

– odezwała się Urta. – Chciałabym odnaleźć swoją córkę. W tym roku skończy dwadzieścia lat, powinna więc już dawno opuścić Targisz. Może mieszka w którymś z sąsiednich miast?

– Przecież i tak jej nie rozpoznasz – szepnęła Antara. – Ani ja nie rozpoznam mojej Sivil.

– Od dawna nie słyszałam o żadnych nowych wychowankach osiedlających się w Kraju Druszów. Zawsze, kiedy ktoś młody zaczyna sprzedawać swoje prace, różni kolekcjonerzy dość szybko je wykupują wiedząc, że za kilka lat te dzieła staną się dziesięciokrotnie droższe. O artystkach mówi się na przyjęciach, daje się ich wyroby w prezencie... Mija dwanaście lat, jak nie pojawiła się w tych rejonach żadna nowa dziewczyna z Targisz.

– Myślisz, że trzymają je na wyspie? – zdumiała się Szklarka. – Ale po co? Zawsze myślałam, że potrzebne jesteśmy instruktorkom tylko wtedy, gdy przynosimy im zyski.

– A kto zrozumie instruktorki? – Lahila wzruszyła ramionami.

– Ja już od dawna podejrzewałem, że nie chodzi im tylko o zyski – wtrącił się Ross. – Gdyby tak było, nie uśmiercałyby swoich dawnych wychowanek.

Szklarka stała przy oknie i przez szparę między zasłonami obserwowała wąską ulicę pełną ludzi. Niebo nad miastem miało kolor spłowiałego płótna. „Kiedyż nareszcie zapadnie zmrok, żebyśmy mogli stąd wyruszyć?”

Pustynia. Mori nie mogła się na nią napatrzeć. Po tylu dniach przebywania w dżungli nareszcie otwarta przestrzeń. Nareszcie widoczna linia horyzontu. I spokój. Ciągące się nieprzerwanym łańcuchem piaszczyste wydmy dawały jej ukojenie i dziwne poczucie bezpieczeństwa. Miała przeczucie, że teraz instruktorki nie mogą jej zaszkodzić. Przez cały dzień leżała na brzuchu i patrzyła przed siebie. Oddalała z głowy wszelkie myśli i pomysły. Po dniach nieustannego napięcia i czujności nareszcie mogła odpocząć.

Pod wieczór znacznie się ochłodziło. Mori okryła się liśćmi rosnących na skraju dżungli bananowców i próbowała zasnąć. Gwiazdy nad jej głową migotały jak srebrne igły. „Proszę was, poddajcie mi jakiś pomysł. Jak mam się stąd wydostać? Gdzie szukać pomocy? Jak zawiadomić rodziców? Proszę, proszę, proszę. Jestem pewna, że mnie słyszycie, nawet jeśli jesteście miliardami odległych słońc”. Skuliła się pod okryciem z liści i zamknęła oczy.

O świcie obudziły ją ptasie śpiewy. Po raz pierwszy od dawna czuła się wyspana i wypoczęta. Na śniadanie zjadła banana i soczyste owoce mango, które rosły na sąsiednim drzewie. Dzięki nim zaspokoila także pragnienie. Większość leśnych źródełek znajdowała się w głębi dżungli, więc od kilku już dni nie piła wody, zadowolając się sokiem zawartym w owocach. Na razie jej to wystarczało, ale trochę się obawiała, że w klimacie pustynnym będzie potrzebowała więcej płynów.

Usiadła ze skrzyżowanymi nogami w cieniu rzucanym przez drzewa i znów zapatrzyła się w morze piasku. „Czy iść przed siebie? Nie. Umarłabym z pragnienia. Czy obejść wyspę dookoła, trzymając się skraju dżungli? Mogę to zrobić, ale po co? Żeby znaleźć przejście, którego używają instruktorki? A gdybym doszła do morza, to co wtedy? Nie mam łodzi, nie mam pożywienia... Zbudować tratwę?” Nie podobał jej się ten zamęt w myślach i niemożność podjęcia decyzji. Przyglądała się niezliczonym wzorom, jakie tworzyły ziarnka piasku. Drobne kryształki kwarcu układały się w linie faliste, spiralne, albo przeplatały się jak ornamenty zdobiące stare manuskrypty. Wiatr przepływający nad piaszczystymi wydmami zmieniał i modyfikował te wzory. Mori zapomniała o całym świecie, obserwując niezwykle spektakl, jaki ofiarowywała jej pustynia. W końcu żar południa zmusił ją do wycofania się głębiej między drzewa. Położyła się, opierając głowę na jakimś wystającym korzeniu. Tutaj, na skraju pustyni nie bała się żadnych jadowitych stworzeń. Była przekonana, że wszystko, co jej zagrażało, zostało po tamtej stronie powietrznego lustra. Przymknęła oczy zmęczone od wpatrywania się w piasek.

– Czekam na ciebie – powiedział chłopiec o niebieskich oczach. – Czekam na ciebie od tysiąca lat.

Chłopiec miał szatę koloru piasku, której fałdy poruszały się w powiewach

wiatru, a wtedy osypywały się z nich drobne ziarenka kwarcu.

– Jak mam cię znaleźć?

– Mieszkam w Oku Pustyni.

– To znaczy gdzie?

– W samym, samym Oku.

– Nie możesz po mnie przyjść?

– Nie, to ty masz mnie odnaleźć, a wtedy ja cię uratuję.

– Jak ci na imię?

– Szszszszsz... – chłopiec schylił się i sygnął jej w oczy garścią piasku.

Piach był złoty. Maleńkie drobinki przykleiły jej się do rąk i do twarzy i cała jej skóra lśniła złociście. A potem z czubków palców wyrosły jej skrzydełka podobne do skrzydeł motyli. Cała była nimi pokryta. Zaczęła wznosić się do góry ponad pustynię i wtedy zobaczyła, że na samym jej środku widnieje pulsujące jaskrawą zielenią oko.

Obudziła się i natychmiast usiadła. „Muszę dokładnie zapamiętać ten sen. Niebieskooki chłopiec mówił, że mam go znaleźć i wtedy zostanę uratowana. Dlaczego powiedział, że czeka na mnie od tysiąca lat? Przecież wyglądał, jakby był w moim wieku. Nie będę teraz o tym myśleć. Najważniejsze, to znaleźć Oko Pustyni. We śnie widziałam je z góry, może zobaczę coś, gdy wejdę na drzewo?...” Wdrapała się najwyżej, jak potrafiła. Pustynia rozciągała się przed nią jak płowej barwy tkanina. Ale nigdzie nie widać było Oka. „Nie można traktować snów dosłownie. Oko to pewnie jakaś metafora. Prace Sibeliusa Degiusa wyraźnie o tym mówią. Szkoda, że nie czytałam więcej na ten temat. Ale to nic. Oko to może być jakiś budynek albo ruiny miasta ze świątynią starożytnego bóstwa umieszczoną w centrum. A chłopiec? Ten chłopiec do niczego nie pasuje, ale bardzo chciałabym go spotkać. Obiecał, że mnie uratuje. Nie, Mori, myśl logicznie. To jest wyspa instruktorek. One nie pozwoliłyby, żeby zamieszkiwał ją ktoś poza nimi. A poza tym, czym by się żywił? I to przez tysiąc lat. Nie mogę brać dosłownie tego snu. Po prostu jest na pustyni coś, co pomoże mi się stąd wydostać. I ja to znajdę”.

Postanowiła iść obrzeżem dżungli. Co jakiś czas będzie wchodzić na drzewo i sprawdzać, czy pośród piaszczystych wydym nie zobaczy czegoś, co mogłoby być miejscem obiecanego ratunku. Ruszyła od razu. Sen o niebieskookim chłopcu rozpalil w niej entuzjazm.

9.

W krajach południa słońce nie ociąga się z zejściem za horyzont i zmrok zapada szybko. Niebo nad El Karum, gładkie jak granatowy aksamit, skrzyło się już od gwiazd, ale mieszkańcy miasta nie szli jeszcze na spoczynek. Ulice tętniły gwarem i wypełniały się zapachami pieczonych kurcząt, smażonych bananów i doprawianej kardamonem kaszy kal-tal. Na placach wokół cystern z wodą

zapalano kolorowe lampiony, rozkładano maty i zaczynała się wieczorna uczta.

– Czy oni nie mają zamiaru położyć się spać? – spytał Kastor, uchylając zasłone i zerkając przez okno na kipiących aktywnością Druszów.

– To najważniejszy moment dnia – wyjaśniła Lahila. – Wspólna celebrowanie wieczornego posiłku. Przyjść może nawet najbardziej obszarpany żebrak i jeśli obmyje dłonie w cysternie, ma prawo jeść wspólnie z innymi.

– Długo tak będą ucztować? – chciał wiedzieć Scaber.

– Zazwyczaj kończą przed północą. – Lahila uśmiechnęła się bezradnie.

– Nie powinnaś do nich dołączyć? – zaniepokoiła się Szklarka. – Twoja nieobecność może wzbudzić podejrzenia.

– Och, nie! – zaśmiała się artystka. – Nie znoszę jadać w tłumie i moi sąsiedzi nie oczekują, że do nich zejdę. W końcu jestem cudzoziemką i nie muszę przestrzegać wszystkich tutejszych obyczajów.

– Ciekawe, gdzie się podział pani przyjaciel – odezwał się cierpkim głosem Scaber. – Powiedział, że wyprowadzi nas o zmroku.

– Otóż i on – ogłosił Kastor, który z łapczywą ciekawością kogoś, kto pierwszy raz znalazł się w krajach południa, obserwował uliczne scenki i przy tej okazji zobaczył również nadchodzącego mężczyznę.

Nie minęła minuta i Kert wszedł do salonu Lahili. Usiadł ciężko na haftowanej w kwiaty wiśni poduszce i odetchnął głęboko. Szklarka zauważyła jakąś istotną zmianę w wyrazie jego twarzy. Z początku nie umiała tego sprecyzować. Przyjrzała się uważnie. Na ustach Kerta pojawiał się co chwila lekki, rozmarzony uśmiech, a jego wzrok, zamiast świdrować wszystkich obecnych, błąkał się po pokrytych kolorową mozaiką ścianach pokoju. Miała nadzieję, że nie jest pijany.

– Kiedy będziemy mogli stąd wyjść? – spytał szorstko Scaber, zniecierpliwiony przedłużającym się milczeniem przybysza.

Kert jakby się ocknął. Popatrzył na niespokojnych cudzoziemców i na jego twarzy rozlał się szeroki uśmiech szczęśliwego człowieka.

– Wyjść... A tak, oczywiście musicie stąd wyjść, ale jeszcze nie teraz. Dopiero gdy skończy się wieczorna wyzerka, będę mógł was wyprowadzić. Nawet wtedy nie będzie to bezpieczne, bo całe miasto obstawione jest strażami. Zwłaszcza port... tak, zwłaszcza port... – Znowu ten rozanielony uśmiech.

Lahila też zauważyła dziwne zachowanie mężczyzny. Zmarszczyła brwi.

– A czegoż ty się tak śmiejesz, Kert? Nie ma nic zabawnego w tym, że strażę pilnują portu.

– Zgadza się z tobą, niezrównana Lahilo. – Kert skłonił głowę. – I wcale się z tego nie śmieję. Uśmiecham się jedynie do własnych wspomnień.

Wstał i wyjrzał przez okno.

– Będziemy potrzebować dla twoich gości jakichś okryć, które nie rzucałyby się w oczy i byłyby podobne do ubrań Druszów.

Lahila postukała się w usta wskazującym palcem.

– Mogą być darukh? – spytała. – Myślę, że dobrze kryją postać.

– Co to są darukh? – spytała Szklarka.

– Stroje żałobne Druszów. Kobiety owijają się nimi od stóp do głów. Nie widać im nawet twarzy. Mężczyźni noszą kaptury. Wystarczy, że panowie pochylicie głowy i szansa rozpoznania maleje.

– I ma pani w domu żałobne stroje dla siedmiu osób?

– spytał z niedowierzaniem Ross.

– Oczywiście, że nie, ale mam materiał, z którego mogę je uszyć – roześmiała się. – Proszę mi tylko nie przeszkadzać – dodała, kryjąc się w pracowni.

– Ciekawe, ile jej to zajmie – mruknął Cecil, a jego głos brzmiał bardzo pesymistycznie. – Obawiam się, że dziś stąd nie wyjdziemy.

– Nie zapominaj, że Lahila pochodzi z Wyspy Sierot

– pocieszyła go Szklarka. – Tam uczą szybko pracować. Nawet ona miała jednak wątpliwości, czy ich gościnną gospodyni zdoła w krótkim czasie wykonać tak dużą pracę.

– Może ci pomóc, Lahilo?! – krzyknęła w kierunku pracowni.

– Absolutnie nie! – zabrzmiała zdecydowana odpowiedź.

Tymczasem z ulicy zaczęły dobiegać głośne śpiewy i stukot wybijanego na bębenkach rytmu.

– Tańczą – poinformował zebranych Kastor.

Cecil przewrócił oczami.

W tym momencie z pracowni Lahili dobiegł suchy terkotliwy dźwięk, jakby ktoś w szybkim tempie stukał drewnianym młoteczką, albo jakby ciągłym strumieniem sypały się na ziemię maleńkie kuleczki. Szklarka zaintrygowana odsunęła zasłonę i zobaczyła dziwne urządzenie stojące na małym stoliku. To ono tak terkotało. Lahila, pochylona i skupiona, przesuwiała pod nim czarny materiał. Dopiero po chwili Szklarka zauważyła, że hałasująca maszyna zaopatrzona jest w igłę.

– Lahilo! – wykrzyknęła podniecona. – Wymyśliłaś maszynę, która sama szyje! Terkot ustał. Szyjąca kobieta podniosła głowę zagniewana.

– To mój wynalazek i moja tajemnica. Nie chcę, żebyś ogłaszała to całemu światu – warknęła.

– Och... dobrze. – Szklarka była zaskoczona tą nagłą wrogością. – Nikomu nie powiem, jeżeli sobie tego nie życzysz.

Lahila rzuciła jej nieprzyjazne spojrzenie i pochyliła się nad czarną tkaniną. Maszyna znów ruszyła, z niewiarygodną szybkością dźgając igłą materiał. „To by się spodobało Mori” – pomyślała nieoczekiwanie Szklarka.

Strach o córkę ścisnął jej serce. Wycofała się z pracowni i usiadła obok Scabera.

– Jak myślisz, czy z Mori wszystko w porządku? – spytała.

– Jestem pewien, że nawet wśród instruktorek da sobie radę – powiedział, ściskając ją za rękę.

Marsz wzdłuż pustyni był monotony. Szła tysiąc kroków. Stawała. Wspinając się na drzewo, przepatrywała całą okolicę w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby uchodzić za Oko Pustyni. Schodziła i szła dalej. Do wieczora zrobiła sześć tysięcy kroków. Kiedy słońce zaszło, przykryła się liśćmi i wyczerpana zasnęła jak kamień. Tym razem nie miała żadnych snów.

Następny dzień zaczęła od wejścia na drzewo, żeby sprawdzić, czy nie pominęła wczoraj jakiegoś istotnego szczegółu krajobrazu, mogącego stanowić wskazówkę. Nic. „Niedługo zamienię się w małpę” – pomyślała, zsuwając się po pniu. Na śniadanie zerwała kiść bananów. Usadowiła się twarzą w kierunku pustyni i zaczęła jeść bez specjalnego apetytu. Monotonna tropikalna dieta mocno jej się już znudziła i w głowie pojawiały się nieproszone obrazy pieczonych kurcząt w morelach albo kruchych babeczek z bitą śmietaną. Nie mówiąc już o porządnie zaparzonej herbacie z cytryną.

Wspominając swoje ulubione potrawy, nie od razu zauważyła, że kilka kroków przed nią piasek układa się w zupełnie inne wzory niż w pozostałych miejscach. Właściwie był to jeden wzór – jajowate zagłębienie. Ziarenka piasku leżały tam zupełnie nieruchome i nie reagowały na podmuchy wiatru. Mori rzuciła za siebie skórę od banana i powoli podeszła do interesującego miejsca. Chciała dotknąć owalnego kształtu, jakby odcisniętego przez ogromne jajo. Wyciągnęła dłoń i ku swemu zaskoczeniu napotkała opór. Jej ręka ześlizgnęła się po gładkiej, niewidzialnej powierzchni. Zaczęła ostrożnie macać przed sobą. Pod palcami wyczuwała formę, która rzeczywiście do złudzenia przypominała jajo. Bardzo duże jajo. Czy to właśnie jest Oko? Wcale nie leży w samym środku pustyni. „Ciekawe, jak wygląda?” – pomyślała i od razu odruchowo zaczęła dostrajać swój wzrok w taki sposób, jak wtedy, gdy chciała zobaczyć drobiny powietrza.

Przedmiot leżący na piasku zbudowany był z jakiegoś półprzezroczystego materiału. Mori dokładnie widziała na wskroś niego pustynię. Jak przez gigantyczną soczewkę. Ale wielkie jajo nie było szklane. Nigdy nie widziała substancji składającej się z takich cząsteczek. Kiedy na nie patrzyła, miała odczucie dziwnej obcości. Do czego służy ta rzecz? Skąd się tu wzięła? We wnętrzu nie ma żadnego chłopca, ani w ogóle niczego.

Obeszła przedmiot dookoła, potem pchnęła go lekko. Zakołysał się jak wielka bańka. Palcami zbadała całą powierzchnię. Wydawała się pozbawiona jakiegokolwiek szczeliny. Mori poczuła irytację. „No otwórz się! Ty jajo!” – pomyślała z pretensją i w tym momencie część obłej ściany zniknęła jej z oczu. Wyciągnęła rękę do przodu i nie napotkała oporu. Z ciekawością weszła do środka. Fotele! Dno jaja zajmowały dwa rzędy wyściełanych foteli i dziewczynka była pewna, że nie widziała ich, kiedy patrzyła z zewnątrz. Nawet po dostrojeniu wzroku. Usiadła na jednym. Był bardzo wygodny. Od tak dawna nie korzystała z żadnego normalnego mebla! Odchyliła się na oparcie. „Jak miło! W dodatku, mimo że jajo leży na pustyni, tu w środku wcale nie jest gorąco. Jak to możliwe?” Mori rozejrzała się bystro. „Czy są tu jakieś osłony

albo niewidzialne wachlarze nawiewające chłodniejsze powietrze? A może pojemniki z lodem? Fotele ustawione są przodem w jedną stronę. Trochę to przypomina układ siedzeń w wolancie. Gdyby miało koła, można by pomyśleć, że to pojazd. Ha! Gdyby zaprząć do niego jakieś zwierzęta, to kto wie? Taka obła powierzchnia mogłaby gładko sunąć po piasku. Ale tu nie ma żadnych zaczepów, do których dałoby się przytwierdzić uprząż”. Mori łąziła teraz na czworaka, sprawdzając każdy centymetr podłogi. Fotele i nic poza tym. Nagle pojawiło jej się w głowie nieprawdopodobne przypuszczenie. A jeśli wystarczy wydać rozkaz? Tak jak wtedy, gdy chciała, żeby jajo się otworzyło?

– Ruszaj się! Jedź! – zawołała, siadając ponownie na rozkosznie miękkim siedzeniu.

Rozległ się cichy syk. Do wnętrza przestało napływać gorące pustynne powietrze i Mori zorientowała się, że jajo się zamknęło. Zaraz potem podłoga pod jej stopami zaczęła delikatnie wibrować. I nagle pustynia znalazła się daleko w dole. Było to tak szybkie i niespodziewane, że aż Mori straciła oddech i przez chwilę miała wrażenie, jakby jakaś siła próbowała przepchnąć jej żołądek w kierunku kręgosłupa. Opanowało ją szalone, radosne podniecenie. „To maszyna latająca! Prawdziwa maszyna latająca! Wiedziałam, że coś takiego można zrobić!”

– Znajdź Oko Pustyni! – rozkazała tonem władczyni.

Maszyna tylko się zakołysała.

– Rozumiem, nie wiesz, gdzie to jest. No dobrze, wobec tego na razie prosto, nad pustynię.

Przezroczyście jajo ruszyło. Mori zapiszczała z radości.

11.

Ostatni maruderzy opuszczali placyk koło cysterny. W salonie Lahili grupka ludzi zakładała na siebie czarne, nieforemne stroje z szorstkiego materiału.

– Ugotujemy się w tym – sapnął Cecil.

– Noce są tu znacznie chłodniejsze niż dnie – pocieszył go Ross.

Kobiety owijały się w powłóczyste szaty. Lahila pomagała im, drapując tkaninę na ramionach i spinając ją dziesiątkami maleńkich haftek.

– Jeszcze welony – powiedziała, narzucając na głowy dam kawałki półprzezroczystej materii, która całkowicie zasłaniała twarz i, jak stwierdziła Szklarka, znacznie utrudniała widzenie czegokolwiek.

– Obawiam się, że daleko w tym nie dojdę – powiedziała ponuro. – Najprawdopodobniej wywrócę się już na schodach.

– Mężczyźni będą was podtrzymywać – uspokoiła ją Lahila. – Tak to ma właśnie wyglądać. Kobiety chwieją się i potykają osłepione łzami żalu, a ich towarzysze pomagają im przetrwać trudne chwile po śmierci ukochanej osoby.

– Tylko jak wytłumaczymy strażom, że wędrujemy w środku nocy do portu? Trochę to dziwne jak na żałobników, nie sądzicie? – miał wątpliwości Scaber.

– Wszystko zaplanowałem – uspokoił go Kert. – Idziemy do portu, bo na jednym ze statków znajduje się nieodżałowanej pamięci brat jednej z pań. Nazywa się Zair Kahr el Rangin. Wszyscy państwo to oczywiście jego rodzina. I pamiętajcie, jesteście mieszkańcami oazy Abu Galkar. Jest ona tak daleko, że ryzyko weryfikacji waszej tożsamości jest znikome.

„Skąd on zna takie słowa, jak »weryfikacja tożsamości«?” – zdumiała się Szklarka. „Wbrew temu, jak wygląda i jakie chce stwarzać pozory, musi być człowiekiem wykształconym”. Przechwyciła spojrzenie Scabera. Chyba pomyślał to samo.

Nadszedł czas, żeby się pożegnać.

– Nie wiem, jak ci wyrazić naszą wdzięczność. – Szklarka uściśnęła Lahilę. – Gdyby nie ty, prawdopodobnie bylibyśmy już martwi. Jeśli kiedykolwiek przyszłoby ci do głowy zamieszkać w klimacie nieco chłodniejszym i w kraju, gdzie w "sezonie odbywa się kilkadziesiąt balów (a na każdy wypadałoby włożyć inną kreację), to bramy naszego domu stoją dla ciebie otworem.

– Dziękuję za propozycję – uśmiechnęła się Lahila – ale lubię to miasto i tutejszy tryb życia.

– Trzeba iść – odezwał się szorstko Kert.

Wyrzuciwszy z siebie serię pospiesznych podziękowań, pasażerowie „Roxilony” wyszli na klatkę schodową słabo oświetloną umieszczonymi w niszach lampami oliwnymi. Zgodnie z zapowiedzią Szklarka potknęła się od razu na pierwszym schodku, na szczęście silna dłoń Scabera zacisnęła się na jej łokciu, zapobiegając upadkowi.

Kert wyrzwał na zewnątrz.

– Idziemy – syknął. – Niech nikt się nie odzywa. Mówić mogą tylko te dwie panie, które znają druszański.

Ulice były bardzo ciemne, pozbawione oświetlenia. Kert niósł przed sobą małą latarnię z migającą w środku świecą. Musiało im to wystarczyć. Nie mogli posuwać się szybko, bo żałobne stroje bardzo utrudniały marsz. Stawali przed każdym zakrętem i czekali, aż ich przewodnik sprawdzi, czy po sąsiedniej ulicy nie przechadza się miejska straż. Kert prowadził ich tak wąskimi zaułkami, że w niektórych miejscach trzeba było iść bokiem. W uliczkach tych cuchnęło potwornie, a nogi ślizgały się po jakiejś lepkiej mazi. Szklarka postanowiła, że zaraz po wejściu na statek wyrzuci za burtę buty, które ma w tej chwili na nogach. Była to przelotna myśl, która na chwilę tylko zagłuszyła obezwładniający strach. Nie rozumiała ludzi, których podnieca niebezpieczeństwo i którzy łakną ryzykownych przygód. Na pewno do nich nie należała. Skradanie się mrocznymi ulicami i ukrywanie przed strażnikami wykańczało ją emocjonalnie. Nie mogła powiedzieć o swoich uczuciach Scaberowi, bo nie wolno im się było odzywać.

Nagle gdzieś w pobliżu rozległy się chrapliwe krzyki, tupot biegnących ludzi, metaliczny szczęk, odgłosy uderzeń. Zatrzymali się. Kert wychylił się ostrożnie i nasłuchiwał.

– To porachunki miejscowych gangów złodziei – powiedział szeptem. –
Idziemy dalej.

Ominęli zaułek, w którym odbywała się bijatyka. Szklarka wzdrygnęła się,
widząc kłębiącą się między domami czarną ludzką masę.

Port był coraz bliżej. Czuć było nieprzyjemny rybi odór przemieszany z
zapachem dziegciu i smoły, którymi uszczelniano kadłuby. Wszyscy odetchnęli
z ulgą. Jeszcze tylko kilka minut i znajdą się na pokładzie „Roxilony”.
Wydostali się na nabrzeże. Ale nie mieli pojęcia, gdzie znajduje się ich statek.
W ciemnościach majaczył las masztów sięgający aż po najdalszy koniec zatoki.
Kert wydawał się jednak bardzo pewny siebie. Prowadził ich pomiędzy
kamiennymi pachółkami do cumowania wprost nad lśniąca oleiście wodę.

W tym momencie usłyszeli ostry głos w obcej mowie. Kert odwrócił się powoli
i odpowiedział coś spokojnie. Szklarka zerknęła przez ramię i zmartwiła. Tuż
za nimi stało pięciu uzbrojonych w miecze i włócznie straż–ników. Jeden z nich
podniósł do góry latarnię i oświetlił rzekomych żałobników. Znowu coś powied
ział. Kert zaczął wyjaśniać coś długo i zawile, wskazując na zakotwiczone
statki. Strażnik pokręcił przecząco głową i warknął jakiś rozkaz. Na to rozległo
się niskie rozpaczliwe zawodzenie i jedna z owiniętych w czarne szaty kobiet
podeszła do stróżów porządku. Mówiła coś bełkotliwie, wymachiwała rękami, a
w końcu zrzuciła z twarzy welon. Strażnicy odskoczyli przerażeni. Nie tylko oni
zostali zaskoczeni. Szklarka wpatrywała się w bełkoczącą kobietę, z trudem
rozpoznając w niej Urtę. Oczy artystki zaczerwienione były od płaczu, a po jej
policzkach nieprzerwanym strumieniem płynęły łzy. Usta miała fioletowe i
spuchnięte, zaś cała twarz pokryta była czerwonymi plamami. Strażnik, który
niósł latarnię, machnął ręką w kierunku zatoki i powiedział coś do Kerta. Ten
skłonił się z poważną twarzą i po troskliwym umieszczeniu welonu na głowie
zawodzącej Urty, poprowadził całe towarzystwo w dół po kamiennych
schodkach, aż do przycumowanej tam szalupy. Łódka chybotą się
niebezpiecznie, gdy kolejno się w niej sadowili. Szklarka nie widziała zupełnie
nic i zdawała się tylko na podtrzymującego ją Scabera. Gdy poczuła pod
stopami chwiejne dno łódki, straciła równowagę i opadła ciężko na siedzącego
już Cecila.

– Och! Prze... – zaczęła, ale urwała, słysząc ostrzegawcze syknięcie Kerta.

Zobaczyła, że strażnicy nadal stoją na nabrzeżu. Przeszył ją dreszcz zgrozy na
myśl, że o mały włos z jej winy wszyscy zostaliby aresztowani.

Wiosła miarowo zanurzały się w wodzie i jedynym dźwiękiem był cichy
chlupot. Siedzieli w milczeniu, przyglądając się mijanym obłym cielskom
statków. Szklarka miała nadzieję, że Kert trafi na „Roxilonę”. Zdziwiła się, że
kieruje dziób szalupy na środek zatoki, ku pełnemu morzu. Zerknęła
niespokojnie na Rossa i Scabera – czy oni też to zauważyli? Jej twarz ciągle
zakryta była duszącym welonem, nie mogła więc się z nimi porozumieć
wzrokiem.

– Kert, dlaczego pan wypływa poza port? – spytała najcichszym z szeptów.

– „Roxilona” opuściła zatokę. Ustaliliśmy z kapitanem, że tak będzie bezpieczniej – odpowiedział równie cicho. – Ale proszę jeszcze nie rozmawiać. W każdej chwili możemy natknąć się na łódź patrolową.

Odchyliła skraj welonu, żeby móc swobodniej oddychać. Poczwała obejmujące ją ramię Scabera. Oparła się o niego i przymknęła oczy. Musiała przysnąć, bo znienacka usłyszała jakieś głosy i zdała sobie sprawę z poruszenia w szalupie.

– Obudź się, Theo. – Scaber potrząsnął nią lekko.

– Jesteśmy przy statku.

– Czy mogę już zdjąć ten ohydny welon?

– Na pewno.

Nareszcie świeże powietrze i niczym niezakłócona możliwość oglądania świata! Zanim nadeszła jej kolej wspięcia się po sznurowej drabince, zdołała już wyplątać się z reszty przebrania. Rozejrzała się dookoła. Światelka El Karum migotały gdzieś daleko z tyłu, a wokół rozciągała się gładka czarna toń morza.

Pierwszą rzeczą, jaka rzuciła jej się w oczy po wejściu na pokład, była groteskowo zmieniona twarz Urty

– cała w czerwonych plamach. I spuchnięta od płaczu.

– Co ci się stało? – spytała ze współczuciem. – Powiedz, czy coś cię boli?

Urta pokręciła przecząco głową. Wyplątała się z resztek żałobnego stroju i odrzuciła je daleko od siebie. Spróbowała się uśmiechnąć.

– To czernidło mątwy głębinowej, którym ufarbowane są te ubrania – powiedziała niezbyt wyraźnie, bo spuchnięte wargi utrudniały jej wymawianie słów. – Jestem na nie uczulona. Za dwa dni objawy powinny minąć.

– Jesteś pewna, że nic ci nie może ulżyć?

– Jedyne proszek wapienny, ale nie wiem, czy Chamomilla wzięła go ze sobą.

– Zaraz ją zapytam. – Szklarka ruszyła w kierunku przyjaciółki.

Chamomilla pomagała rozebrać się Antarze, która zaplątała się w czarnych zwojach.

– Cieszę się, że już jesteście! – zawołała, ściskając Szklarkę. – Umierałam ze strachu od chwili, kiedy pan Kert przyniósł wiadomość, że grozi wam wyrok śmierci.

– Kert! Zupełnie o nim zapomniałam! – wykrzyknęła Szklarka. – Muszę mu podziękować i się pożegnać. Gdzież on jest?

Rozejrzała się. Nie odpłynął jeszcze. Stał i rozmawiał z Rossem i Scaborem. Podeszła do nich.

– Bardzo panu dziękuję za pomoc – powiedziała, wyciągając rękę. – Jeśli kiedyś jeszcze się spotkamy...

– Ale na razie się nie rozstajemy. – Mężczyzna uśmiechnął się szeroko.

– Nie? – powtórzyła skonsternowana.

– Jadę z wami. Właśnie poinformowałem o tym pana Claitha.

– O! – Tylko tyle była w stanie powiedzieć.

Nie zdążyła zapytać o przyczyny takiej decyzji, bo oto na twarz Kerta wypłynął znany już jej wyraz cielecego rozmarzenia. Podążyła za jego spojrzeniem i

zobaczyła pochylającą się nad Urta Chamomillę. „Aha” – pomyślała zaskoczona. „To bardzo interesujące”.

12.

Niczego nie da się porównać z lotem nad pustynią. Piaszczyste wydmy, płowe, prawie białe od strony oświetlonej przez słońce i błękitnawo-fioletowe w skąpych obszarach cienia ciągnęły się nieprzerwanie aż po horyzont. Nic nie zakłócało ich rytmicznej ciągłości. Przejrzyste jajo bezdźwięcznie płynęło w powietrzu i Mori miała wrażenie, że nagle znalazła się w innym wymiarze świata.

Nadal nie było widać niczego, co mogłoby się kojarzyć z nazwą Oko Pustyni. Pustynia wydawała się składać wyłącznie z syckiego, złocistego piasku. Żadnych kamieni, głazów uformowanych przez wiatry, żadnych kikutów drzew albo ruin, opuszczonych przed tysiącami lat. „Oko może być zagrzebane pod tonami piachu” – pomyślała Mori. „I wtedy będę latać do końca życia nad pustynią, a i tak go nie zobaczę”. Odczuwała coraz silniejszy głód i pragnienie, z żalem nakazała więc swojemu pojazdowi zawrócić w kierunku dżungli.

Wylądowała w miejscu, gdzie wyrastał niewielki gaik drzew pomarańczowych. Były już stare, ale wciąż owocowały. Wyglądały, jakby ktoś posadził je dawno temu, a potem zostawił i zapomniał. Oderwanie twardej, sprężystej skórki wymagało nieco trudu, za to wnętrze było cudownie słodkie i orzeźwiające. Mori położyła się w cieniu rozmarzona. „Szkoda, że nie ma tu mamy. Mogłoby jej się bardzo podobać. Oczywiście pod warunkiem, że nie byłoby instruktorek. Ciekawe, czy latająca maszyna należy do nich. Będą wściekle, gdy się dowiedzą, że jej użyłam. Ach!” Usiadła gwałtownie i plasnęła się ręką w czoło. „Jak mogłam o tym nie pomyśleć! Przecież takim jajem, skoro jest niewidzialne, mogły bez trudu przewieźć nas wszystkie na wyspę. A skoro tak...” Dobiegła do maszyny, wskoczyła do środka i wykrzyknęła:

– Fruń nad morze!

To było takie proste, że aż poczuła się rozczarowana. I co z tym niebieskookim chłopcem? No cóż, będzie musiał poczekać trochę dłużej, aż Mori wróci tu z rodzicami i Chamomillą, żeby odebrać instruktorkom pozostałe dziewczęta.

– Szybciej! Szybciej! – wołała podniecona, podskakując w fotelu.

Maszyna przyspieszyła. To było niezwykle doznanie. Po raz pierwszy Mori miała okazję przemieszczać się tak prędko. „Znacznie szybciej niż na koniu” – oceniła. Piaszczyste wydmy w dole rozmywały się w oczach.

Szafirowy pas morza pojawił się nadszpiewanie szybko i powiększał się z każdą minutą. Mori zwalczyła pokusę kąpieli. Lepiej kuć żelazo póki gorące i bezzwłocznie opuścić terytorium instruktorek.

– Leć dalej prosto – rozkazała, patrząc w dół na białe grzebienie fal załamujących się na plaży.

Morze miało głęboką turkusową barwę. Odbite od niego promienie słońca raziły

tak, że trzeba było mrużyć oczy. Mori nucila pod nosem szczęśliwa. Albo prawie szczęśliwa, bo jakiś cichutki głosik w środku podszeptywał jej, że to nie może być takie łatwe.

I nie było. Nagłe szarpnięcie wyrzuciło ją z fotela i cisnęło na ścianę maszyny. Zrobiło jej się ciemno przed oczami. Poczowała, że pojazd stanął. Leżała przez chwilę nieruchomo. Okropnie bolała ją głowa. Reszta ciała też. „Dobrze, że nie straciłam przytomności. Na pewno będę miała porządnego guza. Mam nadzieję, że niczego sobie nie złamałam”. Poruszyła prawą ręką, potem lewą. Bardzo powoli zaczęła się gramolić z podłogi. Każdy ruch wywoływał iskry bólu w głowie. Z trudem wdrapała się na najbliższy fotel i spojrzała przed siebie.

„Chyba coś się stało z moimi oczami!” Zamrugła. Podniosła do góry dłoń. W porządku. Wyraźnie widać wszystkie dziesięć palców. Więc co jest, u licha? Cały pojazd otaczała gęsta zawieszona szarość, zasłaniająca zarówno morze w dole, jak i słońce ponad nim. Szarość kłębiła się powoli, można w niej było dostrzec leniwie obracające się wiry. Wyglądało to tak, jakby ktoś mieszał wielką łyżką w gęstej zupie.

– A mówiłam, że to za proste, żeby mogło się udać – mruknęła do siebie Mori, dotykając ostrożnie czoła, na którym formował się sporych rozmiarów guz. – Mam nadzieję, że to jajo umie poruszać się do tyłu. Wycofaj się! – dodała głośniej.

Latająca maszyna drgnęła i powolutku zaczęła sunąć do tyłu. Już po chwili ostre promienie słońca wdarły się do wnętrza.

– Stój! – Wciąż trzymając się za głowę i mrużąc oczy przed światłem, Mori obserwowała to, co odcięło jej drogę do wolności. To – czyli mgłę, o ile mgła może być tak twarda, że w zderzeniu z nią nabija się sobie guzy na głowie.

Dziewczynka spróbowała popatrzeć na ten dziwny i raczej nieatmosferyczny twór w swój specjalny sposób. Widziała drobiny połączone ze sobą czymś w rodzaju świetlistej siatki, która trzymała je na uwięzi. Mimo wysiłków, nie potrafiła jej rozerwać.

– Wracaj nad pustynię – powiedziała zrezygnowana. – Musimy odnaleźć to Oko.

Pojazd posłusznie zawrócił. Mori wydawało się, że jemu też jest przykro.

13.

Ellix pochylała się nad swoją aparaturą, wystukała hasło i odczytała informację, która pojawiła się na małym ekranie. Posępnie pokiwała głową. Prędzej czy później musiało to nastąpić. Ich czas życia ze stuleci skurczył się do dziesiątków, a może nawet już tylko pojedynczych lat. Chyba, że Han Tori obmyśli nowy plan. Tamten z porwaniem dziewczynek był niezły. Byłby idealny, gdyby nie ta mała, latająca ich ovoidem nad pustynią. Na szczęście nie była w stanie przedrzeć się przez barierę. Nikt nie byłby.

Drzwi za nią uchyliły się. Wyczuła obecność Han Tori.

- Mam wieści od Hesnara – oznajmiła.
 - Domyślam się, że złe. – Han Tori usiadła w sąsiednim fotelu.
 - Przekłeta roślina pojawiła się w El Karum.
- Przełożona milczała przez dłuższą chwilę, przetrawiając to, co przed chwilą usłyszała.
- Mam nadzieję, że od razu została spalona – odezwała się wreszcie.
 - Tak, ale nie udało się ująć cudzoziemców, którzy ją wwieźli. – Ellix spojrzała w czarne przepastne oczy Han Tori.
 - Hesnar jest pewien, że uciekli?
 - Nie napisał, że uciekli, tylko że ich nie schwytano. Mogli się ukryć.
 - W mieście takim jak El Karum cudzoziemiec nie ma szans się schować. Tam wszyscy znają wszystkich.
 - Chyba, że... ktoś im pomógł.
 - Czy wiadomo, w jakim celu wnieśli roślinę do miasta?
- Ellix prychnęła.
- Hesnar pisze, że posadzili ją na skwerku przed pałacem pandacha. Musieli nie mieć pojęcia o naszym dekrete, bo robili to całkiem otwarcie, w biały dzień.
- Han Tori postukała długimi paznokciami w blat biurka.
- Nawet jeśli uciekli i dopłyną aż tutaj, to i tak nie przejdą przez barierę. Ani oni, ani wyziewy przekłetej rośliny.
 - Masz zmarszczki, wiesz? – Ellix brutalnie przeskoczyła na inny temat.
 - Wiem, ty też.
 - Co to znaczy?
 - Ze w niekontrolowany sposób tracimy energię. Zresztą zmarszczki to nic. Egzemy, zapalenia gardła, reakcje alergiczne...
 - Myślisz, że to sprawka tej małej, która nam się wymknęła?
 - Nie, z tego, co mówiłaś, zwiedza pustynię i nie sędzę, żeby w tej chwili mogła nam szkodzić.
 - Więc to któraś z pozostałych?
- Han Tori wzruszyła ramionami.
- Nie potrafię tego wykryć. A swoją drogą mogłabyś ukrócić te przejażdżki ovoidem.
 - Z przyjemnością – skinęła głową Ellix.

14.

W ciemnościach dziewczęcej sypialni, rozpraszanych jedynie bladym światłem księżyca, Joven wyrysowywała mokrym palcem na podłodze galerię portretów instruktorek. Kiedy kończyła ostatni, pierwszy już dawno zdążył wyschnąć. Co noc budziła się przynaglona tym samym wezwaniem i nie potrafiła zasnąć, dopóki nie narysowała wszystkich twarzy. Bała się, że wariuje. Nie mówiła więc dziewczętom o tych sesjach portretowych. W ciągu dnia starała się zachowywać normalnie. Była przecież najstarsza. Nie mogła sobie pozwolić na odbiegające

od normy postępowanie. Dopiero w nocy mogła dać upust tajemnej pasji, która przynosiła jej ukojenie.

15.

Mori położyła się na brzuchu i przez przezroczystą podłogę obserwowała topografię pustyni. Odpędzała zniechęcenie, które szeptało jej, że nie istnieje żadne Oko Pustyni i że niebieskooki chłopiec jest wytworem sennej imaginacji. „To nie był zwykły sen” – przekonywała samą siebie. „To prawdziwe przesłanie”. Wpatrywała więc oczy aż do bólu.

W samo południe, kiedy chciała już zawrócić w cień drzew i przeczekać najgorętsze godziny, coś nagle zwróciło jej uwagę. Trochę inny układ wydm. Inny wzór ziaren piasku. Nie przypominało to żadnego oka, ale było na tyle odmienne, że postanowiła wylądować i oznaczyć jakoś to miejsce. Wróci tu po południu, kiedy słońce nie będzie już palić tak niemiłosiernie.

Latające jajo osiadło miękko na piasku. Mori zastanawiała się, co mogłoby być dobrym znakiem orientacyjnym. Może skrawek tego, co kiedyś było jej sukienką? Nie. Zbyt łatwo może go zwiać wiatr lub przysypać piasek. Przydałoby się coś solidniejszego. Rozejrzała się po wnętrzu pojazdu. Same fotele. FOTELE. Szarpnęła jeden. Poruszył się. Ukucnęła i zajrzała pod spód. Aha. Tu jest taka dźwignia. I zaczep. To trzeba przesunąć, a to nacisnąć. O!

Fotel okazał się nadspodziewanie lekki. Wytaszczyła go na zewnątrz i z całej siły wbiła w piach. Wyglądał solidnie i dostojnie na tle morza wydm. „Teraz mogę spokojnie udać się na sjęstę”. Odwróciła się i zamrugała oczami zaskoczona. Pojazd znikł.

Przez chwilę stała jak sparaliżowana. To niemożliwe! Nie mógł sam odlecieć! Może nagle straciła swoją zdolność specjalnego patrzenia. Podeszła do wgłębienia utworzonego przez jajo. Dotknęła jego wklęsłej powierzchni. Nic tam nie było poza piaskiem. Zakręciło jej się w głowie.

Dopiero teraz zdała sobie sprawę, jak rozżarzone jest powietrze wokół. Piach parzył nawet przez grube podeszwy butów, które jakimś cudem ciągle jeszcze były całe. Co robić? Myśli jej się mąciły od nieznośnego gorąca. „Za chwilę dostanę udaru. Trzeba się gdzieś schronić. Fotel. Jeśli przewrócić go do góry nogami, stworzy miniaturowy szałas”. Wczołgała się pod siedzenie. Tu przynajmniej słońce nie świeciło jej na głowę. Niewielka pociecha. Znajdowała się na pustyni bez wody, bez jedzenia i nie miała żadnego pomysłu, jak wybrnąć z tej beznadziejnej sytuacji. Upał odbierał jej zdolność jasnego myślenia. Bolało poobijane w zderzeniu z mgłą ciało. I strasznie chciało jej się pić. „Zwariuję z pragnienia” – pomyślała i zaraz przywołała się do porządku. „Przestań mówić sobie takie nonsensy, Mori. Skup się na szukaniu rozwiązań. Jak daleko jest skraj dżungli? Trzy godziny marszu? W tym słońcu nawet pięć. Trzeba przeczekać najgorszy żar i ruszyć wieczorem. Najlepiej byłoby przespać cały ten czas. Dlaczego pojazd znikł? Odleciał sam? Ktoś go zabrał? Ale kto?

Instruktor! – to było jedyne wytłumaczenie. Zorientowały się, że udało mi się opuścić dżunglę i postanowiły skończyć ze mną w inny sposób”.

Zwinęła się w kłębek, żeby skryć całe ciało w cieniu fotela i ochronić skórę przed słonecznymi promieniami. Zamknęła oczy. Rozsądek usunął się gdzieś w tył głowy, dając pierwszeństwo uczuciom. Spod zaciśniętych powiek wypłynęły dwie słone strużki.

– Mamusiu... – wyszeptała Mori. – Mamusiu...

16.

„Mori mnie potrzebuje, a tymczasem ten przeklęty wiatr nie chce wiać”. Zdenerwowana Szklarka chodziła tam i z powrotem po pokładzie. Żagle smętnie zwisały i nic nie zapowiadało, żeby pogoda miała się w najbliższym czasie odmienić. Załoga snuła się sennie po statku. Kilku marynarzy grało w kości. Kapitan Birn Holman zamknięty w swojej kajucie pisał jedenasty tom swojej Księgi Wspomnień. Pomagało mu to przetrwać najdłuższe okresy ciszy na morzu. Kiedy wracał myślą do dawnych podróży i próbował zatrzymane w pamięci obrazy przelać na papier, przestawała mu nawet doskwierać duchota panująca w kabinie. Oparty o reling Scaber wpatrywał się posepnie w horyzont. Chamomilla usadowiła się w cieniu i z głową opartą na rękach oddawała się ponurym rozmyślaniom. Pozostali usiłowali jakoś organizować sobie czas i nie wchodzić w drogę szalejącej z niepokoju Thei Sedun. Kastor wyprosił od Rossa kilka kartek i zabrał się za pisanie listu do Ottiny. Chyba on jeden cieszył się z morskiej ciszy. Nareszcie nic nie kołysało statkiem i jego żołądkiem. Mógł więc w spokoju przelewać na papier dramatyczne przeżycia z pierwszego tygodnia podróży i niezwykle przygody w El Karum:

„Moja ukochana Ottino, jesteśmy już niedaleko wyspy Targisz, ale na razie nie możemy płynąć, bo zupełnie nie ma wiatru. Wszyscy są zdenerwowani i zniecierpliwieni. Najbardziej pani Sedun. Najlepiej schodzić jej z drogi. Jestem chyba jedyną osobą zadowoloną z braku wiatru. Oczywiście zależy mi bardzo na jak najszybszym uwolnieniu dziewczynek, ale serdecznie dość mam ciągłego kołysania, które, wybac to określenie, wywraca żołądek na drugą stronę. Przez cały pierwszy tydzień podróży trwały nieustanne sztormy i wspomnienie tamtych dni do tej pory budzi we mnie grozę.

Port Druszów – El Karum także nie szczędził nam emocji. Niewiele brakowało, a zostalibyśmy straceni za posiadanie herbaty szczęścia. (Możesz o tym wspomnieć mojej babce. Zawsze z taką dumą opowiadała o mrozących krew w żyłach przygodach moich rycerskich przodków, niechże więc ma kolejną historyjkę do swojej kolekcji). Na szczęście uratowała nas Lahila, dawna koleżanka jednej z artystek, i jej tajemniczy przyjaciel o imieniu Kert. Ten człowiek z niewiadomych powodów postanowił płynąć z nami, a twój ojczym, z równie niewiadomych powodów, na to przystał. Mam nadzieję, że nie będziemy tego żałować...”

Kert spacerował po pokładzie tam i z powrotem, i tak jakoś wypadło, że za każdym razem zbliżał się coraz bardziej do miejsca, w którym siedziała Chamomilla. Obrzucał szybkim spojrzeniem jej smutną twarz i pełne kształty okryte powiewną jedwabną suknią. Za dwudziestym może razem podjął nagłą decyzję i usadowił się metr dalej, na zwoju lin, w pełnym słońcu.

– Niech pan siądzie koło mnie – usłyszał. – Przecież usmaży się tam pan jak kotlet na patelni.

Zalało go uczucie wdzięczności pomieszane z kilkudziesięcioma innymi emocjami. Przesunął się w cień, co oznaczało, że od Chamomilli dzieliło go zaledwie kilka centymetrów.

– Widzę, że bardzo się pani martwi o swoje dzieci

– zaczął trochę nieswoim głosem.

– Tak, martwię się – przyznała, nie patrząc na niego.

– Osoby, które je porwały, są naprawdę bezwzględne.

– A... ile pani ma tych dzieci?

– W tej chwili już tylko ósemkę.

– Tylko? Ósemkę? – wykrztusił. – To ile było w ogóle?

– Trzydziestka. Ale starsze na szczęście są już dorosłe i samodzielne. Nie muszę się o nie martwić.

Kert osłupiał. Chamomilla nie wyglądała na osobę, która urodziła trzydzieścioro dzieci. Poza wszystkim innym, była stanowczo za młoda, chyba że za każdym razem miałyby trojaczki, ale nawet wtedy...

– A... pani mąż... nie płynie tu z panią?

– Nie mam męża – odparła z prostotą, wciąż zapatrzona przed siebie.

– To jak... to skąd...? – jąkał się Kert. Gorąco buchnęło mu na twarz. Czuł się potwornie niezręcznie.

W tym momencie Chamomilla spojrzała na niego. Jej ślicznie zarysowane brwi podjechały do góry w wyrazie zdumienia. Tylko na chwilę, bo kiedy dotarła do niej przyczyna jego zmieszania, kobieta wybuchnęła głośnym serdecznym śmiechem. Śmiała się tak po raz pierwszy od dnia, w którym zniknęły jej dziewczynki.

– Pan myślał, że ja te wszystkie dzieci... urodziłam?

– wydusiła z siebie w końcu pośród chichotów.

– Hm... ja... – Nie wiedział, co powiedzieć. Jego twarz przypominała kolorem dojrzały na słońcu pomidor.

– Nie, panie Kert. To są moje przybrane dzieci. Same córki, nawiasem mówiąc

– wyjaśniła, kiedy fala wesołości opadła.

– I sama pani dała sobie radę z całą trzydziestką?

– Popatrzył na nią z podziwem.

– Starsze dziewczynki mi pomagały – powiedziała z prostotą.

– Ale jak to się stało, że aż tyle... Czy ktoś z pani rodziny zmarł i zostawił dzieci pod pani opieką?

Chamomilla przyjrzała się mu uważnie. Po raz pierwszy ktoś tak bardzo

interesował się jej życiem. W małych, głęboko osadzonych oczach mężczyzny dostrzegła zaciekawienie, podziw i... coś jeszcze. Aż zmieszała się pod tym intensywnym spojrzeniem. Odwróciła szybko wzrok.

– Jeśli pan chce, mogę opowiedzieć, jak do tego doszło – powiedziała lekko niedbałym tonem.

– Oczywiście, że chcę! – zabrzmiała żarliwa odpowiedź.

Chamomilla objęła rękoma kolana i zaczęła mówić.



Szklarka obserwowała ich oparta plecami o reling. Widziała wyraz zachwytu na twarzy Kerta, niepuszczającego wzroku z opowiadającej Chamomilli.

– Wygląda, jakby się w niej zakochał – szepnął Scaber, podchodząc do żony. – Pewnie ja też tak na ciebie patrzyłem, kiedy Allada pokazała mi ciebie po raz pierwszy.

– Kiedy?

– Szkirowałaś wtedy wiciokrzewy w ogrodzie królowej Keweny. Stałaś tyłem i nie mogłaś mnie widzieć...

– I co dalej? – Popatrzyła na niego z ledwie dostrzegalnym uśmiechem.

– Nie mogłem stamtąd odejść. Wtedy właśnie zakochałem się w tobie.

Objęła go w pasie i przytuliła twarz do jego koszuli.

– Tak bardzo martwię się o Mori – wyszeptała. – Nie mogę myśleć o niczym innym. Boję się, że kiedy przybędziemy, będzie już za późno. Że zadręcą ją na śmierć.

Scaber przytulił ją mocno.

„A ja się boję, że nie zdołamy przybić do wyspy” – pomyślał. Ale nie powiedział tego głośno. I tak nie mieli innego wyjścia, jak tylko płynąć na Targisz. W tej chwili nawet nie płynąć, tylko czekać na wiatr.

– Jak myślisz, daleko jeszcze? – spytała.

– Kapitan mówi, że przy dobrym wietrze – trzy dni.

– Przy dobrym wietrze – westchnęła.

– Nie zadręczaj się, Theo – po raz kolejny tego dnia próbował ją pocieszyć. – Mori naprawdę jest niezwykła i da sobie radę. Nie wpada w panikę, trzeźwo myśli. Ross mówił mi, że nigdy nie spotkał dziecka, które potrafiłoby tak logicznie rozumować jak nasza córka.

– Nie znasz instruktorek – odpowiedziała ponuro. – Na pewno zechcą ją stłamsić, zniszczyć... Może... – łzy zakręciły jej się w oczach – może wymazały nas z jej pamięci i nawet jeśli uda nam się ją odzyskać, Mori nas nie rozpozna.

– Chamomilla sobie z tym poradzi. – Starał się, żeby jego głos zabrzmiał pewnie.

W tym momencie żagle leciutko się wzdęły. Nad pokładem jak westchnienie przeleciał lekki podmuch.

– Wiatr! Wiatr!

Na „Roxilonie” zapanowało ożywienie.
– Nareszcie płyniemy – odetchnęła Chamomilla.
– O tak! – potwierdził żarliwie Kert, patrząc jej w oczy.

17.

Otworzyła oczy. Wszystko ją bolało. Nogi, ręce, kręgosłup. Najgorsze było drapanie w gardle. Przełknęła gorzką, zgęstniałą ślinę. Wciąż jeszcze panował upał. Nie da rady iść teraz przez pustynię. Oczy napełniły jej się łzami. „No nie, moja droga” – skarciła się w myślach. „Nie możesz płakać, bo się odwodnisz. Jeszcze tylko ze dwie godziny i słońce zajdzie. Nie wolno ci umrzeć, bo instruktorki będą tańczyły z radości. A przecież rodzice kiedyś w końcu tu dotrą. Na pewno”.

Czas do zmroku dłużył jej się niemiłosiernie. Zabawiała się obserwacją tańczących w lekkich powiewach wiatru piaskowych ziarenek i wyobrażaniem sobie, jak też może wyglądać Oko Pustyni. Potem wspominała ogród w Versathis, soczystą zieleń trawy i różane klomby. Wymieniała w myślach wszystkie gatunki roślin, jakie rodzice sprowadzili w ciągu ostatnich pięciu lat. Cytowała z pamięci obszernie fragmenty podręczniczych książek Rossa Claitha. Zwłaszcza te dotyczące życia w pustynnych oazach i przeprowadzania się na wielbłądach przez piaszczyste wydmy. Słowem, robiła wszystko, żeby jakoś przetrwać do zapadnięcia nocy, nie skupiając się wyłącznie na dręczącym ją coraz bardziej głodzie i pragnieniu.

Kiedy słońce zaszło, wyczołgała się spod fotela. Niezdarnie zrobiła kilka skłonów i wymachów, żeby rozprostować i rozciągnąć zdrętwiałe kończyny. Potem, powłócząc nogami, ruszyła w kierunku dżungli. Po kilku krokach odwróciła się, żeby rzucić pożegnalne spojrzenie na siedzisko, które było jej schronieniem. Popatrzyła w kierunku fotela i ze zdumieniem zauważyła, że wydobywa się zza niego zielonkawa poświata. Zawróciła.

Światło przesączało się przez piasek, tworząc na nim jasny krąg. Czy to właśnie jest Oko Pustyni? Mori okrążyła kilka razy dziwne zjawisko.

– Hej! Jesteś tam gdzie?! – zawołała, w nadziei że usłyszy ją niebieskooki chłopiec ze snu.

Cisza. Mori zresztą nie spodziewała się, że ktoś jej odpowie. Potarła dłonią czoło. Bezczylnie gapienie się na zieloną poświatę nic jej nie da. Powinna prawdopodobnie odgarnąć grubą warstwę piachu, żeby sprawdzić, co jest źródłem światła. Z drugiej strony, była potwornie głodna i spragniona. Jeśli zacznie zużywać siły na kopanie, to nie zdoła dotrzeć do skraju pustyni. Zrezygnowana opuściła ramiona. Rozsądniej będzie wrócić tu później. Ukłękła na piasku i poklepała dłońmi oświetlony obszar.

– Wrócę tu niebawem! – zawołała.

W tej samej chwili poczuła, że ręce zapadają jej się aż po łokcie. Przestraszyła się. Czyżby to było jedno z tych suchych pustynnych jezior, które potrafią

wessać człowieka, jak bagno? Szarpnęła się do tyłu. Fontanna piasku strzeliła do góry. Drobinki kwarcu dostały jej się do oczu. Nic nie widziała. Czuła tylko, że coś ją ciągnie, a raczej wsysa w głąb ziemi z ogromną siłą, nie zważając na jej rozpaczliwe szamotania. „W ten sposób mrówkolew poluje na swoją zdobycz” – przemknęło jej przez myśl. Zaciśnęła usta i wstrzymała oddech. Usłyszała jakiś zgrzyt i w twarz uderzył ją powiew zimnego powietrza. Nagle zdała sobie sprawę, że wokół niej nie ma już piasku, tylko jakaś ciemna, pusta przestrzeń. Spadała, ale to spadanie było jakieś dziwne. Nie takie nagłe, krótkie i kończące się boleśnie, jakie zazwyczaj bywają upadki. Miała wrażenie, że zsuwa się lekko w dół, korzystając z powietrznych prądów jak piórko albo lecący z drzewa liść. Dłuższą chwilę trwało, zanim w końcu zetknęła się z podłożem. Opadła plecami na zimną powierzchnię i w tym momencie rozbłysło zielonkawe światło. Odruchowo zmrużyła oczy. Kiedy wzrok przyzwyczyił się do nagłej jasności, zaczęła się rozglądać.

Pomieszczenie, w którym się znajdowała, było duże i okrągłe. Wszystko wokół było zalane zielonym blaskiem, lecz nie mogła zlokalizować jego źródła. Gładkie ściany lekko połyskiwały. Miała wrażenie, że znajduje się na dnie zielonej beczki. Drżała z zimna, bo cały czas owiewały ją lodowate podmuchy powietrza krążącego po sali. Wstała. Nogi trochę się pod nią ugiwały i okropnie chciało jej się pić. „Pewnie niedługo się okaże, czy to siedziba wyzwoliciela, czy pułapka ludożercy” – pomyślała.

Zimne prądy nagle ustały i zrobiło się nieco cieplej. Mori przestała się trząść. Oblizwała spieczone wargi. „Czy ludzie wariują z pragnienia? Jeśli nie ma tu wody, to za chwilę oszaleję”. Kilka razy okrążyła swoje więzienie, wodząc ręką po dziwnej, jakby elastycznej ścianie.

Była zrobiona z zupełnie nieznanego jej tworzywa, lekko uginającego się pod palcami. Spojrzała do góry. Strop tworzył gładką kopułę. Dokładnie ponad jej głową widniał okrągły zarys czegoś, co mogło być włazem, przez który tu się dostała. Nie widziała jednak żadnych klamer ani uchwytów. Walnęła pięścią w ścianę. Nienawidziła bezsilności. „Pić! Pić! Pić!” Usiadła oparta plecami o ścianę. „Powinnam była pójść w kierunku dżungli. To światło mnie zmyliło. Oko Pustyni? Nie widzę żadnego chłopca. W ogóle nic tu nie ma. Nic”. Ogarnęła ją apatia. Przymknęła oczy. Siedziała tak bez ruchu dłuższy czas. Może to było pół godziny, może godzina, a może jeszcze dłużej. Na przemian to przysypiała, to się budziła. W krótkich strzępach snu ukazywali jej się rodzice, ciotka Pepperia, instruktorki, jadowite węże zwisające z gałęzi figowców. W pewnym momencie przyśnił jej się strumień płynący przez głęboki jar. Woda bulgotała na kamieniach i Mori próbowała ku niej zejść, ale gęste, kolczaste krzewy broniły dostępu. Przebijając się przez nie, kalecząc dłonie. W korycie potoku pojawiła się Han Tori. Machała rękami, a z każdym jej machnięciem gęstniała kolczasta zaporą oddzielająca Mori od wody. „Nie! Proszę!” – krzyknęła dziewczynka i w tym momencie się obudziła. A może i nie, bo szmer strumienia nadal był słyszalny.

Otworzyła oczy. Coś się zmieniło. Na wprost niej część ściany znikła, ukazując sąsiednie pomieszczenie. Na środku stała mała fontanna w kształcie kielicha kwiatu. Dźwięk spadających kropeł brzmiał jak pluskanie potoku z jej snu. Zerwała się na nogi i zataczając się, podbiegła do fontanny. Bała się, że za chwilę ściana znów odgrodzi ją od wody. Pochyliła się i zaczęła pić łąpczywie. Potem przemyśla sobie twarz – po raz pierwszy od wielu dni. Cudowne uczucie świeżości. „Ależ ja muszę być brudna”. Usiadła na podłodze i odetchnęła głęboko. W miarę jak mijało otępienie wywołane zmęczeniem i pragnieniem, Mori zaczęła się interesować nowym miejscem.

Ta sala również miała zaokrąglone ściany, z których sączyło się zielonkawe światło. W odległości dwóch metrów od fontanny stał podłużny jajowaty twór, bardzo podobny do maszyny, którą Mori latała nad pustynią. Był przezroczysty i widać było, że w jego wnętrzu leży jakaś postać. Dziewczynka podeszła na palcach. To był ten chłopiec! Spał. Długie rzęsy rzucały cienie na jego szczupłe, blade policzki. Miał na sobie szarosrebrzysty strój dziwnego kroju.

– Hej! – Mori postukała w przezroczystą ściankę. – Hej! Przyszłam!

Chłopiec nawet nie drgnął. Walnęła pięścią. Nic. Podeszła znów do fontanny. Dopiero teraz zauważyła, że jej zewnętrzne boki pokryte są szeregiem dziwnych znaków. Gdzieś już widziała podobne. Przymknęła oczy. Tak! Na kamiennym dzbanie podczas zajęć z Han Tori. Wydawało jej się wtedy, że ma do czynienia z jakimś rodzajem pisma. Teraz to wrażenie wróciło. Wiedziała, że mogłaby je odczytać i zrozumieć, ale nie miała pojęcia jak. Wpatrywała się w te wszystkie zygzaki, zawijasy, faliste linie i dziwne układy kropek. Pozwalała, by obraz znaków przenikał jej do mózgu. Żeby odciskał się gdzieś w głębi niej, tam, gdzie mógł być odczytany i przetłumaczony. Zablokowała wszelkie myśli i logiczne wnioski. Wdychała w siebie tajemnicze pismo i powoli, na fali dziwnych kolorów i obrazów, napływało zrozumienie. „Chłopiec czeka na Dziecko Przeznaczenia. Dziecko jest połączeniem dwóch światów. Dziecko ma go obudzić. Woda z odwiecznego źródła ma go obudzić”. Odrębne zdania układały się w niezbyt jasną całość. Miała wrażenie, że słowa napływają gdzieś z otchłani czasu. „Czy to ja jestem tym Dzieckiem? Co oznacza sformułowanie »połączenie dwóch światów«? Obudzić wodą? Proszę bardzo. Mogę spróbować”.

Nabrała wodę dłońmi i chlusnęła na pojemnik z chłopcem. Nic. Zrobiła to jeszcze raz i jeszcze. Wściekła, że nic się nie dzieje, chlapała wodą i krzyczała:

– Obudź się! Wstawaj! Obudź się!

Srebrzyste krople spływały po gładkiej powierzchni i z cichym pacnięciem skapywały na podłogę.

„Może wcale nie jestem żadnym Dzieckiem Przeznaczenia. A może fontanna nie jest odwiecznym źródłem. To wszystko wydaje się takie dziwne”. Patrzyła w zamyśleniu na śpiącego chłopca. Bez przekonania popukała w przezroczystą szybę. Potem kopnęła ją ze złością. Usiadła ze skrzyżowanymi nogami obok fontanny i oparła głowę na dłoniach. Skoro chłopak ciągle śpi, to widocznie nie

ona miała go obudzić.

Czas płynął. Coraz bardziej doskwierał jej głód. Ostatni raz jadła rano. „Jak długo można przeżyć bez jedzenia, na samej tylko wodzie? Kilka dni? Trzeba się więc stąd wydostać. Tylko jak? I co potem? Odnalezienie Oka Pustyni nic mi nie dało. Muszę wrócić do dżungli i spróbować tam przeżyć, dopóki nie nadejdzie pomoc. Mam nadzieję, że rodzice odkryli, gdzie jesteśmy. Ale czy ktokolwiek w ogóle będzie w stanie przedostać się na wyspę? Przecież otacza ją ta przeklęta mgła”. Mori mimowolnie pomacała ciągle jeszcze bolesny guz na czole. Latająca maszyna! Szkoda, że już jej nie ma. Ciekawe, że to coś, w czym leży chłopiec, tak bardzo ją przypomina. Zmrużyła oczy i przyjrzała się drobinom, z jakich zbudowany był jajowaty pojemnik. Dokładnie takie jak tamte, tworzące pustynny pojazd! Więc może wystarczy wydać rozkaz?

– Otwórz się! – powiedziała dobitnie.

Przejrzysta ściana odgradzająca ją od chłopca znikła. Mori poczuła taką ulgę, że aż roześmiała się w głos. Podeszła do posłania i dotknęła twarzy śpiącego. Miał delikatną, chłodną skórę. Chciała nim potrząsnąć, ale przypomniała sobie, że ma go obudzić wodą. Zanurzyła rękę w fontannie i chlusnęła energicznie.

– Wstawaj! – wrzasnęła na cały głos.

Chłopak siadł gwałtownie na posłaniu. Otrząsnął się z wody, zamrugał powiekami, po czym zauważył stojącą nieruchomo Mori. Przyglądał jej się z uwagą. Jego jasnoniebieskie oczy wyglądały jak dwie szklane kulki.

„Nie ma koloru” – zauważyła. „Mam nadzieję, że nie jest spokrewniony z instruktorkami”.

– Spodziewałem się, że Dziecko Przeznaczenia będzie delikatniejsze i... – głos chłopaka brzmiał dźwięcznie i ostro zarazem – nieco czystsze.

Mori rzuciła mu wyzywające spojrzenie.

– Spałeś tak twardo, że jedna kropelka by nie wystarczyła. A poza tym nie nazywaj mnie Dzieckiem Przeznaczenia.

– Przecież nim jesteś. Inaczej nie mogłabyś mnie obudzić ani rozmawiać w języku xatl.

– Nie rozma... – zaczęła Mori kłótliwym tonem i urwała. Rzeczywiście, wypowiadała słowa w jakiejś dziwnej, naszpikowanej spółgłoskami mowie pełnej syczących i świszczących dźwięków. – Nie rozumiem do końca, o co chodzi z tym Dzieckiem Przeznaczenia. Obudziłam cię, bo chciałam, żebyś pomógł mi wydostać się z wyspy – powiedziała ze znużeniem.

– Dziecko Przeznaczenia ma wyzwolić wyspę spod władzy odstępczyń i przywrócić ją ludowi Xatl – wyrecytował uroczyście chłopiec.

– No bardzo pięknie! – wykrzyknęła Mori, siadając z rozmachem na podłodze. – Nie dość, że zostałam porwana przez instruktorki i omal nie umarłam na pustyni, to jeszcze okazuje się, że zamiast z twoją pomocą wrócić do domu, mam przywrócić wyspę jakiemuś ludowi Xatl, o którym, nawiasem mówiąc, pierwszy raz słyszę.

Chłopiec przyglądał jej się nieporuszony.

– Nie może być pomyłki – powiedział w końcu. – Przecież udało ci się mnie obudzić. I rozmawiamy.

– No i co z tego! – wzruszyła ramionami. – A poza tym jestem głodna – dodała rozżalona.

– To akurat nie stanowi żadnego problemu. – Chłopak sięgnął pod podstawę fontanny i coś tam poruszył.

Na oczach zdumionej dziewczynki, w odległości kilku metrów od niej, podłoga rozstąpiła się i spod ziemi wynurzył się wyładowany jedzeniem stół. A zaraz po nim dwa krzesła. Mori poderwała się z miejsca i jak urzeczona wpatrywała się w pełne półmiski.

– Jak to zrobiłeś? Zresztą, mniejsza z tym. – Sięgnęła po złocistą bułeczkę z lekko przypieczoną skórką.

– Chyba nie będziesz jeść w takim stroju! – zawołał zgorszony chłopak.

– No wiesz? – prychnęła Mori. – A niby w jakim? Mam tylko to, co na sobie. Na pustyni ani w dżungli nie ma garderoby.

– Ale tutaj jest – powiedział z godnością niebieskooki i pstryknął palcami w kierunku ściany, w której ukazał się natychmiast owalny otwór. – Tam znajdziesz wszystko, co ci będzie potrzebne.

Mori rzuciła mu zdumione spojrzenie i nie dała się dłużej prosić. Myśl, że mogłaby zrzucić z siebie poszarpaną sukienkę, dodała jej skrzydeł.

– I możesz się tam umyć! – krzyknął za nią.

To nie była garderoba. To było coś znacznie wspanialszego. Miejsce, w którym się znalazła, przypominało luksusową łazienkę skrzyżowaną z salonem mód. Podłoga i ściany wyłożone były czymś, co przypominało zielony żyłkowany marmur albo malachit. Na środku było prostokątne zagłębienie wypełnione musującą i parującą wodą. „Wanna wielka jak sadzawka” – pomyślała Mori, zrzucając z siebie nieprzypominające już normalnego ubrania szmatki i zanurzając się w ciepłej kąpieli. Po tylu dniach pełnych napięcia, nareszcie mogła się odprężyć. Leżałaby w wannie znacznie dłużej, gdyby nie pamięć o zastawionym stole. Wyszła z wody, wytarła się nieprawdopodobnie miękkim ręcznikiem i rozejrzała się za odpowiednim strojem. Sukienki wisiały w rzędach pod ścianą. Niektóre były małe, jak dla pięcioletniej dziewczynki, w inne bez trudu zmieściłaby się dorosła kobieta. Znalazły się też takie, które pasowały w sam raz na Mori. Wybrała sobie jasnoblękitną ze złotym haftem. Jedna ze ścian miała wbudowane długie aż do podłogi zwierciadło. Dziewczynka podeszła, żeby się w nim przejrzeć.

Prawie siebie nie poznała. I nie chodziło o piękną suknię. Z lustra patrzyła na nią zupełnie obca twarz, wychudzona i spalona słońcem. Splątane kosmyki długich, od tygodni nieczesanych włosów, nadawały jej wygląd młodocianej wiedźmy. Rozejrzała się za jakimś grzebieniem. Oczywiście był tu, leżał na marmurowym blacie toaletki razem z kompletem szczotek ze srebrnymi rączkami. Wbiła go w zbity kłęb włosów i pociągnęła. Zabolało tak, że aż łzy trysnęły jej z oczu. „Trudno, pójdę rozczochrana. Nie wytrzymam już dłużej z

głodu. A jeśli ten niebieskooki zarozumialec będzie czynił jakieś komentarze do mojego wyglądu, to rzucę w niego talerzem”.

Weszła do sali z fontanną.

– Teraz wyglądasz znacznie lepiej – skinął z aprobatą chłopiec. – Byłoby idealnie, gdyby nie...

– Ani słowa o moich włosach – ucięła Mori. – Jak zjem, to się nimi zajmę.

Sięgnęła po wyglądającą apetycznie bułeczkę i zatopiła w niej zęby. Niebieskooki siedział po przeciwnej stronie stołu, szczupłymi palcami skubał winogrona i przyglądał jej się ciekawie. Starła się nie zwracać na niego uwagi, skupiając się na jedzeniu. Tyle pysznych rzeczy. Pieczywo, małe kielbaski, kawałeczki pieczonego mięsa, sery. Jak dawno nie miała w ustach sera! To przypomniało jej Chamomillę, a od niej wspomnienia poszybowały ku rodzicom i łzy stanęły jej w oczach.

– Zrobiło ci się smutno – stwierdził rzeczowo. – Dlaczego?

– Tęsknię do rodziców – odpowiedziała, ocierając oczy wierzchem dłoni.

– Jak wypełnisz misję, będziesz mogła do nich wrócić.

– A jak nie wypełnię?

– To jest niemożliwe, przepowiednia wyraźnie mówi, że wypełnisz.

Mori zniecierpliwiona wzruszyła ramionami.

– Jak masz na imię? – zmieniła temat.

– Arxt.

Nie zapytał jej, jak się nazywa, więc przedstawiła się sama.

– A ja jestem Mori. Mori Sedun.

– Zawsze myślałem o tobie jako o Dziecku Przeznaczenia, nie przypuszczałem, że masz jakieś imię.

– No wiesz?! Każdy ma jakieś imię! – Ten chłopak był naprawdę dziwny. – Czy ty należysz do ludu Xatl, o którym wcześniej wspominałeś?

– Tak, jestem Tym, Który Obudzi.

– Kogo obudzi?

– Mój lud.

– Wiesz co, najlepiej będzie, jak mi wszystko opowiesz. A ja w tym czasie zajmę się rozczesywaniem włosów – dodała.

– Nie należy czesać się przy stole.

Mori przewróciła oczami.

– Wiem, usiądę na tyle daleko, żeby cię to nie denerwowało.

– Mnie to nie denerwuje – odpowiedział ze stoickim spokojem. – Tylko istnieją zasady, których należy w życiu przestrzegać.

– Zwłaszcza siedząc kilka metrów pod powierzchnią pustyni – dodała sarkastycznie.

Postawiła swoje krzesło, a właściwie mały wyściełany fotelik o opływowych kształtach na progu garderoby–łazienki i położyła sobie na kolanach cały komplet szczotek.

– Możesz zaczynać – powiedziała, chwytając grzebień.

– Lud Xatl od wieków zamieszkiwał tę wyspę, noszącą w naszym języku nazwę Cthulatl. Ponad tysiąc lat temu grupa odstępczyń, wygnana ze swego świata z powodu popełnionych zbrodni, opanowała wyspę i przeniosła ją do tej rzeczywistości. Lud Xatl odszedł w odwieczny sen, a ja zostałem na straży, by czekać na Dziecko Przeznaczenia.

– Poczekaj, poczekaj... to gdzie jest teraz ten twój lud?

– W odwiecznym śnie.

– To znaczy gdzie?

– No przecież mówię, że w odwiecznym śnie.

– Ale gdzie to jest? Albo co to znaczy? Leżą w jakichś salach? Unoszą się jako duchy nad pustynią?

Chłopak wyglądał na zakłopotanego.

– Nie zastanawiałem się nigdy nad tym. Wiem, że gdy wyzwolisz nas od odstępczyń, będę mógł uderzyć w srebrny gong i wtedy wszyscy się obudzą.

– A gdzie jest ten srebrny gong?

– Ukaże się, gdy wyspa będzie wolna.

Mori westchnęła z rezygnacją i wzięła się za rozczesywanie następnego pasma włosów.

– Powiedziałeś, że odstępczynie przeniosły wyspę do tej rzeczywistości. Czy to znaczy, że przedtem mieszkaliście w zupełnie innym świecie? Może... – Jej oczy błysnęły nadzieją. – Może jesteś z Corredo?

Arxt przecząco potrząsnął głową.

– Odstępczynie są z Corredo, a my zamieszkujemy przyległy świat, do którego można się przedostać, jeśli zna się przejścia.

– A one znały – dopowiedziała Mori.

Chłopak potwierdził skinieniem.

– To były bardzo inteligentne osoby. Władczyni.

– Władczyni?

– Tak słyszałem.

– To kto mógł je wygnać?

– Wyższe władczyni. Tak mi mówiono. Nie znam Corredo. Tylko wtajemniczeni mogli je odwiedzać.

– Nie wiedziałam, że jest tyle światów – powiedziała zamyślona Mori. – Wiesz – popatrzyła na chłopca – kiedy byłam na pustyni, to raz mi się przyśniłeś. I powiedziałaś, że mam cię odnaleźć, a wtedy ty mnie uratujesz... Nie było mowy o tym, że to ja mam kogokolwiek wyzwalać.

Arxt wzruszył ramionami.

– Sny o mnie muszą krążyć nad wyspą, żeby przywabić Dziecko Przeznaczenia. Tak mi powiedzieli Mistrzowie, kiedy zostałem wybrany na Tego, Który Obudzi.

– Wszystko to bardzo pięknie. – Mori z irytacją szarpnęła szczotką i syknęła z bólu. – Ja jednak nadal nie mam pojęcia, w jaki sposób mam stąd wykurzyć odstępczynie, czyli instruktorki, bo to o nie pewnie chodzi.

- Musisz wiedzieć. – Chłopak po raz pierwszy okazał cięń niepokoju i zwątpienia. – Powiedzieli mi, że będziesz umiała je zniszczyć.
- Mądrale – burknęła Mori.
- Nie Mądrale, tylko Mistrzowie – poprawił ją z powagą Arxt.
- Miałam na myśli, że ci twoi mistrzowie to mądrale.
- Naprawdę nie wiesz, jak pokonać odstępczynie? – spytał żałośnie.
- Wiem, co może je zniszczyć – odpowiedziała z naciskiem. – Herbata szczęścia. Ale żeby ją tu sprowadzić, musiałabym udać się do domu. A potem oczywiście wrócić. Obie te rzeczy przekraczają moje możliwości.
- Dlaczego?
- Bo jestem tu więźniem! Bo wyspę otacza nieprzenikniona mgła, o którą można sobie rozwalić głowę!!! Bo nie mam żadnego statku!!!
- Ale dlaczego tak krzyczysz? – spytał łagodnie.
- Bo mam już dość tej głupiej rozmowy!
- Ona wcale nie jest głupia. Dowiedziałem się ważnej rzeczy. Znasz sposób zwyciężenia odstępczyń, a więc jesteś Dzieckiem Przeznaczenia.
- Przestań już z tym Dzieckiem Przeznaczenia! Jestem Mori.
- No dobrze, Mori, powiedz mi, gdzie jest ta herbata szczęścia i natychmiast tam ruszamy.

Szczotka wypadła jej z ręki.

- Jak to ruszamy? Potrafiłbyś przedostać się poza wyspę?
- Oczywiście, powiedz tylko dokąd.
- Do Versathis, na przykład. Tam herbatę szczęścia można znaleźć w każdym przydrożnym rowie.
- A czy w tym Versathis są jakieś książki?
- Książki? – Mori zrobiła wielkie oczy. – Są książki. W naszej bibliotece.
- Jakiś tytuł?
- *Podróże za morza najdalsze Rossa Claitha.*
- Bardzo dobrze. Skończyłaś już z tymi włosami? Jeśli tak, to zaczynamy.

Arxt wstał, otrząpiał ubranie z okruszków i podszedł do pojemnika, który przez tysiąc lat służył mu za łożo. Podniósł poduszkę uszytą z bladoniebieskiego jedwabiu i wyciągnął spod niej jakąś grubą księgę. Kiedy tylko Mori dostrzegła tytuł, zerwała się z krzesła i jednym susem znalazła się obok chłopca. Teraz widziała z bliska złocene litery układające się w napis: „Wędrówki Avenidów po świecie Ludzi”.

18.

„Roxilona” stała na kotwicy. Kilkadziesiąt metrów od jej dziobu stała mgła. Stała, to dobre określenie. A jeszcze lepsze – mocno siedziała. Nie miała w sobie nic z ulotności pary wodnej. Niemal czuło się jej granitowoszary ciężar.

- Mam wrażenie, jakbyśmy cofnęli się w czasie – odezwał się Ross.
- Wiem, co masz na myśli – przytaknęła Scaber.

Obaj pamiętali ten dzień, kiedy ich oczom ukazała się po raz pierwszy wyspa Nut – cała spowita mgłą.

– Trzeba więc zrobić to, co wtedy. Szalupa, wiosła i płyniemy. Reszta niech czeka na statku – powiedział Ross, ale w jego głosie brak było przekonania.

– I oczywiście musimy wziąć herbatę szczęścia. – Cecil stanął obok nich i łokciami oparł się o burtę.

– Płyniesz z nami? – zdziwił się Scaber.

– Dlaczego cię to dziwi, przyjacielu? – uśmiechnął się łagodnie botanik.

– Nooo... nie jesteś przecież osobiście w to zaangażowany.

– Myślę, że właśnie ktoś z odrobiną dystansu jest wam potrzebny. A poza tym, panie z wyspy mogą zechcieć was czymś podtruć. W takiej sytuacji dobry botanik jest niezastąpiony.

Okrągłe, okolone rudymi lokami oblicze Sarotiana promieniało zadowoleniem i z trudem tajonym podnieceniem. Scaber zaczął podejrzewać, że Cecil, bardziej niż na znalezienie porwanych dziewczynek, liczy na odkrycie nieznanymi gatunków roślin. Niech będzie i tak.

Ross wciągnął powietrze nosem.

– Ta mgła nie emituje żadnych woni – stwierdził.

– Jest inna niż tamta – przytaknął Scaber. – Mam wrażenie, że teraz nie pójdzie nam tak łatwo.

– Wtedy też nie było łatwo – zaprotestował botanik.

– Już nie pamiętacie? Omal się nie udusiliśmy.

– Myślę, że możemy podpłynąć do niej już teraz – zdecydował po krótkim namyśle Ross.

– Powinniśmy chyba najpierw jakoś się przygotować.

– Scaber nie rozumiał nagłej decyzji Claitha. – Zabrać broń, jedzenie...

– Chcę się z bliska przyjrzeć tej mgłę. Nie będziemy w nią wpływać.

Nie minęło pół godziny, a znaleźli się na wodzie. Szklarka obserwowała z pokładu, jak z każdym ruchem wiosła zbliżają się do siwych oparów. Wyłamywała palce ze zdenerwowania.

– A jeśli to są jakieś trujące wyziewy, które ich zabijają? – spytała, mrużąc oczy, żeby lepiej widzieć.

– Na pewno zdążą wycofać się na czas. – Chamomilla objęła ją ramieniem.

– Jeżeli panie chcą, to poproszę kapitana o spuszczenie drugiej szalupy. Gdyby coś złego zaczęło się dziać, natychmiast podpłynąłbym bliżej i odholowałbym ich łódź w bezpieczne miejsce – zaoferował się Kert, który przez ostatnie dni, dziwnym trafem znajdował się zawsze tam, gdzie Chamomilla.

– Myślę, że to nie będzie konieczne – odpowiedziała Szklarka, patrząc, jak maleńka z tej odległości szalupa wycofuje się z obszaru mgły. – Co oni robią?!

– wykrzyknęła po chwili, wytyżając wzrok.

Łódź wcale nie zawracała w kierunku „Roxilony”. Wydawało się, że ma zamiar ustawić się bokiem do mgły. Jeden z mężczyzn podniósł się i wymachiwał czymś niebieskim.

– To chyba Cecil macha gałązką herbaty szczęścia – skomentowała Chamomilla, robiąc nad oczami daszek z dłoni, dla ochrony przed słońcem.

– Ale dlaczego?

– Niebawem się dowiemy. Zobacz, zawracają.

Wychyliły się przez burtę i patrzyły na podpływającą do statku szalupę. Widać już było wyraźnie posępne miny siedzących w niej mężczyzn.

– Scaber wygląda na bardzo zmartwionego – zauważyła Szklarka i głos jej zadrżał.

Chamomilla rzuciła jej krótkie spojrzenie.

– Należało się spodziewać, że nie pójdzie łatwo – powiedziała spokojnie. – Znamy instruktorki i wiemy, że nie da się wejść na ich terytorium bez pozwolenia.

– Przez całą podróż odrzucałam od siebie tę myśl. Łudziłam się, że wystarczy podpłynąć dostatecznie blisko, pomachać herbatą szczęścia i dzieci będą nasze.

– Naprawdę wierzyłaś, że tak się to odbędzie, Theo?

– Nie – pokręciła głową Szklarka. – Nie wierzyłam, ale marzyłam o takim rozwiązaniu, choć w gruncie rzeczy wiedziałam, że jest mało prawdopodobne.

Patrzyły na zwały gęstej mgły.

„Gdzieś tam jest Mori. Mam nadzieję, że żyje, że instruktorki nie zrobiły jej krzywdy, że nie...”

– Chamomillo! – Zwróciła przestraszony wzrok na przyjaciółkę. – Powiedz, czy gdyby instruktorki coś zrobiły z pamięcią naszych dzieci, czy gdyby... no wiesz... gdyby nas z niej wymazały, to czy mogłabyś coś na to poradzić?

– Myślałam nad tym często – odpowiedziała ze znużeniem w głosie Chamomilla. – Właściwie od pierwszego dnia po zniknięciu dziewczynek. I nie wiem, co ci odpowiedzieć, Theo. Zdaję sobie sprawę, jakich szkód mogą dokonać te kobiety w głowach dziewczynek. Z drugiej strony, wydaje mi się, ale to jest tylko przypuszczenie, że łatwiej im jest manipulować pamięcią u dzieci całkiem małych i takich, które przez całe życie pozostawały pod ich wpływem. Moje córki były bardzo małe, gdy uciekałyśmy z wyspy. Joven miała wtedy zaledwie cztery lata. To daje nadzieję. A życie twojej Mori było zupełnie wolne.

– Ale gdyby coś jej zrobiły... Pamiętasz Agdę, prawda? – Głos jej się załamał. – To mogłabyś je uleczyć?

– Gdyby stało się z nimi to, co z Agdą – Chamomilli stanął przed oczami obraz obłąkanej staruszki z Wyspy Sierot – to chyba nie dałabym rady. Co do mniejszych szkód... zrobię wszystko, co w mojej mocy...

Kert przysłuchiwał się tej rozmowie. Nie odrywał oczu od Chamomilli i nerwowymi ruchami szarpał brodę. Kilka razy otwierał usta, ale nie odważył się odezwać. W końcu, kiedy kobiety umilkły na chwilę, postąpił krok do przodu i spytał:

– Czy pani jest szamanką? – W jego głosie szacunek mieszał się z obawą.

– A kto to jest szamanka? – chciała wiedzieć Chamomilla. Przechyliła głowę i

popatrzyła na niego tak uważnie, że aż się zaczerwienił.

– Wśród pustynnych plemion zamieszkujących okolice oazy Gebrach są kobiety, które mogą zaczarować człowieka, zamieszkać w jego głowie i wydawać mu rozkazy. Mają potężną moc. Nawet sam wódz się ich boi.

– Nie jestem nikim takim – stwierdziła krótko.

– Ale słyszałem, jak panie mówiły... – Kertowi bardzo zależało na wyjaśnieniu niepokojącej go kwestii.

Chamomilla milczała. Przygryzła wargi i widać było, że waży w myślach jakąś decyzję. Szklarka wiedziała, że jej przyjaciółka niewielu osobom mówiła o swoim darze i że za każdym razem przychodziło to jej z trudnością. Czy zdradzi swoją tajemnicę temu obcemu człowiekowi?

– Mogę czytać w myślach – powiedziała Chamomilla spokojnie.

Był to chyba spokój pozorny, bo w jej głosie słychać było lekkie drżenie.

– Robię to bardzo rzadko – dodała, widząc, jak twarz Kerta zalewa purpurowa łuna. – I nigdy dla zaspokojenia zwykłej ciekawości.

– Ach tak... oczywiście – bąknął.

Obdarzyła go ciepłym uśmiechem i zwróciła twarz w stronę morza.

Szalupa właśnie przybiła. Trzej mężczyźni z niewesołymi minami wspięli się na pokład. Szklarka rzuciła się ku Scaberowi.

– I co?

Pokręcił przecząco głową.

– Ta mgła jest nie do przebycia. Łódź odbiła się od niej jak piłka.

– W dodatku zawiera składniki uszkadzające strukturę naszej rośliny – dorzucił Cecil, pokazując szerniały pęd herbaty szczęścia.

– I co teraz? – Szklarka szeroko otwartymi oczami patrzyła na Scabera. – Jak dostaniemy się na wyspę?

Nie odpowiedział. W milczeniu objął ją ramionami i przycisnął do siebie. Patrzył ponad jej głową na złowrogie kłęby mgły. „To się nie może tak skończyć” – pomyślał. „Musi być jakiś sposób”.

– Coś wymyślimy – odezwał się w tym momencie botanik, jakby odczytując jego myśli. – Mam w swoim bagażu różne odczynniki, płyny konserwujące... może coś z tego zadziała na mgłę.

– Zwołamy naradę – zabrzmiał tuż za nim niski bas kapitana Holmana. – Niech się państwo nie martwią. Nieraz zdarzało mi się być w sytuacjach pozornie bez wyjścia... Państwu też nie są obce. Do końca życia nie zapomnę, jak pani Sedun wskazywała nam drogę do statku z uchodźcami z wyspy Nut. Nikt się wtedy nie spodziewał takiego zakończenia całej historii.

– Ani tego, że Avenidzi uratują wszystkie dzieci z Wyspy Sierot – odezwała się Szklarka, unosząc głowę i ocierając oczy wierzchem dłoni. – Ma pan rację, kapitanie. Musimy mieć nadzieję.



CZĘŚĆ IV

W pracowni panowała senna atmosfera. Mitrail próbowała dodać trochę mocniejszych kontrastów do swojej martwej natury, ale obraz ciągle wydawał się mdły. Najchętniej odłożyłaby pędzel i położyłaby się spać wprost na podłodze. Stojąca przy sąsiednich sztalugach Arta miała nieprzytomny wyraz twarzy i ciągle ziewała. „Przecież godzinę temu wróciłyśmy ze sjesty. Przespałyśmy trzy godziny. Dlaczego znowu chce nam się spać?” – zastanawiała się Mitrail. Obrzuciła wzrokiem swoją dzisiejszą pracę. Nijaka, bez wyrazu. Nie chciało jej się nic poprawiać.

– Skończyłam już – powiedziała do siedzącej za biurkiem Ellix.

Instruktorka wyraźnie się postarzała. Siatka zmarszczek w kącikach oczu rysowała się z każdym dniem wyraźniej, a w czarnym warkoczu pojawiły się srebrzyste pasma.

– Ja też skończyłam – odezwała się Arta, ziewając rozziewając.

Ellix podeszła do sztalug i przyjrzała się obojętnie ustawionym na nich pracom.

– Same wiecie, że nie są dobre – odezwała się po chwili. – Ale widzę, że na nic lepszego nie będzie was dzisiaj stać. Idźcie się przespać. Macie czas do kolacji. Może jutro będziecie bardziej przytomne.

Dziewczynki skinęły w milczeniu głowami i powłócząc nogami, opuściły pracownię.

– Mogłabym spać przez cały dzień – westchnęła Arta i znowu ziewnęła.

– Ja też – powiedziała Mitrail, patrząc zamglonym wzrokiem na soczystą, tropikalną zieleń dżungli. – I ciągle kręci mi się w głowie.

– Tak jest codziennie, zauważyłaś?

– Mhm.

– Mam wrażenie, jakbyśmy przestawały żyć... – wyszeptała Arta. – Jakby nasze życie zamieniało się w sen.

– Z tutejszymi dziewczynami jest jeszcze gorzej.

– To prawda. Ruszają się jak lalki i w ogóle się nie odzywają. Niektóre ledwo chodzą.

– I już dawno żadnej z nich nie widziałam na zajęciach.

– Myślisz, że instruktorki nam to robią? – Arta z niepokojem zajrzała w szare oczy Mitrail.

– Nie wiem. One same wyglądają nie najlepiej. Widziałaś, ile siwych włosów ma Ellix? A przecież Chamomilla opowiadała nam, że instruktorki wcale się nie starzeją.

– Mitrail, a może my tu umrzemy... – głos Arty załamał się – umrzemy, zanim Chamomilla nas odnajdzie.

Mitrail nie odpowiedziała. Zamrugła powiekami, żeby powstrzymać cisnące się do oczu łzy. Drzewa i kwiaty zlały się w jedną smugę kolorów.

Weszły do dormitorium, gdzie dzięki kamiennym ścianom i zasłoniętym oknom było nieco chłodniej niż na zewnątrz. Na łóżkach leżały trzy skulone postacie.

Fry, Joven i Laszti. Spały.

– Mitrail?

– Tak?

– A gdybyśmy uciekły? Może spotkamy Mori? – W głosie Arty zabrzmiało błaganie.

– Nie wiemy, czy Mori żyje. – Mitrail pogłaskała ją po jasnych włosach. Trochę już odrosły od dnia balu u księżnej Shadd. – Poza tym... pamiętasz tego potwora, który przyszedł w nocy? Strasznie byłoby takiego spotkać.

Arta wzdrygnęła się ze wstrętem.

– No właśnie. – Mitrail westchnęła i położyła się na swoim łóżku. Gdyby nie poszły na tamto przyjęcie, mogłyby sobie teraz spokojnie siedzieć w domu, pić herbatę, robić z Chamomillą ciasteczka, jeździć z wizytami do starszych wychowanek. Zamknęła oczy i pogrążyła się w ciężkim śnie.

2.

Scargot siedziała na podłodze ze skrzyżowanymi nogami i wpatrywała się w swoje ręce. Skóra na dłoniach zwiotczała, a w małym palcu co jakiś czas pojawiała się nieprzyjemne kłucie. „Artretyzm” – pomyślała. „Do czego to doszło”.

– Za szybko zużywamy energię – mówiła tymczasem siedząca na podwyższeniu Han Tori. – Musimy powstrzymać ten proces, bo inaczej istniejące rezerwy wyczerpią się szybciej, niż zdołamy je uzupełnić.

– Masz jeszcze nadzieję, że Hesnarowi uda się złowić nowe dzieci? – spytała z powątpiewaniem Peccata.

– Jak tylko się urodzą – odpowiedziała Han Tori.

– Na razie jednak żadna z tych kobiet nawet nie jest w ciąży – powiedziała gorzko Scargot.

– I dlatego musimy oszczędzać.

– Na czym? – wzruszyła ramionami Semelnin, rudowłosa piękność.

– Właśnie nad tym chciałam się z wami zastanowić.

– Możemy zmniejszyć obszar mgły – odezwała się z kąta Radita, o cerze tak jasnej, że prawie przezroczystej i włosach białych jak u albinosa. – Nawet o połowę. Myślę, że nie potrzebujemy tak szerokiego pasa jak dotychczas.

– Nawet jeśli po drugiej stronie znajduje się statek? – spytała z powątpiewaniem Scargot.

– Szczelność bariery przecież się nie zmieni – zapewniła Radita.

– Jakież inne propozycje?

– Nie powstrzymywać procesów starzenia – powiedziała dobitnie Itr.

Wszystkie spojrzenia skierowały się na tę drobną kościstą kobietę wpołleżącą na sofie.

– Ależ to przeczy całej naszej filozofii! – zawołała Ellix. – Zachowanie wiecznej młodości było, to znaczy jest, naszym głównym celem.

– Twoje przejęzyczenie było trafne, Ellix – powiedziała spokojnie Itr. – Zachowanie wiecznej młodości było naszym celem. Teraz jest nim zachowanie życia. A młodość... no cóż... Zawsze możemy użyć kremu alfa-helix i znów wyglądać młodziej. Zużywanie energii ludzkiej na zmniejszanie ilości zmarszczek i siwych włosów uważam w obecnej sytuacji za zwykłe marnotrawstwo.

Zapadło milczenie. Propozycja Itr była trudna do przełknięcia. Każda z kobiet zebranych w tej pięknej sali o ścianach wykładanych alabastrem i obwieszonych drogocennymi gobelinami przedstawiającymi krajobrazy, jakich nie widział nikt z ludzi, przetrawiała to, co zostało powiedziane.

– A czy wiadomo, dlaczego się starzejemy? – spytała w końcu Peccata.

Han Tori potrząsnęła przecząco głową.

– Kiedy zasłabła Scargot, dość szybko zorientowałyśmy się, że to ta nowa, Joven, zrobiła jej portret. Obraz został zniszczony, a pamięć dziewczyny zmodyfikowana. Nie znalazłam żadnych innych szkiców czy portretów. Ellix codziennie sprawdza wszystkie prace i podmalówki pod tym kątem.

– Może przyczyną jest ta, która uciekła? – spytała Radita.

– Czy żyje jeszcze?

– Mamy nadzieję, że nie. – Tym razem głos zabrała Ellix. – Udało mi się doprowadzić do tego, że została w środku dnia sama na pustyni. Od tamtej pory detektor nie zarejestrował żyjącej istoty ludzkiej na obszarze zewnętrznym. Ale... – zawahała się, czy powiedzieć całą prawdę – kiedy wysłałam ovoid z kamerą, nie wykrył żadnych pozostałości tkankowych... kości, włosów, skóry... nic.

– Czy to może oznaczać, że przechwycili ją tamci? – spytała Semelnin.

– Może – odpowiedziała sucho Ellix.

3.

Księga o Avenidach! Mori aż drżała z podniecenia.

– Daj mi ją obejrzeć! – Dotknęła dłońmi wytłaczanej skóry.

– To nie jest do oglądania, tylko do podróżowania. – Arxt zmarszczył brwi i objął tom ramionami.

– Będziemy wchodzić do książki? – podskoczyła z radości Mori. – Jesteś Avenidą?

– Czy ja wyglądam na Avenidę? – wydał usta chłopak.

– Nie wiem, nigdy żadnego nie widziałam – przyznała uczciwie dziewczynka. – Ale moja mama знаła aż trzech, to znaczy troje, bo jednym była kobieta, panna Grim.

– Nie jestem Avenidą – powtórzył Arxt – ale mogę korzystać z ich szlaków. Wszyscy z Xatl mogą.

– Ja też?

– Jeśli jesteś Dzieckiem Przeznaczenia... – zawiesił głos – to nie powinno być z

tym kłopotów.

– Dobrze, dobrze, w takim razie mogę być Dzieckiem Przeznaczenia. Całe życie marzyłam o tym, żeby wejść do książki.

Arxt otworzył księgę. Jej karty były pożółkłe i sztywne. Każdą nową stronę ozdobił kunsztowny inicjał, a barwne iluminacje pokrywały marginesy.

– Jakże to piękne! – zachwyciła się Mori.

Arxt nie zwrócił uwagi na jej okrzyk. W skupieniu przewracał karty woluminu i ze zmarszczonymi brwiami odczytywał napisy.

– *Podróże za morza najdalsze, to jakaś nowa książka? – odezwał się w końcu, podnosząc oczy na Mori.*

– Nowa? To zależy, co masz na myśli. Wujek Ross napisał ją dziesięć lat temu.

– Zupełnie nowa. – Arxt wyglądał na zmartwionego. – Nie ma w tej twojej bibliotece jakiegoś starszego, co najmniej kilkusetletniego dzieła?

Zastanowiła się. Przed oczami stanął jej księgozbiór Versathis. Sięgające aż pod sufit regały pełne książek. Wiedziała, że te najstarsze i najcenniejsze trzymane są w zamykanych przeszklonymi drzwiczkami szafach. Usłużna pamięć podsuwała tytuły.

– *Dzieje świata, Herbarium czarodziejskie, Historia o zwycięskim hrabim Aldo de Pazzo y Saroya, Kronika przez Hallego z Ermontu spisana w dwunastu księgach – recytowała z przymkniętymi powiekami.*

– Mam! – wykrzyknął Arxt, stukając palcem w ozdobne pismo.

– Co?

– *Link do Historii o zwycięskim hrabim Aldo de Pazzo y Saroya.*

– Co to jest link?

– Tak Avenidzi nazywają miejsce przejścia do innej książki. Kierując się tymi linkami, można zejść w dowolne miejsce świata. Jeżeli tylko znajduje się tam coś do czytania, oczywiście.

– No to chodźmy już – niecierpliwiła się Mori. – Mam wypowiedzieć głośno swoje imię, trzymać cię za rękę i...

– Ależ skąd! Tak robią Avenidzi, kiedy chcą kogoś przeprowadzić w swój świat. Nam nic by to nie dało. Xatl posługują się hasłem.

– Mam nadzieję, że je znasz. – Mori nie mogła się już doczekać.

– Oczywiście! – Chłopiec spojrzał na nią z wyższością.

Rozczapierzył palce i opuszkami dotknął otwartej stronicy.

– Grizzzxiexdxxroejertxxzajakx – powiedział.

– Co takiego? Możesz powtórzyć? – Nawet fenomenalna pamięć Mori nie była w stanie przyswoić zlepku syczących spółgłosek, które jednym ciągiem wydobyły się z ust Arxta.

– Ciiicho! Nie przeszkadzaj! – syknął.

Nie odzywała się więc, choć zupełnie nic się nie działo. Stali oboje obok fontanny, krople spadały z cichym szumem i był to jedyny dźwięk w całym pomieszczeniu. Zaczęła podejrzewać, że chłopak pomylił hasło, ale w tym momencie jego palce rozjarzyły się bladofioletową poświatą. Księga zaczęła się

ustawiać pionowo i z każdą sekundą stawała się coraz większa. Arxt nie odrywał od niej dłoni. Mori patrzyła zafascynowana, jak każda z kart osiąga wielkość okazałych rozmiarów szafy. Namalowane na marginesach bestie o ptasich głowach i wachlarzowatych ogonach zaczęły poruszać oczami i przebierać pazurami, jakby chciały wyrwać się ze sztywnych kart pergaminu na wolność. Kwiaty o mięsistych jaskrawoczerwonych płatkach chwiały się w powiewach niewidzialnego wiatru. Niespodziewanie na samym środku kartki ukazała się szczelina, przez którą przesączało się bladoniebieskie światło.

– Idziemy – powiedział cicho Arxt.

4.

Na kucharza „Roxilony” bez przerwy narzekano. Rzeczywiście, jego repertuar potraw z suszonego mięsa i nierzadko zatechłej mąki mógł się każdemu dać we znaki, zwłaszcza podczas długiego rejsu. Tym razem jednak stary Hort naprawdę się postarał. Zapach rumowych ciasteczek nappełniał mesę i przydawał nieoczekiwanej odświeżności całemu, niezbyt wesołemu spotkaniu.

Scaber w krótkich słowach opowiedział o porannej wyprawie szalupą a Cecil zaprezentował wszystkim martwy pęd herbaty szczęścia. Szklarka, wciśnięta w kąć, bez przerwy ocierała łzy. Nie mogła nad nimi zapanować. Czuła na sobie ukradkowe, współczujące spojrzenia, które jeszcze bardziej wytręcały ją z równowagi. Chamomilla nie płakała. Siedziała sztywno, z zaciśniętymi ustami. Co kilka minut z haftowanej koralikami torby wyciągała czystą batystową chusteczkę i podawała ją płaczącej Thei. Urta i Antara szeptały w kącie z zatroskanymi minami. Ross oparł brodę na dłoni, a drugą ręką kartkował swój opasły notes. Kastor rozłożył na stole papier listowy i gorączkowo spisywał wszystkie wrażenia. List do Ottiny nabierał coraz większej objętości. W najdalszym kącie przy drzwiach siedział Kert i uważnie obserwował całe towarzystwo ze szczególnym uwzględnieniem Chamomilli, ku której jego wzrok biegł z regularną częstotliwością. Przysłuchiwał się dyskusji, która polegała na rzucaniu mniej lub bardziej beznadziejnych i niemożliwych do zrealizowania pomysłów. I wtedy zniemacka przyszła mu do głowy pewna myśl. Był człowiekiem rozważnym, więc poddał ją uważnej obserwacji i krytyce. Spodobała mu się. Zaprezentowanie jej temu zgromadzeniu mogło spowodować, że kobieta zwana przez jednych Theą, a przez innych Szklarką przestanie w końcu płakać, a inna kobieta, zamiast podsuwać tej pierwszej chusteczki, skupi na nim swoją uwagę.

Wstał, przepchał się do przodu i odchrząknął na tyle głośno, że wszyscy go zauważyli.

– Drodzy państwo – zaczął. – Chciałbym przedstawić pewien projekt, który pozwoliłby przeprawić się nie tylko przez obszar mgły, ale także przez pustynię, zajmującą, według słów pani Antary, cały zewnętrzny obszar wyspy.

Urwał i rozejrzał się po całej sali, odnotowując z zadowoleniem, że wszystkie

oczy są w niego wpatrzone. Zwłaszcza te, na których najbardziej mu zależy.

– Niech pan kontynuuje, panie Kert – zachęciła Chamomilla.

– Otóż jakiś dzień drogi stąd znajduje się niewielka wysepka... Proszę się nie dziwić, kapitanie, jest na tyle mała, że większość map ją pomija. Właściwie wszystkie ją pomijają, o ile mi wiadomo. Jest to nawet nie tyle wyspa, ile stercząca z morza skała, która w rzeczywistości jest wierzchołkiem podwodnej góry.

– Proszę przejść do sedna – przerwał mu Scaber, który nie znosił rozwlekłych wstępów.

Kert rzucił mu urażone spojrzenie. Miał ochotę posłać jakąś ciętą uwagę, ale przypomniał sobie, że hrabia Sedun jest przecież ojcem porwanej dziewczynki i należy traktować go z pewną wyrozumiałością. Poza tym patrzyła na niego Chamomilla. Postanowił więc powstrzymać się od komentarzy.

– Jakiś czas temu – ciągnął dalej swój wywód – w wyniku różnych okoliczności zmuszony byłem przemieszkować na tym skrawku skały i miałem okazję zbadać go dogłębnie. Do głębi w dosłownym tego słowa znaczeniu, gdyż skała owa jest wydrążona. Obejrzałem, a potem zagospodarowałem cały ciąg znajdujących się tam jaskiń. Zgromadziłem w nich różnorodne przydatne sprzęty i urządzenia. A jednym z nich jest... – zawiesił głos i upewnił się, że Chamomilla nie spuszcza z niego wzroku – balon! Balon, którym moglibyśmy przelecieć ponad mgłą.

– Balon! – Na twarzy Rossa malowało się zdumienie, które szybko ustępowało miejsca żywemu zainteresowaniu. – Balon z całym oprzyrządowaniem? Z gondolą i tak dalej?

– Oczywiście, inaczej bym o tym nie wspominał.

– I ma pan możliwość napełnienia czaszy gorącym powietrzem? – indagował coraz bardziej podniecony Ross.

Kert tylko skinął głową.

– Rozumiem, że potrafi pan podać dokładne położenie wyspy – po raz pierwszy tego wieczora odezwał się kapitan Birn Holman.

– Jak najbardziej.

– Chodźmy więc od razu nanieść je na mapę i ustalić kurs – odwrócił się do pasażerów. – O świcie podnosimy kotwicę.

Kapitan, utykając nieco, opuścił mesę, a za nim podążył bardzo zadowolony z siebie Kert. Scaber uściśnął Szklarę.

– Widzisz, Theo, zawsze jest nadzieja!

Chamomilla wstała i po cichu wyszła na pokład.

W zapadającym zmierzchu dostrzegła oddalające się sylwetki dwóch mężczyzn.

– Panie Kert! – zawołała niegłośno.

Ten niższy zatrzymał się. Podbiegła do niego.

– Panie Kert! – powiedziała zdyszana. – Ogromnie panu dziękuję!

I ucałowała go serdecznie w oba policzki.

Przechodzenie przez książkę było zupełnie inne, niż to sobie wyobrażała. Arxt prowadził ją czymś w rodzaju półkuliście zwieńczonego korytarza zalanego mlecznobiałym blaskiem. Jego ściany były przezroczyste i po obu stronach widać było bestie z ilustracji, prowadzące swoje własne życie, polegające na skubaniu powyginanych łądyg i opędzaniu się od rojów kolorowych owadów. Kilka kroków dalej mityczne zwierzęta ustąpiły miejsca domom w kolorze terakoty i krzątającym się wokół nich ludziom. Grupka małych dzieci biegała po zielonej łące. Chuda kobieta w spłowiałej od słońca chustce wyciągała wodę ze studni. Już po chwili widok znów się zmienił. Pojawiły się posępne wzgórza porośnięte niską trawą i karłowatymi krzaczkami, które szarpał porywisty wiatr. Widać było, że je szarpał, ale Mori nie czuła najłżejszego powiewu. Krajobrazy, które mijali, zdawały się istnieć za jakąś przezroczystą błoną. Można było na nie patrzeć, ale nie dało się w nich zaistnieć. A może jednak?

– Hej, stań na chwilę! – Szarpnęła Arxta za rękaw.

– O co chodzi?

– Czy nie moglibyśmy wejść na chwilę na te wzgórza? Tylko na chwilę!

– One należą do treści książki. Nie wolno nam się w nią mieszać.

– Ale przecież Avenidzi mogą nawet mieszkać w książkach! I nic się nie dzieje.

– Posłuchaj – Arxt zmarszczył brwi i spojrzał jej groźnie w oczy. – Avenidzi to zupełnie inna rasa niż Xatl. Oni są przystosowani do życia w rzeczywistości napisanej. Swoim istnieniem nie zaburzają treści ani losów bohaterów. Mamy pozwolenie wyłącznie na używanie ich szlaków i absolutny zakaz penetrowania tego, co nazywają Istotą Książ.

– Szkoda – westchnęła Mori.

Podjęli przerwany marsz. Wydawało się, że idą wąską ścieżką przecinającą na połowy spieniony ocean. Po lewej stronie widać było dwa walczące ze sobą statki o bardzo archaicznej budowie. Załoga mniejszego wypuszczała z łuków zapalające strzały. Większy okręt próbował się wycofać, ale podczas manewru zawracania jeden z jego żagli zajął się ogniem. Morze nagle znikło. Teraz Mori mogła oglądać buchające ogniem wulkany. Widziała lśniącą bursztynowo lawę, spływającą leniwie po granatowoczarnym zboczu. „Ciekawe, z jakich części zbudowane są te krainy? Wszystkie książki składają się przecież z takich samych drobin, jakie występują w naszym świecie. Mają w sobie cząsteczki drewna, albo zwierzęcia, jak ta, pergaminowa, do której weszliśmy. Jak to się więc dzieje, że jest tu miejsce na morze, statki, ludzi... O! I smoki!”

Przystanąła na chwilę, nie uprzedzając o tym przejętego swoją misją Arxta. Obawiała się, że zacząłby ją popędzać. Wpatrzyła się uważnie w strukturę tego świata. Zamarła zdumiona. Zamiast drgających drobin różnej wielkości, tworzących coraz bardziej skomplikowane skupiska, widziała coś w rodzaju gęsto tkanej pajęczej sieci. W przeciwieństwie do prawdziwej pajęczyny, nici składające się na tę sieć mieniły się różnymi kolorami. Oprócz tego każda z nich spowita była w tęczową otoczkę. Barwne prążki przenikały się wzajemnie,

tworząc świetliste, drgające fale. Przez dłuższy czas stała zachwycona. „Może Avenidzi też są zbudowani z takiej substancji i dlatego mogą swobodnie żyć wśród bohaterów książek?”

Powróciła do normalnego patrzenia i ruszyła biegiem, żeby dogonić chłopca, który zdążył już zniknąć jej z oczu. W korytarzu wisiała lekka mgiełka, toteż widoczność była ograniczona.

– Arxt! Hej Arxt! Gdzie jesteś? Poczekaj! – zawołała.

Biegła na tyle długo i na tyle szybko, że powinna go już dawno dogonić. „Zabłądziłam” – pomyślała. Rozejrzała się wokół i aż westchnęła z zachwytu. Na zalanych jaskrawym światłem trawiastych przestrzeniach wznosiły się fantastyczne budowle, zbudowane z różnobarwnych kryształów. Niektóre z nich zdawały się przeczyć prawu grawitacji. Stały na cieniutkiej podstawie i rozszerzały się ku górze jak kielichy ogromnych kwiatów. Każdy z domów tonął w powodzi bujnej roślinności. W powietrzu unosiły się tysiące jaskrawo ubarwionych motyli i małych ptaszków. Tam, gdzie równina przechodziła w łagodne wzgórza, rosły wielkie rozłożyste drzewa. Poskręcane gałęzie obciążone były kulistymi owocami w kolorach od cytrynowożółtego do ciemnoczerwonego. Gdzieś tam przez trawę przebijały białe głazy o malowniczych kształtach. Między drzewami wznosiły się kolorowe pałacyki. Niektóre zdawały się wyrastać wprost ze skał. Ich dachy pokryte były kolorową ceramiczną mozaiką. Mori przymknęła oczy, żeby sobie przypomnieć, z czym jej się kojarzą te budowle. Była pewna, że widziała już coś podobnego. Szkice wyspy Nut, które podarowała jej mama! To na nich widniały podobne domy. Tak samo kolorowe, wydawały się lekkie i niepowtarzalne, jakby architekt, który je projektował, pozwolił w sposób nieograniczony działać swojej wyobraźni. W jednym miejscu ze zbocza sterczały skały o barwie głębokiego fioletu. Wypływała spod nich woda, opadająca w dół białą wstążeczką małego wodospadu i tworząca dalej niewielki strumień. Cały krajobraz nasycony był takim rodzajem blasku, który zdawał się promieniować wprost do serca patrzącej nań dziewczynki. Budził radość i ogromną tęsknotę. W tym momencie ponad domami pojawiły się jakieś duże tęczowe istoty. Przyjrzała się im uważnie i zobaczyła wewnątrz ludzkie postacie. A więc te istoty to maszyny latające! Jakie piękne! Mori poczuła, że niczego w życiu nie pragnęła tak bardzo, jak znalezienia się w tamtym świecie. Oto miejsce dla niej! Tam nareszcie czuje się w pełni sobą. Zdesperowana nacisnęła dłonią elastyczną, błoniastą ścianę korytarza. Wydawała się tak cienka, że bez trudu będzie można ją przerwać.

– No co ty robisz!!!?

Poczuła gwałtowne szarpnięcie w tył. Poślizgnęła się i upadła.

– Czyś ty oszalała!?! – Nad nią stał czerwony ze złości Arxt. – Nie wolno zakłócać Istoty Książek, przecież ci mówiłem! Wiesz, co by się stało? Wiesz?

Pokręciła przecząco głową. Po policzkach płynęły jej łzy.

– Moglibyśmy zostać na wieki zamknięci w tych korytarzach albo w samej

książce i do końca życia uwięzieni w jakiejś fabule. Albo mogłoby nas wyrzucić do przypadkowej biblioteki, gdzieś na końcu świata, bez możliwości powrotu! A poza tym, dlaczego weszłaś w inny link? Mamy misję do wypełnienia i nie czas teraz na zwiedzanie opowieści o Corredo.

– Więc to było Corredo... – odezwała się cicho, właściwie do siebie, Mori.

Arxt usłyszał.

– Oczywiście, że Corredo. A nasza droga prowadzi w odwrotnym kierunku. Wstawaj! – Wyciągnął do niej rękę.

Udała, że tego nie widzi, i podniosła się o własnych siłach. Chwyił ją za nadgarstek.

– Teraz już mi się nie zgubisz.

Obejrzała się. Mignął jej po raz ostatni widok kryształowych domów.

– Okropny jesteś, wiesz? – powiedziała, pociągając nosem.

– Powinnaś nosić przy sobie chusteczkę. – Podał jej swoją śnieżnobiałą ozdobioną koronką i monogramem A.K.X.

Mimo iż sekundę wcześniej postanowiła więcej się do niego nie odzywać, nie mogła powstrzymać pytania:

– Co oznaczają te inicjały?

– Arxt Książę Xatl.

– Jesteś księciem?

– Oczywiście. Nie zauważyłaś tego od razu?

– Nie – powiedziała cierpko.

Szli teraz obok jakichś skał zwieńczonych zębatym murem obronnym. Widać było przechadzających się u góry strażników. Mori straciła zainteresowanie mijanymi scenami. Za bardzo bolało ją wspomnienie Corredo – najpiękniejszej krainy, jaką kiedykolwiek widziała. Czowała, że pod powiekami zbiera jej się nowa porcja łez. Otarła je książeczką chusteczką. Arxt – księciem. No proszę, właściwie powinna się była domyślić. Nie wybraliby byle kogo na wybawiciela ludu. Mimo to... prawdziwy książę powinien być wyrozumiały, a nie zarozumiały. Ciągnął ją teraz za sobą jakby była jakąś oporną niewolnicą.

– Może przestaniesz miażdżyć mi rękę – zaproponowała lodowatym tonem.

– Przepraszam. – Uścisk nieco zelżał.

Brodaty mężczyzna w zbroi galopował na koniu równoległe do korytarza. W tle wrzała straszliwa bitwa na miecze, topory i włócznie. Mori odwróciła wzrok. Czegoś takiego nie miała ochoty oglądać. Walki jednak trwały nieustannie po obu stronach. „Ktoś lubował się w opisach krwawych bitew” – pomyślała. „Pewnie jesteśmy już w *Historii o zwycięskim hrabim Aldo de Pazzo y Saroya*”. Zwycięski hrabia całe życie spędził na wojnach. Otaczające ich obrazy były coraz bardziej przerażające. Odwróciła gwałtownie głowę, widząc czyjaś odcięta noga walająca się w błocie. Zrobiło jej się niedobrze.

Arxt chyba wyczuł jej nastrój, bo spojrzął na nią z troską.

– To już nie powinno długo trwać. Staraj się na to nie patrzeć. W Xatl już wiele stuleci temu nakazaliśmy kronikarzom zrezygnować z tej ubolewania godnej

manieri, polegającej na detalicznym opisywaniu konfliktów zbrojnych. Wasi, jak widzę, nadal nie szczczędzą krwawych szczegółów.

– Ta księga ma kilkaset lat – wymamrotała Mori. – Może od tamtej pory coś się zmieniło i u nas. Prawdę mówiąc, historia mało mnie interesuje. Nie czytuję kronik. Ughhh... – Zaciśnęła powieki i rzuciła się w tył, bo miała wrażenie, że krew z zadanej mieczem rany tryśnie prosto na nią.

Autor historii walecznego hrabiego był skrupulatnym biografem, skoncentrowanym głównie na kolejnych bitwach, potyczkach i pojedynkach. Mori szła ze spuszczonego wzrokiem, żeby oszczędzić sobie przykrych widoków.

– Czy będziemy musieli tędy wracać? – spytała przygnębiona.

– Obawiam się, że tak. Nie mam wprawy w wyszukiwaniu linków – odpowiedział Arxt, a widząc jej przygnębienie, dodał – ale spróbuję znaleźć inne przejście.

„Szkoda, że Arxt nie jest Avenidą. Moglibyśmy wejść do Corredo. A może i tak nie byłoby mi wolno. Latanie jest takie wspaniałe. Dlaczego nasi wynalazcy nie stworzyli maszyny, która mogłaby się poruszać w powietrzu? Lepszej i zwrotniejszej niż balon. I żeby nie trzeba jej było napełniać gorącym powietrzem. Czegoś tak prostego i wygodnego, jak tamto latające jajo. Pewnie myślą, że to niemożliwe. Muszę porozmawiać o tym z wujkiem Rossem. Gdybym mu wytłumaczyła, jak poruszał się pojazd, którym latałam, nad pustynią... Ha, nic mu nie wytłumaczę. Nie wiem, na jakiej zasadzie działał. Co sprawiało, że reagował na moje rozkazy?”

– Arxt, czy lud Xatl umie konstruować maszyny latające?

– Nie potrzebujemy ich konstruować.

– Jak to?

– One... są. Wydobywamy je z ziemi.

– Chcesz powiedzieć, że macie kopalnie maszyn latających?

– Ależ nie! Po prostu w pewnych rejonach wykopujemy coś, co na twój użytek mogę nazwać formami życia. Ale to nie są zwierzęta. Raczej uformowane inteligentne szkliwo, które umie latać i którym da się kierować. O! Zobacz! Pogrzeb hrabiego! Zbliżyliśmy się do końca tej ponurej kroniki.

Mori podniosła wzrok dokładnie w chwili, gdy spuszczano do grobu czarną trumnę ze srebrnymi okuciami. Uwagę dziewczynki zwróciła stojąca w pierwszym rzędzie dość młoda jeszcze kobieta w żałobie. Mimo półprzezroczystego welonu zakrywającego jej twarz, widać było, że jest bardzo piękna. „Dlaczego nikt nie napisał o niej książki? Z pewnością wiodła życie bardziej pożyteczne i interesujące niż ciągle wojujący hrabia. Dlaczego autor kroniki wspomina o niej dopiero teraz?”

– Uwaga! Wychodzimy!

Rozległ się brzęk tłuczonego szkła. No, tak. Zupełnie zapomniała uprzedzić, że *Historia o zwycięskim hrabim Aldo de Pazzo y Saroya* znajduje się w przeszklonej szafie.

6.

Wysepka była rzeczywiście maleńka. Ot, jałowa skała stercząca z morza.

– Kto by przypuszczał, że w takim miejscu znajduje się coś w rodzaju magazynu – pokręciła głową Chamomilla. – Jak pan w ogóle znalazł to miejsce?

– Miałem w życiu taki okres, że jedynym miejscem, gdzie nic mi nie groziło, były otwarte wody oceanu. Byłem wówczas właścicielem niewielkiego okrętu, którym penetrowałem wszystkie okoliczne morza. W ten sposób natknąłem się na Iglicę – tak nazwałem tę wysepkę. Nikt przede mną nie nadał jej imienia.

– A czym pan się w ogóle zajmuje, panie Kert? – Pytanie to zadała tonem bardzo łagodnym, prawie obojętnym, ale mężczyzna wyczuł, że od tego, co teraz powie, wiele zależy.

– Można powiedzieć – odchrząknął – że jestem kimś w rodzaju kupca...

– Kimś w rodzaju? – Jasne brwi kobiety uniosły się w wyrazie zdziwienia.

– Pani Chamomilla. – Kert położył dłoń na piersi. – Nie chcę pani zwodzić. To, co teraz powiem, może spowodować, że stracę pani przychylną, ale proszę nie oceniać mnie zbyt surowo. Rzeczywiście kupuję i sprzedaję różne towary, z tym że nie zawsze handel nimi jest w danym kraju legalny...

– A więc jest pan przemytnikiem – podsumowała spokojnie Chamomilla.

Mężczyzna chciał zaprzeczyć, ale zrezygnował. Przyszło mu na myśl, że ta kobieta bardziej może cenić uczciwość i prostolinijność niż nieskazitelną przeszłość.

– Można to tak nazwać – stwierdził.

– I co pan przemycał? – Na jej ustach błąkał się lekki uśmiezek.

– Biżuterię, tkaniny, noże, żywicę drzewa gau, leki.

– Leki?

– Tak. W Królestwie Druszów prawo do leczenia ludzi mają tylko kapłani boga Heta. I biorą za to słone opłaty. Ich kuracje często bywają poza tym dość dziwaczne i mało skuteczne. Mieszkańcy El Karum chętnie więc kupowali ode mnie pigułki, które przywoziłem aż z Tjorgl. Wynosiło to ich znacznie taniej niż wizyta w świątyni Heta.

– Nie wątpię, panie Kert. – Chamomilla położyła mu rękę na ramieniu.

Miał wrażenie, że gwiazda spadła z nieba i osiadła mu na rękawie.

– I proszę pozbyć się obaw, że będę pana osądzać. W moich oczach... – Głos jej leciutko drgnął. Zamrugała powiekami i odwróciła głowę. – Szalupa spuszczone, kapitan daje znaki, że może pan płynąć – zmieniła szybko temat.

Kert posłusznie zaczął się oddalać, ale nagle zawrócił. Chwycił w obie ręce dłoń Chamomilli i złożył na niej mocny pocałunek. Zanim zdążyła zareagować, on po sznurowej drabince schodził już do łodzi.

Parę minut później, kiedy Szklarka wyszła na pokład, zastała przyjaciółkę stojącą nieruchomo niczym posązek i wpatrującą się jak zahipnotyzowana w kołyszącą się na falach szalupę z Kertem i Scaberem.

– I co o nim sądzisz? – spytała półgłosem.

Obie wiedziały, o którego z mężczyzn chodzi.

– Bardzo uczynny człowiek – odpowiedziała podejrzanie obojętnym tonem Chamomilla. – A przemyślenia leków nie uważam za przestępstwo – dodała nieoczekiwanie.

Szklarka zmarszczyła brwi.

– O czym ty mówisz?

– Pan Kert był przemytnikiem. – Chamomilla spojrzała wyzywająco w oczy Szklarki. – Sam mi to uczciwie powiedział.

Położyła nacisk na słowie „uczciwie”.

– O?!

– Jesteś zaszokowana?

– Lahila wspominała, że miał problemy z prawem, ale nie precyzowała, o co chodzi.

– Mimo to wygląda na porządnego człowieka.

Szklarka nie skomentowała tego stwierdzenia. Patrzyła na zarumienioną z emocji twarz Chamomilli i na blask bijący z jej oczu.

– Pięknie wyglądasz – powiedziała z uśmiechem.

– Po raz pierwszy ktoś mnie tak traktuje – rzuciła pozornie bez związku Chamomilla.

– Jak?

– Tak... delikatnie. Jakbym była kimś bardzo cennym. Jakby to, co myślę, naprawdę się liczyło... i jakby moje szczęście było naprawdę ważne.

– On sprawia, że tak się czujesz?

– Tak. Przez całe życie musiałam być dla kogoś oparciem. Opiekowałam się kolejnymi pokoleniami dziewcząt i znajdowałam w tym radość. Radość i spełnienie. Traktowałam to jako swoje powołanie. Nawet jeśli czasem było mi ciężko. Przecież to zawsze do mnie dzieci kierowały swoje potrzeby, na mnie wyladowywały swoje emocje i nieustannie oczekiwały wsparcia.

– Ja też go od ciebie potrzebowałam – szepnęła cicho Szklarka.

– Przez całe lata byłam wychowawczynią i opiekunką. I nawet nie zdawałam sobie sprawy, że jestem też po prostu Chamomillą kimś, kto istnieje również poza relacją z dziećmi i kto może mieć swoje potrzeby. Kiedy pojawił się Kert... Przerwała, szukając odpowiednich słów do nazwania tego, co czuje. Szklarka zdała sobie sprawę, że ich rozmowa przerodziła się w dialog Chamomilli z samą sobą.

– Widzisz, Theo, przy nim mogę odpocząć. Pojawił się ktoś, kto całym swoim zachowaniem mówi „Nie martw się, ja się tym zajmę”. I nie oczekuje ode mnie niczego. Po prostu cieszy się, że jestem. Nie przypuszczałam, że kiedykolwiek mogę się tak czuć.

– Cieszę się. Przynajmniej jakieś dobro równoważy całą tę okropną sytuację z dziećmi. Tak jest sprawiedliwiej.

Szalupa dobiła do wysepki. Dwaj mężczyźni wspięli się na czubek skały i znikli

z pola widzenia. Nie na długo. Scaber wyszedł już po chwili, niosąc jakiś pakunek. Ostrożnie, przytrzymując się jakichś niewidocznych ze statku uchwytów, zszedł do szalupy. Kert wychylił się zza skalnego występu obładowany tak, że widać było tylko czubek jego głowy. Przekazał Scaberowi swój ładunek i zawrócił po kolejne rzeczy.

– Dużo tego – zatroskała się Szklarka. – Mam nadzieję, że uda nam się przelecieć nad mgłą i dostać do siedliska instruktorek na tyle szybko, żeby nie zdążyły wysadzić wyspy w powietrze. Nie wiemy przecież, z jakiej odległości zaczyna działać herbata szczęścia.

– Nie martw się, Theo. – Chamomilla pogłaskała ją po ramieniu. – Mam przecucie, że teraz już wszystko będzie dobrze.

7.

– Kilka kropel krwi i od razu mdleje. Za delikatny jesteś jak na wyzwoliciela narodu – gderiała Mori, robiąc na ręce Arxta opatrunek z paska jasnoniebieskiego materiału oddartego od sukienki.

Chłopak leżał zemdłony na podłodze biblioteki. Wokół wałały się odłamki rozbitej szyby.

– Wiesz co? – Mori poklepała go po policzku. – Lepiej wstań. Sama nie dam rady cię wytaszczyć z tych szkieł.

Otworzył oczy.

– Czy jestem ciężko ranny?

– Nie przesadzaj. To tylko małe draśnięcie. Już je zabandażowałam.

Pomogła mu wstać, odgarniając stopą szkła. Dopiero teraz ogarnęła wzrokiem wielką bibliotekę Versathis. Znajome, wypchane książkami regały, głębokie, obite skórą fotele, w których tak miękko się siedzi, stary globus, duży mahoniowy stół na rzeźbionych nogach... Odetchnęła i uśmiechnęła się szeroko.

– Witaj w moim domu – powiedziała.

Arxt rozglądał się przez chwilę ciekawie, ale dość szybko przypomniał sobie o swojej misji.

– Biermy tę roślinę i wracajmy. Gdzie ona jest?

– W ogrodzie.

– No to prowadź!

– Nie możemy chociaż przez chwilę odpocząć? Co tak ci się spieszy?

– Tysiąc lat czekałem na tę chwilę.

– Wcale nie czekałeś, tylko spałeś!

W tym momencie dębowe drzwi biblioteki odskoczyły z hukiem.

– Nie ruszać się!!! – wrzasnął stary ochmistrz Legor i podniósł do góry grubą laskę zakończoną gałką z kości słoniowej. Zaraz też ją opuścił i zamarł z otwartymi ustami, gapiąc się na dwójkę dzieci.

– Pa...anienka Mori... – wyjąkał. – Gdzie się panienka podziewała? Wielmożni państwo tak się martwili... popłynęli aż na koniec świata, żeby panienkę

znaleźć...

– Aha. To znaczy, że rodziców nie ma. Można się było tego spodziewać. I gdzie mnie szukają? – zwróciła się do wciąż osłupiałego ochmistrza.

– Panienska Mori!!! – autorkami tego zbiorowego pisku były trzy pokojówki zwabione hałasem dobiegającym z biblioteki.

– Witajcie wszyscy. – Mori dygnęła elegancko.

– Panienska jest ranna! – zawołała Paula.

– Gdzie? – Dziewczynka wzruszyła ramionami zdezorientowana.

– Na czole! Zaraz przyniosę bandaż!

– Robią wokół ciebie tyle szumu, jakbyś co najmniej była księżniczką – mruknął niezadowolony Arxt, który chociaż nie rozumiał tego, co mówili służący, doskonale wyczuł ich podniecenie i troskę okazywaną jego towarzysze. – Może zakończ już te ceregiele i chodźmy po herbatę szczęścia.

– A kim ty jesteś, młody cudzoziemcze, żeby takim tonem zwracać się do naszej panienski?! – huknął Legor, któremu nie podobała się wyniosła mina, z jaką chłopak wyrzucił z siebie potok niezrozumiałych dźwięków.

– Chwileczkę, spokojnie! – zawołała Mori, unosząc w górę obie ręce.

W ciągu ostatniej minuty pojawiło się zbyt wiele wątków i jej pytanie pozostało bez odpowiedzi. Zadała je więc ponownie.

– Dokąd popłynęli moi rodzice?

– Na jakąś południową wyspę. – Ochmistrz podrapał się w łysą czaszkę. – Lartisz, Gartisz?... Taka dziwna nazwa.

– Może Targisz?

– O tak! Właśnie Targisz. Trzeba będzie teraz wysłać im wiadomość, że panienska się znalazła.

– Nie ma potrzeby. Ja tam zaraz wracam i sama im powiem, jak się spotkamy. Teraz tylko musimy zabrać stąd herbatę szczęścia.

Przypomniała sobie, że zaniedbała prezentacji.

– A to jest książkę Arxt. Okazało się, że mam mu pomóc uwolnić jego lud... Zdaję sobie sprawę, że to trochę skomplikowane – dodała, patrząc na oszołomionego ochmistrza – ale teraz nie mam zbyt wiele czasu na wyjaśnienia. Nadbiegła Paula z bandażem.

– Jest tu gdzieś lustro? – Mori okręciła się dokoła i ujrzała swoje nieco zniekształcone oblicze w przeszklonych drzwiach szafy z książkami.

Na czole widniała rzeczywiście niewielka rana. Krople krwi, które spłynęły po skroni, utworzyły na skórze rdzawą smugę.

– Myślę, że wystarczy to przemyć – zdecydowała dziewczynka. – Z obandażowaną głową będę wyglądała idiotycznie.

W jej głosie było tyle stanowczości, że Paula nie protestowała.

– Panienska jest zbyt dzielna – szepnęła tylko i posłusznie obmyła czoło hrabianki Sedun.

– A... jeśli można zapytać... – Ochmistrz Legor rzucił dziewczynce zakłopotane spojrzenie. – Jak panienska się tu dostała?

– Poprzez okropną książkę o hrabim Aldo de Pazzo y Saroya – oskarżycielsko wskazała podniszczony tom oprawny w skórę.

– Hrabia był pani przodkiem... – zaczął ochmistrz, bardzo przywiązany do rodziny Sedunów. Urwał, bo dopiero teraz dotarł do niego cały sens tego, co powiedziała Mori. – Przez książkę???

Westchnęła.

– Ja wiem, że to trudne do uwierzenia, ale już kiedyś coś takiego zdarzyło się cioci Chamomilli i jej córkom. Może pan przy najbliższej okazji spytać Robiego Cayushu, jak to było. A my już naprawdę musimy iść.

Uśmiechnęła się przepraszająco, chwyciła za rękę Arxta i pociągnęła go na korytarz.

Legor patrzył za nimi z dezaprobatą. Potem westchnął. Nic nie miał przeciwko pani hrabinie, skoro młody hrabia był z nią szczęśliwy. Z drugiej strony szkoda, że nie ożenił się z kimś bardziej odpowiednim. Z jakąś prawdziwą damą z dobrego rodu. Wielmożna Pani Thea jest co prawda córką marszałka Thunberenga, ale jej matka była nie wiadomo kim. Takie rzeczy potem ciągną się przez pokolenia. Panienska Mori to już zupełnie postrzelony dzieciak. Nie tak powinno się wychowywać jedyną dziedziczkę rodu Sedunów. Z drugiej strony, patrzcie państwo, sama potrafiła wrócić do domu i jeszcze przyprowadziła jakiegoś księcia. Ale przez książkę? Ciekawe, co miała na myśli. Chyba nie powinno się jej pozwolić znowu zniknąć z pałacu. Pan hrabia by mu nie darował.

§.

Mori prowadziła Arxta przez ogród. Chłopak rozglądał się ciekawie.

– Więc tak wygląda wasz świat... Dużo zielonego.

– A wy nie macie roślin?

– Mamy, ale są purpurowe, żółte, różowe... zielone bywają tylko kwiaty i ptaki. Kim był ten człowiek z laską?

– To ochmistrz. Ma nadzór nad całą służbą. Jest w naszej rodzinie od łąt. Wydaje się trochę surowy, ale to chyba dlatego, że formy i rytuały są dla niego czymś najważniejszym na świecie. Czasem mam wrażenie, że chciałby mnie zakuć w krynolinę i spętać mi nogi, żeby uniemożliwić bieganie.

– Formy i rytuały są bardzo istotne – powiedział poważnie Arxt. – Co to jest krynolina?

– Suknia na obręczach. Wyszła z mody jakieś sto lat temu. O! jest herbata szczęścia! – Wskazała na bujnie rozrośnięty krzak.

Wyciągnęła rękę, żeby urwać obsypany kwiatami pęd, ale szybko się rozmyśliła.

– Wiesz, co? Chyba lepiej będzie zabrać całą roślinę z doniczką. Jedna gałązka szybko nam zwiędnie.

– Dobrze, rób co chcesz, byle szybko. – Arxt znowu się niecierpliwił. –

Strasznie dużo tu u was kurzu – kichnął. – Tutejsze powietrze chyba mi nie służy.

– Może u was nie ma tych małych żyjatek?

– Jakich żyjatek? – Arxt lekko się wstrząsnął. – Takich? – Z grymasem obrzydzenia wskazał rój drobnych muszek unoszący się nad ścieżką.

– Nie. Mam na myśli jeszcze mniejsze. – Mori zmarszczyła brwi w zakłopotaniu. – Właściwie to są niewidoczne, ale ja je widzę.

– A co one robią? – Arystokratyczną twarz chłopca wykrzywił grymas obrzydzenia.

– Głównie latają i się rozdzielają, żeby było ich więcej. Niektóre potrafią kisić kapustę. W ogóle lubią być tam, gdzie coś się psuje albo fermentuje. No i powodują choroby, nawet zwykły katar.

– Fu! – skomentował Arxt i znowu kichnął.

– A dlaczego ja nie mogę ich zobaczyć? – spytał.

Mori wzruszyła ramionami.

– Prawidłowe pytanie brzmi: dlaczego ja mogę. Chodź, pójdziemy do szklarni po doniczki.

Mori rozkoszowała się każdym krokiem. Pustynia, choć piękna i majestatyczna, była po prostu pustynią. A tu drobny żwirek na pracowicie wygrabionych ścieżkach chrzęści wesoło pod stopami. Labirynt cisowych żywopłotów dzieli ogród na przyjazne zakamarki. Można skrócić w lewo i znaleźć się między równymi rzędami malin. Mmm... jakie pyszne!

– Przepraszam, ale może przestanieś jeść i skierujesz swoją uwagę na rzeczy istotniejsze.

– Przez całą zimę marzyłam o dojrzałych malinach – odpowiedziała urażona Mori.

– A ja przez tysiąc lat...

– No dobrze, już dobrze!

Szklarnia o tej porze roku pozbawiona była roślin. Już miesiąc temu stary Martin, ogrodnik, powysadzał je na grządki. Teraz piętrzyły się tu stosy glinianych doniczek, a w kącie, ku radości Mori, leżały ogrodnicze narzędzia. Między innymi bardzo poręczna łopatka.

– Świetnie – powiedziała bardziej do siebie niż do towarzyszącego jej chłopca.

Wykopanie zdrowo wyglądającego okazu herbaty szczęścia i umieszczenie go w donicy zajęło jej tylko kilka minut. Potem odnalazła beczkę na wodę i leżącym obok niej, pokrytym plamkami rdzy kubkiem porządnie podlała roślinę.

– Nieźle się orientujesz w tym waszym ogrodzie – zauważył bardziej ze zdziwieniem niż z podziwem Arxt.

– Latem spędzam tu prawie całe dnie – wyjaśniła.

– A wokół twojego zamku, pałacu czy czegoś tam, w czym mieszkasz, nie ma ogrodu?

– Siedzibę książąt Xatl otaczają ogrody dziesięć albo i dwadzieścia razy większe niż ten – oświadczył dumnie chłopak. – Położone są na dziesięciu tarasach, po

których my, to znaczy członkowie rodziny panującej, możemy sobie spacerować wraz z Dostojnymi. Rzadko opuszczamy naszą posiadłość. Przemieszczanie się nie jest konieczne dla sprawowania rządów nad ludem Xatl.

– Przepraszam, ale brzmi to trochę nudno.

– Ubrudziłaś się ziemią.

– To nie ma znaczenia. – Przycisnęła do siebie doniczkę. – Idziemy do biblioteki.

Ale drzwi biblioteki zamknięte były na klucz. Mori rozejrzała się i od razu zauważyła czającą się za rogiem Listynię, najbardziej wścibską pokojówkę w całym Versathis i okolicach. Wydawało się, że jej głównym zajęciem w ciągu dnia jest podsłuchiwanie i roznoszenie plotek. Mama okropnie jej nie lubiła, ale tata powiedział, że na razie nie mogą jej zwolnić, bo jest sierotą i nie miałyby się gdzie podziać, a jej rodzice zawsze wiernie służyli rodzinie. Trzeba więc ją znieść albo jak najszybciej wydać za mąż. Nie było to proste, ponieważ dziewczynie brakowało i urody, i wdzięku.

– Listynio, gdzie są klucze od biblioteki i po co w ogóle ją zamknięto?

Służąca postąpiła kilka kroków do przodu. Jej kartoflowate oblicze przybrało się w coś na kształt uśmiechu.

– Pan Legor ma klucze. Powiedział, że panienska powinna zostać w domu do powrotu rodziców.

– Gdzie on jest?! – Mori poczerwieniała ze złości.

– Pan Legor powiedział, że pan hrabia by mu nie darował, gdyby panienska znowu zniknęła – odpowiedziała wymijająco Listynia.

– W Xatl nikt ze służby nie odważyłby się mówić takim tonem – powiedział Arxt. – Nie rozumiem waszej mowy, ale ta kobieta wygląda na bezczelną.

– Wolalabym, żebyś zachował te uwagi dla siebie – warknęła Mori.

Potarła dłonią czoło. „Gdzie jeszcze mogą być jakieś stare książki? W pokoju rodziców? W pracowni mamy? Ha! Już wiem!”

– Chodź. Mam pomysł – szepnęła do chłopca. – A ty, Listynio, idź do kuchni po coś do jedzenia i herbatę. Nie mieliśmy od dawna nic w ustach.

– Gdzie mam to wszystko zanieść? – zapytała słodziutkim głosem służąca.

– Do mojej sypialni, oczywiście.

– Co jej powiedziałaś? – spytał Arxt, jak tylko służąca znikła im z oczu.

– Żeby przyniosła posiłek do mojego pokoju.

– Nie mamy czasu na przekąski – syknął.

Mori położyła palec na ustach i pociągnęła go za sobą. Poprowadziła go jednym z bocznych ciemnowych korytarzy zamku, do prawie nieużywanej klatki schodowej.

– Tu gdzieś jest twój pokój? – zdziwił się chłopak. – Okropnie ponure miejsce.

Mori bez słowa wspinała się po zakurzonych schodach. Arxt szedł za nią, przytrzymując się poręczy. Po chwili spojrzął ze zgrozą na swoją dłoń.

– W tym miejscu jest potwornie brudno – jęknął. – Nie wiem, jak możesz mieszkać w takich warunkach.

– Przestań marudzić – zdenerwowała się Mori. – Wcale tu nie mieszkam i nie idziemy do mojego pokoju. Powiedziałam tak, żeby zmylić Listynię. Wchodzimy na strych. Pomyślałam, że tam mogą być jakieś stare książki, dzięki którym uda nam się wrócić na Targisz.

– Co to jest strych?

– Takie miejsce na samej górze domu, gdzie gromadzone są różne rupiecie.

Arxt skrzywił się.

– Podejrzewam, że tam będzie jeszcze brudniej.

– Z pewnością się nie mylisz.

Dotarli na szczyt schodów. Mori pchnęła ciężkie dębowe drzwi, które uchyliły się opornie.

W środku panował półmrok rozjaśniany jedynie cienkimi smugami światła wpadającymi przez świetliki. Było też okropnie duszno. I brudno, jak przewidział Arxt. Festony pajęczyn zwisały ze stropu i zawijały się malowniczo wokół tysięcy dziwacznych przedmiotów naznaczonych solidnie zębem czasu i ząbkami myszy.

– Nie widzę tu żadnych książek. – Arxt stał w progu i widać było, że myśl o postąpieniu w głąb zagraconego pomieszczenia napawa go trudną do przewyciężenia odrazą.

– Pewnie są w którymś z tamtych kufków. – Mori postawiła na podłodze doniczkę z herbatą szczęścia i ruszyła na poszukiwania.

Kufry stały w rzędzie pod ścianami. Duże, solidne, z metalowymi, trochę przerdzewiałymi okuciami. Dziewczynka podnosiła po kolei każde wieko, wzbijając do góry tumany kurzu.

– Suknie! – wykrzyknęła w pewnej chwili. – Patrz! To jest właśnie krynolina. Wyciągnęła ze skrzyni nieprawdopodobnych rozmiarów kreację i przyłożyła ją do siebie. – Niesamowita, prawda?

– Rzeczywiście, potworna – zgodził się Arxt. – Wolałbym jednak, żebyś skupiła się na poszukiwaniu książek.

– Nie przyszło ci do głowy, że mógłbyś mi pomóc? – spytała, wsączając w swój ton dobrze odmierzoną dawkę ironii.

Nie odpowiedział.

Książki, a raczej księgi zajmowały aż pięć skrzyń. Ich stan wskazywał na częste i zażyłe kontakty z gryzoniami.

– Większość stron nadgryziona jest przez myszy – poinformowała Arxta Mori. – Czy to duża przeszkoda?

– Nie wiem, co to są myszy – przyznał chłopak. – Nikt nie zaznajamiał mnie z tego typu informacjami. Ale i tak najważniejsze jest sprawdzić, czy któraś z tych książek posiada właściwy link.

– No to chodź tu do mnie i sprawdź! – zniecierpliwiła się.

Posłuchał. Widać było jednak, że przemierzanie obrosłego pajęczynami strychu stanowi dla niego prawdziwą mękę.

– Zobacz, co znalazłam. – Mori wyciągała tomiska o poszarpanych stronicach. –

Kroniki rodu Luss, Rocznik Halbera de Martonne, Rośliny y zwierzęta przez Drogusa Septimusa spisane, Bestye Nieziemskie, Gospodarskie porady barwierskie... Hm... ciekawe, co to jest? – Otworzyła księgę na chybił trafił. – No proszę, czy przyszłoby ci do głowy, że z dziurawca zwyczajnego można otrzymać aż tyle barwników? Czerwony, różowy, żółty, zielony i czarny? A na przykład z jesionu – niebieski. Kto by pomyślał?

– Strasznie się rozpraszasz – mruknął niezadowolony Arxt.

– Bo mam szeroki umysł, otwarty na przyjmowanie nowych wiadomości – odparowała. – W przeciwieństwie do niektórych znanych mi osób.

– Jesteś złośliwa – skonstatował ze spokojem Arxt. – O, *Bestye Nieziemskie* mają aż trzy linki. Bierz roślinę i ruszamy.

Przystawił rozczapierzone palce do podniszczonej okładki i wkrótce księga zaczęła rosnać w oczach. Mori oburącz chwyciła doniczkę z herbatą szczęścia i zanurzyła się w mlecznobiałą światłość.

– Wracajmy – powiedziała po kilku krokach. – To nie jest dobra książka.

– Nie gorsza niż krwawe potyczki hrabiego – wzruszył ramionami Arxt, obrzucając obojętnym wzrokiem obłe cielska kolebiące się leniwie po lewej stronie.

– Nie chodzi mi o jej treść tylko... – nie umiała znaleźć nazwy dla tego, co czuła. – Ta książka... ona nie jest bezpieczna. Ma naruszone... naruszoną...

Strukturę – podpowiedziało coś lub ktoś w jej głowie.

– No właśnie, strukturę – zgodziła się Mori.

– Nie bardzo wiem, o czym mówisz – powiedział chłodno Arxt. – Niebawem wejdziemy w link i...

Staął jak wryty, z przerażeniem wpatrując się w gigantyczne, pokryte szafirowoniebieską łuską stworzenie, które stało na ich drodze.

– A nie mówiłam... – syknęła Mori. – Uciekajmy!

Odwróciła się, ale sytuacja za nimi nie przedstawiała się lepiej. Łuskowaty stwór o ptasiej głowie i smoczym ogonie właśnie wydostawał się na korytarz.

9.

Rozłożone na pokładzie poszczególne części balonu zajmowały tak dużo miejsca, że prawie nie było gdzie chodzić. Niemal cała załoga statku, z kapitanem na czele, zgromadziła się, żeby obejrzeć rzeczy przywiezione ze skalistej wysepki. Osobom niezaznajomionym z tego typu sprzętem trudno było zgadnąć przeznaczenie poszczególnych przedmiotów. Jedyne gondolę i czaszę, stanowiącą w tej chwili kłęb niebieskiej tkaniny, dawało się rozpoznać na pierwszy rzut oka.

– Wszystko trzeba będzie dokładnie przejrzeć, zwłaszcza czaszę balonu. Ostatni raz latałem sześć lat temu. Materiał może być zniszczony – wyjaśniał Kert.

– Mogę się od razu za to zabrać – ofiarowała się Chamomilla. – Proszę tylko powiedzieć, jakim materiałem mam uzupełniać dziury i rozdarcia. I czy łąta

powinna być rozległa.

– W tym worku znajdują się gotowe łaty. – Kert uniósł w górę torbę z grubego płótna. – Nie należy ich naszywać, tylko naklejać, stosując rozgrzaną żywicę drzewa gau. Jej bryłki także się tu znajdują. Na pewno nie jest to praca dla jednej osoby. Jeśli chcemy jak najszybciej znaleźć się na wyspie, wszyscy musimy się tym zająć.

No więc się zajęli. Na klęczkach, centymetr po centymetrze oglądali błękitną jak południowe niebo materię. Szklarka pomyślała sobie, że Kert wybrał taki kolor, żeby być jak najmniej widocznym dla obserwatorów z łądu. Przemysł... Chamomilla wydaje się tym nie przejmować, a może jednak powinna. „Czyja też byłam tak bezkrytyczna, gdy poznałam Scabera?” Przypomniała sobie ten czas, kiedy nawet nie śmiała marzyć o hrabim Sedunie, bo wiedziała, że jest narzeczonym Pepperii. Przypomniała sobie burzę emocji, jaka nią targała, kiedy po raz pierwszy dostała od niego list. Fale wątpliwości i wyniesione z Wyspy Sierot przekonanie, że nie wolno jej nigdy wyjść za mąż. Chamomilla jest wolna od takich obciążeń. Może spokojnie sama o sobie decydować. Ale czy byłaby to dobra decyzja? Mimo woli jej wzrok po raz kolejny powędrował ku Kertowi poddającemu wnikliwej ocenie fragment balonowej czaszy. Podniósł głowę i ich oczy na moment się spotkały. Chyba odgadł, o czym myślała, bo jego twarz oblała się purpurową łuną.

Kilka godzin później, kiedy zmierzch rozsunął się nad „Roxiloną” i nie dało się już pracować, Kert poprosił Szklarkę o rozmowę. Wybrał moment, kiedy po kolacji opuszczali mesę.

– Czy mogłaby mi pani poświęcić kilka chwil? – poprosił półgłosem.

Skinęła głową.

Wyszli na owiewany wieczorną bryzą pokład. Na niebie mrugały miliony gwiazd i Szklarka pomyślała, że te same gwiazdy może teraz widzieć Mori. I że jej ukochana córka jest niedaleko. Wystarczy przelecieć poza mgłę.

– Pani Sedun, jak zauważyłem, jest pani przyjaciółką panny Chamomilli – zaczął nieco oficjalnym tonem Kert.

– Dobrze pan odgadł.

– I widzę, że jej dobro leży pani na sercu.

– Owszem. – Ton Szklarki był chłodny.

– I nie wątpię, iż domyśliła się pani moich uczuć do panny Chamomilli.

– Domyśliłam się.

– Pani mnie nie lubi? – Kert porzucił uprzejmy ton, a w jego głosie zabrzmiało rozdrażnienie.

– Niepokoi mnie pańska przestępcza przeszłość – odpowiedziała wprost.

– Nie wypieram się tego, że w swoim czasie zajmowałem się przemytem. Wyznałem to już pannie Chamomilli i wydaje mi się, że mimo to nie utraciłem jej przychylności. Zależało mi na tej rozmowie, bo chciałem poprosić, żeby nie nastawiała pani panny Chamomilli przeciwko mnie. W tej chwili nie robię nic sprzecznego z prawem, nawet tak głupim i bezwzględny, jak niektóre prawa

Druszów. Zgromadziłem znaczny majątek na handlu przyprawami i jedwabiem, więc mogę umożliwić panie Chamomilli dostatnie życie. Jej dzieciom także. Szklarka uśmiechnęła się lekko. Kert z pewnością nie był łowcą posagów. Nie miał pojęcia, jak bogata jest Chamomilla dzięki swojej wytwórni serów. Pomyślała też, jak wiele osób, ze starym hrabią Sedun na czele, sprzeciwiało się jej małżeństwu ze Scaberem. Istnieje pewne podobieństwo między jej sytuacją wtedy a obecną sytuacją Kerta.

– Dobrze, panie Kert, nie będę panu przeszkadzać – powiedziała z westchnieniem. – Ale proszę pamiętać, że mam zamiar uważnie pana obserwować. Nie zniósłabym, gdyby Chamomilla miała przez pana cierpieć.

– Ja również bym tego nie zniósł. Dobranoc.

Skłonił się i zniknął w mrokach nocy.



„Wyobraź sobie, Ottino, kroi nam się tu niezły romans. Kert, o którym Ci pisałem, zakochał się bez pamięci w pani Chamomilli. Cały czas wodzi za nią wzrokiem. Jest to tak bardzo widoczne, że nawet ja, o którym kiedyś powiedziałaś, że nie ma pojęcia o złożoności świata uczuć, jestem to w stanie dostrzec. Może więc po powrocie oprócz naszego, odbędzie się jeszcze drugi ślub.

Dzisiaj przez całe popołudnie czołgaliśmy się po pokładzie, szukając uszkodzeń w czaszy balonu. Nie jestem przyzwyczajony do takiej pozycji i teraz bołą mnie plecy. Wyobraź sobie, na każde rozdarcie trzeba było naklejać specjalnie dobraną łątę. Jako kleju używamy roztopionej żywicy drzewa gau – okropnie cuchnie.

Ciekaw jestem, czy uda się przelecieć nad tą dziwną twardą mgłą. (Jak mgła może być twarda?) Polecą Ross, Scaber i Kert. Gondola może zmieścić cztery osoby, ale nie chcą jej za bardzo obciążać. To bardzo szumna nazwa – gondola. Tak naprawdę przypomina duży kosz na bieliznę. Mam nadzieję, że nasz Kert dobrze sprawdził jej wytrzymałość...”

10.

Kolejny dzień upału. Jak ciężko jest wstać. Czy tutaj zawsze powietrze jest takie ciężkie? Laszti otworzyła oczy i spojrzała na malowany sufit. Codziennie rano ten sam widok. Ile to już dni? I nikt nie przyjechał. Chamo–milla ich nie odnalazła. Czy zostaną tu już do końca życia? Czy będą się snuć osowiałe jak tutejsze dziewczęta? Gong. Śniadanie. Spuściła nogi na chłodną posadzkę. Patrzyła, jak pozostałe niemrawo wygrzebują się spomiędzy prześcieradeł. Ich skóra pociemniała od stałego przebywania na słońcu i schudły. Nie dlatego, że były źle karmione. Nie – jedzenia tu nie brakowało. To one traciły apetyt.

– Pamiętacie orzechowy ser Chamomilli? – spytała zniecka Arta, jakby jej

myśli biegły podobnym torem, co rozmyślania Laszti.

– Ja najbardziej lubiłam ananasowy – westchnęła w rozmarzeniu Fry.

– Dla mnie najlepszy był ten z czarnymi oliwkami, jedzony ze świeżym chlebem. – Wija przełknęła ślinę.

– Dziewczęta, to nie ma sensu – powiedziała cicho Mitrad. Jej szare oczy przepełniał smutek. – Musimy zaakceptować życie tutaj. Wspominanie przeszłości tylko rani i utrudnia przeżycie nowego dnia.

– Nie masz racji, Mitrad – powiedziała poważnie Joven. – Wspomnienia są ważne. Musimy pamiętać, kim naprawdę jesteśmy, żebyśmy miały siłę stąd uciec, gdy nadejdzie czas.

– Gdy nadejdzie czas? O czym ty mówisz, Joven? – Craigne wbiła w nią pytający wzrok.

– Instruktorci starzeją się z dnia na dzień – odpowiedziała przyciszonym głosem Joven. – Starzeją się tak szybko, że zaczęłam mieć nadzieję... że mogą umrzeć. Jak każdy człowiek.

– Chamomilla mówiła, że instruktorci nie umierają

– zaprotestowała Fry.

– Może nie wiedziała wszystkiego... A może tak było na Como, a na Targisz jest inaczej.

– Ja też widzę, że się starzeją ale nawet gdyby umarli – Laszti powolnym ruchem rozczesywała włosy – to w jaki sposób mogłybyśmy opuścić wyspę? Joven ze znużeniem wzruszyła ramionami.

– Nie wiem – przyznała.

– Może udałoby nam się znaleźć jakąś łódź? – Piegowata twarzyczka Fry zajaśniała na chwilę nadzieją.

– Na razie instruktorci żyją – powiedziała cicho Helia. –1 był już gong na śniadanie.

Wyszły na zewnątrz i natychmiast miały ochotę się cofnąć do względnie chłodnego wnętrza sypialni. Upał po prostu przygniótł je do ziemi.

– Uff – sapnęła z wysiłkiem Arta. – Słabo mi się robi na myśl o dzisiejszym dniu. Nie wyobrażam sobie, żebym miała coś malować.

– Wstawaj. – Craigne podała jej rękę. – W pawilonie jadalnym będzie nieco chłodniej.

– Mam już dość tego ich okropnego jedzenia – jęknęła Arta. – Nigdzie nie idę! Zostaję w sypialni i już!

Joven delikatnie pogłaskała ją po policzku.

– Chodź – powiedziała. – Musisz coś zjeść. Nie chcesz przecież wyglądać jak szkielet, gdy Chamomilla nas znajdzie, prawda?

Arta rzuciła się jej na szyję i wybuchnęła płaczem.

Poszły wzdłuż szpaleru drzew pomarańczowych, które wydawały się tego dnia jakieś zakurzone i przywiędłe. Mimo że wlokły się noga za nogą, okazało się, że w pawilonie jadalnym, poza instruktorcami, nie ma jeszcze nikogo.

– Zaczniecie jeść – poleciła chrapliwym głosem Han Tori. – Pozostałe

dziewczęta niebawem nadejdą.

Joven widziała, że instruktorka wygląda fatalnie. Skóra na twarzy pokryła się gęstą siecią zmarszczek, a pod oczami zwisały sine worki. Kok, niegdyś czarny jak heban, był teraz zupełnie siwy. Ręce Han Tori wyraźnie drżały, gdy podnosiła do ust kubek z sokiem. Stan innych instruktorek był nie lepszy. Pomyślała, że ta starość była karą za porwanie i za to, co zrobiły Mori. Joven była przekonana, że dziewczynka nie żyje.

Dotarły w końcu miejscowe dziewczęta. Właściwie co najmniej połowa z nich nie zaliczała się już do dziewcząt, ale do młodych kobiet. Widać było, że idą z trudem, podtrzymując się nawzajem. Pozbawionymi blasku oczami obrzuciły zastawiony stół. Zajęły te same, co zawsze miejsca i zaczęły jeść. Wydawało się, że bardziej z nawyku niż z potrzeby.

„Nie zaprzyjaźniłyśmy się z żadną z nich” – pomyślała Laszti. „Nawet nie pamiętam ich imion. Może powinniśmy z nimi porozmawiać, dowiedzieć się, czy na coś chorują. Spytać, czy jakoś im pomóc...”

Myśli Joven dryfowały w innym kierunku. „Ta wyspa wykańcza nas wszystkie. Jesteśmy tu nowe, więc jeszcze się trzymamy. Mamy jakieś zapasy sił, ale tamte już ledwo chodzą. Czy wyniszcza nas jakaś tajemnicza choroba? Czy mamy tu wszystkie poumierać?” Spuściła głowę. Łzy zniekształciły czysty zarys stojącego przed nią talerzyka z delikatnej porcelany, ozdobionego szlaczkiem ze złotych listków.

W pawilonie jadalnym słychać było tylko metaliczny szcęk sztućców. Nikt nic nie mówił. Nawet instruktorki nie rozmawiały ze sobą. Powietrze było duszne i ciężkie. Z trudem dawało się nim oddychać.

– Dzisiejsze zajęcia są odwołane – ogłosiła Ellix. – Trudno pracować w taki upał. Najlepiej będzie, jeśli schronicie się w dormitoriach. Nie zapominajcie o nawodnieniu waszych organizmów. Powinniście wypijać w ciągu dnia co najmniej dwa litry płynu.

Każdy budynek wyposażony był w mały kranik z wodą doprowadzaną rurami z jakiegoś źródła. Musiało znajdować się głęboko pod ziemią, bo w najgorętszy nawet dzień woda była lodowato zimna. Była – kilka dni temu, ale od jakiegoś czasu zarówno jej temperatura, jak i inne właściwości znacznie się zmieniły. Na gorsze.

– Nasza woda jest zupełnie mętna! – odważyła się Arta.

– I niesmaczna – poparła ją Fry.

– Macie pić taką, jaka jest. – Ellix zmarszczyła brwi.

Joven zauważyła, że instruktorka udaje groźną i stanowczą, a tak naprawdę jest zaniepokojona.

– Czy w waszych dormitoriach także pogorszył się stan wody? – Han Tori zwróciła się do miejscowych dziewcząt.

– Tttaak... – sennie odpowiedziała jedna ze starszych, chuda, ciemnooka, z brązowymi, prostymi włosami sięgającymi do pasa.

– Dlaczego nie powiedziałyście wcześniej? – pytała dalej instruktorka.

– Nie... zauważyłyśmy – wydawało się, że brązowowłosa wykonuje olbrzymi wysiłek, wypowiadając poszczególne słowa.
Nie zauważyły! Córki Chamomilli spojrzały po sobie. Jak można nie zauważyć, że czysta zimna woda zamienia się w mętną, ciepłą ciecz o metalicznym posmaku.
– Zajmiemy się tym – oświadczyła sucho Scargot. – Rozejdźcie się teraz do swoich domów.
– A może ta woda jest zatruta... – zastanawiała się na głos Wija, kiedy wracały do dormitorium.
– Bardzo możliwe – przytaknęła Laszti. – Szkoda mi tamtych dziewczyn, wyglądają, jakby cały czas spały.
– Jakby już nie żyły – szepnęła do siebie Joven.
– Co mówisz, Joven? – chciała wiedzieć Fry.
– Nic, nic... tak tylko mamroczę.
– Słuchajcie! Przestańmy pić to świństwo! – wykrzyknęła Helia. – Możemy zamiast tego jeść pomarańcze i mango. Są wystarczająco soczyste. I pić dużo soków podczas posiłków. Może wtedy nie będziemy tak wyczerpane.
Wspięła się na palce i zaczęła zrywać złociste owoce z najniższych gałęzi pomarańczowego drzewka. Jej entuzjazm udzielił się pozostałym. Nie chodziło już nawet o uniknięcie picia niesmacznej wody, ale o sam fakt, że podjęły jakieś działanie, że nie czekają biernie na to, co je może spotkać w ciągu następnych dni.

11.

– No i co z tą wodą Scargot? – spytała Ellix, trąc nerwowo dłońią o dłoń.
Znajdowały się w rozległej, słabo oświetlonej jaskini, kilkadziesiąt metrów pod ziemią. Scargot pochylała się nad skomplikowaną maszyną znajdującą się w najniższym miejscu groty, tuż obok podziemnego jeziora.
– Filtry były zanieczyszczone – odpowiedziała, wycierając w jakąś szmatę zabrudzone smarami i szlamem dłonie. – Ale to nie wszystko. Pompy działają coraz gorzej... a przy drastycznym oszczędzaniu energii nic się na to nie da poradzić.
Ellix pokiwała głową.
– Myślę, że długo już tu nie pociągniemy – powiedziała powoli. – Ta wyspa nic nam już nie da. I ten świat także... Trzeba się będzie zastanowić nad radykalną decyzją.
– Co masz na myśli? – Scargot obrzuciła ją czujnym spojrzeniem.
– Nie to, czego się obawiasz. – Ellix podniosła dłoń w uspokajającym geście. – Uważam po prostu, że powinniśmy zacząć od nowa, w innym świecie. Wystarczy tylko znaleźć przejście.
– Myślisz, że damy radę? – Oczy Scargot błysnęły w półmroku.
– Oni są gdzieś na pustyni. Wystarczy poszukać. A jak już ich znajdziemy,

przełamać bariery. Porozmawiam o tym z Han Tori.
Odwróciła się i szybkim krokiem zaczęła wchodzić po metalowych schodkach. Dźwięczały wojowniczo pod jej stopami obutymi w sandały ze smoczej skóry – pamiątkę dawnych, dobrych czasów.

12.

Stwory spacerowały po korytarzu, przechodziły z jednej strony na drugą i na razie nie interesowały się stojącymi w odległości kilku metrów i skamieniałymi ze strachu dziećmi.

– To się nie powinno zdarzyć – szeptał gorączkowo Arxt do ucha czujnie rozglądającej się Mori. To jest Książka Która Wyszła z Siebie. Avenidzi od razu je palą, żeby nikomu nie stała się krzywda.

– Nie widuje się Avenidów w zamku Versathis – zauważyła rzeczowo dziewczynka.

Arxt nerwowo oblizwał wargi.

– Ten niebieski coś za bardzo nam się przygląda – wymamrotał.

Blokujący im drogę Niebieski miał paszczę z trzema rzędami ostrych zębów, co było doskonale widać, gdyż prezentował je nieustannie. Jego ogon zakończony czerwoną kulką z czymś, co przypominało kilkudziesięciokrotnie powiększone pszczele żądło, poruszał się wahadłowo. Raz w lewo, raz w prawo. Bez przerwy. Zielonkawe ślepie z żółtym płomykiem w środku patrzyły wprost na nich. A ten płomyk jaśniał bardzo złośliwym blaskiem. Takie przynajmniej wrażenie odniosła Mori.

„Ktoś sobie wymyślił tę bestię, a teraz ja muszę stawić jej czoła” – pomyślała gniewnie.

Przyjrzała się uważnie pajęczynowatej strukturze książkowego świata. Stwory były z niej zbudowane, tak jak wszystko inne. Próbowwała naruszyć oplatające je nici, ale świetlista pajęczyna nie poddawała się tak łatwo jak drgające drobiny w rzeczywistym świecie. Tęczowe pasma trwały obojętne na próby, jakie czyniła Mori.

Niebieski postąpił krok w ich stronę. Arxt wrzasnął i ścisnął dziewczynkę za rękę. „Myśl, Mori! Myśl, myśl, myśl!” – poganiała samą siebie bezgłośnie, ale nic nie przychodziło jej do głowy. Miała poczucie, że jej mózg zamroził się ze strachu, a potem... wypuścił jeden, niewielki, ale całkiem sensowny pomysł. (Sensowny oczywiście dla osób pokroju Mori). Pomysł wypłynął z jej głowy i uformował się w pokrytą łuską cytrynowozieloną bestię, która stanęła oko w oko z Niebieskim. Trochę była podobna do jaszczura, który atakował Mori w dżungli – potężna, z purpurowym kostnym grzebieniem ciągnącym się przez całą długość grzbietu. Stała na tylnych łapach i sapała groźnie.

– Ty to zrobiłaś? – wyszeptał wstrząśnięty Arxt.

Dziewczynka twierdząco skinęła głową.

– Chodźmy stąd – powiedziała półgłosem. – Moja Cytronella odwróci jego

uwagę.

– Jak ją nazwałaś? Cytronella?

– Cii... Idziemy.

Posuwali się bokiem, przylegając plecami do elastycznej ściany. Od mierzących się wzrokiem stworzeń dzieliła ich niewielka przestrzeń. Bestie wydzielały dziwną woń, która kojarzyła się Mori z przypalonym mlekiem. Omijali je, wstrzymując oddech i unikając gwałtownych ruchów. Wydawało się, że trwa to całą wieczność. Idąc tuż przy ścianie, dotarli do zakrętu. Najbliższy odcinek korytarza wydawał się wolny. Heraldyczne stwory zasiedlające książkę wiodły swoje krwiożercze życie za bezpieczną błoniastą przegrodą. Pobiegli.

– Wyjaśnij mi, w jaki sposób... – wydyszał Arxt.

– Wyobraźnia – odpowiedziała krótko Mori, rozglądając się na boki i sprawdzając, czy jakaś szponiasta łapa nie przebija się przez barierę. – Książka jest wymyślona, jej treść nie jest tym samym, co normalna rzeczywistość, ale istnieje... Nie wiem, jak ci to wytłumaczyć... Tutejszy świat jest płataniną świetlistych linii. Bardzo prawdopodobne, że są to utrwalone myśli, które w książce przestają być ulotne... Uch! Tego się nie da powiedzieć. W każdym razie, jeśli ktoś wymyślił Niebieskiego, to ja mogłam wymyślić Cytronellę. W normalnym świecie byłaby tylko pomysł, który zostaje w głowie. Tutaj mogła przybrać realne kształty.

– To przecież niebezpieczne! Chcesz powiedzieć, że każdy potwór, jakiego wymyślisz, może się nagle przed nami zmaterializować?

Mori zastanowiła się.

– Chyba nie każdy, tylko ten, którego zechcę wypchnąć z głowy na zewnątrz.

Zwolnili kroku. Korytarz nadal był pusty i Mori miała nadzieję, że tak już pozostanie do końca.

– Jak to się stało, że te potwory mogły przedostać się przez barierę? – spytała.

– Tak bywa z niektórymi książkami – wzruszył ramionami Arxt. – Najczęściej dotyczy to tych, które są po wielokroć czytane przez jedną i tę samą osobę.

– Dlaczego?

– Avenidzi mówią, że książka wyczuwa intensywne, czasem nawet nadmierne zainteresowanie i chce wyjść naprzeciw wiernemu czytelnikowi. Jak sama widziałas, jest to bardzo groźne, więc gdy tylko takie dzieło zostanie wykryte, natychmiast się je spala.

– Kto to robi?

– Avenidzkie patrole bezpieczeństwa.

– Ale jak mogą coś wykryć, kiedy książka leży zagrzebana na strychu?

– Nie wiem, pewnie sprawdzają wszystkie linki i prędzej czy później ją znajdują.

– Zastanawiam się, który z moich przodków był takim zapalonym czytelnikiem.

– A ja ciekaw jestem, jak długo będziemy jeszcze iść do najbliższego linku. Świadomość, że te stwory – zatoczył ręką okrąg obejmujący rejony po prawej i lewej stronie korytarza – mogą w każdej chwili stanąć nam na drodze,

zdecydowanie nie poprawia mi nastroju.

Mori pociągnęła nosem. Raz, potem drugi.

– Masz katar? – spytał uprzejmie Arxt, podając jej nowiusienką, równo złożoną chusteczkę z monogramem.

„Ciekawe, ile ich ma?” – przemknęło przez głowę Mori, ale nie miała czasu pytać.

– Wydaje mi się, że czuję dym – powiedziała.

13.

Fry obudziła się z ciężkiego popołudniowego snu i poczuła ssanie w żołądku. Zeszła z łóżka i odchyliła zasłonę w oknie. Słońce stało nisko nad kędzierzawą zielonością dżungli. „Zaspałam. W ogóle nie słyszałam gongu na obiad”. Obrzuciła wzrokiem sypialnię. „Wszystkie zaspałyśmy. Może to z tego osłabienia”.

– Hej! Dziewczyny! – zawołała. – Wstawajcie!

– A niech to! – Arta pierwsza otworzyła oczy. – Umieram z głodu.

Jej żołądek, przyzwyczajony do regularnych pór posiłków, zaburczał głośno.

– Przespałyśmy obiad – poinformowała ją Fry, odgarniając z oczu rudy kosmyk.

– Chodźmy, może coś nam zostawiły. – Joven, ziewając, wsunęła stopy w parę spłowiałych od słońca butów.

– Nie powinny – zauważyła spokojnie Helia. – W takim upale żywność szybko się psuje.

– Ciekawe, czy poprawiły stan wody. – Wija błysnęła zielonymi oczami i odkręciła kran nad porcelanową umywalką wiszącą w rogu pokoju. Napełniła nią srebrny kubeczek. – Znacznie czystsza – stwierdziła. Wzięła do ust pierwszy łyk i natychmiast wypluła. – Paskudna! Nawet jeśli w pawilonie nie będzie już dla nas jedzenia, to może przynajmniej zostały jakieś soki.

Wyszły. Powietrze nadal było ciężkie od upału, ale już nie tak przygniatające, jak przed południem.

– W razie czego mamy pomarańcze – powiedziała optymistycznie Laszti.

Uśmiechnęły się na wspomnienie porannej owocowej uczty.

– Tym razem mam ochotę na mango – pokręciła głową Mitrail. – Widziałam całe drzewo pełne owoców koło dormitoriów tutejszych dziewczyn.

– Możemy się tam wybrać – zgodziła się Fry, zdrapując z nosa łuszczącą się skórę.

– Czy nie wydaje wam się dziwne... – Craigne uderzona jakąś myślą aż przystanąła.

– Co? – spytała Mitrail, która omal się z nią nie zderzyła.

– Ze tak dobrze się czujemy. Śmiejemy się. Zupełnie inaczej niż rano.

– Może naprawdę wykańczała nas ta woda. – Helia odrzuciła na plecy jasny warkocz.

– Nie powinnyśmy jej pić – potrząsnęła głową Wija, która ciągle jeszcze czuła

w ustach ohydny metaliczny posmak.

Kiedy dotarli do pawilonu jadalnego, okazało się, że jest zupełnie pusty. Na stołach nie było żadnych resztek. Wszystkie dzbany z sokami także usunięto. Krzesła stały równiutko za stołami. Obrusy w pastelowych kolorach były nieskazitelnie czyste. Nie leżał na nich nawet okruszek.

– No cóż, wobec tego musimy zadowolić się bananami – westchnęła Arta.

– Ciekawe, gdzie tu jest kuchnia? Może dałoby się wyprosić chociaż szklanekę soku.

To zdanie rzucone przez Laszti wzbudziło pewną konsternację.

– Kuchnia? – powtórzyła Joven tonem pełnym wątpliwości.

– Instruktorci nie wyglądają na osoby umiejące gotować – zgodziła się Helia.

– Może mają kucharki... – zastanowiła się na głos Mitrail.

– Kucharki? Nigdy ich nie widziałyśmy – odezwała się sceptycznie Joven.

– No tak, ale gong nas wzywa, jak już wszystko jest na stołach. – Laszti w zamyśleniu bawiła się końcówką swego czarnego warkocza. – A instruktorci powinni mieć jakąś służbę.

– Właściwie nic nie wiemy o tej wyspie – zauważyła cicho Craigne.

– A może spytamy tamte, czy tu jest jakaś kuchnia? – wyskoczyła z propozycją Arta.

Wszystkie wiedziały, że mówiąc „tamte”, ma na myśli miejscowe dziewczęta. Wcześniej nie przyszłoby im na myśl, żeby nawiązać z nimi kontakt i o coś wypytywać, ale teraz nappełniała je taka energia i odwaga, że bez dłuższych narad skierowały się w stronę gaju bananowców, za którym znajdowały się domy wychowanek mieszkających na Targisz od dziecka.

– Czy nie wydaje się wam – kontynuowała swoje rozważania Craigne – że przedtem byłyśmy jakieś zamroczone?

– Na pewno miałyśmy mniej sił – zgodziła się Laszti.

– I pewne pytania nie przychodziły nam do głowy – pokiwała głową Mitrail. – Na przykład, czy tu jest kuchnia, albo czy instruktorci mają służbę.

Z dormitoriów nie dobiegał żaden dźwięk. Joven podeszła do najbliższego budynku i stanęła na palcach. Zastłona w oknie była do połowy odsunięta, więc można było zajrzeć do wnętrza.

– Śpią – powiedziała.

– Śpią? Teraz? – zdziwiła się Arta.

– Może one też nie wstały na obiad. – Laszti zerknęła przez drugie okno.

– A może wcale nie było obiadu? – zasugerowała Mitrail.

Popatrzyły po sobie. Nie było obiadu! O tym nie pomyślały. Joven rzuciła Mitrail spojrzenie pełne uznania.

– Możesz mieć rację.

– Wejdziemy do środka? – Arta już była przy drzwiach.

Joven przyzwalająco skinęła głową.

Po raz pierwszy znalazły się w sypialni innej niż ta, w której spędziły ostatnie tygodnie. Rozczarowało je, że tak niewiele różniła się od ich własnej. Kamienna

posadzka, grube zasłony w oknach, malowane ornamenty na suficie, kran w kącie, a pod ścianami kufry na ubrania. Żadnych osobistych drobiazgów, żadnych półek, szafeczek, bibelotów... nic. Przypomniało im się, jak Chamomilla mówiła, że każdy potrzebuje swojej prywatnej przestrzeni. Choćby małego kącika, który mógłby urządzić po swojemu. Tutejsze dziewczęta tego nie miały. Albo im nie pozwolono, albo nie czuły takiej potrzeby. Wszystkie spały w identycznej pozycji – płasko na wznak, z rękami ułożonymi równo wzdłuż ciała. Słysząc było ich ciężkie, powolne oddechy.

– Przypominają szkielety – szepnęła Fry, wzdrygając się lekko.

– Nie rozumiem dlaczego, przecież nikt ani ich, ani nas nie głodził – odezwała się również szepem Laszti.

– Kiedy tu przybyliśmy, wyglądały znacznie lepiej. – Helia w zakłopotaniu nawijała na palec pasmo jasnych włosów. – Może to przez nas...

– My też lepiej wyglądałyśmy – przerwała jej Wija. – Chamomilla zemdleje, kiedy zobaczy, że tak schudłyśmy.

– Budzimy je? – Fry spojrzała pytająco w kierunku Joven.

– Możemy je obudzić, ale najpierw zgromadźmy trochę owoców. Kilka kiści bananów i dużo pomarańczy, żeby nie musiały pić tej ohydnej wody. Jeśli nie jadły obiadu, to będą potwornie głodne.

– Ja pójdę – zaoferowała się Arta. – Chodź ze mną, Fry.

– Ja też – zdecydowała Wija. – Wy będziecie rwać, a ja nosić. Nie lubię chodzić po drzewach.

Kiedy wyszły, Joven zaklaskała w dłonie.

– Obudźcie się! – zawołała. – Niedługo słońce zacznie zachodzić!

Żadna ze śpiących postaci nie zareagowała.

Laszti podeszła do najbliższego łóżka i lekko potrząsnęła ramieniem drobnej, czarnowłosej dziewczynki.

– Hej, wstawaj! – powiedziała stanowczo.

Czarne rzęsy zadrgały, powieki się uniosły i olbrzymie, czarne, pozbawione wyrazu oczy popatrzyły na Laszti.

– Chyba nie jadłaś obiadu, co?

Dziewczynka zmarszczyła z wysiłkiem czoło.

– Nie... słyszałam... gongu... – wyszeptała z trudem.

– Jesteś głodna? – pytała dalej Laszti.

Znowu chwila zastanowienia.

– Nie... wiem... Chyba... tak.

Właśnie weszły Wija i Fry obładowane pierwszą partią owoców. Laszti wzięła banana. Pomogła czarnowłosej dziewczynce usiąść i zaczęła ją karmić. Kęs za kęsem, jak małe dziecko.

– Bierzmy się za następne – nakazała cicho Joven.

Dziewczęta z Targisz jadły posłusznie i w ciszy. Nie dziwiły się niczemu, nie komentowały wtargnięcia „nowych” do swojej sypialni. Helia obierała pomarańcze, dzieliła je na cząstki, a potem rozdawała.

– Jedzcie. Pomarańcze mają dużo soku – mówiła. – To lepsze niż woda, która jest paskudna i lepiej jej nie pić.

– Instruktorci kazali... – odezwała się cicho Tilia, którą poznały pierwszego dnia.

– Nie udało im się jeszcze poprawić smaku tej cieczy, która płynie z kranów. Pewnie trochę to potrwa – powiedziała Joven z przekonaniem. – Chcesz jeszcze banana?

Tilia skinęła głową i wyciągnęła rękę.

– Dam radę zjeść go bez pomocy – szepnęła.

– To dobrze – skinęła głową Joven – bo musimy odwiedzić pozostałe dormitoria.

Arta szturchnęła Fry.

– Idziemy na drzewa! Na tyle osób potrzeba całej masy jedzenia.

Mieszkanki drugiego domu także pogrążone były we śnie.

– One są już zupełnie dorosłe – zauważyła Mitrail. – Czy instruktorki chcą je tutaj trzymać aż do śmierci? Przecież powinny sprzedawać swoje dzieła w świecie, tak jak to robiły dziewczyny z naszej Wyspy Sierot. Na przykład ciocia Thea.

– Obawiam się, że w takim stanie nie miałyby siły namalować nawet małego obrazka – pokręciła głową Helia. – Już dawno nie widziałam żadnej z nich w pracowni.

– Bierzmy się do roboty – westchnęła Craigne, pochylając się nad młodą śpiącą kobietą z podkrążonymi oczami. Dotknęła jej kościstego ramienia przykrytego cienkim materiałem sukienki. – Obudź się! Mam dla ciebie pyszne banany!

Po godzinie wszystkie wychowanki były obudzone i najedzone. W tym czasie słońce już zaszło. Mniej więcej o tej porze powinien zabrzmieć gong wzywający na kolację, ale słychać było tylko tropikalną ciszę pełną szmerów, popiskiwań i tajemniczych szelestów. Dziewczęta z Targisz były lekko zdezorientowane. Gdyby były w stanie przeżywać silniejsze uczucia, obecna sytuacja prawdopodobnie byłaby dla nich wstrząsem. Regularny rytm, według którego funkcjonowały od dziecka, uległ pełnemu zburzeniu.

Joven nakazała wszystkim zebrać się w jednym budynku. Wszystkie, nawet te najstarsze, poszły posłusznie tam, gdzie im kazała. Usiadły po kilka na jednym łóżku. Fry zapaliła świece (ich pudełko stało w każdym dormitorium tuż za drzwiami, po lewej stronie). Joven wystąpiła na środek.

– Słuchajcie! Moim zdaniem instruktorki albo poumierają, albo opuściły wyspę. Urwała. Czekwała na jakąś reakcję. Czekwała, co powiedzą miejscowe wychowanki. Patrzyło na nią czterdzieści par oczu, w których nie zatliła się nawet iskierka zdziwienia, przestachu czy wątpliwości.

– Na co czekasz, Joven? – niecierpliwiła się Fry. – Mów dalej. Mów, co wymyśliłaś.

– Cii... – syknęła Joven. – Dajmy im trochę czasu na przyswojenie tej informacji.

Siedziały w milczeniu. Płomyki świec chwiały się lekko i posykiwały, gdy w obszar ich żółtawego gorąca wpadał przywabiony światłem owad.

– Instruktorce nie... umierają – dał się słyszeć z mrocznego końca sypialni czyjś ochryply głos.

– Wobec tego musiały sobie stąd pójść – wzruszyła ramionami Wija.

– Nie... mogły nas... zostawić...

– Mogły – powiedziała twardo Joven. – Instruktorce myślą tylko o sobie. Przestałyście być im potrzebne. My zresztą też. Musimy sobie radzić same.

– I bardzo dobrze! – rzuciła wojowniczo Fry.

– Najpierw sprawa jedzenia. Gdzie tu na wyspie jest kuchnia? Która z was wie? Znowu te spojrzenia bez wyrazu.

– Daj spokój. – Craigne pociągnęła Joven za rękaw. – One są kompletnie oszołomione. Jest ciemno. Teraz i tak nie będziemy szukać żadnej kuchni. Każ im położyć się spać.

– Hm... – Joven przysiadła na najbliższym łóżku, odruchowo przyglądając zmięte prześcieradło. – Dobrze. Czy któraś z was jest głodna?

Odpowiedziało jej milczenie. No tak, banany są sycące. Może nawet bardziej sycące niż papkowate potrawy instruktorek.

– Połóżcie się spać. Przyjdziemy do was rano i... naradzimy się, co dalej robić. Chodźcie, dziewczęta.

Wstała ciężko, wzięła z podłogi jedną świecę, żeby oświetlała im drogę do domu i wyszła w upalną wilgotną ciemność. Było jej ciężko. Czym innym jest opieka nad siedmioma młodszymi dziewczynkami, które zna się od urodzenia, a czymś zupełnie innym wzięcie odpowiedzialności za czterdzieści na pół żywych istot, z którymi nawet nie bardzo można się porozumieć. Poczula czyjeś ramię opasujące ją w pasie.

– Nie martw się, Joven – szepnęła cicho Craigne. – Nie jesteś sama. Masz nas.

– No właśnie. – Mitrail objęła ją z drugiej strony. – Razem coś wymyślimy. I oczywiście zaopiekujemy się tamtymi biedaczkami.

– Może po kilku dniach jedzenia bananów i innych owoców zaczną zachowywać się trochę sensowniej – zabrzmiał z ciemności głos Laszti.

– Jesteście strasznie kochane – wyszeptała Joven przez łyzy.

14.

Siwe kłęby dymu wydobywające się z najbliższej odnogi korytarza nie pozostawiały żadnych wątpliwości.

– Że też akurat dziś patrol awenidzki musiał się zająć tą książką – powiedziała z goryczą Mori. – Taki stary papier szybko się pali, prawda?

Na nosie Arxta pojawiły się kropelki potu.

– Nie mogą nas tu spalić – wykrztusił.

– Nie wiedzą, że tu jesteśmy – odpowiedziała trochę nieuważnie Mori, próbując wyobrazić sobie ulewę wszech czasów.

– Proszę zgasić ten ogień! – zaczął wrzeszczeć Arxt. – Jestem księciem Xatl! Rozkazuję zgasić ogień! Roz... – Tu rozkaszał się tak, że aż łzy pociekły mu z oczu.

Dym był gęsty, gryzący, a spoza niego wyzierały jasnożółte języki ognia.

– Uciekajmy! – Arxt chwycił ją za rękę. – Może uda nam się wrócić na twój strych!

– A po drodze zostaniemy stratowani przez wystraszone bestie. – Mori stała twardo na środku korytarza i spod zmrużonych powiek obserwowała zbliżające się płomienie. Tworzyła w myślach obraz rześistego deszczu, prawdziwego oberwania chmury. Ściana ognia była tuż tuż. Gorący powiew parzył twarz. „Teraz!” – pomyślała.

Deszcz lunął z tak gwałtowną siłą, że oboje zostali przygięci do ziemi. Cały korytarz wypełnił się parą wodną, płomienie gasły z głośnym sykiem.

– Ale ulewa! – zakrzyknęła Mori z satysfakcją.

– Ty ją wymyśliłaś? – Arxt próbował przekrzyczeć głośny szum spadających kropel.

– Tak! – Uśmiechnęła się szeroko, odgarniając z czoła mokre kosmyki włosów.

Miała ochotę tańczyć z radości. Mogę tu stworzyć wszystko, o czym pomyślę: kwiaty, drzewa, dziwne zwierzęta... cały świat!

– Może już dość tego deszczu! – Głos Arxta sprowadził ją na ziemię. – Stoimy po kostki w wodzie!

Spojrzała w dół. Korytarzem płynął już całkiem spory strumień. Co dziwniejsze, płynął w obie strony, w przeciwnych kierunkach, gdyż centrum oberwania chmury, jeśli tak to można nazwać, biorąc pod uwagę, że żadnej chmury nie było, znajdowało się dokładnie nad jej głową. Westchnęła i zamknęła oczy. Łatwiej wyobrazić sobie deszcz niż jego brak. Próbowała wytworzyć wizję pustego, suchego korytarza, ale to nie działało. Czowała strumienie wody lejące się jej na głowę, wsiąkające w sukienkę i dołączające do rwącego strumienia, który sięgał już do połowy łydek. To może inaczej... czyste niebo, suchość powietrza... Skoncentrowała się na tej wizji. Czowała, że Arxt szarpie ją za rękaw, ale nie zwracała na niego uwagi. Wypuszczała ze swoich myśli ciepły, łagodny wiatr, przywodzący na myśl atmosferę wczesnego wieczoru po upalnym letnim dniu. Deszcz przestał padać. Udało się.

– A co się tu wyrabia!?! – usłyszała tuż przy uchu czyjś gderliwy, zirytowany głos.

Otworzyła oczy. Przed nią stał najdziwniejszy człowiek (a właściwie nie człowiek – zdecydowała po krótkiej obserwacji), jakiego w swoim życiu widziała. Był niezbyt wysoki, przerastał ją zaledwie o głowę. Miał pomarszczoną, bladożółtą skórę układającą się w malownicze fałdy wokół ust i okrągłych jak guziki, czarnych oczu. Spomiędzy pofałdowanej skóry wystawał mały nos przypominający barwą starą kość słoniową. Ubranie tej dziwnej postaci wyglądało jak patchwork uszyty z kawałków książek, zarówno tych drukowanych, jak i ręcznie zdobionych manuskryptów. Mori przyglądała się

zafascynowana.

– Dzień dobry panu – odezwał się oficjalnym tonem Arxt. – Jestem księciem Xatl i potrzebuję przejść do *Wędrówek Avenidów po świecie Ludzi*.

– Nie powinniście przebywać w tym miejscu – oznajmił mężczyzna. – To strefa zakazana. Na szlak mogą się przedostawać różne niebezpieczne stworzenia i zrobić wam krzywdę.

– Spotkaliśmy je. – Arxt przezornie obejrzał się za siebie. Na szczęście potwory nie przeszły do tej części korytarza.

– Czy pan jest Avenidą? – spytała Mori podekscytowana.

– Oczywiście, że jestem. Należę do Avenidzkiej Służby Bezpieczeństwa. Unieszkodliwiam niebezpieczne rejonny.

– Powinien pan najpierw sprawdzać, czy nie ma w nich ludzi – powiedział z pretensją Arxt. – Omal nie spłonęliśmy żywcem.

– To was nie powinno tu być – wykrzywił się Avenida. – I chciałbym wiedzieć, skąd tu tyle wody? Będę miał straszne trudności z wypełnieniem mojego zadania. Po raz pierwszy w życiu napotykam strumień na szlaku.

– Ona wymyśliła ten deszcz, żeby nas ratować przed płomieniami – Arxt wskazał na Mori.

Mężczyzna przyjrzał się dziewczynce z zainteresowaniem.

– Umiesz tworzyć logijską rzeczywistość? – spytał.

– A co to jest?

– Wszystko, co nas otacza. – Avenida zatoczył koło ręką. – O i widzę, że posiadasz świętą roślinę z Corredo, ale... – przyjrzał się jej z uwagą – ty sama nie do końca jesteś z Corredo, właściwie bardziej nie jesteś niż jesteś, bo bardziej jesteś z Ludzi.

Mogło się zakręcić w głowie od tych wszystkich „jesteś”, ale Mori skupiła się na sensie tego, co przed chwilą usłyszała.

– Pan twierdzi, że mam w sobie jakąś cząstkę Corredo? – spytała z oczyma jaśniejącymi jak gwiazdy.

– Z całą pewnością tak twierdzą – kiwnął głową Avenida. – Ale w większości jesteś człowiekiem. I nawet w najmniejszym stopniu nie zaliczasz się do Avenidów.

– Trudno – odpowiedziała z uśmiechem.

– Czy mógłby nas pan przeprowadzić do *Wędrówek Avenidów po świecie Ludzi*?

– Arxt przepchnął się przed Mori. – Jestem księciem Xatl. Mam misję do wypełnienia – dodał z naciskiem.

– Xatl, słyszałem o takim narodzie. Na mocy układu z szóstego roku panowania króla Daiotlaterwesa mają pozwolenie korzystania z naszych szlaków, przy zachowaniu wszystkich warunków traktatu – wyrecytował z namysłem Avenida.

– Taaak, słyszałem o takim narodzie, ale od tysiąca lat już o nim nie słyszałem. Właściwie słyszałem, że zaginął, i odtąd nikt o nim nie słyszał.

Mori odwróciła się, żeby ukryć rozbawienie. Nie chciała być nieuprzejma, ale dziwna maniera powtarzania w kółko jednego czasownika trochę ją śmieszyła.

– Mój lud tkwi w uśpieniu, podbity i ujarzmiony przez odstępczynię z Corredo – przemówił uroczyście Arxt. – Ale oto nadeszła chwila, kiedy ja i Mori... hm, to znaczy Dziecko Przeznaczenia pokonamy straszne uzurpator ki i lud Xatl znowu wróci do życia.

– Ale żeby to się udało, musimy najpierw wejść do *Wędrówek Auenidów po świecie Ludzi* – dodała Mori i uśmiechnęła się z wdziękiem.

Czuła się wspaniale. Nie dość, że poznała prawdziwego Avenidę, to jeszcze okazało się, że ona, Mori Sedun z Versathis, ma w sobie coś z Corredo – najcudowniejszej krainy, jaka w ogóle może istnieć. Rozkoszowała się tą świadomością, podczas gdy Arxt się niecierpliwił, a Avenida rozważał coś wnikliwie, mamrocząc pod nosem.

– No dobrze – powiedział w końcu. – Chodźcie.

15.

Ovoid wylądował miękko w środku pustyni. Osiem kobiet opuściło pojazd i ze zdziwieniem oglądało na wpół zakopany w piasku fotel.

– Jesteś pewna, że to tu? – spytała Han Tori.

– Taak – odpowiedziała z ociąganiem Ellix. – Ten aparat jest nieomylny. – Stuknęła palcem trzymane w dłoniach, lśniąco metalicznie pudełko. – Ale... jest to dokładnie to samo miejsce, w którym po raz ostatni detektor istot ludzkich zarejestrował obecność tej kłopotliwej dziewczynki.

Scargot przesunęła fotel. Pogrzebała nogą w piasku.

– Nie widać żadnych kości ani strzępów ubrania – stwierdziła i spojrzała pytająco na Ellix.

– To znaczy, że się spóźniłyśmy – wycedziła Itr.

– Nie wiadomo – powiedziała Radita. – Przecież jeszcze żyjemy, a to oznacza, że oni nie zaczęli działać.

– Wobec tego pospieszmy się. – Scargot zmarszczyła brwi. – Odsuńcie się, włączam dmuchawę.

Wyciągnęła z ovoidu grubą giętą rurę, która wydając niskie monotonne buczenie, wyrzucała z siebie silny strumień powietrza. Piasek pryskał na boki. Instruktorzy stały za Scargot i wpatrywały się z napięciem w coraz większy dół. Han Tori mrugała powiekami. Ostatnio znacznie osłabił jej się wzrok. To było gorsze niż zmarszczki i siwe włosy. Ile energii potrzebowałyby, żeby na nowo zregenerować wszystkie tkanki oka? Nawet jeśli uda im się opanowanie innego systemu istot żywych, to żaden nie będzie tak łatwy do pozyskiwania mocy, jak świat ludzi. Od urodzenia emitowali energię w takich ilościach i zakresach, że tylko czerpać. Zwłaszcza te dziewczynki hodowane z pokolenia na pokolenie, karmione specjalnymi destylatami...

– Jest! – zawołała triumfalnie Scargot.

Kilka ostatnich, potężnych dmuchnięć odsłoniło okrągły właz pokryty zawiłymi znakami pisma xatl. Ellix ostrożnie zsunęła się na dół piaszczystego lejka.

Posypała się za nią mała lawina piachu.

– Scargot! Umocnij trochę brzegi! – krzyknęła. – Tylko ostrożnie, żebyś nie trafiła we mnie!

Scargot przesunęła umieszczoną z boku dmuchawy czerwoną dźwignię. Wylot rury zwęził się i krótkimi seriami zaczął wypluwać biało–fioletowe płomienie, które przemieniały osypujące się ściany zagłębienia w sztywną szklistą powłokę.

– Świetnie – pochwaliła ją krótko Ellix i pochyliła się nad włazem.

Pomarszczonymi dłońmi sprawdzała jego powierzchnię. Próbowwała wyczuć mechanizm zamykający. Niestety, w procesie starzenia także zmysł dotyku uległ przytępieniu. Westchnęła z rezygnacją. Lepiej działać szybko i brutalnie, niż bawić się w subtelności, które mogłyby kosztować życie.

– Scargot! Znowu pole do działania dla ciebie! – krzyknęła w górę. – Otwórz ten właz, ale najpierw zrób mi jakąś niewielką platformę, żebym miała gdzie się odsunąć!

Języki bladofioletowego ognia bez trudu wypaliły wąską półkę w skryształowanej powierzchni zbocza, a potem w ciągu kilku sekund stopiły grubą pokrywę włazu. Instruktorzy poczekały, aż Scargot przy pomocy dmuchawy wystudzi rozżarzony metal, po czym jedna za drugą zsunęły się na dno leja. Po kolei przeciskały się przez właz i po zrobionych z zielonkawego tworzywa schodkach, które wysunęły się ze stropu w momencie otwarcia przejścia, schodziły w głąb podziemnych pomieszczeń. Żadna z nich nawet nie spojrzała na błękitną kopułę nieba otaczającą świat, w którym przeżyły ostatnie tysiąc lat. Instruktorzy nie były sentymentalne.

Ellix szła pierwsza. Bez zainteresowania przeszła przez półkolistą sklepioną salę i zatrzymała się w drugiej, jaśniejszej oświetlonej. Obrzuciła wzrokiem opuszczone legowisko, zastawiony resztkami jedzenia stół i porzuconą na podłodze szczotkę do włosów. Skupiła się na leżącej na podłodze księdze.

– Zdążyliśmy! – uśmiechnęła się triumfalnie.

16.

Czasza balonu wzdymała się bardzo, bardzo wolno. Maszynka, którą dysponował Kert, wytwarzała niewielką ilość rozgrzanego powietrza, więc cały proces uruchamiania powietrznego statku postępował w ślimaczym tempie. Wszyscy się niecierpliwili. Kert ze Scaberem i Rossem po raz setny chyba sprawdzali stan olinowania.

Szklarka chodziła nerwowo tam i z powrotem. Nie miała nic do roboty. Musiała tylko czekać i to było bardziej męczące niż zaklejanie dziur, na którym upłynęły dwa ostatnie dni. Poza tym, w miarę jak przybliżał się moment wypuszczenia balonu, coraz bardziej narastał w niej strach o Scabera. Co będzie, jeśli i jego utraci? Wyobrażnia, nieproszona, podsunęła jej obraz męża wypadającego z gondoli i roztrzaskującego się o warstwę zbitej mgły. Jego ciało bezwładnie

unoszące się na falach. Samotny powrót do Versathis, dziczejący ogród i ona sama w żałobie. Potrząsnęła głową. „Co ja wyprawiam?” Stała przy burcie i palcami wczepiła się w reling. „Wszystko musi skończyć się dobrze” – próbowała przekonać samą siebie.

– Trudno wytrzymać to czekanie – zabrzmiał tuż koło jej ucha cichy szept Chamomilli.

– Nie daję sobie rady. – Szklarka usiłowała mówić rzeczowym tonem, ale głos zdradliwie jej się załamał już przy pierwszym słowie. Nie chciała znowu płakać.

– Ciągłe wyobrażam sobie jakieś straszne rzeczy. Że Mori nie żyje albo że Scaber ginie. Nie potrafię tego powstrzymać!

– Mnie też coś takiego dopada – przyznała Chamomilla, podając Szklarce chusteczkę. – Na szczęście nauczyłam się szybko przerywać takie chore myślenie. A wiesz, co mi pomaga podtrzymywać nadzieję na to, że uda nam się odzyskać dzieci?

– Kert?

Chamomilla parsknęła krótkim śmiechem i przez chwilę na jej twarzy zagościł taki jak dawniej wyraz niezmaconej niczym pogody.

– Nie, nie Kert. Świadomość, że Mori jest z moimi dziewczynkami.

– Jak to?

Chamomilla wzruszyła ramionami.

– Nie umiem tego uzasadnić, ale mam głębokie przekonanie, że Mori poradzi sobie z instruktorkami. To, co mi o niej opowiadałaś, jak szybko się uczy i jak jest w stanie powstrzymać wylewającą się herbatę, i to, że była w stanie przesłać nam myślą obraz wyspy... No przecież wiesz, o co mi chodzi. To dziecko ma w sobie moc.

– Czasami mam wrażenie, że zapominasz, jaką mocą dysponują instruktorki. I jak są bezwzględne.

– A ty zapominasz, że mieszkałam wśród nich znacznie dłużej niż ty.

– Zabiły moją matkę.

– I nie dosięgnęły ciebie. Nie mogły zniszczyć wyspy Nut. Nie są w stanie uchronić się przed wpływem herbaty szczęścia.

– Mgła je chroni.

– Do czasu. Zobacz! – Wskazała na bardziej zatłoczoną część pokładu, gdzie balon w kolorze nieba nabierał coraz wyraźniejszych kształtów.

Kert zacierał ręce. Zauważył, że Chamomilla patrzy na niego, i uśmiechnął się z zadowoleniem. Cecil zabezpieczał przed połamaniem dwie sadzonki herbaty szczęścia, które razem z ludźmi miały podróżować na wyspę. Kastor, oparty o burtę, zastanawiał się, czy bardziej jest zawiedziony czy zadowolony z tego, że nie będzie wchodził w skład załogi balonu. Oczywiście powietrzny przelot byłby wspaniałym tematem do opowiadania zarówno Otlinie, jak i babce (byłby pierwszym podróżującym balonem mężczyzną z rodu Casteynel). Z drugiej strony, ta gondola wyglądała naprawdę bardzo mizernie. Nieustannie miał skojarzenia z koszem, w jakim służące noszą pranie. Jeśli prawdą jest to, co

mówił Ross, że mgła jest tak zbita i twarda, że mogłaby rozbić łódź, to zetknięcie się z nią bezbronno ludzkiego ciała wypadającego przez dziurę w wiklinowej pleciance, nie wróży szczęśliwego zakończenia. Spojrzał w stronę kłębiących się złowrogich oparów przysłaniających wyspę. Przetarł oczy ze zdumienia.

– Ross! Ross! Scaber! Ludzie! Przestańcie pompować ten balon! Mgła znikła! Usłyszeli go w końcu. Z niedowierzaniem podeszli do burty i patrzyli na skrzące się w słońcu piaski wyspy Targisz.

17.

Mori miała wrażenie, że Avenida prowadzi ich na skróty. Szedł szybko, mamrocząc coś pod nosem, a oni następowali mu na pięty. Nie mieli nawet czasu rozglądać się na boki, nie wiedzieli więc, przez jakie książki przechodzą. Minęło zaledwie kilka minut i kilka krętych korytarzy pełnych rozgałęzień, a już byli na miejscu.

– To wasze wyjście. – Fałdziste zmarszczki ich przewodnika ułożyły się w coś na kształt uśmiechu. – Powodzenia. A ja wracam do pracy. Mam nadzieję, że deszcz, który wywołałaś, panienko, zdążył wyparować.

– Dziękujemy panu! – powiedzieli jednocześnie i razem przekroczyli łukowaty portal.

A potem Mori przeraźliwie wrzasnęła. Tylko raz. Obronnym ruchem wyciągnęła przed siebie donicę z herbatą szczęścia. Nie było to konieczne. Widniejąca tuż przed nią, wykrzywiona grymasem wściekłości twarz Ellix poszarzała i w mgnieniu oka pokryła się gęstą siecią głębokich zmarszczek, jak szyba uderzona kamieniem. Włosy zrobiły się zupełnie białe. W następnej chwili cała postać instruktorki rozsypała się w pył. Mori jak zahipnotyzowana patrzyła na pozostałe siedem kobiet. Stały naprzeciw niej w zupełnym bezruchu. Bez słowa. Ich twarze, z każdą sekundą coraz starsze, nie wyrażały żadnych uczuć. Ich ciała traciły stabilność i osuwały się na ziemię, zamieniając się po drodze w siwy popiół.

– Czy to są odstępczynie? – spytał szeptem Arxt.

– Były – odpowiedziała głucho Mori. – Nie miałam pojęcia, że od razu zginą.

– Pokonałaś je! Myślisz, że to już wszystkie? – Chłopiec rozejrzał się czujnie dookoła.

– Tak. Jestem pewna – szepnęła, nie odrywając wzroku od ośmiu kopczyków białawego pyłu.

Instruktorki były złe, były potworami, ale ich nagła, cicha śmierć wstrząsnęła dziewczynką do głębi. Spojrzała na trzymaną w rękach herbatę szczęścia i upuściła ją na podłogę. Gliniana doniczka rozbiła się z głuchym stukotem. To przeze mnie zginęły. Przełknęła ślinę. Czuła wzbierające pod powiekami łzy. Tak bardzo brakowało jej mamy.

Arxt nie wyglądał na szczególnie przejętego.

– Teraz tylko muszę znaleźć gong, którym obudzę mój lud i wtedy cała wyspa wróci do naszego świata – oznajmił zarumieniony z podniecenia.

Mori, zatopiona w myślach, nie zwracała na niego uwagi. Po chwili jednak dotarł do niej sens wypowiedzianych słów.

– Możesz powtórzyć to, co przed chwilą powiedziałeś?

– Mówiłem, że jak tylko uderzę w srebrny gong, mój lud się obudzi i wyspa Targisz, a właściwie Cthulath, znajdzie się tam, gdzie od wieków było jej miejsce.

– Ale poczekasz chyba, aż ja i jeszcze kilka dziewcząt ją opuścimy?

– Tego nie było w przepowiedniach. Muszę wykonać wszystko dokładnie tak, jak mi nakazano, gdy pogrążałem się w tysiącletnim śnie. Nie było tam mowy o żadnych dziewczynkach.

– A o Dziecku Przeznaczenia? Że masz mu umożliwić powrót do rodziny?

Arxt przecząco pokręcił głową.

– Nie – powiedział krótko, cały czas rozglądając się na wszystkie strony.

– Ale ja nie chcę żyć w waszym świecie! – tupnęła nogą dziewczynka. – Chyba należy mi się jakaś wdzięczność za to, co zrobiłam!

– Oczywiście, że tak – mruknął z roztargnieniem Arxt. – Mistrzowie z pewnością cię wynagrodzą. Pewnie otrzymasz własny pałac i służbę. A za jakiś czas, kto wie, może nawet zostaniesz księżną. Jak wyjdiesz za mnie za mąż.

– Co?! Ty chyba oszalałeś! Nigdy w życiu nie wyjdę za mąż za takiego...

W tym momencie zobaczyła gong. Leżał na dnie fontanny. Był zadziwiająco mały.

– ...egoistę – dokończyła, zasłaniając sobą zbiornik.

– Gdzie on może być? – zastanawiał się głośno Arxt, stukając palcem wskazującym w czubek nosa.

– Może wsadzili ci go pod poduszkę, tam, gdzie księgę Avenidów – zasugerowała obojętnym głosem Mori.

– A wiesz, to jest możliwe – ucieszył się chłopak, podchodząc do łoża. – Jak nie pod poduszką, to gdzieś głębiej.

Zaczął przerzucać pościel.

Mori zanurzyła rękę w wodzie i ostrożnie wyjęła srebrny gong. Przycisnęła go do siebie, stając jednocześnie plecami do chłopca.

– Hej! Nie mogłabyś mi pomóc? – zabrzmiał zniecierpliwiony głos Arxta.

– Mowy nie ma – odburknęła. – Wychodzę. Mam nadzieję, że zanim znajdziesz ten przeklęty gong, ja zdążę opuścić wyspę razem z pozostałymi dziewczętami.

– Nigdzie nie odchodź! – krzyknął za nią.

Nie miała zamiaru go słuchać. Wybiegła do sąsiedniego pomieszczenia. Z ulgą zobaczyła solidne schodki i poszarpany otwór wjazdu. Nie było ich wtedy, gdy coś wciągnęło ją w głąb Oka Pustyni. Wspięła się na górę i zamarła na chwilę, oślepią promieniami słońca odbitymi od szklanych ścian lejkowatego zagłębienia, w którym się znalazła. Zbocza dołu były tak śliskie, że nie dało się po nich wspiąć. Mori rozglądała się bezradnie. W jednym miejscu była wąska

półka, na której mogła postawić stopy. Znajdowała się jednak zbyt nisko. Żeby wydostać się na górę, Mori potrzebowała jeszcze kilku stopni. Popatrzyła na stopione drobinki piasku i próbowała wpłynąć na ich strukturę. Chciała rozluźnić je na tyle, żeby w krystalicznej ścianie utworzyło się zagłębienie. Wymagało to ogromnej koncentracji. Aż się spociła z wysiłku, cały czas podświadomie oczekując, że Arxt lada chwila odkryje kradzież. Czuła, że cząsteczki zaczynają poddawać się jej woli. Jedno zagłębienie już jest. Drugie trzeba zrobić wyżej. Och, ależ to powoli idzie. Oceniała wysokość ściany. Przydałby się jeszcze trzeci występ na górze.

Wsadziła gong za dekolt sukienki i palcami wczepiła się w wydrążoną przed chwilą niszę. Auć! – syknęła. Ściany leja parzyły, mimo że wspinała się po zboczu, na które nie padały bezpośrednio słoneczne promienie. Oddarła od sukienki nadprutą falbanę i pomagając sobie zębami, owinęła dłonie. Teraz lepiej. Chwyciła ręką krawędź zagłębienia, wstawiła stopę w drugą szczelinę i dźwignęła ciało do góry. Było tak gorąco, że aż kręciło jej się w głowie. Wbiła wzrok w miejsce, gdzie powinna powstać trzecia nisza. Skupiła na nim całą siłę woli. Bała się, że nie zostało jej zbyt wiele czasu. Arxt lada chwila domyśli się, co stało się z gongiem. Drobiny piasku zaczęły się osypywać. Dobrze. Zaczepiła dłonią o nowo powstały występ. W tej samej chwili usłyszała dobiegający z podziemnych pomieszczeń wściekły wrzask.

– Złodziejka!!! Natychmiast oddaj gong!

– Niedoczekanie twoje – wymamrotała przez zaciśnięte zęby, sięgając wolną ręką do krawędzi leja. Była tak ostra, że przecięła materiał, który miał chronić jej dłonie. Krew pokapała na piasek. Mori przypomniała sobie, jak opatrywała Arxtowi skaleczoną rękę.

– Ty draniu – wymamrotała z goryczą.

18.

W północnej części El Karum, w miejscu, które nie należy już do Dolnego Miasta, ale o którym nie można również powiedzieć, że znajduje się w dzielnicy zamieszkiwanej przez pandacha i inne osobistości, stał dom. Był to budynek nieduży, ale bardzo elegancki, pokryty złożonymi płaskorzeźbami. Jego właściciel mieszkał samotnie i rzadko, bardzo rzadko opuszczał swoją siedzibę. Dwóch dochodzących służących robiło dla niego zakupy, gotowało i sprzątało. Kazał się nazywać Hasnu Ar, ale nie przypominał Drusza. Ze swoją bladą cerą i wodnistymi oczami wyglądał na mieszkańca krajów północy. Nikt nie wiedział, skąd czerpie dochody, ani czym się zajmuje. Przez większą część dnia przesiadywał w komnacie odgradzonej od reszty domu masywnymi drzwiami wyrzeźbionymi w czarnym hebanie. Służący mieli zakaz przekraczania progu tego pomieszczenia. Gdyby mogli tam zajrzeć, zobaczyliby ustawione wzdłuż ścian dziwne czarne skrzynki. Po powierzchni jednych prześlizgiwały się zygzakowate świetliste linie, w innych ukazywał się świat: domy, ulice, a nawet

wpływające do portu statki. Dzięki jednej ze skrzynek można się było nawet dowiedzieć, co się dzieje w pałacu pandacha.

Dzień i noc czarne skrzynki przekazywały obrazy. Nieprzerwanie. Przez około osiemset lat, a może i dłużej. Ich aktywność splatała się nierozzerwalnie z ciągnącym się przez stulecia życiem Hasnu Ara. Ale tego dnia, dokładnie o godzinie dziewiątej dwadzieścia, wszystkie obrazy znikły. Zygzakowate rozbłyski również. I nawet małe czerwone światełka u podstawy czarnych skrzynek. Hasnu Ar, przez nieliczne osoby (a konkretnie przez pewne osiem kobiet) nazywany Hesnarem, zmarł w swoim wielkim, wyściełanym purpurowym aksamitem fotelu. „A więc to już” – pomyślał.

Zostały mu dwie minuty, żeby dopełnić tego, co przed wiekami zostało ustalone. Sięgnął pod największą skrzynkę i wymacał obły kształt dźwigni. Objął ją kościstą dłonią i z całej siły pchnął do samego dołu. To wszystko. Opadł z powrotem na fotel, a głowę oparł o zagłówek. Patrzył, jak jeden po drugim, czarne ekrany eksplodują z cichym „puff”. Ostatnią jego myślą było, że to wszystko dzieje się na pewno z powodu dziwnej ciemnowłosej dziewczynki, którą sprowadził na Targisz kilka tygodni temu. Było w niej coś...

Kiedy Bigar i Her-Boret zjawili się jak co rano o tej porze przed domem Hasnu Ara, od razu wyczuli, że coś jest nie w porządku. Dom nie wyglądał tak jak zawsze. Złocenia straciły swój blask, płaskorzeźby przedstawiające ptaki i kwiaty kruszyły się i odpadały od fasady na ich oczach. Smukła wieżyczka, pełniąca wyłącznie funkcje dekoracyjne, roztrzaskała się u ich stóp. Odskoczyli w tył i spojrzeli po sobie zdziwieni, bo stało się to w zupełnej ciszy, jakby biały marmur, z którego ją zrobiono, zderzył się z miękką poduszką a nie twardym brukiem El Karum.

Potem zaczęły osuwać się ściany. Bardzo powoli, jakby były mdlejącymi damami. Nie było słyhać żadnego łoskotu towarzyszącego zwykle walącym się domom. Dwaj służący czekali do końca, aż cały dom zamieni się w gruz, a gruz w sypki pył podobny do popiołu. Podobno ich pan był bardzo bogaty. Podobno w swoim tajemnym pokoju trzymał skrzynie ze skarbami... Podeszli ostrożnie do kupki pyłu. Bigar trącił ją nogą i wzruszył ramionami. Spojrzał na swego towarzysza. Nie rozumiał, dlaczego tu przyszli. Z ulgą przyjął śpiewne nawoływania ulicznego sprzedawcy herbaty.

– Chodź, napijemy się – powiedział.

Odeszli, nie oglądając się. W ich pamięci nie pozostał żaden ślad po człowieku zwanym Hasnu Ar.

19.

Kolejna noc nieprzespana. Kolejna noc, kiedy przemierzał wszystkie komnaty i korytarze zamku, próbując zrozumieć, kto to mógł zrobić. I w jaki sposób? Jego zauroczenie Pepperią wygasło dość szybko. Uczciwie przed sobą mógł przyznać, że jej nie kochał. Mimo to była jego żoną, księżną Shadd, i z tego

powodu nie potrafił pogodzić się z myślą że sprawca jej śmierci dotychczas nie został ujęty.

Pozwolił koronerowi na przebadanie ciała Pepperii, choć pewnie jego przodkowie na wieść o tym przewracają się w grobach. Pozwolił królewskiej policji przeszukać cały zamek i przeprowadzić śledztwo wśród służby. Nic to nie dało. Przede wszystkim tajemnicza pozostała sama przyczyna zgonu. Koroner nie znalazł śladów działania jakiegokolwiek znanej trucizny. „Przykro mi wielmożny księżę” – powiedział podczas ich ostatniego spotkania. – „Dla mnie też śmierć wielmożnej księżnej pozostanie zagadką. Po bardzo dokładnych oględzinach jej ciała stwierdzam, że tylko jakaś tajemnicza trucizna może tu wchodzić w grę. Ja jednak wykryć jej nie potrafię”.

Odbył się pogrzeb, na którym zjawili się przedstawiciele wszystkich co znaczniejszych rodzin. Podniecone szeptami wypełniały zamkową kaplicę. Nikt nie żałował Pepperii, za to wszyscy zainteresowani byli tajemniczymi okolicznościami, w jakich odeszła z tego świata. Tylko marszałek Thunbereng wydawał się szczerze zasmucony. Długo stał nad grobem, posiwiwały, przygarbiony i samotny. Thea Sedun, jego starsza córka, była już w tym czasie gdzieś, w dalekich krajach, szukając zaginionej córki.

Pchnięte tym wspomnieniem myśli księcia Shadd powędrowały ku odległemu już w czasie przyjęciu. Ciągle nurtowało go przekonanie, że śmierć jego żony, zniknięcie córki Sedunów i bal wydany rzekomo na cześć marszałka są ze sobą jakoś powiązane. Od tamtego wieczoru zachowanie Pepperii uległo pewnej zmianie. Całymi godzinami przebywała w swoim pokoju, dałby głowę, że głównie siedziała przed lustrem, pielęgnując urodę. Efekty tych zabiegów były olśniewające. Gdyby w ciągu tych kilku lat małżeństwa nie poznał do głębi paskudnego charakteru Pepperii, mógłby się w niej na nowo zakochać.

Odruchowo skierował kroki do komnaty, w której znaleziono ją martwą. Zakazał tam wchodzić służbie, zakazał sprzątać i przestawiać rzeczy. Wszystko miało pozostać tak, jak stało ostatniego dnia jej życia. Otworzył drzwi i znalazł się w utrzymanym w błękitnej kolorystyce pokoju żony. Usiadł przed lustrem, w jej ulubionym fotelu wyściełanym szafirowym aksamitem. Poranne słońce wpadało przez szerokie nowoczesne okna, jakie Pepperia kazała zainstalować w tym skrzydle. Złociste promienie igrały na dziesiątkach flakoników i puzderek z kosmetykami i perfumami i zapalały tęczowe iskry w kryształowych krawędziach ozdobnych naczynek. Aż tyle tego było jej potrzebne! Nic dziwnego, że pielęgnowanie urody zajmowało jej tak dużo czasu. Sięgnął po pierwszy z brzegu flakonik z ametystowego szkła i rozpylił w powietrzu chmurę perfum. Ten zapach chyba lubiła najbardziej – lekko cytrynowy, pomieszany z czymś cięższym, egzotycznym. Pamiętał tę woń. Odstawił flaszkę na toaletkę, trącając ją okrągłe, gładkie naczynko z alabastru. Promień słońca padł na jego powierzchnię i oświetlił delikatny roślinny ornament wyrzeźbiony na wieczku. Księżę pochylił się, żeby lepiej mu się przyjrzeć, i w tym momencie naczynie bezgłośnie eksplodowało. Z niedowierzaniem patrzył na kupkę białego pyłu

leżącego na toalecie. Wybuchająca maść! Podeszedł do filigranowego biurka Pepperii i wyjął stamtąd kopertę. Chciał przesypać do niej podejrzany proszek, żeby dać go do zbadania królewskim chemikom. Może nareszcie znalazł substancję odpowiedzialną za śmierć żony. Jednak kiedy z powrotem stanął przed toaletką, zapomniał zupełnie, co chciał zrobić. Ostatni raz obrzucił wzrokiem rzędy drogocennych kosmetyków i wzruszył ramionami. Jutro każe to wszystko uprzątnąć. A może nawet dzisiaj.

20.

Słońce stało już wysoko, kiedy maszerowały dziarsko alejką drzewek pomarańczowych. Powietrze było rześkie i niezwykle przejrzyste. Nie czuło się w nim tej upalnej duchoty, jaka dawała się wszystkim we znaki przez ostatnie dni.

– Dziś jest jakoś inaczej, prawda? – zagadnęła Arta. – Jakoś weselej.

– To chyba wolność – stwierdziła Helia. – Nie było gongu na śniadanie, więc raczej możemy być pewne, że instruktorki na dobre nas opuściły.

– Na samą myśl o tym wstępują we mnie nowe siły – skinęła głową Joven.

– Może tamte dziewczyny też poczują się lepiej? – spytała z nadzieją Mitrail.

– Na pewno! Zwłaszcza gdy nakarmimy je bananami! – roześmiała się Fry.

– Nawet ptaki głośniej dzisiaj śpiewają – zauważyła Cragne.

Rzeczywiście, cała dżungla aż drżała od przenikliwych gwizdów, tryli i świergotów. Stado kolorowych papug przeleciało nad drogą. Roje kolibrów uwijały się wokół kwiatowych kielichów.

– Zobaczcie, jakie dziwne roślinki! – zawołała Wija. – Nigdy ich tu nie widziałam.

Dziewczęta spojrzały we wskazanym kierunku. Tuż przy drodze wyrastała kępa grubych łodyg pokrytych purpurowymi i jasnoróżowymi listkami o kształcie rombów.

– Wczoraj na pewno ich tu nie było – stwierdziła z przekonaniem Fry.

Przykucnęła, żeby się lepiej przyjrzeć.

– Wiecie co, potem je sobie pooglądamy – zniecierpliwiała się Joven. – Teraz musimy nakarmić tamte nieszczęśnice.

Mieszkanki czterech dormitoriów znajdowały się o dziwo na zewnątrz. Siedziały na kamiennych ławeczkach ustawionych pod ścianami budynków i apatycznie patrzyły przed siebie. To, że już nie spały, Joven uznała za dobry znak.

– Nie było śniadania – powiedziała na przywitanie przeraźliwie chuda blondynka.

– Tak – potwierdziła z promiennym uśmiechem Helia. – Wygląda na to, że instruktorki dały nam spokój.

– I możemy robić to, co chcemy – dodała Arta, rozdając banany.

– Mamy zamiar przeszukać dziś całą wyspę i sprawdzić, czy nie ma tu ukrytej

jakiejś łodzi – wyjaśniała Fry, rozdzielając drugą kiść.

Dziewczęta z Targisz pożywiały się w milczeniu.

– Nie damy sobie rady bez instruktorek – powiedziała któraś.

– Ohohoho. – Wija złapała się za głowę i przewróciła oczami. – „Nie damy sobie rady bez instruktorek” – przedrzeźniała. – Spójrzcie na siebie! Wyglądacie jak chodzące szkielety. Nie wiem dlaczego, ale zapewne właśnie na skutek opieki tych pań. Jeden dzień bez nich i przynajmniej o własnych siłach zdołałyście wyjść z sypialni.

– Z głodu nie umrzecie – dodała Joven. – Na drzewach są całe masy owoców. I na pewno znajdziemy jakąś dobrą wodę, która zastąpi to paskudztwo w kranach.

– A oto dla urozmaicenia pyszne figi i mango! – Fry i Arta zasmakowały w łażeniu po drzewach i zaopatrywaniu całej grupy w żywność. – Bierzcie! – Rzuciły wszystko pod nogi Joven. – Zaraz idziemy rwać następne.

Miały podrapane ręce, ich stroje zwisały w malowniczych strzępach, ale na twarzach malował się niepokonany entuzjazm.

– Poczekajcie! – Craigne uniosła w górę dłoń.

W jej głosie brzmiało napięcie.

– O co chodzi? – spytała łagodnie Joven.

– Tutaj dzieje się coś dziwnego – odpowiedziała Craigne. – Rozejrzyjcie się wokół. Popatrzcie na trawę, na kwiaty, na całą przyrodę.

Rozejrzały się uważnie, nie rozumiejąc początkowo, o co chodzi.

– Nic nie... – zaczęła Arta i dokończyła zupełnie innym tonem. – Ojej! Wszędzie wyrastają różowe trawki!

– I jakieś krzewy o żółtych liściach!

– A tamto drzewo jest zupełnie purpurowe!

Dżungla traciła swoją soczystozieloną barwę. Wydawało się, że z minuty na minutę przybywa tu roślin o zupełnie innym zabarwieniu. W dodatku wyglądało na to, że nowe okazy zagłuszają miejscową roślinność.

– Co to znaczy? – wyszeptała Mitrail.

Joven usiadła wprost na trawie. A wszystko szło tak dobrze! Miała już plan. Gdyby nie znalazły łodzi, mogły rozbić obozowisko nad morzem, ułożyć wielki stos z gałęzi i go podpalić. Ognisko musiałoby być wielkie, takie, żeby dostrzegł je każdy przepływający statek. A teraz coś niezrozumiałego działo się z wyspą. Purpurowe rośliny to jeszcze nic. Gorzej, jak zaczną się tu pojawiać jakieś dziwne zwierzęta, takie jak ten odrażający jaszczur wtedy, w nocy. Wstrząsnęła się. Potem spojrzała na swoje przybrane siostry.

– Czy ktoś ma jakiś pomysł? – spytała cicho.

– Przecież nic złego jeszcze się nie stało. – Fry w zakłopotaniu potarła piegowaty nos. – Myślisz, że te różowe trawki i inne rośliny są niebezpieczne?

– Nie wiem, Fry – przyznała szczerze Joven. – Mam jednak przeczucie, że powinniśmy jak najszybciej opuścić wyspę.

– Czyli szukajmy łodzi! – wykrzyknęła Wija.

– Myślę, że powinna być ukryta gdzieś nad brzegiem morza. – Helia szarpała

zdenerwowana swój jasny warkocz.

– Więc chodźmy tam! – zawołała Fry.

– Od morza oddziela nas pustynia – odezwała się zniecka jedna z miejscowych. – Bez zapasów wody nie zdołacie dotrzeć na wybrzeże.

Joven objęła rękami kolana i przymknęła oczy. „Dlaczego jestem najstarsza? Dlaczego oczekują, że podejmę decyzję? Przecież ja nie wiem, co robić? I jeszcze jedno... Żadna mała łódź nie pomieści czterdziestu ośmiu osób. I żadna z nas nie zna się na nawigacji. Mówienie o opuszczeniu wyspy po prostu nie ma sensu. Roją nam się w głowach pomysły z książek o samotnych rozbitkach. Musimy tu zostać i czekać na pomoc. A jeśli nie nadejdzie...”. Podniosła głowę i obrzuciła polanę pełnymi łez oczami. Trawa widziana przez ich drżącą zasłonę wydawała się różowym dywanem.

– Nie damy rady same wypłynąć – powiedziała głucho. – Zginęłybyśmy na morzu. Musimy zostać tutaj. Może Chamomilla w końcu nas znajdzie.

– Ale przecież sama powiedziałaś, że powinniśmy opuścić wyspę! – Laszti wpatrywała się w nią szeroko otwartymi czarnymi oczami.

– Wiem, że tak mówiłam... Ale potem zdałam sobie sprawę, że to niemożliwe. Która z was zna się na żeglowaniu? Która potrafi ustalić właściwy kurs? Kto wie, jak według gwiazd i jakichś tam jeszcze przyrządów określić pozycję łodzi na morzu? Przecież nawet nie mamy pojęcia, gdzie znajduje się najbliższy stały ląd! – To ostatnie zdanie wykrzyczała. Nie ocierała łez płynących po policzkach. Na polanie zapadło milczenie. Dziewczęta patrzyły po sobie zmieszane i wystraszone.

– Mori dałaby sobie radę – wyszeptała w końcu Arta, machinalnie skubiąc różowe źdźbła trawy...

21.

Poraniona ręka piekła, ale nie było czasu na rozczulanie się nad sobą. Mori wydostała się na skraj leja i stanęła na nogi. Obejrzała się za siebie. We włązie widniała rozzłoszczona twarz księcia Xatl.

– Nie masz prawa zabierać gongu! To święta relikwia naszego narodu!

– Zwróć ci go, jak będę miała możliwość opuścić tę przeklętą wyspę. Ja i reszta dziewcząt!

– Nie zgadzam się! Ja tu rządzę!

– Akurat!

Schyliła się i nabrała garść piachu. Bezlitośnie sypnęła nią w oczy Arxtowi. Wrzasnął.

Trzeba uciekać. Dokąd? Nad morze czy do centrum wyspy, tam gdzie są dziewczęta? Przede wszystkim należy się ukryć przed maniackim księciem, który chwilowo unieruchomiony, pluł i prychał piachem. Posłała mu jeszcze jedną porcję pustynnego pyłu i dopiero potem rozejrzała się wokół. Omiotła spojrzeniem płowe wydmy i nagle wydała z siebie okrzyk dzikiej radości. Na

piasku, jak cudowny i niespodziewany dar, stało latające jajo. Wyciągnęła spod sukienki zsuwający się gong i przycisnęła go do piersi. Potem wskoczyła do środka pojazdu i kazała maszynie wznieść się nad pustynię. Zdecydowała, że najpierw sprawdzi, co dzieje się z dziewczętami. Umościła się wygodnie w fotelu i spojrzała w kierunku falującej na wietrze linii lasu. Poleciała ponad drzewami, wyszukując wzrokiem rozsiane w centrum dżungli polany. Na jednej z nich zgromadzone były wszystkie dziewczęta. Aha – pomyślała i zwróciła głowę w stronę, gdzie powinno być morze. Nastawiła wzrok na dalekie widzenie. Pierwszym, co rzuciło jej się w oczy, był fakt, że mgła zniknęła. A zaraz potem zobaczyła kołyszący się na falach statek. Nazwa wypisana była złotymi, ozdobnymi literami. „Roxilona” – odczytała z bijącym sercem.

Łzy radości zamazały jej widok. Wiedzioną pierwszym impulsem chciała skierować maszynę w kierunku wybrzeża. Powstrzymał ją jakiś nieokreślony niepokój. Czowała, że coś jest nie w porządku. Jeszcze raz obrzuciła wzrokiem całą okolicę. I zrozumiała.

Piaski pustyni pokrywały się z wolna różowawym mechem traw. Dżungla straciła swój soczysty zielony odcień i skłaniała się ku odcieniom purpury i żółci. Trzeba się spieszyć. Nawet bez tego przeklętego gongu wyspa wraca do pierwotnej postaci. Co będzie, jeśli potrafi znaleźć się w swoim świecie bez pomocy Arxta? Te trawy rosną w oczach. Rzuciła tęskne spojrzenie w stronę statku. To musi poczekać. Najpierw trzeba przewieźć dziewczęta na brzeg. Ciekawe, ile osób tutaj się zmieści?

Kazała maszynie lecieć na polanę w dżungli. Z niepokojem patrzyła na żółte pnącza o jaskrawozielonych kwiatach duszące w nieubłaganym uścisku stare, pocziwe figowce. Smukłe drzewka o trójkątnych fioletowych listkach strzelały w niebo, torując sobie drogę w gęstym poszyciu dżungli.

Polanka, na której stały budynki... A raczej już nie stały. Mori widziała z góry, że dormitoria obróciły się w niewielkie kupki gruzu. Dziewczęta, zbite w gromadkę na środku trawiastej (różowej!) przestrzeni, patrzyły na to, co jeszcze kilka minut temu było ich domami.

Wybrała miejsce do lądowania jak najbliżej ściany lasu. Maszyna miękko osiadła na trawie. „A co będzie, jeśli i ona się rozpadnie?” – pomyślała z lękiem Mori. Należała przecież do instruktorek. Wysiadła z pojazdu. Na razie nic się z nim nie działo. Wyszła z cienia, jaki rzucały drzewa. Dziewczęta jeszcze jej nie zauważyły. Serce jej się ścisnęło ze wzruszenia. Nareszcie znajome osoby. Nareszcie prawdziwi ludzie spowici chmurami kolorów wyrażających emocje. Tego nie miał ani Arxt, ani Avenida.

– Hej! Witajcie! – zawołała niegłośnie. – Przyleciałam po was. Wracamy do domu.

Fry usłyszała ją pierwsza. Jej piegowata twarz zastygła na moment w wyrazie krańcowego zdumienia. A potem...

– Mori! Ty żyjesz! Joven! Arta! Tu jest Mori!!!

Otoczyły ją ciasnym wianuszkiem. Dotykały jej włosów, rąk, sukienki, jakby

chciały się upewnić, że nie jest żadną zjawą.

– Mori – wyszeptała Joven ze łzami w oczach – byłam przekonana, że ty... że instruktorki zrobiły ci coś złego.

– Bardzo chciały – uśmiechnęła się cierpko Mori. – I kilka razy prawie im się udało.

– Jak ty sobie przez ten cały czas dawałaś radę? – Laszti z troską pogłaskała ją po ramieniu.

Mori potrząsnęła głową.

– Nie mamy czasu na opowieści. Ta wyspa może lada chwila zniknąć z naszego świata. Musimy ją jak najszybciej opuścić.

– Ale jak? – rozłożyła ręce Helia. – Nie mamy żadnej łodzi... Zresztą, rozmawialiśmy już o tym między sobą. Żadna z nas nie zna się na żeglarstwie...

– wrzuciła ramionami – sama wiesz.

– No to mam dla was niespodziankę – uśmiechnęła się szeroko Mori. – Całkiem niedaleko brzegów wyspy stoi na kotwicy piękny statek, o dźwięcznej nazwie „Roxilona”.

– Ta „Roxilona”? – spytała z niedowierzaniem Wija. Jej zielone oczy błyszczały jak dwa szmaragdy.

Wszystkie córki Chamomilli ze szczegółami pamiętały opowieść o wyprawie Szklarki po herbatę szczęścia, znały więc również nazwę statku, który wiozł ją na wyspę Nut.

– Ta „Roxilona” – potwierdziła z dumą Mori.

Joven patrzyła na nią z mieszaniną zachwytu i zazdrości. „Skąd w tej drobnej dwunastolatce tyle siły i optymizmu? Chciałabym taka być. Odważna i nieustraszona. A jednocześnie traktować wszystko, co mnie spotyka, jak świetną przygodę, a nie jak ciężki bój na śmierć i życie”.

– Myślisz więc, że to może być pomoc? Że przyłynęli specjalnie po nas?

– Jestem pewna.

Dziewczęta z Targisz apatycznie przysłuchiwały się tej wymianie zdań. Po twarzach niektórych przemknął cień niepokoju.

– Nie damy rady przejść przez pustynię – powiedziała jedna ze starszych.

– To prawda – potwierdziła półgłosem Mitrail. – Są bardzo wycieńczone.

– Widzę – kiwnęła głową Mori, patrząc na wychudzone postacie powleczone ledwo widoczną warstewką spłowiałego koloru. – Ale nie martwcie się. Nie będziecie musiały wędrować na piechotę. Mam wspaniały pojazd!

Królewskim gestem wskazała miejsce, gdzie spoczywało latające jajo.

Dziewczęta popatrzyły w tamtym kierunku, a potem wymieniły zdezorientowane spojrzenia.

– Mori. – Joven przygryzła wargi w zakłopotaniu. – Tam nic nie ma.

Mori obejrzała się w popłochu. Czyżby latająca maszyna znikła? Nie. Była tam, gdzie ją zostawiła, w cieniu rozłożystego figowca i... czegoś jeszcze, co miało ciemnofioletowe liście w kształcie korkociągów. Wstrząsnęła się z obrzydzenia. Nie podobały jej się okazy botaniczne ze świata Xatl. Odwróciła się do

patrzących na nią pytająco dziewcząt.

– Zapomniałam, że nie możecie jej zobaczyć – uśmiechnęła się krzepiąco. – Ale ona tam jest, zapewniam was. Trzeba tylko sprawdzić, ile osób zmieści się w środku. Pewnie będę musiała obrócić kilka razy. Chodźcie! Na początek Joven i Arta, i osiem z was – zwróciła się do miejscowych.

Nie ruszyły się.

– Joven – wyszeptała – ty wyznacz, które mają jechać. Weź te najslabsze.

– Może powinnam zostać? – Joven miotła się pomiędzy radością a poczuciem winy. – Niech jadą młodsze.

– Nie. Chcę, żebyś opowiedziała wszystko tym, którzy po nas przyplłynęli. Musisz wyjaśnić, że jest dużo osób do zabrania i że mają czekać, aż dowiozę wszystkie. Ja nie będę miała czasu na tłumaczenia. Ta wyspa coraz bardziej ucieka w inny świat.

Mimowolnie przycisnęła do siebie srebrny gong.

– Ale jak mamy wejść do czegoś, czego nie widać? – spytała Arta żałośnie.

– Pomogę ci, daj rękę.

Podeszły razem do latającej maszyny. Mori przytknęła dłoń Arty do kadłuba.

– Czujesz?

– Tak... – Arta z zaciekawieniem obmacywała nieznany kształt. – To jest bardzo gładkie i śliskie. Jak szkło.

– Tu jest krawędź – pokazała Mori. – Przesadź przez nią nogę. O! Właśnie tak. Tam w środku są fotele. Siądź na którymś.

Fry i Wija zaniósł się niepowstrzymanym chichotem.

– To strasznie śmiesznie wygląda! Jakbyś siedziała w powietrzu!

Joven wybrała grupkę dziewcząt. Potykając się, zajmowały miejsca w maszynie.

– Może zmieszczą się jeszcze ze dwie... – zastanowiła się na głos Mori.

Niektóre są tak wychudzone, że maszyna nie powinna odczuć nadmiernej różnicy – pomyślała.

– Nie ma już wolnych foteli – powiedziała głośno.

– Siadajcie więc po dwie na jednym albo umieście się jakoś na podłodze.

Weszła jako ostatnia. Odwróciła się do tych, które zostawały na polanie.

– Nie martwcie się. Niedługo będę z powrotem. Maszyna uniosła się w górę. Mori odetchnęła z ulgą.

Bała się, że przy takiej liczbie osób pojazd zaprotestuje. Dziewczęta ściśnięte na fotelach krzyknęły zaskoczone.

– Będziemy lecieć... w powietrzu? – wyszeptała zdumiona Joven.

– Tak, moje drogie – odpowiedziała Mori z dumą.

– Leć prosto nad morze – rozkazała maszynie.

– Ja zwymiotuję – jęknęła Arta. – Mam lęk wysokości!

– Zamknij oczy – poradziła jej Mori. – A przynajmniej nie patrz w dół.

Dziewczęta, które zostały na polanie, zastygły zdumione z twarzami zwróconymi ku niebu.

– Poleciały nad dżunglą – jęknęła Fry, zbyt zdumiona, żeby dodać coś więcej.

Widok był rzeczywiście niezwykły. Trzydzieści dziewcząt zastygłych w pozycjach sugerujących, że na czymś siedzą, wzniosło się nagle w powietrze. Ich nogi znalazły się ponad koronami drzew.

– Och, ta Mori – westchnęła Craigne, siadając na trawie.

22.

Mori wylądowała na plaży dokładnie w chwili, gdy szalupa wysłana z „Roxilony” przybijała do brzegu. Dziewczynka wyskoczyła z pojazdu i podbiegła do łodzi, brodząc po kostki w wodzie.

– Tatusi! – rzuciła się Scaberowi na szyję.

Uniósł ją do góry, kryjąc zwilgotniałe nagle oczy w jej ciemnych, potarganych włosach. Poczul taką ulgę, że aż nogi się pod nim ugięły. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, jak bardzo się o nią bał. Nie mówił o tym głośno, żeby nie powiększać lęków Thei, ale noc w dręczyły go koszmary, po których budził się przerażony i zlany potem.

– Mori! Kochana! Ależ się mama ucieszy! Zaraz cię do niej zabieram!

– Jeszcze nie, tatusiu. – Ciemnoniebieskie oczy spojrzały na niego poważnie. – W środku dżungli czeka na mnie ponad trzydzieści dziewczynek. Muszę je tu przywieźć. Joven wszystko wam wytłumaczy.

– Coś ty wymyśliła, Mori? – pokręcił głową Ross, który siedział przy drugiej parze wiosel.

– Dzień dobry, wujku. – Dziewczynka obdarzyła go promiennym uśmiechem. – Jak ci wszystko opowiem, to będziesz mi zazdrościł do końca życia. Ale teraz muszę już lecieć. I spytaj kapitana, czy nie ma drugiej szalupy. Trzeba się szybko zabierać z tej wyspy.

– Mori! Nie mogę cię tu zostawić!

– Tato! Tylko ja mogę je uratować!

Zanim którykolwiek zdążył zareagować, Mori ucałowała raz jeszcze Scabera, wyrwała się z jego objęć i już chwilę potem biegła po plaży w kierunku grupki przestraszonych dziewczynek. Coś do nich krzyknęła, popędziła dalej, po czym usiadła na czymś niewidzialnym i wzniosła się w górę.

– Co do licha? – Ross miał ochotę się uszczypnąć, żeby sprawdzić, czy to, co widzi, to nie halucynacja.

– Mori... – wyszeptał wstrząśnięty Scaber.

– Wujku Scaberze, wujku Rossie, dzień dobry! – Na brzegu stała najstarsza z zaginionych córek Chamomilli. W jej oczach malowały się oszołomienie i ulga.

– Witaj, moja droga – uśmiechnął się szeroko Ross i wyskoczył z szalupy.

Scaber siedział bez ruchu ze wzrokiem utkwionym w malejącą figurkę dziewczynki na tle błękitnego nieba. Przed chwilą była tuż przy nim, a teraz znów mu znika. A jeśli widzi ją po raz ostatni? Nie, oczywiście, że nie po raz ostatni. Co za głupia myśl. Przybyli na wyspę, przewiozą dzieciaki na statek. Wszystko będzie dobrze.

– Mori mówi, że ta wyspa może lada chwila zniknąć z naszego świata! – Joven chciała jak najszybciej przekazać najważniejszą informację. – Trzeba się pośpieszyć!

– Oczywiście – ocknął się Scaber. – Zawołaj swoje koleżanki, zobaczymy, ile was się zmieści w szalupie.

Kiedy Joven odeszła, Ross odezwał się wstrząśnięty:

– Te dzieci były chyba latami głodzone. Wyglądają jak szkielety.

– Thea mi nie daruje – mruknął Scaber, zatopiony we własnych myślach. – Będzie zrozpaczona, że pozwoliłem Mori odejść.

– Raczej odlecieć – uściślił Ross. – Wsiadajcie! – zawołał głośno do grupki zbliżających się niepewnie dziewcząt.

Patrzył ze współczuciem na ich wychudzone twarze i na pozbawione blasku oczy, które z niepokojem spoglądały na rozciągający się przed nimi bezmiar wód.

– Pierwszy raz widzisz morze? – zagadnął łagodnie, pomagając pierwszej z nich usadowić się w chwiejnej łodzi.

– Tak – odpowiedziała drżącym głosem.

– Nigdy nie oddalałyście się z wnętrza wyspy? – zdziwił się Scaber.

– Dżunglę otacza pas pustyni – wyjaśniła poważnie dziewczyna, która właśnie gramoliła się przez burtę.

– Otaczał – uściślił Ross, patrząc na bezkresną równinę falujących na wietrze traw w odcieniu fioleto i purpury.

No właśnie – wtrąciła się, idąc za jego spojrzeniem, Joven. – Wszystko się zmienia. Mori powiedziała, że w ten sposób wyspa wraca do swojego świata. A tam jest jeszcze tak dużo osób...

Machnęła ręką w kierunku, gdzie za purpurowymi wzgórzami dawnej pustyni powinna się znajdować dżungla.

Dobrze, rozumiem – przerwał jej Ross. – Już odbijamy. Wy poczekajcie – zwrócił się do stojących na brzegu czterech dziewcząt z Targisz. Niedługo po was przyplniemy. Na szczęście Birn Hołman ma jeszcze jedną łódź.

23.

Widząc obciążoną dodatkowymi pasażerami szalupę, Szklarka wychyliła się przez burtę. Serce łomotało jej w piersi. Może tam jest Mori? Żeby była! Żeby nic jej się nie stało! Byli coraz bliżej. Natężyła oczy aż do bólu. Aż zaszły jej łzami rozczarowania.

– Arta! Joven! – krzyknęła stojąca obok niej Chamomilla.

– Powiedzcie kapitanowi, że potrzebujemy drugiej szalupy! – krzyknął Ross, kiedy znaleźli się już blisko statku. – Tam są jeszcze tłumy dziewczynek. My zaraz płyniemy z powrotem.

– A Mori?! Czy jest tam Mori? – krzyknęła z rozpaczą Szklarka.

– Jest. Theo, obiecuję ci, że ją przywiozę! – Scaber popatrzył przepaszająco w

oczy żony.

– Dlaczego nie zabrałeś jej od razu?! Dlaczego...

– Wasza Mori dowodzi tymi dziewczynkami – przerwał jej Ross. – Nie chciała z nami płynąć, dopóki nie dostarczy wszystkich na brzeg.

– Nie rozumiem... – szepnęła Szklarka, drżącą ręką ocierając łzy.

– Ciociu Theo, ja ci wszystko opowiem – powiedziała Arta, której głowa ukazała się nad relingiem.

Chamomilla pomogła jej wejść na pokład.

– Moja mała – westchnęła, tuląc ją do siebie. – Jesteście wszystkie? – spytała z wahaniem, jakby bojąc się złej nowiny.

– Wszystkie – potwierdziła Arta z uśmiechem. – Reszta została z tutejszymi dziewczynkami, bo wiesz, Chamomillo... one są... nie dałyby sobie same rady.

– Rozumiem... – powiedziała Chamomilla ze ściśniętym gardłem, widząc wciągana na pokład siedemnastoletnią na oko dziewczynę o zapadniętych policzkach i podkrążonych oczach. Była tak przeraźliwie chuda, że jej ramię z łatwością dałoby się objąć jedną dłonią.

Wspinanie się po drabince sznurowej sprawiało dziewczętom dużą trudność i trwało irytująco długo. Druga szalupa z Kertem i Kastorem już odpłynęła w kierunku wyspy, a Ross i Scaber wciąż tkwili przy burcie „Roxilony”. Wymieniali zniecierpliwione spojrzenia, ale powstrzymywali się od głośnych komentarzy i popędzania, widząc, w jak opłakanym stanie są ich pasażerki. Joven wchodziła ostatnia. Była silniejsza od wychowanek z wyspy Targisz, więc poszło jej to znacznie szybciej. Nareszcie mogli płynąć.

– Moja kochana Joven! – przywitała ją wzruszona Chamomilla.

Joven wtuliła się w miękkie, opiekuńcze ramiona i przez chwilę nie odzywała się. Czowała, że nareszcie jest wolna od przytłaczającego ciężaru odpowiedzialności.

– Och, Chamorrado – wyjąkała przez łzy. – Tak bardzo mi ciebie brakowało... Instruktorci... one... – nie mogła dalej mówić. Rozszlochała się na dobre.

Chamomilla spokojnie czekała, głaszcząc ją po głowie. W jej sercu wzbierał potężny gniew na kobiety, które ośmieliły się skrzywdzić to dziecko.

– One... one... – Na zalanej łzami twarzy Joven malowała się rozpacz. – One zrobiły mi coś takiego... że coś zapomniałam. Była jakaś ważna rzecz, a ja nie mogłam jej sobie przypomnieć... Tak jakby wycięły mi kawałek pamięci... Och, Chamomillo! Czy możesz coś na to poradzić?

Chamomilla omal nie zgrzytnęła zębami z wściekłości. Powstrzymała się jednak od manifestowania uczuć. Pogłaskała Joven po mokrym policzku.

– Nie martw się, teraz już wszystko będzie dobrze.

– A co z Mori? – Szklarka podeszła do nich, wyłamując palce ze zdenerwowania.

– Mori jest najdzielniejszą ze wszystkich osób, jakie znam, ciociu Theo – powiedziała poważnie Joven. – Instruktorci wyгнаły ją do dżungli, a ona nie dość, że tam sama przetrwała, to jeszcze zdobyła skądś prawdziwą maszynę

latającą i teraz wozi nią dziewczęta z głębi wyspy na brzeg. Nie martw się, ciociu. Ona sobie poradzi.

– Wiesz, Theo, czekając na pozostałe dzieci, powinniśmy się chyba zająć tymi biedactwami. – Chamomilla wskazała dyskretnie siedzące na pokładzie wychowanki z Targisz. – Musimy im urządzić jakieś miejsca do spania w kajutach. Trzeba się będzie ścieśnić. Pójdę też porozmawiać z kucharzem. Dziewczynki muszą dostawać jakieś lekkie i delikatne posiłki, a nie to nasze okrętowe jedzenie, które zamienia się w żołądku w ciężką bilardową kulę.

– Narazisz mu się – ostrzegła Szklarka.

– Nic mnie to nie obchodzi. Powiedz mi, Joven, dlaczego one są tak wychudzone? Instruktorci nie dawali wam jeść?

– Dawali... tylko... hm, to nie było dobre jedzenie. Ale jadłyśmy i miejscowe dziewczyny też. Wydaje mi się, że to tamtejsza woda nas zatruwała. I jeszcze było coś, co robiły z nami instruktorci. Coś złego, ale to widziała tylko Mori. Ona... zaraz pierwszego dnia na wrzeszczała na jedną z nich i dlatego ją wypędziły... Nie zdążyła nam wyjaśnić, o co chodzi.

– Mori nawrzeszczała na instruktorci! – Chamomilla pokręciła głową z uśmiechem. – Słyszysz, Theo? Czy którakolwiek z nas odważyłaby się kiedyś pomyśleć, że na instruktorci można nawrzeszczyć?

– Nie sądzę. – Szklarka po raz pierwszy się uśmiechnęła.

24.

– Któraś z nich może być moją córką – szepnęła Antara.

– Albo moją – głos Urty brzmiał głucho. – Instruktorci przetrzymywały na wyspie nawet dorosłe dziewczyny.

– Dlaczego one tak wyglądają? Przecież na Targisz nie brakowało jedzenia.

Ze zgrozą przyglądały się grupce wynędzniałych dziewcząt, siedzących pod płóciennym daszkiem, zamontowanym przez marynarzy na polecenie Chamomilli. (To było doprawdy zadziwiające, jak ci szorstcy i nieokrzesani mężczyźni bez szemrania podporządkowywali się jej rozkazom). W tym momencie na pokład wyszedł kucharz. Zmrużył oczy i przez chwilę przyzwyczajając wzrok do ostrego słońca. Nie wyglądał na zadowolonego. W rękach trzymał tacę zastawioną jakimiś miseczkami. Chamomilla podeszła do niego, odebrała tacę, coś szepnęła i machnięciem głowy wskazała mu mieszkanki Targisz. Popatrzył w tamtym kierunku. Zbladł. Potem poczerwieniał. Przełknął ślinę.

– Dobrze – powiedział półgłosem. – Będzie tak, jak sobie pani życzy.

Skłonił się, obrócił na pięcie i odszedł pospiesznie do kambuza.

– Chyba powinniśmy jakoś... – Antara szukała odpowiedniego słowa – coś zrobić... Pomóc Chamomilli.

– Nigdy nie umiałam zajmować się chorymi – odpowiedziała ponuro Urta. – Nie jestem typem opiekuńczym. Nie wiem, jak to się robi... Tyle lat samotnego

życia...

– Któraś z nich może być twoją córką, albo moją – powtórzyła z naciskiem Antara i zrobiła pierwszy, niepewny krok.

– Dokąd idziesz?

– Do nich. Spróbuję... – Wykonała nieokreślony ruch ręką.

– Dobrze. Idź. Ja nie mogę.

Naprawdę nie potrafiła się przemóc, żeby podejść do tych wyniszczonych, apatycznych postaci, o pozbawionych wyrazu twarzach. Co mogłaby im powiedzieć? Na pewno wyczytałyby w jej oczach litość... ale nie życzliwość. Antara powiedziała, że tam mogą być ich córki. Urta zacisnęła powieki. Zobaczyła zawieszoną pod sufitem czerwoną chustę ozdobioną srebrnymi blaszkami, a w niej maleńkiego noworodka, o oczach ciemnych jak rodzynki. Karena. Miałyby teraz dziewiętnaście lat. Instruktorci na pewno zmienili jej imię. A może nie.

Otworzyła oczy. Antara była już pod płóciennym daszkiem. Wzięła od Chamomilli miseczkę z jakąś potrawą i zaczęła powoli karmić dużą dziewczynę, która wyglądała tak, jakby nie miała siły utrzymać łyżki. Jej skóra była prawie przezroczysta. Urta zdała sobie sprawę, że wilgotnieją jej oczy. Nie była nieczuła, tylko... Tak. Przypomniała sobie ten moment, kiedy znalazła się na wyspie Nut, zaraz po tym, jak Ellix zabrała jej dziecko. Przysięgła sobie wtedy, że już nigdy z nikim się nie zwiąże. Nawet uczuciem przyjaźni. Woli być sama, niż cierpieć tak strasznie z powodu utraty kogoś bliskiego. Wyruszyła w tę podróż po to, żeby się zemścić. Nie miała zamiaru roztaczać nad nikim opieki.

Chamomilla odeszła. Pewnie po nową porcję jedzenia. Ta dziewczyna, którą karmi Antara, łyka z takim trudem. Inne mają zamknięte oczy. Może zasnęły? Thea Sedun też nie zajmuje się przybyłymi. Stoi przy burcie i czeka na swoją Mori.

– Urto! – wyrwała ją z zamyślenia Chamomilla. – Pomóż mi przynieść z kuchni dzbanek z piciem i kubki. Zaparzyłam liście herbaty szczęścia. To powinno pomóc tym biedaczkom. Mam wrażenie, że instruktorci po prostu wyssały z nich życie.

– Ale ja...

– Tylko przynieś. Nie musisz nic przy nich robić.

Urta spojrzała ostro na Chamomillę, ale w jej oczach nie dostrzegła potępienia, tylko współczucie.

Zeszła do kambuza, gdzie stała już zastawiona taca. Wyniosła ją na pokład i rozejrzała się za Chamomillą.

– Tutaj! – zawołała Antara, pokazując jej ustawiony w cieniu prowizoryczny stolik ze skrzyń po owocach.

Poszła tam jak we śnie. I nagle znalazła się bardzo blisko dziewcząt z Targisz.

– Możesz już odejść – szepnęła Chamomilla, biorąc z tacy dwa kubki.

W tym momencie podeszła do nich ta wysoka córka Chamomilli – Joven.

– Czy to nie jest za gorące? – zainteresowała się, widząc parujący płyn. – One są

takie słabe, że mogą na siebie wszystko wylać i się poparzyć.

– Wiem – westchnęła Chamomilla. – Dopóki nie wystygnie, trzeba je poić łyżeczkami.

– Dobrze – odpowiedziała spokojnie Joven, biorąc cynową łyżkę i kubek.

Urta zrobiła to samo.

Chamomilla położyła jej rękę na ramieniu.

– Nie musisz – powiedziała.

– Chcę spróbować – odrzekła cicho Urta.

Podeszła do siedzącej najdalej ciemnowłosej dziewczyny.

– Mam na imię Urta – powiedziała nieco ochryple. – Tu jest dla ciebie picie.

Podsunęła do jej ust łyżeczkę. Dziewczyna wypila łyk.

– Gorące – wyszeptała.

Przed podaniem następnej porcji Urta podmuchała na zawartość łyżeczki.

Starła się nie myśleć o tym, co robi, nie myśleć o dziewczynie, która patrzy na nią szklistymi, półprzytomnymi oczami. Wlewała jej w usta kolejne porcje płynu. Wkrótce kubek był pusty.

– Chcesz teraz coś zjeść?

Dziewczyna pokręciła przecząco głową.

– Nie, dziękuję pani.

– Wobec tego idę do następnej.

Urta podniosła się i poszła po drugi kubek. Stała przed kolejną wychudzoną istotą o niewidzącym spojrzeniu i wygłosiła to samo co przedtem zdanie.

– Mam na imię Urta. Tu jest dla ciebie picie.

– Mam na imię Karena – wyszeptała dziewczyna.

25.

Mori była zdenerwowana. Wysadziła na brzegu już trzecią grupę dziewczynek, a druga szalupa dopiero odplywa.

– Panowie! – zawołała. – Nie możecie wziąć więcej osób? To wszystko trwa zbyt długo!

– Dobrze, panienczko, daj mi tu jeszcze ze dwie. Jakoś sobie poradzimy. Morze na szczęście jest spokojne – zawołał Kert. – I nie martw się, będziemy wiosłować ile sił.

– Hej, Mori! Poznajesz mnie? – Kastor zamachał do niej ręką.

Obrzuciła go uważnym spojrzeniem.

– Oczywiście, że poznaję. Jest pan narzeczonym Ottiny. A może już mężem?

– O nie, nie mężem. Ottina chciała poczekać ze ślubem, aż wrócicie do domu.

– Aha! I dlatego pan przyplłynął z moim tatą: żeby przyspieszyć nasz przyjazd – uśmiechnęła się psotnie, ale zaraz spoważniała. – Odplywajcie już. Wydaje mi się, że niewiele czasu nam zostało.

Mori wskoczyła do maszyny, która szybko wzbiła się w powietrze.

– Jak ona to zrobiła? – Kastor zastygł z otwartymi ustami.

– Wiosłuj pan, wiosłuj – wyrwał go z chwilowego osłupienia Kert. – Ta mała mówiła, że mamy się spieszyć. Domyślam się, że to córka pani Sedun?

– Tak, to właśnie Mori Sedun – przytaknął Kastor, pracując rytmicznie wiosłami. – Zachowuje się jak jakiś generał – prychnął.

– No cóż – rzucił mu kpiące spojrzenie Kert. – Żaden generał, jakiego znam, nie potrafiłby wznieść się w powietrze, zabierając jeszcze ze sobą pasażerów.

– Mori znalazła tę latającą maszynę, jak była sama w dżungli – wyjaśniła siedząca najbliżej Laszti.

– Ja tam nie widziałem żadnej maszyny – mruknął Kastor.

– Bo jej nie widać – wyjaśniła dziewczynka. – Tylko Mori może ją zobaczyć bez problemu. Tam w środku są nawet fotele. Też niewidzialne.

– Czymże wobec tego cuda jest mój balon – westchnął z głębi serca Kert.

Kiedy dobili do „Roxilony”, okazało się, że załoga statku wymyśliła znacznie sprawniejszy sposób transportowania dziewczynek na pokład. Te silniejsze miały korzystać ze sznurowej drabinki, a na pozostałe czekały trzy uplecione z lin uprząże, w których mieszkanki Targisz wciągane były na górę.

Szklarka stała przy burcie, ściskając pięści. Szybciej, szybciej... poganiała je w myślach. Wiedziała, że Mori nie przyplynie, dopóki ostatnia z dziewcząt, nad którymi samozwańczo objęła opiekę, nie znajdzie się bezpiecznie na statku. Powinna być dumna, że jej dziecko jest tak odpowiedzialne i takie dzielne, ale jedyne, co czuła, to zimny kłęb strachu gdzieś w okolicach żołądka.

26.

Ostatnia weszła Fry. Na polanie nie było już nikogo. Mori wsiadła do maszyny. „To już wszystkie” – pomyślała z ulgą. „Właściwie mogłabym polecieć prosto na pokład statku, ale muszę odczekać, aż tatuś i Kastor zabiorą tamte dziewczyny, które jeszcze czekają na plaży”. Kolejny raz z niepokojem przebiegła wzrokiem po koronach drzew. Dżungla była zupełnie fioletowa. Resztki zieleni zostały zduszone przez ekspansywne rośliny z innego świata. Na miejscu dawnej pustyni zaczęły wyrastać pierwsze drzewa o smoliście czarnych pniach i jaskrawoczerwonych liściach. Na horyzoncie ukazał się niebieski przestwór oceanu.

– Zaraz będziemy na miejscu! – Mori uśmiechnęła się szeroko i w tym samym momencie poczuła, że coś dziwnego dzieje się z maszyną.

Pojazd samowolnie obniżał lot i schodził coraz niżej nad dawną pustynię.

– Leć nad morze! – krzyknęła Mori.

Maszyna szarpnęła do przodu, jakby chciała jej posłuchać. Przeleciała jeszcze kilkadziesiąt metrów i wylądowała ciężko pośród purpurowych traw.

– To źle wróży – mruknęła Mori. – Wsiadajcie! Idziemy na piechotę. Brzeg jest już niedaleko.

– Ty zostajesz – zabrzmiał znenacka dobrze jej znany głos.

Zza najbliższej wydmy wyłonił się Arxt. Stał z założonymi na piersiach rękami i

patrzył na nią chłodno. Odwróciła się do osłupiałych dziewczynek.

– Biegnijcie co sił w nogach! – rozkazała. – A przynajmniej idźcie, jak najszybciej możecie. Dołączę do was niedługo, nie martwcie się.

Widząc, że stoją niezdecydowane, krzyknęła zniecierpliwiona:

– Ruszajcie się! No już!

Odwróciła się do Arxta.

– To ty zepsułeś mój pojazd?

– Nie zepsułem. Rozkazałem mu wylądować. Poza tym to nie jest twój pojazd. Należy do ludu Xatl. Odstępczynie przywłaszczyły go sobie bezprawnie. A potem ty.

„To dlatego nie rozpadł się w pył jak tutejsze budowle” – pomyślała.

– Oddaj gong! – Arxt zrobił krok do przodu.

– Poczekaj, aż one dojdą na brzeg. – Mori mówiła spokojnie, przeciągając samogłoski, żeby zyskać na czasie. – Ja też chcę wrócić do domu. Daję słowo, że gdy wsiądę do szalupy, zwrócę ci gong i będziesz mógł w niego walić, ile dusza zapagnie.

– Nie wsiądziesz do żadnej szalupy – powiedział twardo. – Tak postanowiłem.

– A jak się tu w ogóle dostałeś? – zmieniła temat.

– Mam swój własny ovoid. – W jego głosie zabrzmiała duma.

– Co masz?

– To, co ty nazywasz pojazdem, nosi nazwę ovoidu. Zobacz sama. Stoi za tą wydumą.

Mori wdrapała się na niewielkie wzniesienie, ciesząc się w duchu z każdej zyskanej sekundy. Rzuciła okiem w kierunku grupy oddalających się dziewcząt. Ależ one są powolne! Potem popatrzyła na latającą maszynę Arxta.

– Ależ... to jest to łóżko, w którym spałeś tysiąc lat!

– Łoże-ovoid – przyznał z dumą. – Ale skończmy już te pogawędki i oddaj mi gong. Moja ziemia drży oczekiwaniem na powrót do swojego świata. Czeka tylko na prawowitych mieszkańców.

– Dlaczego upierasz się, żebym tu została? Czy władcom Xatl obca jest wdzięczność? Przecież to ja cię obudziłam, dzięki mnie zostały pokonane instruktorki. – Wzdrygnęła się na przypomnienie ośmiu kopczyków białego popiołu, ale ciągnęła dalej. – Chyba należą mi się jakieś względy, nie uważasz?

– Oczywiście, że tak – skinął sztywno głową. – Dlatego właśnie uczyniłem ci ten zaszczyt i wybrałem cię na przyszłą księżącą małżonkę. Powinnaś tylko bardziej dbać o swój wygląd, znowu jesteś potargana – dodał normalniejszym tonem.

Mori zgrzytnęła zębami. Ukradkiem sprawdziła odległość dzielącą dziewczęta od brzegu.

– Nie podoba mi się sposób, w jaki rozporządzasz moją przyszłością – powiedziała spokojnie. – Mam poczucie, że zamiast okazać mi wdzięczność, ty chcesz mnie uwięzić w swoim świecie.

– Księżęta Xatl wiedzą najlepiej, co jest dobre dla ich poddanych – odrzekł

pompatycznie.

– Ale ja nie jestem twoją poddaną, do licha! – rozzłościła się Mori. – Nie pamiętasz, jak razem przechodziliśmy koło okropnych potworów, albo jak sprowadziłam deszcz, ratując cię przed spalaniem? Nie byłeś wtedy tak koszmarnie pewny siebie.

– Myślę, że jesteś małostkowa.

Gdyby nie była tak wściekła, wybuchnęłaby śmiechem w reakcji na podobną bezczelność. Teraz jednak nie mogła się rozpraszać. Wiedziała, że Arxt nie odstąpi od swojego idiotycznego pomysłu, należało jednak przeciągać rozmowę tak długo, jak się da. Muszę spróbować łzawego wariantu.

– Czy wiesz – westchnęła, wprowadzając swój głos w drżenie sugerujące, że bliska jest płaczu – jak bardzo tęsknię za moimi rodzicami?... A moja mama umiera z żalu. Jestem jej jedynym dzieckiem. Jeśli nie wrócę, ona umrze...

Ta wizja wywołała prawdziwe łzy w jej oczach. Arxt nie był na to przygotowany. Wyraźnie nie wiedział, co powiedzieć. Odruchowo wyciągnął z kieszeni śnieżnobiałą chusteczkę i podał ją Mori.

– Źle jest, gdy władca zmienia swoją decyzję – odezwał się w końcu łagodnie.

– Nikt nie będzie o tym wiedział, tylko ja – chlipnęła teatralnie Mori.

– I ja także.

– Nikomu nie powiemy.

– Mowy nie ma. Czułbym, że sprzeniewierzyłem się świętej tradycji książąt Xatl.

– Co wobec tego robią książęta Xatl, gdy dojdą do wniosku, że ich decyzja jest błędna?

– To są tajemnice władzy. Nie znasz się na tym.

– Ale pomyśl, co za pożytek z księżnej, która zamiast myśleć o dobru księstwa i poddanych, marzy tylko o tym, żeby wrócić do domu? – spróbowała innej taktyki.

– Zaakceptujesz to.

Jakież on denerwujący. Zerknęła w kierunku plaży. Dziewczęta dochodziły już do brzegu. Wytężyła wzrok. Dwie szalupy! Może uda im się zabrać wszystkie naraz?

– Nie zgodzę się i tak – powiedziała buntowniczo.

– Dość tego! Wiesz, że nie zmienię zdania!

Skoczył ku niej i próbował pochwycić gong. Odwróciła się błyskawicznie i z całej siły kopnęła go w kolano. Wrzasnął i zachwiał się. Wykorzystała ten moment i rzuciła się do ucieczki. Co sił w nogach biegła w stronę morza.

– Nie uciekniesz mi – usłyszała nad sobą spokojny głos i po chwili tuż przed nią wylądował ovoid.

Szybko oceniła odległość, jaka dzieliła ją jeszcze od brzegu. Zorientowała się, z jakiego kierunku wieje wiatr i zanim Arxt zdążył do niej dojść, odrzuciła gong jak najdalej od siebie. Miała wprawę, bo nieraz grała z ojcem w *callee*, czyli grę polegającą na rzucaniu drewnianego talerza. Wygrywał ten, którego talerz

wylądował najdalej. Srebrny krążek poszybował z wiatrem i upadł gdzieś pomiędzy wysokie trawy.

– COŚ TY ZROBIŁA!!! – wrzasnął Arxt i wskoczył do latającego pojazdu.

Mori rzuciła się w przeciwną stronę. Miała nadzieję, że wybudująca roślinność purpurowej sawanny utrudni chłopakowi poszukiwania.

Kiedy ciężko dysząc, dobiegła do plaży, dwie szalupy odbijały właśnie od brzegu. Z niepokojem zauważyła, że nie zabrały ze sobą Fry.

– Tato! Zabierzcie ją! – krzyknęła, formując z dłoni trąbkę wokół ust.

– Nie mogą. Łodzie zaczęły przeciekać – wyjaśniła Fry.

– Czekajcie spokojnie! Wkrótce po was przyplniemy! – dobiegł ich głos Scabera.

Mori westchnęła. Spojrzała na swoją rudowłosą towarzyszkę.

– Słuchaj, Fry. Jestem prawie pewna, że oni nie zdążą nas stąd zabrać. Mam pewien pomysł, dzięki któremu możemy się uratować, ale musisz być mi absolutnie posłuszna i robić, co ci każę. Rozumiesz?

Fry bez słowa kiwnęła głową.

– Dobrze. A teraz nic do mnie nie mów. Muszę się skupić. – Mori zmrużyła oczy i wpatrzyła się w roztańczone drobiny powietrza.

27.

Srebrzysty głos gongu zabrzmiał ponad wyspą Targisz, przepłynął ponad falami i dotarł aż do stojącej na kotwicy „Roxilony”. Szklarka śledziła wzrokiem szalupę, która powoli zbliżała się do brzegu, żeby zabrać ostatnie dwie dziewczynki. Dlaczego Scaber pozwolił Mori zostać do samego końca? Dlaczego nie kazał wysiąść której z tych obcych?... Nie, oczywiście nie powinna tak myśleć. To złe i egoistyczne. Ale tam jest Mori!

I co to za dźwięk, który tak długo wisi w powietrzu? NIE!!!

Wyspa znikła tak nagle, jakby była płomieniem, który ktoś znieacka zdmuchnął. Szklarka zakryła oczy i osunęła się na pokład.

– Chamomillo! – zakrzyknęła rozpaczliwie Joven, która także z niecierpliwością oczekiwała przybycia Mori. – Chamomillo! Chodź tu natychmiast! Proszę cię!

Chamomilla, zajęta zabiedzonymi mieszkankami Targisz, nie miała pojęcia, co stało się z wyspą. Zniecierpliwiona odwróciła się ku Joven i wyraz jej twarzy natychmiast uległ zmianie na widok zemdlonej Szklarki.

– Co się stało?

Joven nie była w stanie mówić. Ze łzami w oczach machnęła ręką tam, gdzie jeszcze parę minut wcześniej widniały zarysy lądu. Chamomilla omiotła wzrokiem szafirowy bezmiar oceanu i podpływającą do statku szalupę kołyszącą się na falach. Wargi jej zadrżały.

– Czy Mori?...

Joven pokręciła przecząco głową.

– I Fry... – wyszeptała, ocierając wierzchem dłoni mokry policzek.

– I Fry – powtórzyła cicho Chamomilla.
Przykucnęła przy leżącej kobiecie i pogładziła z czułością jej ciemne włosy, wśród których pojawiło się w ciągu ostatnich tygodni wiele srebrzystych nitok.
„To niesprawiedliwe” – pomyślała. – „To okropnie niesprawiedliwe”.
Nagle poczuła, że ktoś dotyka jej ręki.
– Panno Chamomillo, proszę spojrzeć.
Głos Kerta brzmiał dziwnie.
Podniosła głowę.
– O co chodzi, panie Kert?
– Niech pani sama zobaczy.
Pomógł jej wstać. Bezwiednie wsparła się na jego silnym ramieniu i tak już pozostała.
– Tam, widzi pani?
Spojrzała we wskazanym kierunku. To było niewiarygodne, ale przypominało jej... O czymś podobnym opowiadała Szklarka po powrocie z wyspy Nut.
– Theo! – Pochyliła się nad zemdloną przyjaciółką i poklepała ją po policzku. – Theo! Spójrz na mnie!
Ciemne rzęsy zadrgały i odsłoniły szare oczy pełne niewypowiedzianego bólu.
– Straciłam moją Mori – wyszeptała.
– Nie! Mori żyje! – Chamomilla z trudem panowała nad emocjami. – Wstań i popatrz.
Szklarka podniosła się, półprzytomna po doznanych wstrząsach. Nie wiedziała, o co chodzi Chamomilli. Przecież wyspa znikła, a wraz z nią jej ukochana, jedyna córeczka. Potrząsnęła głową.
– Nic nie widzę – powiedziała z rozpaczą.
– Popatrz uważnie, nad falami – w głosie Chamomilli słychać było podniecenie.
Szklarka przebiegła wzrokiem po rozległej wodnej przestrzeni i... zobaczyła! Dwie nieduże figurki kroczące w powietrzu. A jedną z nich była Mori.
– Ale jak... – zaczęła i nagle pochyliła się do przodu, wyężając wzrok.
I przyplęnęło do niej wspomnienie poranka na wyspie Nut, kiedy szła ze Scaberem po niewidzialnym moście. Niewidzialnym dla niego. Ten, po którym szła Mori, był taki sam, przezroczysty jak ze szkła, z lekkim tęczowym lśnieniem na powierzchni. Zaczynał się pośród fal, a jego koniec... zawisał w powietrzu, ale miało się wrażenie, że z każdym krokiem robionym przez dziewczynki, powietrzna droga się wydłuża, wydłuża... Szklarka, wychylona przez burtę, patrzyła zafascynowana. Widziała, jak w dole Scaber i Ross zwracają szalupę, jak wiosłują, spoglądając co chwila do góry.
Tęczowe lśnienie dosięgnęło pokładu. Nikt go nie widział, tylko ona. Podeszła w miejsce, gdzie zaczynał się niewidzialny most i postawiła na nim stopę. Potem drugą. Pięć kroków i znalazła się ponad burtą. Jeszcze jeden i pod nią były już tylko fale.
Jak przez mgłę usłyszała zdławiony okrzyk Chamomilli:
– Theo!

Uśmiechnęła się. Most był solidny, tylko dość wąski. To nie miało znaczenia. Ważne było, że naprzeciwko niej szła Mori, z uczeponą jej ręki, zieloną ze strachu Fry. Jeszcze tylko kilka metrów i już mogła jej dotknąć.

– Mori... – westchnęła z głębi serca.

Dwunastoletnia istotka wtuliła się w nią gwałtownie, wywołując okrzyk przerażenia u swojej towarzyszki.

– Mamusiu – powiedziała Mori, patrząc w oczy Szklarki. – Przyszłaś do mnie, więc chyba obie mamy w sobie coś z Corredo.

– Chyba tak – szepnęła cicho, głaszcząc zmierzwiłone, ciemne włosy córki.

EPILOG

Szklarka otworzyła oczy. Jaki piękny dzień! Za oknem błękitne niebo, jakby wciąż jeszcze było lato. Wstała z łóżka i otworzyła okno, ale zaraz je zamknęła. Jednak czuje się w powietrzu ostrą nutę jesiennego chłodu. Za to jakie kolory! Całe morze złota i czerwieni. Granatowe jagody dzikiego wina na tle szkarłatnych i bordowych liści. „Dziś będę malować” – postanowiła. Było jej tego ranka jakoś szczególnie radośnie i lekko na sercu. A jeszcze dwa miesiące temu myślała, że umrze z rozpacz. Nareszcie przestała bać się o Mori. Ich córka ze wszystkim jest w stanie sobie poradzić. Scaber i Chamomilla mieli rację.

Wróciła myślami do tej chwili na niewidzialnym moście. Coś się wtedy zmieniło. Poczowała, że łączy je nowa więź. Chyba sprawiły to słowa Mori – że obie są z Corredo. Bo przecież tylko ona zobaczyła ten most, który jej dziecko stworzyło z cząstek powietrza.

A potem był powrót do domu i długie, bardzo długie rozmowy. Dowiedziała się wtedy, w jak niezwykły sposób Mori postrzega świat. I że widzi rzeczy niedostrzegalne dla innych śmiertelników. Na przykład kolory otaczające każdą osobę i zmieniające się w zależności od nastroju. A ona przez tyle lat usiłowała skrywać różne emocje!

Wciąż nie mogła się nadziwić, jak wiele z tej strasznej przygody wynikło dobra. Nie tylko dla ich małej rodziny. Trzymane przez lata na wyspie Targisz młode kobiety mogły powoli zacząć normalnie żyć. Wiele samotnych artystek z wyspy Nut podjęło się opieki nad młodszymi dziewczętami. A Chamomilla... To była sprawa, która najbardziej cieszyła Szklarkę. Zaledwie dwa tygodnie po odłożonym ślubie Ottiny wyszła za mąż również Chamomilla. Widząc, jak jest szczęśliwa, Szklarka z ulgą przyznała przed sobą, że jej wcześniejsze wątpliwości co do osoby Kerta nie znalazły potwierdzenia.

Zjadła śniadanie, delektując się każdym kęsem. Scaber i Mori wrócą niedługo z porannej konnej przejażdżki, a ona pójdzie do ogrodu malować.

Wstała od stołu.

– Wielmożna pani... – W drzwiach stał ochmistrz Legor.

Kłaniał się nisko z niepewną miną. Szklarka od razu wyczuła, że za chwilę dowie się czegoś nieprzyjemnego.

– Wielmożna pani, chciałem przypomnieć, że dziś po południu przyjeżdża pocztylion i trzeba odpisać...

– Wiem – odpowiedziała lodowato.

Ochmistrz znikł jak zdmuchnięty północnym wiatrem.

Szklarka poczuła się od razu zła na cały świat. Nawet na tę piękną pogodę na dworze. Co jej ze słońca i z zachwycającej gry kolorów, skoro zamiast malować, będzie musiała spędzić kilka godzin w bibliotece, odpisując na idiotyczne bileciki, których widok przyprawiał ją o mdłości.



Pół godziny później Mori wpadła do biblioteki i zastała Szklarkę siedzącą przy biurku i zajętą pisaniem. Było tu chłodno mimo płonącego na kominku ognia. I jakoś ponuro.

– Mamusiu! Co się stało!?

– A co, unosi się wokół mnie jakiś nieciekawny kolor?

– spytała gorzko Szklarka.

– Mhm – kiwnęła głową dziewczynka – niebieskosiny. Jakbyś była czymś przygnębiona... i znudzona.

– Jestem przygnębiona, znudzona i wściekła – wybuchnęła Szklarka, odsuwając gwałtownie stos sztywnych kartoników. – Nienawidzę takich bezsensownych zajęć. Chciałam dziś malować w ogrodzie, a zamiast tego muszę odpisywać na bileciki grzecznościowe.

Mori podeszła do biurka i z ciekawością zaczęła przeglądać stos korespondencji.

– „Z miłymi wspomnieniami. Markiza i Markiz de Bete” – przeczytała głośno. – Kto to jest?

– Jacyś ludzie, z którymi widzieliśmy się na zeszłorocznym przyjęciu u twoich dziadków.

– A Daina Pastoli: „W nadziei na podtrzymanie miłej znajomości”? – przeczytała następny bilecik.

– Nie pamiętam – wzruszyła ramionami Szklarka. – Zdaje się, że to jakaś zasuszona dama, która zamieniła ze mną dwa słowa na balu dobroczynnym u księżnej Morgenrose.

– I ty też musisz pisać takie bzdury? – Mori obrzuciła mamę współczującym spojrzeniem.

– Tak. Rozumiesz więc, że trudno mi zachować pogodę ducha.

– Wiesz co, mamusiu? – Mori zaczęła składać kartoniki w równy stosik. – Nie martw się, ja mogę się tym zająć.

– Ależ Mori! To przecież takie beznadziejne zajęcie.

– Wiem, ale mam na to sposób. Pozwolisz mi spróbować? – W oczach dziewczynki zamigotały wesołe iskierki.

– Rób, co chcesz. – Szklarka rozłożyła ręce.

Mori zebrała z biurka całą korespondencję i zdecydowanym ruchem wrzuciła wszystko do kominka. Żółte promienie skoczyły w górę.

– Mori! Coś ty zrobiła!? – wykrzyknęła przerażona Szklarka.

– Uważam, że to najlepsze rozwiązanie.

Szklarka jak zahipnotyzowana wpatrywała się w płonące kartoniki, a potem wybuchnęła niepowstrzymanym śmiechem.

– Ty też tak uważasz, mamusiu – stwierdziła Mori. – Jesteś cała złocistoróżowa.

SPIS TREŚCI

Część I

Część II

Część III

Część IV

Epilog



Blask Corredo



Zapierająca dech akcja, magiczny klimat
i nowi bohaterowie w drugim tomie
Blasku Corredo.

Córka Szklarki, dwunastoletnia Mori ma niezwykle zdolności – wie rzeczy, których nigdy się nie uczyła, widzi emocje innych ludzi w postaci kolorowych poświat, może przenosić przedmioty siłą woli. Nie potrafi jednak nawiązać porozumienia ani ze swoimi rówieśnikami, ani z rodzicami. Niespodziewanie po przyjęciu u ciotki Pepperii Mori znika. Okazuje się, że nie tylko ona. Czy mają w tym udział groźne instruktorki? Co zrobią państwo Sedun i ich przyjaciele, by odnaleźć dziewczynki? Czy Mori wykorzysta swoje zdolności, aby się uwolnić, i czy spotka jeszcze swoich rodziców?

Nowi bohaterowie, barwne opisy i mnóstwo przygód sprawia, że przeczytacie tę książkę jednym tchem!

Cena det. 35 zł

ISBN 978-83-7033-929-6



www.wdrodze.pl